

VICTORIA HOLT

Zemsta faraonów

KLĄTWA

Gdy sir Edward Travers zmarł nagle w tajemniczy sposób, przerażenie i domysły ogarnęły nie tylko najbliższą okolicę, ale cały kraj.

Nagłówki w gazetach donosiły: „Śmierć wybitnego archeologa”, „Czy sir Edward Travers jest ofiarą klątwy?”.

Notatka w naszym lokalnym dzienniku stwierdzała: „Po śmierci sir Edwarda Traversa, który ostatnio wyjechał z kraju, by prowadzić wykopaliska w grobach faraonów, pojawiło się pytanie: ile prawdy zawiera dawne wierzenie, że ten, kto narusza miejsce spoczynku zmarłych, sprowadza na siebie ich wrogość? Nagła śmierć sir Edwarda położyła kres ekspedycji wykopaliskowej.”

Sir Ralf Bodrean, najbardziej wpływowy z tutejszych właścicieli ziemskich i najbliższy przyjaciel sir Edwarda wspomagał ekspedycję finansowo i gdy w kilka zaledwie dni po ogłoszeniu wiadomości o śmierci sir Edwarda sir Ralf uległ atakowi apopleksji, dało to pole do dalszych spekulacji. Sir Ralf miał już podobny atak przed kilku laty i przyszedł do siebie po nim tak jak i po drugim, ten ostatni jednak pozostawił po sobie paraliż ręki i nogi i mocno nadwątlone zdrowie. Jak można się było spodziewać, napomykano tu i ówdzie, że nieszczęście to było skutkiem klątwy.

Ciało sir Edwarda sprowadzono do kraju i pochowano na naszym cmentarzu; najważniejszą z osób biorących udział w pogrzebie był oczywiście Teobald, jego jedyny syn, który był także człowiekiem wybitnym i nie pozbawionym osiągnąć w tej samej co ojciec dziedzinie.

Był to jeden z najbardziej uroczystych pogrzebów, jakie kiedykolwiek odbyły się w naszym dwunastowiecznym kościele. Obecni byli ludzie ze świata nauki, osoby zaprzyjaźnione z rodziną, no i oczywiście prasa.

Byłam w tym czasie lektorką lady Bodrean, żony sir Ralfa; zajęcie to nie najbardziej odpowiadało mojej naturze, lecz do jego przyjęcia zmusiły mnie potrzeby finansowe.

Towarzyszyłam lady Bodrean na nabożeństwie żałobnym w kościele, gdzie nie mogłam oderwać oczu od Teobalda.

Kochałam go od pierwszej chwili, gdy go zobaczyłam; kochałam nierozumnie, bo beznadziejnie, jakąż bowiem szansę mogła mieć skromna lektorka, gdy chodziło o taką znakomitość? W moich oczach był uosobieniem męskich zalet. Z pewnością trudno byłoby go nazwać przystojnym w konwencjonalnym sensie, ale wyróżniał się wyglądem: bardzo wysoki, o szczupłej sylwetce, włosach ni jasnych ni ciemnych; miał czoło intelektualisty, była jednak odrobina zmysłowości w jego ustach; nos miał duży i nieco arogancki, a szare oczy głęboko osadzone i przysłonięte powiekami. Nigdy nie było się pewnym, co myśli. Był daleki i tajemniczy. Często sobie powtarzałam: Trzeba by całego życia, by go zrozumieć. Ale cóż to byłaby za fascynująca podróż odkrywczą!

Zaraz po pogrzebie wróciliśmy z lady Bodrean do Keverall Court. Jest wyczerpana — mówiła i rzeczywiście bardziej była rozdrażniona niż zazwyczaj, i więcej znajdowała powodów do uskarżania się. Jej nastrój nie uległ polepszeniu, gdy się dowiedziała, że reporterzy chcieli w Keverall Court zasięgnąć informacji o stanie zdrowia sir Ralfa.

— Krażą jak sępy, spodziewając się najgorszego — oznajmiła. — Następna śmierć pasowałaby przecież do tej głupiej historii o kławie.

W kilka dni po pogrzebie zabrałam psy lady Bodrean na codzienny spacer i nogi z przyzwyczajenia same mnie zaniósły do Giza House, domu Traversów. Stałam przed bramą z kutego żelaza, gdzie tyle razy stawałam, i spojrzałam na ścieżkę prowadzącą ku domowi. Teraz, gdy było po pogrzebie i gdy podniesiono stopy, nie wyglądał już ponuro. Odzyskał tę atmosferę tajemniczości, którą zawsze z nim wiązałam, bo to był dom, który zawsze mnie fascynował, nawet wtedy, gdy Traversowie jeszcze tu nie mieszkali.

Ku mojemu zakłopotaniu z domu wyszedł Teobald; nie zdążyłam odejść, gdyż mnie spostrzegł.

— Dzień dobry, miss Osmond — powiedział.

Szybko znalazłam usprawiedliwienie mojej tu obecności.

— Lady Bodrean chciałaby wiedzieć, jak pan się miewa.

— Ach, znośnie — odpowiedział — ale proszę wejść.

Uśmiechnął się do mnie i to sprawiło, że poczułam się niedorzecznie szczęśliwa. To był absurd. Żeby rozsądna, poważna, dumna miss Osmond tak intensywnie reagowała na inną ludzką istotę! Miss Osmond zakochana! Jak w ogóle mogłam dojść do takiego stanu i to tak beznadziejnego w dodatku?

Poprowadził mnie ścieżką wśród nieco zbyt wybujałych zarośli i pchnął drzwi kołatką, którą sir Edward przywiózł z jakichś obcych krajów. Była zręcznie wykuta na kształt twarzy... złej twarzy. Zastanawiałam się, czy sir Edward umieścił tu ją po to, by odstraszać gości.

Grube dywany w Giza House tłumiły kroki. Teobald wprowadził mnie do salonu, w którym aksamitne, ciężkie, granatowe kotary przybrane były złotymi frędzlami, a dywan był ciemnobłękitny z aksamitnym meszkiem. Sir Edwardowi hałas przeszkadzał w pracy, mówiono. Ten pokój dawał świadectwo jego zamiłowaniu. Wiedziałam, że niektóre niesamowite figury były odlewami najwspanialszych znalezisk. To był chiński pokój, ale dominujący tu olbrzymi fortepian wnosił coś z atmosfery wiktoriańskiej Anglii.

— Mamy w planach jeszcze jedną ekspedycję tam, gdzie zmarł mój ojciec — powiedział.

— Ach, tak — wykrzyknęłam.

Nie wierzyłam w legendę o kłątwie, ale myśl o jego tam powrocie zatrwożyła mnie.

— Uważa pan, że to rozsądne? — zapytałam.

— Z pewnością nie wierzy pani w to, co mówią o śmierci mego ojca, miss Osmond?

— Oczywiście, że nie.

— Był zdrowym człowiekiem, to prawda. I nagle dopadła go śmierć. Myślę, że był o krok od jakiegoś wielkiego odkrycia. Powiedział mi na dzień przed śmiercią: „Myślę, że niedługo dowiodę wszystkim, jak

bardzo ta wyprawa była warta podjęcia". Nic więcej nie zdołał powiedzieć. Jakże bym chciał, żeby powiedział.

— Przeprowadzono sekcję zwłok.

— Tak, tu, w Anglii. Nie mogli jednak znaleźć przyczyny śmierci. To było bardzo tajemnicze. A teraz sir Ralf.

— Nie myśli pan chyba, że jest jakiś związek?

Potrząsnął głową.

— Myślę, że stary przyjaciel ojca musiał być wstrząśnięty jego nagłą śmiercią. Sir Ralf miał skłonność do apopleksji i już raz miał łagodny atak. Wiem, że lekarze od lat zalecali mu trochę umiarkowania. Nie, choroba sir Ralfa nie ma nic wspólnego z tym, co się stało w Egipcie. A więc, wróć tam i spróbuj zbadać, co takiego odkrył mój ojciec... i czy zaważyło to w jakiś sposób na jego śmierci.

— Niech pan będzie ostrożny — powiedziałam, nim zdążyłam się powstrzymać.

Uśmiechnął się.

— Jestem pewien, że mój ojciec by tego chciał.

— Kiedy pan wyjedzie?

— Przygotowania zajmą nam trzy miesiące.

Drzwi otworzyły się i weszła Tabita Grey. Intrygowała mnie, tak jak wszyscy mieszkańcy Giza House. Była piękna, w sposób nie rzucający się w oczy. Trzeba było widzieć ją wiele razy, by odkryć powab jej rysów i otaczającą ją atmosferę pogodzenia z losem, akceptacji życia. Nigdy nie byłam do końca świadoma, jaka była jej pozycja w Giza House; była czymś w rodzaju szczególnie uprzywilejowanej ochmistrzyni.

— Miss Osmond wstąpiła, by przekazać pozdrowienia od lady Bodrean.

— Napije się pani herbaty, miss Osmond? — zapytała Tabita.

Podziękowałam, wyjaśniając, że muszę zaraz wracać, gdyż inaczej odczują mój brak. Tabita uśmiechnęła się współczująco, dając do zrozumienia, że wie, jak niełatwą chlebobawczynią jest lady Bodrean.

Teobald wyraził chęć odprowadzenia mnie i tak zrobił. Przez cały czas mówił o wyprawie. Słuchałam urzeczona.

— Przypuszczam, że chciałaby pani z nami pojechać — powiedział.

— O tak, z największą radością.

— Byłaby pani gotowa stawie czoła kłątwie faraonów? — zapytał z ironią.

— Tak, oczywiście.

Uśmiechnął się do mnie.

— Chciałbym — powiedział z przekonaniem — żeby pani *mogła* przyłączyć się do naszej wyprawy.

Wróciłam do Keverall Court oszołomiona. Prawie nie docierały do mnie skargi lady Bodrean. Byłam jak we śnie. On *chciałby*, żebym mogła z nimi pojechać. Tylko cud mógłby to sprawić.

Kiedy umarł sir Ralf, jeszcze więcej mówiło się o kłątwie. Człowiek, który stał na czele ekspedycji, i człowiek, który ją wspierał finansowo — obaj nie żyją! To nie może być przypadek.

I oto... cud się zdarzył. To było nie do wiary. To było jak sen. Jak bajka. Kopciuszek miał się udać — nie na bal — ale z wyprawą wykopaliskową do Egiptu.

Mogłam się tylko zdumiewać; i myślałam bez przerwy o wszystkim, co do tego doprowadziło.

Zaczęło się to tak naprawdę w dniu moich czternastych urodzin, gdy znalazłam fragment z brązu w grobie Jozjasza Polgrey'a.

BRAZOWA TARCZA

Dzień, w którym skończyłam czternaście lat, był jednym z najdonioślejszych w moim życiu, ponieważ wtedy nie tylko znalazłam brązową tarczę, ale dowiedziałam się pewnych prawd o sobie.

Najpierw była tarcza. Znalazłam ją w pewne upalne lipcowe popołudnie. W domu było spokojnie, bo nigdzie nie było widać ani Dorcas, ani Alison, ani kucharki i dwóch służących. Podejrzewam, że służące wymieniały zwierzenia na temat swych ukochanych w sypialni na poddaszu; kucharka drzemała pewnie w kuchni; Dorcas najpewniej była w ogrodzie, a Alison cerowała albo haftowała, zaś wielebny James Osmond w swoim gabinecie pod pozorem przygotowania niedzielnego kazania ucinął sobie drzemkę w fotelu i — budzony co jakiś czas nagłym kiwnięciem głowy lub własnym dystygowanym chrapnięciem — mruzczał: „coś podobnego!” i udawał sam przed sobą — bo nie było nikogo innego, przed kim mógłby udawać — że przez cały czas pracuje nad kazaniem.

Myślałam się, przynajmniej co do Dorcas i Alison; były chyba w jednej ze swych sypialni i rozważały, jaki byłby najlepszy sposób powiedzenia prawdy dziecku — to znaczy mnie — ponieważ teraz, gdy miało ono już czternaście lat, nie powinno, ich zdaniem, pozostawać dłużej w nieświadomości.

Ja byłam na cmentarzu, gdzie obserwowałam Peggera, zakrystiana, zajętego kopaniem grobu. Cmentarz mnie fascynował. Nieraz budziłam się w nocy i o nim myślałam. Często wychodziłam z łóżka, klękałam na ławeczce w wykuszu okna i patrzyłam nań. We mgle wyglądał naprawdę

upiornie, a szare nagrobki były jak postacie powstałe z martwych; w świetle księżycy widać było wyraźnie, że to pomniki nagrobne, ale nie stawały się przez to mniej niesamowite. Czasem było ciemno choć oko wykol albo lało jak z cebra, a wiatr wył w gałęziach dębów i chłostał wiekowe cisy; wyobrażałam sobie wtedy, że zmarli wyszli z grobów i grasują po cmentarzu, tuż pod moim oknem.

Już lata całe upłynęły, odkąd zaczęłam odczuwać to chorobliwe zainteresowanie. To było chyba wtedy, gdy Dorcas pierwszy raz wzięła mnie z sobą na cmentarz, by zanieść kwiaty na grób Lawinii. Robiliśmy to w każdą niedzielę. Teraz w marmurowym obramowaniu posadziłyśmy rozmaryn.

— To dla jej pamięci — powiedziała Dorcas. — Będzie zielony przez cały rok.

W to lipcowe upalne popołudnie Pegger przerwał na chwilę kopanie, by otrzeć czoło czerwoną chustką, i spojrzał na mnie surowo, tak jak patrzył na wszystkich.

— Panienska jest jak ja, uważam. Jak tu stoję i przewracam ziemię, myślę o tym, co tu będzie leżał w tym głębokim, ciemnym grobie. Toć go znałem przez całe życie — tak to jest w takiej parafii jak St. Erno.

Pegger mówił grobowym głosem. Myślę, że to z powodu jego powiązań z kościołem. Był zakrystianem przez całe życie, a przed nim zakrystianem był jego ojciec. Pegger przypominał nawet starotestamentowego proroka swą grzywą białych włosów i brodą, i sprawiedliwym gniewem wobec grzeszników tego świata, pod którą to kategorię wszyscy, z wyjątkiem niego samego i bardzo niewielu wybranych, zdawali się podpadać. Nawet rozmowa z nim miała jakiś biblijny posmak.

— To będzie ostatnie miejsce spoczynku Jozjasza Polgrey'a. Żył siedemdziesiąt lat i teraz ma stanąć przed swym Stwórcą.

Pegger poważnie pokiwał głową, jakby nie oceniał zbyt wysoko szans Jozjasza na tamtym świecie.

Powiedziałam:

— Bóg może nie jest tak surowy jak pan, panie Pegger.

— To prawie bluźnierstwo, panno Judyto — powiedział. — Powinna panienska dobrze pilnować języka.

— Jaka by z tego była korzyść, panie Pegger? Zapisujący anioł będzie wiedział, co miałam na myśli, czy wypowiem to, czy nie — więc samo myślenie może być równie złe, a cóż można poradzić na to, co się myśli?

Pegger podniósł oczy do nieba, jakby myślał, że mogłam ściągnąć na siebie gniew boży.

— Mniejsza z tym — uspokoiłam go. — Ale pan nie zjadł jeszcze lunchu! Już musi być druga.

Na grobie obok leżała inna barwna chustka, podobna do tej, którą Pegger ocierał pot z twarzy, ale nią — wiedziałam — owinięte były butelka z zimną herbatą i pieróg, przygotowane przez panią Pegger poprzedniego wieczora, tak by jej mąż mógł je zabrać z sobą.

Pegger wyszedł z grobu i siadłszy na obmurowaniu sąsiedniego rozwiązał chustkę i wyjął jedzenie.

— Ile grobów wykopał pan przez całe życie? — zapytałam.

Potrząsnął głową.

— Więcej niż umiałbym zliczyć, panno Judyto — odparł.

— A po panu będzie je kopał Mateusz. Proszę tylko pomyśleć.

Mateusz nie był jego najstarszym synem, który powinien by odziedziczyć wątpliwy przywilej kopania grobów dla tych, którzy żyli i umierali we wsi St. Erno. Łukasz, najstarszy, uciekł na morze, co nigdy nie zostanie mu wybaczone.

— Jeśli taka będzie wola Pana, wykopię jeszcze kilka — odpowiedział.

— Musi pan brać pod uwagę wszystkie możliwe wielkości — dumalam. — No, przecież nie będzie potrzebny panu taki sam wymiar dla małej pani Edney, co dla sir Ralfa Bodreana, prawda?

Moja intryga polegała na wplątaniu do rozmowy nazwiska sir Ralfa. Grzechy bliźnich były, jak sędzę, ulubionym tematem Peggera, i tak jak wszystko, co dotyczyło sir Ralfa, było większe niż to, co przypadało komukolwiek innemu, tak samo większe były jego grzechy.

Uważałam, że tutejszy dziedzic jest olśniewający. Wzbudzał mój podziw, gdy przejeżdżał powozem albo na jednym ze swych rasowych koni. Składałam głęboki dyg, tak jak mnie nauczyła Dorcas, a on odpowiadał skinieniem głowy i podniesieniem ręki w szybkim władczyim geście i jego oczy o ciężkich powiekach spoczywały na mnie przez

chwilę. Niektórzy mówili o nim — tak jak dawno temu powiedział ktoś o Juliuszu Cezarze: „Ukrywajcie swe córki, gdy przechodzi obok”. No tak, był Cezarem naszej wsi. Do niego po większej części należała; ziemie otaczające farmy były w obrębie jego włości; mówiono, że był dobrym panem dla tych, którzy tu pracowali, i dopóki mężczyźni pozdrawiali go podnosząc rękę do czoła z odpowiednim szacunkiem i pamiętali, że *on* jest panem, a dziewczyny nie odmawiały mu względów, o które zabiegał, dopóty był dobrym panem, co znaczyło, że ludzie mogli być spokojni o pracę i dach nad głową, i o to, że wszelkie skutki jego igraszek z dziewczętami nie będą pozostawione samym sobie. Było dużo „skutków” we wsi, obdarenych zawsze większymi przywilejami niż ci, których spłodzono gdzie indziej.

Ale dla Peggera dziedzic był wcielonym grzechem.

Przez wzgląd na mój młodociany wiek nie mógł mówić o tym, co w pierwszym rzędzie kwalifikowało sir Ralfa do pójścia w ogień piekielny, nie odmówił więc sobie przyjemności omówienia choć pomniejszych jego grzechów — z których wszystkie, według opinii Peggera, zapewniały mu tam wstęp.

Prawie co tydzień zapraszano gości do rezydencji Keverall Court; w różnych sezonach przyjeżdżano tu na polowania na lisy, wydry i jelenie albo po to, by strzelać do bażantów, które specjalnie w tym celu hodowano w dobrach Keverall, lub też po prostu, by się bawić w wielkopańskiej siedzibie. To byli bogaci, eleganccy, często hałaśliwi ludzie z Plymouth, a czasem nawet z Londynu. Zawsze lubiłam im się przyglądać. Ożywiali okolicę, ale zdaniem Peggera — bezczęścili ją.

Uważałam za swoje wielkie szczęście, że mogłam bywać w Keverall Court codziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel.

Miałam na to specjalne pozwolenie, gdyż córka i bratanek dziedzica mieli guwernantkę, a ponadto uczył ich także OHver Shrimpton, nasz wikary. Ubogi raczej pleban nie mógł sobie pozwolić na nauczycielkę dla mnie; sir Ralf łaskawie udzielił pozwolenia — lub może nie sprzeciwił się propozycji — bym wraz z jego córką i bratankiem korzystała z lekcji w ich pokoju do nauki. Znaczyło to, że każdego dnia — z wyjątkiem sobót i niedziel — przechodziłam pod spuszczaną kratą na dziedziniec, dotykałam, na szczęście, ciężarka do jej podnoszenia,

pociągałam nosem w kierunku stajni, mijałam wielki hall z krużgankiem minstrelow i wstępowałam na szerokie schody, jakbym była jedną z dam z Londynu przybywających z wizytą, z powłóczystym trenem i brylantami połyskującymi na palcach; mijałam galerię, gdzie wszyscy zmarli — i niektórzy żyjący Bodreanowie przyglądali mi się ze ścian, to z pogardą, to z rozbawieniem lub obojętnością, i wchodziłam do pokoju szkolnego, w którym siedzieli już Hadrian i Teodozja, a miss Graham — guwernantka — pogrążona była w książkach.

Życie z pewnością stało się ciekawsze, odkąd postanowiono, że będę się uczyła razem z Bodreanami.

Tego lipcowego popołudnia z zainteresowaniem przyjąłam do wiadomości, że aktualnym grzechem dziedzica było, jak mówił Pegger, „wścibianie nosa tam, gdzie Bóg nie zamierzał go kierować”.

— A gdzie to jest, panie Pegger?

— Na łące Cartera, gdzieby. On chce tam zacząć kopanie. Zakłócać miejsce wiecznego spoczynku. To tak od początku z tymi wszystkimi, co tu przybywają. Napełniają okolicę pogańskimi pomysłami.

— Czego oni będą szukać, panie Pegger? — zapytałam.

— Robaków, myślę.

To miał być żart, bo twarz Peggera wykrzywiła się w czymś, co miało służyć za uśmiech.

— Więc oni przyjadą, żeby tu kopać, tak? — Wyobraziłam ich sobie: panie w jedwabiach i aksamitach, panów w aksamitnych kurtkach z białymi fularami, wszystkich na łące Cartera, z małymi łopatkami w rękach.

Pegger strzepnął okruchy jedzenia z kaftana i zawinał z powrotem butelkę w czerwoną chustkę.

— To jest odkopywanie przeszłości, tak mówią. Myślą, że znajdą resztki tego, co zostawili ci, co tu żyli przed wielu laty.

— Jak to, *tu*, panie Pegger?

— Tutaj, w St. Erno. Wszystko to byli poganie, nie mam pojęcia, po co bogobojni panowie mieliby się nimi przejmować.

— Może oni *nie są* bogobojni, panie Pegger, ale to wszystko jest bardzo szacowne. To się nazywa archeologia.

— Mniejsza o to, jak się nazywa. Gdyby Bóg chciał, żeby coś znaleźli, nie przykrywałby wszystkiego ziemią.

— Może to nie Bóg ich przykrył?

— No to kto?

— Czas — powiedziała złowrogim głosem.

Potrząsną głową i znów zaczął kopać, wyrzucając ziemię na usypany przez siebie kopiec.

— Nasz dziedzic był zawsze pierwszy do takich pomysłów. Ale ten akurat mi się nie podoba. Niech umarli grzebią swoich umarłych, tak bym powiedział.

— Myślę, że ktoś inny już to kiedyś powiedział, panie Pegger. A ja uważam, że to by było interesujące, gdybyśmy znaleźli tu, w St. Erno, coś bardzo ważnego. Może jakieś rzymskie szczątki. Bylibyśmy sławni.

— Nie mamy być sławni, panienko. Mamy być...

— Bogobojni — uzupełniłam. — A więc dziedzic i jego znajomi tuż obok szukają rzymskich szczątków. I nie wpadł teraz na ten pomysł. Zawsze się tym interesował. Słynni archeolodzy często przyjeżdżali do Keverall Court. Może dlatego właśnie jego bratanek ma na imię Hadrian.

— Hadrian! — zagrzmiał Pegger. — To pogańskie imię. I mała panienka tak samo.

— Hadrian i Teodozja.

— To nie są dobre, chrześcijańskie imiona.

— Nie takie jak pana Mateusz, Marek, Łukasz, Jan, Izaak, Ruben... i reszta. Judyta też jest w Biblii. Ja jestem wobec tego w porządku.

Zaczęłam się zastanawiać nad imionami.

— Dorcas! Alison! — powiedziała. — Czy pan wiedział, panie Pegger, że Teodozja to znaczy dana od Boga? Widzi pan więc, że to chrześcijańskie imię. A co do Hadriana, to jego imię jest na pamiątkę muru i cesarza rzymskiego.

— To nie są chrześcijańskie imiona — powtórzył.

— Lawinia — powiedziała. — Ciekawa jestem, co to znaczy.

— A, miss Lawinia — powiedział Pegger.

— To bardzo smutne, prawda, tak młodo umrzeć?

— Ze wszystkimi ciężącymi na niej grzechami.

— Nie sądzę, żeby ich miała dużo. Alison i Dorcas mówią o niej z największą miłością.

Na plebanii był portret Lawinii. Wisiał na półpiętrze, tuż nad pierwszą kondygnacją schodów. Zwykle bałam się, gdy przechodziłam koło niego po ciemku; wyobrażałam sobie, że w nocy Lawinia zstępuje z niego i chodzi po domu. Nieraz myślałam, że pewnego dnia zobaczę pustą ramę, bo nie zdąży wrócić na czas.

Byłam takim pełnym fantazji dzieckiem — mówiła Dorcas, która sama była bardzo praktyczna i nie mogła pojąć moich niezwykłych wyobrażeń.

— Każdy człowiek śmiertelny ma grzechy — oznajmił Pegger.
— Kobiety mają ich dziesięć razy więcej.

— Nie Lawinia — powiedziałam.

Oparł się na łopacie i poskrobał po siwej grzywie.

— Lawinia! Była najładniejszą z dziewcząt na plebanii.

No tak, myślałam, niewiele by mi to mówiło, gdybym nie znała tak dobrze portretu Lawinii, bo ani Alison ani Dorcas nie były pięknosciami. Zawsze nosiły takie praktyczne ubrania — ciemne spódnice i żakiety, i grube, mocne buty — tak bardzo praktyczne na wsi. Ale Lawinia na portrecie miała aksamitny żakiet i kapelusz z falującym piórem.

— Jaka szkoda, że znalazła się akurat w tym pociągu.

— W jednej sekundzie nie wiedziała, co się zaraz stanie, a w następnej... stanęła przed swym Stwórcą.

— Myśli pan, że to się aż tak szybko dzieje? Ostatecznie musiała się tam przecież dostać...

— Schwytana w grzechu, można powiedzieć, nie mając czasu na skruchę.

— Nikt nie mógłby surowo sądzić Lawinii.

Pegger nie był tego tak bardzo pewny. Potrząsnął głową.

— Mogła i ona zbaczać z drogi.

— Dorcas i Alison kochały ją; tak samo wielebny pastor. Jestem tego pewna, bo widzę wyraz ich twarzy, gdy o niej mówią.

Pegger odłożył łopatę, by znów otrzeć czoło.

— To jeden z najbardziej skwarnych dni, jakie Pan nam zesłał tego lata.

Wyszedł z dołu i usiadł na brzegu sąsiedniego grobu, tak że patrzyliśmy na siebie ponad ziejącą jamą. Wstałam i zajrzałam w głąb.

Nieszczęsny Jozjasz Polgrey, który bił żonę i dzieciom kazał pracować na farmie, gdy miały po pięć lat. Pod wpływem impulsu wskoczyłam do dołu.

— Co panienka robi, panno Judyto? — zapytał Pegger.

— Chcę zobaczyć, jakie to uczucie, gdy się jest tam w dole — odparłam.

Sięgnęłam po łopatę i zaczęłam kopać.

— Czuć wilgoć — powiedziałam.

— Całkiem się panienka wybrudzi.

— Już się to stało! — krzyknęłam, gdy moje nogi ześlizgnęły się w sypką ziemię. To było przerażające uczucie — być otoczoną tak blisko ścianami rowu.

— To musi być straszne, panie Pegger, gdy człowieka pogrzebia żywcem.

— Niech panienka zaraz wyjdzie.

— Trochę pokopię, kiedy już tu jestem — odparłam — żeby zobaczyć, jak to jest, gdy się jest grabarzem.

Zagłębiłam łopatę w ziemi i wyrzuciłam to, co nabrałam, tak jak robił to Pegger. Kopałam przez chwilę, aż łopata uderzyła o coś twardego.

— Tu coś jest! — krzyknęłam.

— Proszę stamtąd wyjść, panienko.

Nie zważając na niego, próbowałam wybadać grunt. Wreszcie udało mi się to wykopać.

— Coś znalazłam, panie Pegger — zawołałam. Przerwałam kopanie i podniosłam tę rzecz. — Wie pan, co to jest?

Pegger podniósł się i wziął to ode mnie.

— Kawałek starego metalu — stwierdził.

Podaliśmy mu rękę, żeby mnie wyciągnął z grobu Jozjasza Polgrey'a.

— Nie wiem co — powiedziałam — ale jest w tym coś niezwykłego.

— To jest stara, brudna rzecz — orzekł Pegger.

— Ale niech pan popatrzy. Co to jest? Tu jest jakby coś wyryte.

— Ja bym to wyrzucił... w tym jest jakieś szalbierstwo.

Ale *ja* bym tego nie zrobiła, zdecydowałam. Wezmę to z sobą i oczyszczę. Podobało mi się.

Pegger podniósł łopatę i zabrał się z powrotem do kopania, podczas gdy ja próbowałam oczyścić pontofle z ziemi i z przerażeniem zobaczyłam, że rąbek spódnicy miałam zupełnie zabłocony.

Porozmawiałam jeszcze chwilę z Peggerem i wróciłam na plebanię zabierając z sobą kawałek metalu, który wydawał się być z brązu. Miał owalny kształt i około sześciu cali średnicy. Zastanawiałam się, jak będzie wyglądał po oczyszczeniu i co z nim zrobię. Nie myślałam o tym długo, bo rozmowa o Lawinii nasunęła mi myśl o niej i o tym, jaki smutek musiał zapanować w domu, gdy nadeszła wiadomość, że Lawinia, ukochana córka wielebnego Jamesa Osmonda i siostra Alison i Dorcas zginęła w pociągu, który jechał z Plymouth do Londynu.

— Poniosła śmierć na miejscu — opowiadała mi Dorcas, przycinając różę rosnące na grobie Lawinii. — To poniekąd łaska boska, bo gdyby przeżyła, byłaby kaleką do końca życia. Miała dwadzieścia jeden lat. To była wielka tragedia.

— Dlaczego zamieszkała w Londynie, Dorcas? — zapytałam.

— Miała podjąć pracę.

— Jaką pracę?

— Och, myślę, że... guwernantki.

— Myślisz! Nie wiedziałas na pewno?

— Zamieszkała u naszej dalekiej kuzynki.

— Co to była za kuzynka?

— Oj, kochanie, cóż z ciebie za dociekliwe dziecko! Bardzo daleka kuzynka. Nie wiemy, co się z nią teraz dzieje. Lawinia u niej mieszkała, więc jechała pociągiem z Plymouth do Londynu i... wtedy zdarzyła się ta straszna katastrofa. Było bardzo dużo zabitych. To był jeden z najtragiczniejszych wypadków, odkąd pamięć sięga. Rozdarło nam to serce.

— To wtedy zdecydowaliście, że zatrzymacie mnie na miejsce Lawinii?

— Nikt nie może zająć miejsca Lawinii, kochanie. Ty masz swoje własne miejsce u nas.

— Ale to nie jest miejsce Lawinii. Nie jestem ani trochę do niej podobna, prawda?

— W najmniejszym stopniu.

— Ona była spokojna, jak przypuszczam, i łagodna, i nie mówiła za wiele, nie dociekała, ani nie była impulsywna, ani nie próbowała nikomu rozkazywać... tak jak ja.

— Nie, ona nie była taka jak ty, Judyto. Ale choć była taka delikatna, umiała, gdy zaszła potrzeba, być bardzo stanowcza.

— I ponieważ nie żyła, a ja byłam sierotą, postanowiliście mnie przyjąć do siebie. Byłam z wami spokrewniona.

— Jest pewne pokrewieństwo.

— Dalekie, jak przypuszczam. Wydaje się, że wszyscy wasi kuzyni są dalecy.

— No więc, wiedziałyśmy, że jesteś sierotą, i byłyśmy takie strapione. Myślałyśmy, że to będzie dobre dla nas wszystkich... i dla ciebie także, oczywiście.

— Więc tu się znalazłam i wszystko to stało się z powodu Lawinii?

Zważywszy to uznałam, że Lawinia odegrała bardzo ważną rolę w moim życiu i zaczęłam się zastanawiać, co by się ze mną stało, gdyby Lawinia nie zdecydowała, że tym właśnie pociągiem pojedzie do Londynu.

W kamiennej sieni starej plebanii było zimno. Zimno i ciemno. Na stole stała wielka waza bodlei, róż i lawendy. Kilka płatków róż opadło już na kamienne płyty posadzki. Plebania była starym domem, prawie tak starym jak Keverall Court. Zbudowana w pierwszych latach panowania Elżbiety, była siedzibą proboszczów przez trzysta ostatnich lat. Ich nazwiska wyrte były na tablicy w kościele. Pokoje były duże, niektóre wybite piękną boazerią, ale mroczne, gdyż miały małe okienka z szybkami połączonymi ołowiem. Atmosfera wielkiego spokoju otaczała ten dom i szczególnie dało się to odczuć tego upalnego dnia.

Poszłam schodami do mego pokoju i od razu oczyściłam ozdobę z ziemi, potem nalałam wody z dzbanka do miski i zabrałam się do obmywania jej wata, gdy ktoś zapukał do drzwi.

— Proszę — powiedziałam.

W progu stały Dorcas i Alison. Wyglądały tak uroczyście, że zupełnie zapomniałam o moim znalezisku i wykrzyknęłam:

— Czy coś się stało?

— Słyszałyśmy, jak wracałaś — powiedziała Alison.

— O Boże, czy narobiłam hałasu?

— Sierota, która się urodziła dwom innym sierotom.
— Wydaje się to możliwe.
— Albo może twoi rodzice właśnie dopiero wtedy znaleźli się w Anglii.

— Cudzoziemka. Może jestem Francuzką... albo Hiszpanką. Jestem raczej ciemna. Przy sztucznym świetle moje włosy wyglądają na zupełnie czarne. Chociaż oczy mam dużo jaśniejsze... zwykłe brązowe. Wyglądam raczej na Hiszpankę. Ale z drugiej strony, w Kornwalii wielu ludzi tak wygląda. To dlatego, że Hiszpanie rozbili się u naszych brzegów, gdy zwyciężyliśmy Armadę.

— No, ale wszystko skończyło się dobrze. Stałaś się nasza najbardziej własna i nie umiem powiedzieć, jaką jesteś dla nas radością.

— Nie wiem, dlaczego tak posępnie wyglądacie. Myślę, że to raczej fascynujące... nie wiedzieć, kim jesteś. Pomyślcie tylko, co można odkryć! Mogę mieć gdzieś siostrę lub brata. Albo dziadków. Może przyjadą i zgłoszą się po mnie, i zabiorą mnie z powrotem do Hiszpanii. *Senorita* Judyta. To brzmi raczej dobrze. *Mademoiselle* Judith de... de Cośtam. Wyobraźcie sobie tylko, że jadę do mojej dawno utraconej rodziny, mieszkającej we wspaniałym starym *chateau*.

— Ach, Judyto, tworzysz o wszystkim niezwykle historie — powiedziała Dorcas.

— Jestem zadowolona, że w ten sposób to przyjmuje — dodała Alison.

— Jak inaczej mogę to przyjąć? Tak czy owak, nie lubiłam tych dalekich kuzynów.

— Nie czujesz, że byłaś opuszczona... niechciana...?

— Oczywiście, że nie. Nie wiedzieli przecież, że moi rodzice zostali zabici. Nikt im nie doniósł, a skoro byli w obcym kraju, nie uważano ich za zaginionych. Myśleli, że po prostu zniknęli z horyzontu ich życia. Co do maleńkiego dziecka... *mnie*, no tak, często roili sobie coś na mój temat. „Zastanawiam się, jakie jest to dziecko” — mówili — „Kończy właśnie czternaście lat. Kochana mała Judyta”. Ale to chyba wydałyście mi to imię?

— Ojczulek ochrzcił cię zaraz po tym, jak przyniosłyśmy cię na plebanię.

— No tak — powiedziałam — to wszystko jest bardzo podniecające. Miła niespodzianka urodzinowa. Spójrzcie, co znalazłam. Myślę, że gdy się to oczyści, okaże się ciekawe.

— Co to jest?

— Nie mam pojęcia. Co byś powiedziała, Dorcas? Tu są jakby jakieś zadrapania. Popatrz.

— Gdzie to znalazłaś?

— W grobie Jozjasza Polgrey'a. Pan Pegger kopał i ja też spróbowałam i... wyobraźcie sobie, uderzyłam o to łopata. Muszę to oczyścić i zobaczę, co z tym zrobię. To jakby prezent urodzinowy od Jozjasza Polgrey'a.

— Co za pomysł! Widziałam już kiedyś coś takiego — oznajmiła Alison — Myślę, że to może mieć jakieś znaczenie.

— O czym mówisz, Alison. *Znaczenie*!

— Sir Ralf by wiedział.

Dorcas i Alison spojrzały na siebie. Alison powiedziała, cedząc wolno słowa:

— Myślę, Judyto, że powinnaś zanieść to do Keverall Court i pokazać to sir Ralfowi.

— Po co, u licha?

— Bo on się interesuje takimi rzeczami.

— Wykopanymi rzeczami, chcesz powiedzieć?

— Pewnymi rzeczami. To oczywiście może nic nie być... Ale coś w tym *jest*. Myślę, że to naprawdę może być bardzo stare i że natknęłaś się na coś ważnego.

Byłam podniecona. Przecież naprawdę była mowa o rozkopaniu łąki Cartera. Jakże by to było interesujące, gdybym to ja była pierwszą osobą, która coś znalazła!

— Zaraz to zaniosę — powiedziałam.

— Najpierw bym się umyła, zmieniła sukienkę i uczesała włosy.

Uśmiechnęłam się do nich. Bardzo je lubiłam; były takie normalne. To był dzień moich urodzin, właśnie mi powiedziały, że nikt się o mnie nie upomniał, że moi rodzice zginęli w katastrofie i że ja mogę być kimkolwiek bądź; mogłam się natknąć na coś ważnego sprzed wieków, a one martwiły się o to, żebym zmieniła sukienkę i mogła się pokazać sir Ralfowi.

»

Pod kratą, przez dziedziniec, węsząc zapach stajni i dotykając na szczęście ciężarka od bramy; a potem do ogromnego wielkopańskiego hallu. Ciężkie, nabijane żelazem drzwi zgrzytnęły, gdy je otwierałam. Jak tu było cicho! Stałam przez chwilę, przyglądając się zbrojom po obu stronach szerokich schodów i broni rozwieszanej na ścianach; na plebanii na stole stały cynowe naczynia i wielka waza z kwiatami.

Zastanawiałam się, co teraz robią Hadrian i Teodozja i ile uciechy będę miała jutro, gdy im powiem, co znalazłam. W mojej wyobraźni urosło to już do czegoś bezcennego. Najwięksi archeolodzy świata ściskali moją dłoń. „Jesteśmy tak wdzięczni, Judyto. Prowadzimy od lat wykopaliska i nigdy nie znaleźliśmy czegoś tak zadziwiającego jak to”.

Usłyszałam skrzypnięcie krzesła za plecami. Nie zauważyłam drzemiącego Derwenta, kamerdynera.

— Ach, to panienka — powiedział.

— Chciałabym się natychmiast zobaczyć z sir Ralfem. To sprawa najwyższej wagi.

Spojrzał na mnie podejrzliwie:

— To znów jakiś figiel panienki, znam to.

— To żaden figiel. Znalazłam coś, co ma wielką wartość. Moje ciotki (nazywałam Dorcas i Alion ciotkami — to upraszczało nasze stosunki) poradziły, żebym przyniosła to natychmiast do sir Ralfa, i biada temu, kto próbowałby mi w tym przeszkodzić.

Przycisnęłam do siebie kawałek metalu i otwarcie spojrzałam Derwentowi w oczy.

— Pije herbatę z jaśnie panią.

— Proszę iść i powiedzieć, że tu jestem — powiedziałam rozkazującym tonem.

Ponieważ mówiło się o łące Cartera i zainteresowanie sir Ralfa tym, co można wykopać z ziemi było powszechnie znane, udało mi się w końcu nakłonić Derwenta, by poszedł powiedzieć sir Ralfowi, że znalazłam coś, o czym moje ciotki sądziły, że może go zaciekawić; na skutek tego po pięciu minutach byłam w bibliotece... w tym fascynującym pokoju, wypełnionym egzotycznymi zbiorami sir Ralfa.

Położyłam kawałek metalu na stole; od tej chwili wiedziałam, że wywarłam wrażenie.

«

— Na miły Bóg — powiedział sir Ralf; używał wyrażeń, których, jak pomyślałam, nie pochwaliliby Dorcas, Alison ani wielebny James — Gdzie to znalazłaś?

Odpowiedziałam, że w grobie Jozjasza Polgrey'a. Jego krzaczaste brwi podniosły się do góry.

— Co tam robiłaś?

— Pomogłam go wykopać.

Jego śmiech był dwojakiego rodzaju — jeden był dzikim rykiem, a drugi kierował się do wnętrza, podczas gdy podbródek sir Ralfa podskakiwał, i myślę, że wtedy był najbardziej rozweselony. Teraz był w taki właśnie sposób rozbawiony i cieszył się. Zawsze mówił urywanie, jakby za bardzo się śpieszył, by kończyć zdania.

— Hm — powiedział — cmentarz, co?

— Tak, to ma duże znaczenie, prawda?

— Brąz — powiedział. — Wygląda na prehistoryczne.

— To bardzo interesujące, jak sądzę.

— Dobra z ciebie dziewczyna! — powiedział. — Jeśli znajdziesz coś jeszcze, przynieś mi.

Skinał głową w sposób, który, jak zrozumiałam, oznaczał pożegnanie, ale nie miałam zamiaru zostać odprawiona.

Powiedziałam:

— Chce pan zatrzymać mój... brąz?

Zmrużył oczy i poruszył lekko brodą.

I — Twój! — wrzasnął. — To nie jest twoje.

I — Ale ja to znalazłam.

I — Co znalazłem, to moje, co? Nie, to nie z takimi rzeczami, moja droga. To jest dobro narodowe.

— To bardzo osobliwe.

— Wiele rzeczy wyda ci się dziwne, gdy dorośniesz.

— Czy to jest interesujące dla archeologów?

— Co wiesz o archeologach?

— Wiem, że kopią i znajdują różne rzeczy. Znajdują wszelkie możliwe cudowności. Rzymskie łaźnie i piękne płytki, i różne takie rzeczy.

— Nie wyobrażasz sobie chyba, że jesteś archeologiem dlatego, że to znalazłaś, co?

- Zrobiłam to, co robią oni.
- I to jest to, co chciałybyś sama robić, tak?
- Tak, chciałabym. Wiem, że umiałabym to robić. Znajdowałamby wspaniałe rzeczy, o których ludzie nie wiedzą, że są w ziemi.

Roześmiał się wtedy, tym dzikim rykiem.

— Wyobrażasz sobie, że archeolodzy ciągle znajdują klejnoty i rzymskie wille. Musisz się bardzo dużo nauczyć. Spędzają czas głównie na kopaniu, szukając rzeczy o niewielkiej wartości — takich jak to — rzeczy, które znajdowano niezliczone ilości razy. To robi większość z nich.

— Ja bym tego nie robiła — powiedziałam z wielką pewnością siebie. — Ja bym znajdowała rzeczy piękne... mające doniosłe znaczenie.

Położył mi rękę na ramieniu i poprowadził mnie do drzwi.

- Chciałybyś wiedzieć, co to jest, to co znalazłaś, prawda?
- Tak. Ostatecznie, *ja* to znalazłam.
- Dam ci znać, gdy będę miał orzeczenie. A na razie... jeśli coś jeszcze znajdziesz, będziesz wiedziała, co z tym zrobić, prawda?
- Przynieść panu, sir Ralf.

Skinął głową i zamknął drzwi. Poszłam wolno przez hall i wyszłam na dziedziniec. Straciłam mój kawałek brązu, ale miło było pomyśleć, że mam swój wkład do światowej wiedzy.

Choć to, co znalazłam, zidentyfikowane zostało jako część tarczy, prawdopodobnie z epoki brązu, i choć okazało się, że dużo tego rodzaju rzeczy znaleziono już wcześniej, zdarzenie to pociągnęło jednak za sobą wiele istotnych zmian.

Przede wszystkim, podniosło mój prestiż w pokoju szkolnym. Gdy przyszłam na lekcje, i Hadrian i Teodozja okazywali mi więcej szacunku niż dawniej. Zawsze uważałam Teodozję za głupiutkie, miłe maleństwo — choć była prawie o rok starsza ode mnie — Hadrian był jeszcze trochę starszy. Oboje mieli jasnoblonde włosy — Teodozja była wątła, miała niewinne błękitne oczy i lekko cofniętą brodę. Ja byłam od niej wyższa, w istocie prawie tak wysoka jak Hadrian. Nigdy nie odczuwałam różnicy wieku między nami; właściwie, mimo że oni mieszkali w tym dworze, a ja przychodziłam tu z plebanii, to ja byłam czymś w rodzaju przywódcy i nieustannie pouczałam ich, co powinni robić.

Ojciec powiedział im, że znalazłam coś, co miało pewną wartość i że miałam dość rozsądku, by mu to przynieść. Pragnął, żeby wykazywali tyle zainteresowania co ja. Przez cały ranek tłumaczyłam im z przerwami, jak kopałam grób Jozjasza Polgrey'a i jak znalazłam tę rzecz; doprowadzało to biedną miss Graham do rozpacz. Narysowałam im tę rzecz. Stała się w moim wyobrażeniu czymś ogromnym, błyszcząca jak ze złota. Należała do jakiegoś króla, który pogrzebał ją w ziemi po to, żebym ja mogła ją znaleźć.

Powiedziałam im po cichu, że powinniśmy wszyscy wziąć łopaty i zabrać się do kopania na łące Cartera, ponieważ tam, jak myślano, miały być pogrzebane prawdziwe skarby. Tego popołudnia znaleźliśmy łopaty w szopie ogrodników i zabraliśmy się do pracy. Znalezione nas i zbesztano, ale w rezultacie sir Ralf zdecydował, że możemy pouczyć się trochę o archeologii i polecił udręczonej miss Graham, by nam dawała lekcje. Miss Graham musiała czytać na ten temat i robiła co mogła w tej ciężkiej sytuacji. Ja byłam zachwycona — dużo bardziej niż inni. Sir Ralf spostrzegł to i jego zainteresowanie mną, które zaczęło się, gdy znalazłam brązową tarczę, zdawało się wzrastać.

Wtedy sir Edward Travers i jego rodzina przybyli do starego Dower House. Traversowie byli zaprzyjaźnieni z Bodreanami; bywali niejednokrotnie w Keverall Court i sir Edward był zainteresowany planami związanymi z łąką Cartera. Moja tarcza pogłębiła to zainteresowanie i z tego chyba powodu, szukając wiejskiej rezydencji, sir Edward wybrał Dower House.

Sir Edward był jakoś związany z uniwersytetem oksfordzkim, ale stale brał udział w wyprawach wykopaliskowych. Jego nazwisko często pojawiała się w gazetach i był bardzo dobrze znany w kręgach akademickich; potrzebna była mu jednak rezydencja wiejska, gdzie mógłby w spokoju opracowywać swoje odkrycia i opisać je w książce po powrocie z którejś ze swych licznych podróży, na ogół do bardzo odległych miejsc.

Wiadomość o ich przybyciu zelektryzowała wszystkich. Hadrian powiedział mi, że jego wuj był zachwycony i że teraz nic ich nie powstrzyma od przerycia łąki Cartera — pastor czy nie pastor.

Byłam pewna, że miał rację, gdyż biedny wielebny James Osmond nie był kimś, kto podjąłby walkę. Jego sprzeciwy były spowodowane

wyłącznie popędzaniem ze strony bardziej gwałtownych parafian. Jedyne czego pragnął, to wieść spokojne życie, i główny obowiązek Dorcas i Alison polegał na trzymaniu z dala od niego wszystkiego, co mogłoby mu zakłócić spokój. Myślę, że był zadowolony z przyjazdu sir Edwarda, gdyż nawet najbardziej wojownicze spośród jego owieczek nie ośmieliłyby się podnieść sprzeciwu wobec tak znakomitej osoby.

Tak więc Traversowie przyjechali i rezydencja z Dower House przemianowana została na Giza House.

— Nazwana tak na cześć piramid, jak sądzę — powiedziała Dorcas, a my potwierdziliśmy to, zajrzawszy do encyklopedii.

Stary, mroczny Dower House w zarośniętym ogrodzie, który tak długo świecił pustką, miał teraz mieszkańców. Nie mogłam już dłużej z taką łatwością straszyć Teodozji opowieściami o przebywających tam duchach i prowokować jej i Hadriana do przebiegania ścieżką i zagładania w okna. Nie stracił jednak swego niesamowitego czaru.

— Jeśli w jakimś domu straszy — przemawiałam do nerwowej Teodozji — to straszy na zawsze.

I rzeczywiście, bardzo niedługo rozeszły się dziwne wieści o tym domu, pełnym skarbów z całego świata. Niektóre były naprawdę bardzo stare, tak że służba nie czuła się przy nich swobodnie i z powodu tych starych rzeczy „skóra im cierpła”. Gdyby nie to, że sir Edward był taką ważną osobistością, której nazwisko często występowało w gazetach, nikt nie pozostałby u niego.

Tak więc kopano na łące Cartera i znamienite osoby były mieszkańcami Giza House. Dowiedzieliśmy się, że sir Edward był wdowcem z dwojgiem dzieci: synem Teobaldem, który był już dorosły i studiował na uniwersytecie, i córką Sabiną w tym samym prawie wieku co Teodozja i ja — z tej racji miała się razem z nami uczyć.

Upłynął pewien czas, nim zobaczyłam Teobalda, ale zdecydowałam, że nie będę go lubić, jeszcze zanim go poznałam, w dużym stopniu dlatego, że Sabina mówiła o nim z czcią i grozą. Nie tyle kochała go, co adorowała. Był według niej wszechwiedzący i wszechmocny. Był przystojny, był wręcz boski.

— Nie wierzę, że ktoś może być aż tak doskonały — powiedziałam z pogardą, zmuszając spojrzeniem Hadriana, by mnie poparł. Teodozja mogła sobie myśleć co chciała, jej zdanie się nie liczyło.

Hadrian patrzył to na mnie, to na Sabinę i stanął po mojej stronie.

— Nie — oświadczył — nikt taki nie jest.

— Nikt, z wyjątkiem Teobalda — upierała się Sabina.

Sabina mówiła bez przerwy i było jej wszystko jedno, czy ktoś słucha, czy nie. Powiedziałam Hadrianowi, że to dlatego, że mieszkała w tym dziwnym domu ze swoim roztargnionym ojcem i służącymi, z których dwaj byli naprawdę niezwykli, bo byli to Egipcjanie, noszący imiona Mustafa i Absalam, i długie białe szaty, i sandały. Słyszałam od naszej kucharki na plebanii, że przyprawiali pozostałą służbę o „gęsią skórkę”. To był niesamowity dom — z tymi wszystkimi znajdującymi się w nim osobliwościami i z nimi dwoma, prześlizgującymi się tak cicho, że nigdy nie wiedziałeś, czy cię nie śledzą.

Sabina była śliczna, miała jasne loki i wielkie szare oczy z długimi, złotymi rzęsami, i drobną buzię o kształcie serca. Teodozja, która nie była ładnym dzieckiem, zaraz zaczęła ją uwielbiać. Szybko spostrzegłam, że ich przyjaźń zacieśniła swoje prz> mierze między Hadrianem i mną. Przychodziło mi czasem na myśl, że lepiej było przed przybyciem Traversów, gdyż wtedy stanowiliśmy małą, miłą trójkę. Przyznaję, że trochę się nad nimi znęcałam. Dorcas zawsze mówiła, że muszę przestać organizować cudze sprawy i sądzić, że to, czego ja chcę, jest dla każdego najlepsze, z każdego punktu widzenia. Rzeczywiście było tak, że choć Hadrian i Teodozja byli dziećmi z wielkiego domu, a ja przychodziłam tu z ubogiej plebanii i w drodze łaski pozwolono mi się z nimi uczyć, zachowywałam się tak, jakbym to ja była córką pana na Keverall Court, a oni kimś z zewnątrz. Wytłumaczyłam Dorcas, że działo się tak dlatego, że Hadrian nigdy nie był zdolny do podjęcia decyzji, a Teodozja była za młoda i za głupia, by mieć o czymkolwiek pojęcie.

A potem była jeszcze Sabina; miała łagodne usposobienie, jej piękne włosy układały się zawsze porządnie w sposób najbardziej twarzowy, podczas gdy moje — gładkie, gęste i ciemne — wymykały się bezładnie, gdy próbowałam czymś je związać; jej szare oczy połyskiwały wesołością, gdy szczebiotała o błahostkach, lub płonęły żarem, gdy mówiła o Teobaldzie. Była dziewczynką pełną uroku, której obecność zmieniała zupełnie atmosferę w naszym pokoju szkolnym.

Od niej dowiedzieliśmy się o życiu w Giza House. O tym, że jej ojciec na całe dnie zamykał się w pokoju, a bezgłośnie stąpający Mustafa

i Absalam zanosili mu jedzenie na tacy. Sabina jadła lunch w małej jadalni obok pokoju szkolnego w Keveryall tak samo jak ja — codziennie, z wyjątkiem sobót i niedziel, ale w Giza House, gdy ojciec jej pracował, jadała często sama albo towarzyszyła jej ochmistrzyni, Tabita Grey, która też dawała jej lekcje gry na fortepianie. Sabina mówiła o niej zawsze Tabby, a ja nazywałam ją Grey Tabby — Szarą Tabby, co rozbawiło wszystkich; wyobrażałam ją sobie jako kobietę w średnim wieku, z przyprószonymi siwizną, jakby przykurzonymi włosami, ubierającą się w szare spódnice i matowe, ciemne bluzki. Byłam bardzo zdziwiona, gdy wreszcie zobaczyłam dość młodą kobietę o zwracającym uwagę wyglądzie.

Powiedziałam Sabinie, że nie potrafi nic opisać. Zrobiła z Szarej Tabby zaniedbaną staruszkę, byłam więc pewna, że ten wspaniały bohater, Teobald, okaże się bladolicym młodzikem ze wzrokiem zrujnowanym od wpatrywania się w niewyraźne pismo starych manuskryptów — co przecież musiał robić, skoro był taki mądry — przygarbionym i nie wiedzącym nic o niczym poza dawno zmarłymi ludźmi i tym, jakiej broni używali w walce.

— Któregoś dnia sama zobaczysz — powiedziała śmiejąc się Sabina.

Nie mogliśmy się doczekać. Tak rozbudziła naszą wyobraźnię, szczególnie moją, o której Alison mówiła, że pracuje w godzinach nadprogramowych — że ten jej nadzwyczajny brat ciągle był w naszych myślach obecny. Pragnęłam go zobaczyć. Tak mocno tkwiło we mnie wyobrażenie przygarbionego uczonego w okularach na nosie, że przyjąłam je za prawdziwe i zmusiłam też do tego Hadriana. Teodozja przyjęła wersję Sabiny.

— W końcu — powiedziała — Sabina go widziała. A wy nie.

— Ludzie bywają zauroczeni — odparłam. — Patrzy na niego przez różowe okulary.

Nie mogliśmy się doczekać jego przyjazdu z Oxfordu. Sabina była w podniosłym nastroju.

— Zobaczycie teraz sami.

Pewnego ranka przyszła we łzach, ponieważ okazało się, że Teobald ostatecznie nie przyjedzie. Pojechał do Northumberland na wykopaliska i na pewno spędzi tam całe wakacje. Sir Edward miał się do niego przyłączyć.

Zamiast Teobalda przyjechał jego przyjaciel, Evan Callum. Chcąc zarobić trochę pieniędzy, miał spędzić resztę czasu przed powrotem na uniwersytet na uczeniu nas podstaw archeologii, przedmiotu, który był jego specjalnością.

Zapomniałam o rozczarowaniu związanym z Teobaldem i zabrałam się gorliwie do moich nowych studiów. Byłam znacznie bardziej nimi zainteresowana niż pozostali. Chodziłam czasem po południu z Evanem Callumem na łąkę Cartera, gdzie objaśniał nieco od strony praktycznej pracę, która miała tu być wykonana. Kiedyś zobaczyłam tam sir Ralfa. Podszedł do mnie, by porozmawiać.

— Zainteresowana, co?

Odpowiedziałam, że tak.

— Znalazłaś jeszcze jakieś tarcze z brązu?

— Nie, nic nie znalazłam.

Szturchnął mnie lekko.

— Nieczęsto się coś znajduje. Ty już zaczęłaś.

Broda zatrzęsała mu się z rozbawienia, a ja miałam wrażenie, że jest raczej zadowolony z tego, że mnie widzi.

Jeden z pracowników ekipy pokazał mi, jak się naprawia stłuczone naczynie. „Pierwsza pomoc”, jak to określił, zanim można je będzie zeszkutować we właściwy sposób i może przekazać do muzeum. Pokazał mi, jak pakować naczynie, któremu udzielono „pierwszej pomocy” i które ma być wysłane do specjalistów, by je odrestaurowali i ustalili czas jego powstania, z którego to czasu jakiś drobny szczegół zdradza lub nie zdradza, jak życie toczyło się pięćset milionów lat temu.

Marzyłam o tym, by znaleźć coś na łące Cartera: złote ozdoby, rzeczy, które znajdowano, jak słyszałam, w grobach. To wszystko było zupełnie inne. Przez moment byłam rozczarowana, ale potem zapłonęłam zapałem do samego zadania. Nie mogłam myśleć o niczym innym poza cudem odkrywania świadectwa kamieni.

Lekcje z Evanem Callumem odbywały się po południu, gdyż poranki spędzaliśmy z miss Graham i Oliyerem Shrimptonem, ucząc się tego, co nazywaliśmy „Wielką Trójką”: Czytania, Pisania, Arytmetyki. Teodozja, Sabina i ja miałyśmy ponadto robótki ręczne z miss Graham i trzy razy w tygodniu pracowałyśmy przez godzinę nad naszymi wzorami.

Trzeba było wyszyć alfabet, przysłowie, nasze imiona i datę. Oczywiście wybierałyśmy najkrótsze przysłowie, jakie można było znaleźć, ale i tak praca była żmudna. Okropne, małe ścięgi krzyżykowe na kawałku płótna; jeśli jakiś ścięg był za duży lub za mały, trzeba było go spruć i zrobić od nowa. Buntowałyśmy się przeciw temu marnowaniu czasu, byłam tak sfrustrowana, że mój wzór nieraz na tym ucierpiał. Były lekcje muzyki i brzdąkaliśmy na fortepianie pod kierunkiem miss Graham, ale teraz mieliśmy Szarą Tabby i zdecydowano, że to ona będzie nas uczyć. Tak więc, poza okresowymi lekcjami archeologii, nasza edukacja przebiegała w sposób konwencjonalny. Mieliśmy nauczycieli z trzech źródeł — miss Graham z Keveall Court, Szarą Tabby i Evana Calluma z Giza House, a z plebanii OHvera Shrimptona. Dorcas była zachwycona. To świetny sposób — mówiła — żeby trzy rodziny połączyły swoje środki wychowawcze i zapewniły wykształcenie swej młodzieży. Wątpiła, by gdziekolwiek indziej na wsi dziewczyna mogła uzyskać wykształcenie tak gruntowne. Miała nadzieję, dodawała, że w pełni to wykorzystam.

Co mnie intrygowało, to lekcje z Evanem Callumem. Powiedziałam mu, że gdy dorosnę, będę brała udział w ekspedycjach do najodleglejszych miejsc na świecie. Odpowiedział, że jego zdaniem, jako kobieta mogę mieć z tym trudności, chyba że wyjdę za mąż za archeologa; mimo to jednak dodał mi odwagi. Przyjemnie mieć tak zdolną uczennicę. Wszyscy byliśmy zainteresowani, ale mój naturalny entuzjazm był może bardziej intensywny i bardziej widoczny.

Jako teren badań szczególnie interesował mnie Egipt. Tyle tam było do odkrycia. Bardzo lubiłam słuchać o tej starej cywilizacji, o bogach, których czczono, o dynastiach, odkrytych świątyniach; zaraziłam się entuzjazmem Evana.

— Wzgórza pustyni to kopalnie skarbów, Judyto — zwykł był mówić.

Oczywiście roiłam sobie, że tam jestem, dokonuję wspaniałych odkryć, gratulują mi takie osobistości, jak sir Edward Travers.

Wyobrażałam sobie, że prowadzę z nim długą rozmowę, muszę jednak powiedzieć, że mnie rozczarował. Zdawał się nigdy nikogo z nas nie dostrzegać. Miał dziwne, nieobecne spojrzenie, jakby spoglądał w odległą przeszłość.

— Myślę, że ten okropny, stary Teobald jest taki sam jak on
— powiedziałam do Hadriana.

Teobald — to było nowe słowo, które wprowadziłam do naszego słownika. Znaczyło: „mierny, zasługujący na pogardę”. Hadrian i ja dokuczaliśmy tym Sabinie.

— Nie dbam o to — mówiła. — Nic, co wy mówicie, nie może zmienić Teobalda.

Byłam jednak zafascynowana Giza House i choć beznadziejnie grałam, cieszyłam się zawsze na myśl o pójściu tam. Gdy tylko wstępowałam w progi domu, ogarniało mnie podniecenie. „Złowrogi” — mówiłam Hadrianowi, który, jak zawsze, zgadzał się ze mną.

Przede wszystkim, był ciemny. Może powodowały to otaczające go zarośla, ale w tym domu tyle było sutych, aksamitnych zasłon — nie tylko w oknach, ale i na drzwiach, i w alkowach, w których często znajdowały się niesamowite obrazy. Były też dywany, tak grube, że rzadko można było usłyszeć czyjeś kroki, i zawsze miałam tu wrażenie, że pozostaję nie zauważona.

Była też ta dziwna stara kobieta, która, jak się zdaje, miała na górze swój pokój. Sabina nazywała ją starą nianią Tester.

— Kto to jest? — pytałam.

— Ona była piastunką mojej matki i Teobalda, i moją.

— Co ona tam robi na górze?

— Po prostu tam mieszka.

— Ale przecież nie potrzebujecie teraz niańki?

— Nie wyrzucamy starych służących, byli u nas przez tyle lat
— powiedziała Sabina wyniośle.

— Myślę, że to czarownica.

— Myśl sobie, co chcesz, Judyto Osmond. To jest stara niania Tester.

— Ona nas szpieguje. Zawsze przygląda się nam badawczo przez okno i znika, gdy spojrzymy do góry.

— Ach, nie zwracajcie uwagi na Judytę — powiedziała Sabina.

Zawsze ilekroć tu przychodziłam, spoglądałam na szczytowe okno, czy nie pojawi się tam niania Tester. Wmówiłam sobie, że to niesamowity dom, w którym wszystko może się zdarzyć.

Salon był najwyklejszym pokojem, ale nawet i on miał orientalny Wygląd. Było tam dużo chińskich waz i posążków, które sir Edward

znalazł w Chinach. Było kilka pięknych malowideł na ścianach — subtelnych i w pastelowych tonacjach; były smoki i posązki tłustego Buddy o chytrej, sennej twarzy, i szczupłego — siedzącego wygodnie w pozycji, którą bez powodzenia starałam się naśladować; były damy o nieodgadnionych twarzach i mandaryni o rysach pełnych okrucieństwa. Ale wielki fortepian wnosił atmosferę normalności i to właśnie na nim wybrzdąkiwaliśmy lekcje pod kierunkiem Szarej Tabby, która była równie zagadkowa, jak chińskie damy w gablocie.

Przy każdej sprzyjającej okazji zerkałam do innych pokoi, zmuszając do tego także Hadriana. Robił to z ociąganiem, ale bał się sprzeciwić mojej woli wiedząc, że gdy odmówi, nazwę go tchórzem.

Na lekcjach z Evanem Callumem przyswajaliśmy sobie coś z wiedzy o starożytnym Egipcie i byłam tym pochłonięta. Opowiedział nam o niektórych ostatnich odkryciach z udziałem sir Edwarda, a potem zaznajomił nas nieco z historią tego kraju.

Gdy słuchałam Evana Calluma, przenosiłam się z pokoju szkolnego do świątyni bogów. Chciwie chłonęłam opowieści o stworzonym przez siebie samego bogu Ra — znanym również jako Amon-Ra; i o jego synu Ozyrysie, który z Izydą zrodził wielkiego boga Horusa. Evan pokazał nam na ilustracjach maski, jakie kapłani nosili podczas ceremonii religijnych, i powiedział, że każdy bóg reprezentowany był przez jedną z masek.

— Chodziło o to — wyjaśniał — że wielcy bogowie Egipcjan posiadali wszystkie cnoty i siły ludzkie, ale w dodatku mieli jeden przymiot zwierzęcia i zwierzę takie było ich szczególnym znakiem. Horus był sokołem, ponieważ jego oczy widziały przenikliwie wszystko.

Ślęczałam nad obrazkami, które nam pokazywał. Byłam zdolną uczennicą.

Najbardziej jednak interesowały mnie opowieści o pogrzebach, o balsamowaniu zwłok wybitnych zmarłych i układaniu ich do grobów, i pozostawianiu na spoczynek na tysiące lat. Razem z nimi grzebano często ich służących, których zabijano tylko po to, żeby mogli im towarzyszyć i być ich sługami w nowym życiu, tak samo jak w dawnym. W grobach składano skarby, by nie zaznali nędzy w przyszłości.

— Ten zwyczaj doprowadził do tego — objaśniał Evan — że wiele grobów ograbiono. W ciągu stuleci co odważniejsi płądrowali je...

odważni naprawdę, gdyż mówi się, że klątwa faraonów spada na tych, którzy zakłócają ich wieczny spokój.

Bardzo chciałam się dowiedzieć, jak było możliwe zachowanie ciała ludzkiego przez tyle wieków.

— Proces balsamowania — tłumaczył Evan — doprowadzony został do doskonałości trzy tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa. Było to trzymane w tajemnicy i nikt nigdy naprawdę nie wykrył, w jaki sposób starożytni Egipcjanie robili to tak po mistrzowsku.

To było pasjonujące. Mieliśmy książki z ilustracjami. Nigdy nie męczyły mnie rozmowy na ten fascynujący temat; byłam gotowa opuszczać inne lekcje, byleby tylko pracować dalej z Evanem.

Sabina powiedziała nam, że widziała mumię. Mieli kiedyś jedną w Giza House.

Evan rozmawiał z nią o tym, a ja byłam trochę zazdrosna, że Sabina, która nie poświęciła jej większej uwagi, miała taką okazję, którą ja umiałabym wykorzystać.

— Była w czymś w rodzaju trumny — opowiadała.

— W sarkofagu — podsunął Evan.

— Zdaje mi się, że dotąd go mamy — powiedziała Sabina — ale mumii już nie ma. — Wzdrygnęła się. — Cieszę się z tego. Nie lubiłam jej. To było okropne.

— Ależ to było interesujące — zawołałam. — Pomyśl tylko. To był ktoś, kto naprawdę żył przed tysiącami lat!

Myślałam o tym bez przerwy i w kilka dni później, gdy przyszedł na lekcję muzyki, postanowiłam zobaczyć sarkofag. Teodozja siedziała przy fortepianie. Grała o wiele lepiej niż reszta dzieci i Tabby dawała jej dodatkowe lekcje.

Powiedziałam:

— Teraz nadszedł czas.

Sabina wprowadziła nas do tego niezwykłego pokoju. To oczywiście ten pokój, o którym się mówiło, na widok którego służbie „skóra cierpła” i do którego nikt z nich sam by nie wszedł.

Od razu zobaczyłam sarkofag. Stał w kącie pokoju; wyglądał jak kamienne koryto. U jego szczytu biegły rzędy hieroglifów.

Uklękłam i zaczęłam im się przyglądać.

— Mój ojciec próbuje je rozszyfrować — powiedziała Sabina. To dlatego ten sarkofag tu jest. Później pójdzie do jakiegoś muzeum.

Dotknęłam go z niedowierzaniem.

— Wyobraźcie sobie tylko... przed tysiącami lat ludzie porobili te znaki i kogoś zabalsamowano i położono do środka. Nie uważacie, że to cudowne? Jak bym chciała, żeby zostawili mumię!

— Możesz je zobaczyć w British Museum. To wygląda, jakby kogoś poowijano masą bandaży.

Wstałam i obejrzałam pokój. Ściany z jednej strony były wyłożone książkami. Spojrzałam na ich oprawy. Wiele z nich było w językach, których nie mogłam zrozumieć. Powiedziałam:

— Jest jakiś niesamowity nastrój w tym pokoju. Czujecie to?

— Nie — powiedziała Sabina. — Chcesz nas nastraszyć.

— To dlatego, że tu jest ciemno — powiedział Hadrian. — To te drzewa za oknem.

— Posłuchajcie — powiedziałam.

— To wiatr — rzuciła z pogardą Sabina. — No, chodźcie. Nie mogą nas tu zastać.

Odetchnęłam z ulgą, gdy zamknęła za nami drzwi. Ale nie mogłam zapomnieć tego pokoju.

W ciągu kilku następnych dni przejrzałam wszystko, co mogłam znaleźć na temat starożytnych obrzędów pogrzebowych. Wyprowadzałam wszystkich z cierpliwości, bo gdy o czymś myślałam, obsesyjnie mówiłam tylko o tym. Sabina była bardzo zniecierpliwiona, a Teodozja zgadzała się z nią teraz we wszystkim.

Oświadczyła, że jest zmęczona tym ciągłym gadaniem o mumiach. Tak czy owak, to byli tylko zmarli ludzie. Słyszała, że po zdjęciu bandaży i pod działaniem powietrza rozpadali się w pył. Co za sens spadać w uniesienie nad garścią prochu?

— Ale kiedyś byli prawdziwymi ludźmi. Chodźmy jeszcze raz popatrzeć na sarkofag.

— Nie — jęknęła Sabina. — I to jest *mój* dom, jeśli pójdziesz tam beze mnie, popełnisz nadużycie.

— Jestem przekonana, że boisz się tego pokoju — oświadczyłam.

Zaprzeciżyła z oburzeniem.

Byłam coraz bardziej opętana, chciałam wiedzieć dokładnie, jak to jest, gdy się jest zabalsamowanym i złożonym w sarkofagu. Zmusiłam Hadriana, by się do mnie przyłączył i razem znaleźliśmy stare prześcieradła — jedno z nich podarliśmy na pasy — i gdy przyszliśmy wszyscy do Giza House na lekcję muzyki, ja i Hadrian zdołaliśmy odbyć naszą najpierw, a potem pobiegliśmy do ogrodu, gdzie w starej altanie ukryliśmy prześcieradła i bandaże. Nakryłam głowę prześcieradłem — wycięłam otwory na oczy — i zmusiłam Hadriana, by owinał mnie bandażami. Wgramoliłam się do sarkofagu i położyłam.

Moim jedynym usprawiedliwieniem jest to, że byłam młoda i bezmyślna. To miał być wspaniały żart — i niezwykle podniecający. Wydawałam się sama sobie bardzo dzielna i śmiała, gdy tak leżałam w sarkofagu, bo miałam pewne wyrzuty i wątpliwości, i czułam, że moja śmiałość może w każdej chwili wywołać gniew bogów.

Wydaje mi się, że dużo czasu upłynęło, nim otworzyły się drzwi. Sabina powiedziała:

— Och, dlaczego wciąż chcesz na to patrzeć.

Wiedziałam, że Hadrian wprowadził je, zgodnie z naszym planem.

Potem mnie zobaczyły. Rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk. Próbowaliśmy wyleźć z wąskiego jak koryto naczynia, które wydzielalo szczególną woń i było takie zimne. Nic gorszego nie mogłam zrobić, bo Teodozja, widząc kogoś wstającego, jak sądziła, z martwych, zaczęła krzyczeć.

Słyszałam, jak Hadrian wykrzyknął:

— To tylko Judyta.

Zobaczyłam Sabinę, białą jak prześcieradło, w które byłam owinięta, i zaraz Teodozja osunęła się zemdlna na podłogę.

— Nie bój się, Teodozjo — wołałam. — To Judyta. To nie jest prawdziwa mumia.

— Myślę, że ona nie żyje — powiedziała Sabina. — Zabiłaś ją.

— Teodozjo! — lamentowałam. — Ty nie umarłaś. Ludzie nie mogą-tak umierać.

Wtedy zobaczyłam, że w drzwiach stoi ktoś nieznamy. Był wysoki i tak inny niż wszyscy ludzie, których dotąd widziałam, że przez chwilę myślałam, że to któryś z bogów zstąpił na ziemię, by się zemścić. Był rozgniewany.

Patrzył na mnie z surowym zdumieniem. Co za widok musiałam przedstawiać — z bandażami wiszącymi dokoła i prześcieradłem na głowie.

Przeniósł wzrok ze mnie na Teodozję.

— Dobry Boże — powiedziała i podniósł ją.

— Judyta udawała mumię! — wrzeszczała Sabina. — Teodozja się przestraszyła.

— Co za skończony idiotyzm! — powiedział, rzucając mi tak pełne pogardy spojrzenie, że byłam zadowolona, iż prześcieradło zakrywa moją hańbę.

— Czy ona nie żyje, Teobaldzie? — zapytała Sabina.

Nie odpowiedział; wyszedł z pokoju z Teodozją w ramionach.

Wyrzebałam się z bandaży i prześcieradła i zwinęłam je w węzełek. Sabina wbiegła z powrotem do pokoju.

— Wszyscy są zdenerwowani z powodu Teodozji — poinformowała nas i dodała, raczej z radością... — Są źli na was oboje.

— To był mój pomysł — powiedziałam. — Prawda, Hadrianie?

Hadrian przytaknął.

— Nie masz z czego być dumna — powiedziała Sabina surowo.
— Mogłaś ją zabić.

— Czy nic jej się złego nie stało? — zapytałam z niepokojem.

— Już siedzi teraz, ale jest blada i ciężko oddycha.

— Była tylko trochę wystraszona — powiedziałam.

— Ze strachu można umrzeć.

— Ona przecież nie umrze.

Teobald wszedł do pokoju. Ciągłe wyglądał na rozgniewanego.

— Coście wy dwoje, u licha, sobie wyobrażali?

Spojrzałam na Hadriana, który, jak zawsze, czekał, aż ja się odezwę.

— Ja tylko byłam mumią — powiedziałam.

— Czy nie jesteś trochę za duża na takie psoty?

Poczułam się mała i gorzko upokorzona.

— Nie pomyśleliście, przypuszczam, jak to może podziałać na tych, którzy nie byli wtajemniczeni w wasz figiel?

— Nie — przyznałam. — Nie pomyślałam.

— Dobry obyczaj. Wypróbuję to kiedyś.

Gdyby to ktoś inny powiedział, miałabym gotową zuchwałą odpowiedź. Ale on był inny... wiedziałam o tym od samego początku.

Zwrócił się do Hadriana:

— A co ty masz do powiedzenia?

— To samo, co Judyta. Nie chcieliśmy jej zrobić krzywdy.

— Zachowaliście się bardzo głupio — powiedział; odwrócił się i wyszedł.

— A więc to jest wielki Teobald! — zawołał Hadrian, odczekawszy, aż znajdzie się poza zasięgiem głosu.

— Tak — powiedziałam — wielki Teobald.

— Mówiłaś, że się garbi i nosi okulary.

— No, cóż myślałam się. Nie nosi. Lepiej już chodźmy.

Słyszałam głos Teobalda, gdy schodziliśmy po schodach.

— Kto to jest, ta zuchwała dziewczyna?

Oczywiście mówił o mnie.

Sabina podeszła do nas w hallu.

— Teodozja wróci powozem — powiedziała. — Wy oboje pójdziecie piechotą. Wpakowaliście się w tarapaty.

Wydawała się zadowolona.

Wpakowaliśmy się. Miss Graham czekała na nas w pokoju szkolnym. Wyglądała na zmartwioną — ale często tak wyglądała. Bała się nieustannie — z czego później zdała sobie sprawę — zarzutów i oddalenia.

— Młody pan Travers przyjechał powozem z Teodozją — powiedziała. — Opowiedział sir Ralfowi o waszej niegodziwości. Będziecie oboje surowo ukarani. Teodozja położyła się do łóżka. Jej lordowska mość jest bardzo zaniepokojona, posłano po doktora. Teodozja nie jest zbyt silna.

Nie mogłam oprzeć się wrażeniu, że Teodozja wykorzystuje w pełni sytuację. No, bo czym się miała teraz denerwować? Wiedziała już, że to ja byłam mumią.

Weszliśmy do biblioteki, tego pokoju z trzema ścianami wypełnionymi książkami i czwartą, która prawie cała była oknem wykuszowym — wielkim, podzielonym kamiennymi słupkami, z ławeczkami i ciężkimi, ciemnozielonymi zasłonami. Sprawiał trochę przytłaczające wrażenie, z tymi wszystkimi przedmiotami zgromadzonymi w nieładzie

pod ogromnym szklanym żyrandolem. Były tam rzeźbione drewniane stoliki z Indii i figury, podobnie rzeźbione. Chińskie wazy i ozdobny stół w stylu Louis Quinze, podpierany przez pozłacane cherubiny. Sir Ralf przywoził te skarby ze wszystkich części świata i zbierał je tu razem, bez względu na ich przynależność. Wszystko to zauważyłam później. Wtedy byłam tylko świadoma obecności dwóch mężczyzn, sir Ralfa i Teobalda.

— Co to wszystko ma znaczyć, he? — zapytał sir Ralf.

Hadrian wydawał się zawsze oniemiały w obecności wuja, tak więc to ja musiałam przemówić. Spróbowałam wytłumaczyć, o co nam chodziło.

— Nie wolno wchodzić do tego pokoju. Nie wolno robić takich głupich żartów. Zostaniecie ukarani. I nie będzie to przyjemne.

Nie chciałam, żeby Teobald spostrzegł, że się boję. Zastanawiałam się, jaka najgorsza kara może mnie spotkać. Nie będzie więcej lekcji z Evanem Callumem.

— Nie masz nic do powiedzenia? — Sir Ralf wbił wzrok w Hadriana.

— Myśmy tylko... udawali...

— Mów wyraźnie.

— To był mój pomysł — powiedziałam.

— Niech chłopak mówi za siebie... jeśli potrafi.

— My... myśmy myśleli, że to dobry pomysł, żeby Judyta się przebrała...

Sir Ralf wydał niecierpliwy pomruk. Potem zwrócił się do mnie.

— Więc ty byłaś prowodyrem, co?

Skinęłam głową i nagle doznałam ulgi, gdyż byłam pewna, że podbródek mu drgnął.

— Dobrze — powiedział. — Zobaczycie, jak się postępuje z kimś, kto płata takie figle. Ty wrócisz na plebanię i zobaczysz, co tam dla ciebie przygotowano.

A potem zwrócił się do Hadriana:

— Teraz ty, mój panie. Pójdiesz do swego pokoju. Dostaniesz lanie, które popamiętasz na całe życie, bo mam zamiar sam ci je sprawić. Wyjdz.

Biedny Hadrian! Co za upokorzenie — i to przy Teobaldzie!

Hadrian został surowo wychłostany, co trudno znieść, gdy się ma szesnaście lat.

Wróciwszy na plebanię zastałam Dorcas i Alison bardzo niepokojne, gdyż wieść o naszym grzesznym szaleństwie już do nich dotarła.

— Ależ Judyto, a gdyby sir Ralf zabronił ci bywać w Keverall Court?

— A zabronił? — zapytałam z niepokojem.

— Nie, ale polecono, byś została ukarana i nie śmiałyśmy się sprzeciwić.

Wielebny James wycofał się do gabinetu, mrużąc coś o nawale pracy. To był kłopot i oczywiście chciał trzymać się z dala od tego.

— No więc? — zapytałam. — Co macie zamiar ze mną zrobić?

— Masz iść do swego pokoju i czytać książkę, którą przysłał dla ciebie pan Callum. Masz ją streścić na piśmie i pozostać o chlebie i wodzie, dopóki nie wykonasz zadania. Musisz to zrobić, choćbyś miała nie opuszczać pokoju przez tydzień.

To nie była prawdziwa kara dla mnie. Kochany Evan! Książka, którą dla mnie wybrał, były *Dynastie starożytnego Egiptu* — fascynowało mnie to; a kucharka na plebanii, bezpieczna w swej kuchni, oświadczyła, że nie przyjmuje poleceń z Keverall Court i nie będzie mnie trzymać o chlebie i wodzie. Zaraz pojawiłby się przed drzwiami — prorokowała — powóz doktora Gunwena, i nikt jej nie może zmusić do głodzenia małych dzieci. Rozśmieszyło mnie, że ja, którą tak często nazywano diabelskim nasieniem, stałam się nagle małym dzieckiem. Jednak przemycono mi w tym czasie trochę ulubionych przysmaków: pamiętam gorące, gotowane na parze mięso w cieście i jedną z jej specj ilości — miniaturowy zapiekany pasztet z baraniny, wieprzowiny, jabłek i cebuli.

Spędziłam dwa zupełnie miłe dni, gdyż moje zadanie było skończone w rekordowym czasie; później dowiedziałam się, że sir Ralf daleki był od potępienia mojego wyczynu, raczej mu się spodobał.

Dorastaliśmy i w naszym życiu następowały zmiany, ale tak stopniowo, że prawie niezauważalnie.

Teobald często bywał w Giza House. Jednym z moich ulubionych w tym czasie marzeń było, że dokonałam wielkiego odkrycia. To się zmieniało. Czasem wykopywałam przedmiot nieoszacowanej wartości;

to znów odkrywałam w hieroglifach ogromnej wagi znaczenie dla sarkofagu w Giza House i moje odkrycie wywoływało taki wstrząs w całym archeologicznym świecie, że Teobald był pełen podziwu. Prosił mnie o rękę i wyjeźdzaliśmy razem do Egiptu, gdzie od tego czasu żyliśmy szczęśliwie do końca naszych dni, dokonując jednego za drugim odkrycia, tak że staliśmy się sławni. „To wszystko zawdzięczam tobie” — mówił Teobald na zakończenie w moim marzeniu.

Naprawdę jednak prawie mnie nie zauważał i byłam przekonana, że jeśli pomyślał kiedyś o mnie, to jako o głupiej dziewczynce, która udawała mumię i przestraszyła Teodozję.

Inaczej było z Teodozją. Zamiast gardzić nią za to, że zemdłała, zdawał się dlatego właśnie ją lubić. Miała tyle sposobności, by go poznać, a ja byłam tego pozbawiona. Po skończonych lekcjach wracałam na plebanię, gdy ona, teraz gdy dorastała, siadała do stołu z rodziną i gośćmi, którymi często byli Teobald i jego ojciec.

Hadrian zaczął studiować archeologię na uniwersytecie; wybrał ją raczej jego wuj niż on sam. Hadrian zwierzył mi się, że był na utrzymaniu wuja, gdyż położenie jego rodziców było bardzo skromne. Jego ojciec — brat sir Ralfa — ożenił się wbrew woli rodziny. Hadrian był najstarszy z czterech braci i sir Ralf, nie mając własnego syna, zaproponował, że przyjmie go do siebie i zapewni mu wykształcenie — tak więc należało go sobie zjednywać.

— Masz szczęście — powiedziałam. — Jakże ja bym chciała studiować archeologię.

— Zawsze miałaś bzika na tym punkcie.

— Bo można mieć na tym punkcie bzika.

Brakowało mi Hadriana, nie mogłam mu już rozkazywać. Był taki potulny, zawsze robił to, co chciałam.

Nawet Evan Callum przestał nas uczyć, ponieważ skończył studia i zaczął pracować na jednym z uniwersytetów. Miss Graham i OHver Shrimpton uczyli nas dalej i wciąż mieliśmy lekcje z Tabitą Grey, ale to już nie było to samo.

Dorcas próbowała mnie trochę nauczyć tego, co nazywała kunsztami domowymi, a co było próbą wpojenia mi odrobiny umiejętności pieczenia ciast, robienia chleba i konfitur. Nie miałam naprawdę w tym kierunku uzdolnień.

— Będzie ci to kiedyś potrzebne — powiedziała — kiedy będziesz miała własny dom. Czy zdajesz sobie sprawę, że masz już prawie osiemnaście lat, Judyto? W tym wieku niektóre dziewczęta są już zamężne.

Mówiąc to zmarszczyła z lekka brwi. Myślę, że Alison i ona martwiły się trochę o moją przyszłość. Miały nadzieję — wiedziałam — że wyjdę za mąż — i wiedziałam, kogo mi przeznaczały.

Wszyscy lubiliśmy OHvera Shrimptona. Był miły, nie był może ambitny w ścisłym sensie tego słowa, ale pełen zapału dla swej pracy. Stanowił cenny nabytek dla parafii i przez ostatnie dwa czy trzy lata, odkąd wielebny James zdawał się coraz łatwiej poddawać zmęczeniu, to on właśnie — co przyznawały Dorcas i Alison — dźwigał na swych barkach całą parafię. Dawał sobie doskonale radę ze starszymi damami, zaś te niezbyt stare bardzo go lubiły. Było tu wiele starych panien, które nigdy nie miały dość roboty, jeśli chodzi o działalność kościelną, i sądzę, że ich entuzjazm miał coś wspólnego z Ohverem.

On i ja byliśmy zawsze przyjaciółmi. Nie błyszczałam na jego lekcjach, ale mieszkając z nim tak długo pod jednym dachem, uważałam go prawie za brata. Chociaż myślałam czasem, że gdybym nigdy nie spotkała Teobalda, może pogodziłabym się z myślą o poślubieniu go i pozostaniu na plebanii, która przez całe życie była moim domem — bo było sprawą przesadzoną, że w razie wycofania się z pracy lub śmierci wielebnego Jamesa OHver zajmie jego miejsce.

Nie mogłam się nikomu zwierzyć z mego uczucia dla Teobalda. Było tak bardzo absurdalne, bo naprawdę śmieszna była tak wielka miłość do kogoś, kto prawie nie zauważał, że istnieję.

Ale nasze stosunki uległy zmianie i Teobald zaczął trochę zdawać sobie sprawę z mojej obecności. Tabita Grey była bardzo dobra i zauważyła, jak przygnębiło mnie to, że Evan Callum przestał nas uczyć. W miarę jak ja dorastałam, ona zdawała się coraz młodsza. Myślę, że gdy się ma czternaście lat, każdy, kto ma dwadzieścia cztery, wydaje się bardzo stary; ale gdy się ma prawie osiemnaście, ktoś dwudziestoosmioletni zdaje się młodszy niż dwudziestoczteroletni zdawał się czternastolatce. Tabita była panią Grey, musiała więc być mężatką. Nazywanie ją Szarą Tabby było zawsze nieodpowiednie. Była wysoka, włosy

miała ciemne i falujące i wielkie piwne oczy; gdy grała na fortepianie, zmieniał się wyraz jej twarzy, jakby coś niezmiernie otarło się o nią, i była wtedy bez wątpienia piękna. Była łagodnego usposobienia i stanowczo nietowarzyska; twarz jej często zdawała się owiana smutkiem.

Próbowałam dowiedzieć się od Sabiny, jaka właściwie była jej pozycja w domu.

— O, po prostu wszystkim zarządza — powiedziała Sabina. — Dba o mnie pod nieobecność ojca i Teobalda, zajmuje się służbą, także nianią Tester, choć niania tego nie chce. Wie bardzo dużo o pracy ojca. On jej o tym opowiada — tak samo jak Teobald.

Byłam zainteresowana archeologią bardziej niż kiedykolwiek przedtem i to nas jakoś łączyło. Rozmawiałam z nią raz czy dwa po lekcji muzyki. Ożywiała się, mówiąc o pracy sir Edwarda. Powiedziała mi, że była raz członkiem jego ekipy, gdy prowadzili w Kent prace wykopaliskowe związane z rzymskimi pozostałościami.

— Gdy Sabina wyjdzie za mąż, znów pojedę — powiedziała. — Szkoda, że jesteś dziewczyną. Gdybyś była chłopcem, mogłabyś wybrać archeologię jako zawód.

— Nie sądzę, byśmy mieli na to dość pieniędzy na plebanii. Miałam szczęście — mówiono mi — że mogę zdobyć takie wykształcenie jak tu. Będę musiała zarabiać. Nie wiem, co będę robić... poza tym, że pewnie będę musiała zostać guwernantką.

— Nie możesz wiedzieć, co cię czeka — powiedziała.

Pożyczyła mi książki.

— Nie ma powodu, żebyś nie mogła czytać i uczyć się, czego zdołasz.

To było wtedy, gdy pewnego popołudnia odniosłam książkę do Giza House. Usłyszałam muzykę. Odgadłam, że to Tabita gra, i gdy zajrzałam przez okno, zobaczyłam ją przy fortepianie. Teobald był z nią — grali duet. Gdy się przyglądałam, utwór dobiegł końca; odwrócili się do siebie i uśmiechnęli. Pomyślałam wtedy: jakże bym chciała, żeby do mnie tak się uśmiechnął.

Odczuli, jak to bywa, że ktoś na nich patrzy i spojrzeli równocześnie w kierunku okna — zobaczyli mnie. Zawstydziałam się, że mnie przyłapano na zaglądanii, ale Tabita rozwiązała mój wstyd.

— Wejdz, Judyto — powiedziała — o, przyniosłaś książki. Pożyczam je Judycie, Teobaldzie. Ona bardzo się tym interesuje.

Teobald przejrzał książki i oczy mu zabłyśły.

— Co o nich myślisz?

— Byłam zachwycona.

— Musisz znaleźć dla niej coś więcej, Tabito.

— Właśnie to chciałam zrobić.

Weszliśmy do salonu i zaczęliśmy rozmawiać... i to jak rozmawiać! Nigdy nie byłam tak ożywiona od wyjazdu Evana Calluma.

Teobald odprowadził mnie na plebanię niosąc książki; opowiadał mi o swoich przygodach i o tym, jak bardzo bywał poruszony, gdy coś znalazł.

Słuchałam chciwie.

Na progu plebanii powiedział:

— Pani naprawdę bardzo się tym interesuje, prawda?

— Tak — odpowiedziałam szczerze.

— Oczywiście, zawsze wiedziałem, że interesują panią mumie.

Wybuchnęliśmy śmiechem. Pożegnał się i powiedział, że musimy znów kiedyś porozmawiać.

— Przez ten czas — dodał — niech pani dalej czyta. Powiem Tabicie, jakie książki wybierać dla pani.

— Dziękuję! — zawołałam z przejęciem.

Dorcas musiała nas widzieć przez okno.

— Czy to nie był Teobald Travers? — zapytała, gdy wchodziłam na schody.

Przytaknęłam, a gdy czekała na dalsze wyjaśnienia, dodałam:

— Odnosiłam książki do Giza House i odprowadził mnie.

— Aha — to było wszystko, co powiedziała.

Zaraz następnego dnia znów o nim wspomniała.

— Słyszałam, że planowane jest małżeństwo Teobalda Traversa z Teodozją.

Poczułam się słabo. Mam nadzieję, że nie było tego widać.

— W każdym razie — rozważała Dorcas — można się tego spodziewać. Traversowie i Bodreanowie od lat są w przyjaźni. Jestem pewna, że sir Ralf byłby rad, gdyby ich rodziny się połączyły.

Nie, pomyślałam. Nigdy. Mała głupiutka Teodozja! To niemożliwe.

Ale oczywiście wiedziałam, jak bardzo było to prawdopodobne.

Oliverowi Shrimptonowi zaproponowano prebendę w Dorset. Dorcas i Alison były bardzo zdenerwowane.

— Nie wyobrażam sobie, co bez ciebie zrobimy, Oliyerze — powiedziała Alison.

— Jesteś wspaniały — dodała Dorcas.

Udał się do biskupa i nigdy nie widziałam obu siostr tak szczęśliwych jak wtedy, gdy wrócił z powrotem.

Czytałam w swoim pokoju, gdy weszły.

— Odmówił — powiedziały.

Zapytałam — Kto?

— OHver.

— Ale czego odmówił?

— Ty chyba nie słuchasz.

— Trzeba trochę czasu, żeby się oderwać od starożytnego Egiptu i przenieść na plebanię w St. Erno.

— Zanadto zagłębiasz się w tych książkach. Nie sądzę, żeby ci to wychodziło na dobre. Oliyer pojechał do biskupa i odmówił przyjęcia prebendy. Wyjaśnił, że chce tu zostać i umowa jest taka, że gdy ojciec przestanie pracować, on zostanie tutejszym proboszczem.

— To cudowna wiadomość — powiedziałam. — Nie musimy się już martwić, że go stracimy.

— On musi być do nas bardzo przywiązany — powiedziała Dorcas — tyle dla nas robi.

— Przywiązany do niektórych z nas — znacząco dodała Alison.

Evan Callum przyjechał do Traversów, do Giza House. Myślę, że często bywał zapraszany do Keverall Court.

Zaszedł mnie odwiedzić na plebanii i mieliśmy bardzo interesującą rozmowę. Powiedział, że byłam jego najbardziej obiecującą uczennicą i że to wielki skandal, że nie mogę poważnie zająć się archeologią.

Miss Graham znalazła inną posadę i wyjechała; i tak skończyły się lekcje. Było zupełnie oczywiste, że nigdy nie poświęcę się muzyce, ale ta

wymówka nie była teraz potrzebna, bym mogła przychodzić do Giza House. Mogłam przychodzić tu do biblioteki, wybierać książki i jeśli nie miały jakiejś szczególnej wartości dla sir Edwarda, mogłam zabierać je do domu.

Bardzo rzadko widywałam teraz Teobalda. W Keverall Court często wydawano przyjęcia, na które naturalnie nie byłam proszona. W Giza House prowadzono także życie towarzyskie, ale w zupełnie inny sposób — choć Teobald i jego ojciec bywali często w Keverall Court, a sir Ralf i lady Bodrean składali wizyty w Giza House — wiedziałam od Tabity, że bywały proszone obiady skrzące się od konwersacji obracającej się oczywiście wokół pracy tych gości — wokół owego pełnego pasji zaabsorbowania przeszłością.

Moje życie uległo zmianie. Odbyłam kilka wizyt w parafii z Dorcas i Alison. Znosiłam kwiaty z ogrodu chorym; czytałam tym, których wzrok uległ osłabieniu; zносиłam jedzenie złożonym niemocą i jeździłam do miasta po zakupy dla nich kariolką — małym dwukołowym wózkiem, ciągnionym przez naszego Jarrocksa, który był czymś pośrednim między koniem a kucykiem.

Stawałam się powoli typową córką pastora. Gdy nadeszły święta Bożego Narodzenia, przyniosłam z Olwerem polano do spalenia w Wigilię w kominku i razem z Alison i Dorcas przybrałyśmy krzew bożonarodzeniowy — związałyśmy dwie obręcze pod kątem prostym i ozdobiłyśmy tę ramę wiecznie zielonymi roślinami — zgodnie z dawnym kornwalijskim zwyczajem, którego przestrzegaliśmy, bo jak mówili niektórzy starzy ludzie, choinka była wynalazkiem cudzoziemskim. Brałam udział w kolędowaniu i gdy zaszliśmy do Keverall Court, zaproszono nas na gorący pasztet i ciasto szafranowe i dano upić łyk z wielkiego pucharu, którym wznoszono niegdyś toasty. Zobaczyłam w wielkim hallu Teodozję i Hadriana i zatęskniłam do dawnych dni.

Niedługo po Bożym Narodzeniu chwycił mróz — co rzadko się u nas zdarza. Gałęzie drzew były białe od szronu, dzieci mogły nawet na łyżwach ślizgać się na stawach. Wielebny James Osmond przeziębził się, a potem przyszedł atak serca; i choć trochę mu się polepszyło, po tygodniu jednak zmarł.

Dorcas i Alison były zrozpaczone. Jeśli o mnie chodzi, wydawał mi się od dawna daleki. Spędzał tyle czasu w swojej sypialni, a nawet gdy był z nami w pokoju, odzywał się rzadko, jakby go wcale nie było.

Kucharka powiedziała, że to było „szczęśliwe wyzwolenie”, bo biedny wielebny ksiądz już nigdy nie przyszedłby do siebie.

Tak więc zapuszczono na plebanii stopy i pewnego dnia, przy biciu dzwonów, złożyliśmy wielebnego Jamesa Osmonda do grobu, który wykopał dla niego Pegger, a potem wróciliśmy na plebanie, jedliśmy zimną szynkę i opłakiwaliśmy go.

Dla Alison i Dorcas z żalobą łączył się lęk przed przyszłością; spodziewały się jednak, patrząc na mnie i OHvera, że dojdzie do oczywistego rozwiązania.

Zamknęłam się w pokoju i myślałam o tym. Chciały, żebym poślubiła OUvera, który zostanie proboszczem na miejsce wielebnego Jamesa Osmonda, i żebyśmy wszyscy nadal żyli pod tym dachem, tak jak dawniej.

Jak mogłabym poślubić Olivera? Nie mogę poślubić nikogo poza Teobaldem. Jak mam to powiedzieć Dorcas i Alison? Poza tym, to tylko w moich nieokiełznanach i nieprawdopodobnych marzeniach sennych mogło do tego dojść. Chciałam im wytłumaczyć: lubię OHvera, wiem, że jest dobrym człowiekiem, ale wy nie rozumiecie — wystarczy, że wymówię imię Teobalda i moje serce zaczyna bić szybciej. Wiem, że będą uważać jego małżeństwo z Teodozją za odpowiednie — ale nie mogę nic na to poradzić.

Oliver zmienił się, odkąd został proboszczem. Był zawsze tak samo dla nas miły, ale oczywiście, jak Dorcas powiedziała do Alison, jeśli nic się nie *ułoży*, i one i ja będziemy musiały opuścić plebanie.

I nagle coś się *ułożyło*. Biedna Alison! Biedna Dorcas!

To Alison poruszyła ten temat. Myślę, że Oliver próbował, ale zbyt był dobry, żeby to zrobić, w lęku, by nie wyszło na to, że je prosi, by się wyprowadziły.

Alison powiedziała:

— Teraz, gdy mamy nowego proboszcza, czas żebyśmy się ruszyły. Wyglądał, jakby ciężar spadł mu z serca, i rzekł:

— Chciałem z wami pomówić. Mam zamiar się ożenić.

Oczy Dorcas błyszczały, jakby to ona była przyszłą oblubienicą.

— Nie mogłem oczywiście prosić o rękę, dopóki nie miałem nic do zaoferowania. Ale teraz mam... i naprawdę, szczęście mi sprzyja. Zostałem przyjęty.

Alison popatrzyła na mnie z wyrzutem. Mogłaś nam powiedzieć! — dawała do zrozumienia — nie mogłam więc jej pokazać, jak bardzo sama byłam zaskoczona.

OHver ciągnął dalej:

— Panna Sabina Travers przyrzekła zostać moją żoną.

Złożyliśmy mu gratulacje — ja z całego serca, Dorcas i Alison zdeorientowane.

Wiedziałam, że zaraz się u mnie pojawia, gdy tylko wróciłam do pokoju. Stały, patrząc na mnie, na ich twarzach malowało się przerażenie i gniew.

— Pomyśleć, że przez cały czas nas łudził.

— Jesteś niesprawiedliwa — zaprotestowałam. — W jaki sposób?

— Nasuwając nam myśl...

— Ależ on nic takiego nie robił. Sabina! No tak, zawsze jakby ich coś łączyło. Nie była ani trochę lepsza w łacinie i grece niż ja, ale była tak ładna i kobieca. I myślę, że zupełnie dobrze da sobie radę jako żona pastora.

— Jest zbyt płocha. Nie wyobrażam sobie, żeby potrafiła prowadzić poważną rozmowę.

— Cudownie będzie sobie radzić z parafianami. Nigdy nie zabraknie jej słów i będzie umiała wysłuchiwać wszystkich ich trosk, nie słysząc. Pomyślcie, co to za cenny nabytek!

— Judyto, wydaje się, że cię to nie obchodzi — zawołała Alison.

Dorcas powiedziała:

— Nie musisz przy nas robić dobrej miny do złej gry, kochanie.

Roześmiałam się.

— Posłuchajcie, obie. Nie wyszłabym za Oliyera, gdyby mnie poprosił. Zanim był dla mnie jak brat. Jestem do niego przywiązana, lubię Sabinę. Uwiercie mi, że nigdy nie wyszłabym za niego, bez względu na to, jak byłoby to wygodne.

Podeszłam do nich i objęłam je mocno, tak jak zwykłam być to robić, gdy byłam młodsza.

— Kochana Dorcas, kochana Alison, tak mi przykro. To koniec dawnego życia. Musimy opuścić plebanię. Przecież nawet gdybym chciała wyjść za Olivera, on miał inne plany, czyż nie?

Były wzruszone, jak zwykle gdy okazywałam uczucie.

— Ach, to nie to — powiedziała Dorcas. — Myślałyśmy o twoim szczęściu.

— Ale ono nie znajduje się tutaj — odparłam. I dodałam — Pomyślcie. OHver i Sabina! Jak to! To on będzie szwagrem Teobalda!

Spojrzały na mnie ze zdumieniem, jakby pytając: co to ma wspólnego z naszym położeniem?

Potem Alison powiedziała:

— No dobrze, nie pozostaje nam nic innego, jak coś zaplanować. Tak więc zaczęłyśmy planować.

Wielebny James Osmond zostawił bardzo mało pieniędzy. Będzie z tego mikroskopijny dochód dla jego córek, ale jeśli znajdą jakiś domek po umiarkowanej cenie, jakoś będą mogły egzystować.

Co do mnie, byłam zależna od nich. Z radością podzielią się ze mną wszystkim, co mają, ale będzie to dalekie od dostatniego życia.

— Ależ od początku było zamierzone, że będę odpowiednio przygotowana do podjęcia pracy, gdy zajdzie potrzeba — powiedziałam.

— Tak — przyznała Dorcas. — To był jeden z powodów, dla których cieszyłyśmy się, że będziesz miała zapewnione tak dobre wykształcenie.

— Może usłyszymy o czymś odpowiednim — zasugerowała Alison.

Nie było sensu siedzieć i czekać, aż usłyszymy. Obiecałam im i sobie, że gdy tylko zainstalują się w nowym domu, znajdę zajęcie.

Nie perspektywa pracy mnie martwiła, lecz konieczność opuszczenia St. Erno. Wyobraziłam sobie siebie w jakimś domu, bardzo daleko od Giza House, szybko zapomnianą przez jego mieszkańców. I co będę robić? Zostanę guwernantką, tak jak miss Graham? Do takiej pracy najbardziej się nadawałam. A może, skoro miałam wykształcenie klasyczne bardziej zaawansowane niż większość córek pastorów, mogłabym uczyć w jakiejś szkole dla dziewcząt? To byłoby mniej beznadziejne niż praca w jakimś domu, gdzie nie byłabym uważana za godną należenia do rodzinnego grona, a jednocześnie

stałabym o tę odrobinę wyżej od służących, która nie pozwoliłaby im przyjąć mnie za swoją. Co więc mogła robić w tych czasach młoda, wykształcona kobieta?

Nie byłam w stanie myśleć o przyszłości. Mówiłam sobie: gdybym nigdy nie była znalazła brązowej tarczy, Traversowie nie przybyliby może do Giza House. Nie spotkałabym nigdy Teobalda, a OHver nie spotkałby Sabiny. OHver i ja zdalibyśmy sobie w pewnej chwili sprawę, jak bardzo dobrym rozwiązaniem byłoby nasze małżeństwo i po-bralibyśmy się. Prowadzilibyśmy w miarę szczęśliwe życie, jak wielu ludzi; i oszczędzony byłby mi ból porzucenia wszystkiego, co było dla mnie ważne.

Sir Ralf pośpieszył na ratunek. W obrębie jego majątku był nie zajęty domek i mógłby go udostępnić pannom Osmond za symboliczną opłatą.

Były uradowane. Problem był w połowie rozwiązany.

Sir Ralf postanowił być naszym dobroczyńcą. Lady Bodrean potrzebny był ktoś do towarzystwa — ktoś, kto mógłby jej czytać, gdyby tego wymagała, asystować jej przy spełnianiu dzieł miłosierdzia, służyć pomocą, gdy przyjmowała gości. Coś w rodzaju sekretarki — pani do towarzystwa. Zdaniem sir Ralfa nadawałam się do takiej pracy i lady Bodrean gotowa była wziąć pod uwagę moją kandydaturę.

Alison i Dorcas były uszczęśliwione.

— Po tym rozczarowaniu wszystko się teraz tak dobrze układa — cieszyły się. — Mamy domek i tak cudownie będzie mieć ciebie w pobliżu. Pomyśl, będziemy mogły się często widywać. Tak, to byłoby wspaniale... tylko... gdybyś... gdybyś dała sobie radę z lady Bodrean.

— No, w tym sęk — powiedziałam niefrasobliwie. Ale daleko mi było do wesołości.

I nie bez powodu. Zawsze czułam, że lady Bodrean nie była bynajmniej zadowolona z tego, że uczę się razem z jej córką i bratankiem w Keverall Court. W rzadkich chwilach, gdy ją widywałam, obrzucała mnie mroźnym spojrzaniem.

Przypominała mi statek, gdy w swych ogromnych halkach i spódnicach, szeleszczących przy każdym poruszeniu, zdawała się żeglować niepomna nikogo na swym szlaku. Nie próbowałam nigdy wkraść się w jej łaski, zdając sobie sprawę z pewnego antagonizmu. Teraz byłam w innej sytuacji.

Przyjęła mnie w swym salonie; był to nieduży pokój — tak jak wszystkie pokoje w Keverall Court — ale dwa razy większy niż pokoje w naszym domku. Przeładowany był meblami; na kominku tłoczyły się wazy i ozdoby; były tam gabloty wypełnione srebrem i porcelaną; etażerka w kącie pełna porcelanowych drobiazgów. Materia stanowiąca obicie krzesła była dziełem samej lady Bodrean. Dwa parawaniki przed kominkiem też były nią wybite, podobnie jak dwa stołki. Przy krześle stała rama z nowo rozpoczętą tkaniną i lady Bodrean właśnie nad nią pracowała, gdy wszłam.

Nie podniosła przez długą chwilę wzroku, dając do zrozumienia, że praca bardziej ją interesuje niż nowa lektorka. Gdybym należała do nieśmiałych, mogłoby mnie to zaniepokoić.

A potem:

— O, to miss Osmond. W sprawie pracy. Proszę usiąść.

Usiadłam z podniesioną głową i pałającymi policzkami.

— Pani obowiązki będą polegały na byciu przydatną w takim charakterze, jak wyniknie z potrzeby.

Powiedziałam:

— Tak, lady Bodrean.

— Będzie pani czuwać nad moimi zobowiązaniami, zarówno towarzyskimi, jak i filantropijnymi. Będzie mi pani czytać codziennie gazety. Będzie się pani zajmować moimi dwoma szpicami, Lemonem i Orange.

Na dźwięk swych imion dwa psy, na które nie zwróciłam uwagi, gdy wszłam, wsparte o poduszki na krzesłach po obu jej stronach podniosły głowy i popatrzyły na mnie z pogardą. Orange — lub może był to Lemon — warknął, drugi zaczął węszyć.

— Moje najdroższe — powiedziała lady Brodrean z czułym uśmiechem, ale twarz jej przybrała mroźny wyraz natychmiast, gdy zwróciła się do mnie.

— Oczywiście, będzie pani do dyspozycji w każdej sprawie. Teraz proszę mi przeczytać jakiś ustęp.

Otworzyła *Times'a* i podała mi. Czytałam o ustąpieniu Bismarcka i o planach odstąpienia Helgolandu Niemcom.

Zdawałam sobie sprawę, że bacznie mi się przypatruje. Miała na szyi lorgnon na złotym łańcuszku i lustrowała mnie otwarcie. Takiego

traktowania należy się spodziewać, gdy ktoś ma zostać czyims pracownikiem — przypuszczałam.

— Dobrze, wystarczy — powiedziała w środku zdania; rozumiałam, że angażowanie lektorki to ważniejsza sprawa niż upadek Helgolandu.

— Chciałabym, żeby pani zaczęła od zaraz. Mam nadzieję, że to pani odpowiada.

Powiedziałam, że muszę mieć dzień, dwa, na załatwienie swoich spraw, choć nie wiedziałam, co to mogłyby być za sprawy. Wiedziałam tylko, że chcę opóźnić podjęcie pracy, gdyż jej perspektywa wydawała mi się przygnębiająca.

Łaskawie zgodziła się, bym przez resztę tego dnia i następny mogła się przygotować. Po tym okresie, jak się spodziewa, podejmę swoje obowiązki.

W drodze do domku (który nosił miłą nazwę Tęczowego Domku, choć jedynym tego powodem było to, że kwiaty rosnące w ogrodzie mieniły się wszystkimi barwami tęczy) próbowałam znaleźć dobre strony w nowej sytuacji i powiedziałam sobie, że choć z wielką przykrością będę znosić pracę u lady Bodrean, to przecież będę¹ widywała Teobalda.

CZAS NIEWOLI

Mój pokój w Keverall Court przylegał do pokoju lady Bodrean, tak by mogła zawsze mieć mnie pod ręką. Był to dość miły pokój — wszystkie pokoje w Keverall Court były ładne — nawet najmniejsze — ze ścianami wyłożonymf boazerią i gotyckimi oknami. -Z okna widziałam Giza House — co stanowiło moje obłędne pokrzepienie.

Nie przebywałam tu długo, gdy zdałam sobie sprawę, że lady Bodrean mnie nie lubi. Potrafiła często przywoływać mnie dzwonkiem, gdy się już położyłam, by mnie pełnym irytacji głosem poinformować, że nie może spać. Musiałam jej przygotowywać herbatę lub czytać, nim zasnęła, i często dygotałam z zimna, gdyż lubiła chłód w sypialni i nie marzła pod pledami, gdy ja siedziałam w szlafroku. Nigdy nie była zadowolona z tego, co robiłam. Gdy nie miała powodu do narzekań — milczała; gdy coś takiego znalazła — wracała do tego bez końca.

Jej panna służąca, Jane, współczuła mi.

— Zdaje się, że jaśnie pani ma z panią na pieńku — stwierdzała — często tak bywa. Widziałam to już przedtem. Fachowy służący ma pewną rangę. Zawsze poszukiwane są służące, pomocnice domowe czy osobiste pokojówki pani domu. Ale lektorka czy coś takiego — no, to już dużo wyżej.

Myślę, że ktoś z innym charakterem znosiłby to lepiej niż ja, ale ja nigdy nie mogłam znieść niesprawiedliwości; a dawniej, gdy przychodziłam do tego domu, byłam na równych prawach z Teodozją.

Z trudem godziłam się z moją pozycją i tylko perspektywa opuszczenia St. Erno zmuszała mnie do pozostania tutaj.

Jadałam sama w moim pokoju, czytając wówczas książki, pożyczane z Giza House. Nie widywałam Teobalda, gdyż na pewien czas wyjechał wtedy z ojcem na wykopaliska, prowadzone w którymś ze środkowych hrabstw, ale Tabita, zawsze gdy przyszłam, miała dla mnie książki.

Mówiła:

— Teobald uważał, że to cię zainteresuje.

Książki, odwiedzanie Tabity i świadomość, że Dorcas i Alison były szczęśliwie urządzone, to były jedyne jasne chwile mego życia w tym czasie.

Widywałam od czasu do czasu Teodozję. Byłaby dla mnie miła, gdyby dopuszczała do tego jej matka. W Teodozji nie było nic złośliwego ani wyniosłego. Była bierna; przybierała barwy otoczenia, nigdy nie była niemiła w sposób aktywny, ale niewiele robiła, by złagodzić moją sytuację. Może pamiętała, że w przeszłości znęcałam się nad nią.

Gdy spotykałam sir Ralfa, pytał, jak się miewam, i posyłał mi to rozbawione spojrzenie, które już dobrze znałam. Nie mogłam mu powiedzieć: nie znoszę pańskiej żony i odeszłabym stąd jutro, gdybym nie wiedziała, że bez względu na to, jak bardzo jestem tu nieszczęśliwa, o wiele bardziej nieszczęśliwa byłabym gdzie indziej.

Chodziłam do Tęczowego Domku, do Alison i Dorcas tak często, jak tylko mogłam. To był interesujący mały domek sprzed niemal trzystu lat, jak sądzę. Zbudowany został w czasach, gdy każda rodzina, która zdołała zbudować dom w ciągu nocy, mogła rościć sobie prawo do własności gruntu, na którym stanął. Uświęconym zwyczajem zbierano najpierw cegły i dachówki; przystępowano do budowy zaraz po zapadnięciu zmroku i pracowano przez całą noc. Cztery ściany i dach stanowiły mieszkanie i to do rana stawiano. Potem dodawano pomieszczenia. Tak było z Tęczowym Domkiem. Gdy Bodreanowie weszli w posiadanie domu, przeznaczyli go dla swej służby i znacznie rozbudowali, ale niektóre dawne osobliwości pozostały, takie jak stary zapiecek — rodzaj występu na ścianie, na którym sypiały dzieci i na który wchodziło się po drabinie. Teraz dom szczyił się w miarę dobrą

kuchnią z dachówek, w której Dorcas wypiekała najwysmienitszy chleb, jaki kiedykolwiek jadłam; był tam też wielki garnek do warzenia mleka. Dorcas i Alison czuły się naprawdę szczęśliwe w Tęczowym Domku z jego pełnym uroku ogródkiem, choć oczywiście brakowało im przestronnej plebanii.

Z żalem zostawiałam je i wracałam do Keveral Court, do moich uciążliwych obowiązków; pocieszałam się złośliwym naśladowaniem lady Bodrean — paradowałam po bawialni domku i potrząsałam wyimaginowanym loignon.

— A sir Ralf — pytały nieśmiało — często go widzisz?

— Bardzo rzadko. Nie należę przecież, jak wiecie, do rodziny.

— To skandal — mówiła gorąco Dorcas, lecz Alison ją uciszała.

— Zupełnie inaczej było, gdy chodziłaś tam na lekcje — poskarżyła się Dorcas.

— Tak, nie myślałam wtedy o tym, że nie jestem jedną z nich. Ale wówczas nie pracowałam, i to zdumiewające, w jak małym stopniu byłam świadoma obecności lady Bodrean... na szczęście.

— To się może zmienić — odważyła się powiedzieć Alison.

Byłam z natury optymistką i nawet w tym ponurym okresie nie przestawałam snuć marzeń. Na ogół się powtarzały. Przyjęcie — ktoś z gości, któraś z pań, nie może przybyć. Trzynaście osób nie powinno zasiać do stołu. Doskonale, jest przecież lektorka. „No, można ją pokazać. Ostatecznie tu otrzymała wykształcenie”. Schodzę więc na obiad, w sukni, którą wyszukała dla mnie Teodozja (wyglądała w niej okropnie, ale na mnie leżała bardzo dobrze), i oto znajduję się „obok kogoś, kogo znasz” — szepcze Teodozja. „Och! — woła Teobald — Jak miło panią ujrzeć.” Rozmawiamy i wszyscy widzą, jak bardzo jest zajęty swoją sąsiadką przy stole i potem jej nie odstępuje. „Jakże się cieszę, że lady X... Y... Z...” — mniejsza o jej nazwisko! — „Jak się cieszę, że nie mogła dziś przyjechać”.

Marzenia! Marzenia! Co mi jednak pozostawało innego w tym okresie życia, który nie dawał mi żadnego zadowolenia?

Czytałam, aż dostałam chrypki.

— Ma pani dziś niedobry głos, miss Osmond. Mój Boże, jakie to nieznośne! Czytanie dla mnie to jeden z pani głównych obowiązków, których spełnienia oczekuję.

Siedziała tak, a igła bez końca chodziła tam i z powrotem, wlokąc za sobą ogon czerwonej, niebieskiej czy fioletowej nici; byłam pewna, że nie słuchała, co czytam. Gdybym tak mogła czytać którąś z książek przyniesionych z Giza House!

Miałam czasem chęć spłatać figla i zamienić książki, żeby sprawdzić, czy zauważy różnicę.

Czasem odkładała na bok swą robotę i zamykała oczy. Czytałam dalej nie wiedząc, czy śpi. Przerzywałam czytanie, by zobaczyć, czy to spostrzeże. Często przyłapywałam ją na spaniu; ale bywało, że ona przyłapywała mnie z kolei, budząc się nagle i pytając, dlaczego nie czytam.

Odpowiadałam potulnie:

— Sądziałam, że pani śpi, lady Bodrean. Nie chciałam pani obudzić.

— Nonsens — odparowywała. — Proszę czytać dalej, a *ja sama* powiem, kiedy należy przestać.

Trzymała mnie tego dnia nad książką, aż zmęczył mi się wzrok i głos mój stał się znużony. Chciałam uciec za wszelką cenę, ale jak zawsze powstrzymywała mnie myśl, że wtedy będę musiała wyjechać i mogę już nigdy nie zobaczyć Teobalda.

Orange i Lemon okazały się błogosławieństwem, bo musiały odbywać codzienne spacerki, co dawało mi możliwość wyjścia z domu; łatwo było przemknąć się do Giza House na pogawędkę z Tabitą.

Pewnego dnia, gdy przyszłam, od razu poznałam, że zdarzyło się coś niezwykłego. Tabita wprowadziła mnie do salonu i powiedziała, że sir Edward planuje wyprawę wykopaliskową do Egiptu. Miała to być jedna z jego najbardziej ambitnych ekspedycji i Tabita miała nadzieję, że weźmie w niej udział.

— Teraz, gdy Sabina wyszła za mąż — powiedziała — nie ma potrzeby bym tu była.

— Czy będzie pani miała jakieś zadanie?

— Nieoficjalnie, oczywiście, ale mogę się przydać. Mogę prowadzić sprawy gospodarcze, jeśli to będzie konieczne, a i sporo się już nauczyłam. Mogę się przydać do różnych usług, jak to zwykle bywa z amatorami.

Spojrzałam na nią z podziwem.

— Jakże pani zazdroszczę!

Uśmiechnęła się, tym swoim łagodnym, słodkim uśmiechem.

— Lady Bodrean musi być bardzo męcząca, jak sędzę.

Westchnęłam.

Zaczęła znów mówić o wyprawie.

— Czy Teobald będzie ojcowi towarzyszył? — zapytałam.

— O, na pewno. Będzie to, jak dotąd, jedna z najważniejszych misji. Cały świat archeologiczny o niczym innym nie mówi. Wiesz oczywiście, że sir Edward jest jednym z najwybitniejszych uczonych w tej dziedzinie.

Przytaknęłam.

— A Teobald idzie w jego ślady.

Spojrzała na mnie bystro; zastanawiałam się, czy nie zdradziłam się ze swymi uczuciami.

— Jest nieodrodnym synem swego ojca — powiedziała. — Ludzie tacy jak oni mają jedną wielką pasję w życiu... swoją pracę. To coś, o czym ich otoczenie powinno zawsze pamiętać.

Nie mogłam się nigdy oprzeć chęci mówienia o Teobaldzie.

— Sir Edward wydaje się jakby bardziej daleki. Ma się wrażenie, że nie dostrzega innych.

— Od czasu do czasu zstępuje z obłoków... może powinnam powiedzieć — z ziemi. Nie pozna się takiego człowieka w ciągu kilku lat. Trzeba na to całego życia.

— Tak — powiedziałam. — Pewnie dlatego są tak interesujący.

Uśmiechnęła się łagodnie.

— Myślę czasem, że tacy ludzie powinni wieść życie pustelników czy mnichów. Praca jest ich rodziną.

— Czy pani znała lady Travers?

— Pod koniec jej życia, tak.

— I sądzi pani, że sir Edward jest szczęśliwszy jako wdowiec, niż był jako mąż?

— Czy takie wywołałam wrażenie? Przyjechałam do nich jako ktoś mający zarządzać domem, z pewnymi przywilejami. Zналиśmy ich od kilku lat i gdy wynikła taka potrzeba... przyjąłm to stanowisko, tak jak ty swoje.

^c A potem lady Travers umarła?

— Tak.

Chciałam wiedzieć, jaka była matka Teobalda, i, jak mi to często powtarzały Dorcas i Alison, nie byłam taktowna. Popełniłam więc gafę.

— To nie było bardzo szczęśliwe małżeństwo, prawda?

Robiła wrażenie wstrząśniętej.

— No, cóż... Niewiele ich łączyło, a jak mówiłam, ludzie tacy jak sir Edward, nie są wzorowymi mężami.

Byłam pewna, że dała mi ostrzeżenie.

Powiedziała pogodnie, z ożywieniem:

— Pamiętasz Evana Calluma?

— Oczywiście.

— Przyjedzie nas odwiedzić. Słyszałam, że i Hadrian wraca. Niedługo będą tu obydwaj. Zainteresuje ich ekspedycja sir Edwarda.

Prowadziłam dalej rozmowę, choć wiedziałam, że nie powinnam. Chciałam się jak najwięcej dowiedzieć. Tabita była dość ożywiona.

— Byłoby cudownie, gdyby udało ci się przyjść. Na pewno wołałabyś to, niż zajmowanie się niezbyt miłą damą.

— Ach, gdybym tylko mogła.

— No nic, może któregoś dnia...

Wróciłam oszołomiona do Keverall Court. Znowś snułam fantazje. To była moja jedyna pociecha. Tabita zachorowała, nie mogła wziąć udziału w wyprawie. „Ktoś musi pojechać zamiast niej” — mówi sir Edward. „Wiem — mówi Teobald — a miss Osmond? Zawsze tak się pasjonowała”.

Co za absurd i nielojalność wobec Tabity — życzyć jej, by zachorowała!

— Jestem zdziwiona, miss Osmond — powiedziała lady Bodrean — dzwonię od pół godziny.

— Przepraszam, straciłam rachubę czasu.

— Straciła pani rachubę czasu! Nie jest tu pani po to, żeby zapominać o czasie, panno Osmond. Nie za to otrzymuje pani zapłatę, wie pani?

Dlaczego nie powiedziałam tej antypatycznej starej kobiecie, że nie będę się jej już wysługiwać?

Po prostu dlatego — odpowiedziało moje logiczne ja — że musiałybyś wtedy coś ze sobą zrobić. Musiałabyś wyjechać. A czy zobaczyłabyś jeszcze kiedykolwiek Teobalda, gdybyś wyjechała?

Zdradziłam się chyba z niemożnością znoszenia mojego losu z podaniem i lady Bodrean, jak się zdaje, postanowiła mnie do tego zmusić.

Przypominała mi częściej, niż to było konieczne, że należę do płatnych sług. Na wszelkie sposoby próbowała ukrócić moją swobodę. Dawała mi polecenia i ustalała czas ich wykonania. Zmuszała mnie do chodzenia z nią po ogrodach i noszenia za nią koszyka, gdy ścinała kwiaty; kazała mi układać bukiety — moje wysiłki przy tego rodzaju przedsięwzięciach rozśmieszały zawsze Dorcas i Alison. Mawiały wtedy: „Jeśli ktoś może rozłożyć bukiet, to Judyta”. Na plebanii to był żart, tutaj była to sprawa poważna. Jeśli tylko mogła mnie upokorzyć — robiła to, szukała też po temu okazji i niejedną znajdowała.

Zrozumiałam przynajmniej — mówiłam sobie — jak szczęśliwy dom dały mi Dorcas i Alison, i na zawsze powinnam zachować dla nich za to wdzięczność.

Nie zapomnę dnia, gdy powiedziała mi o balu w Keverall Court.

— Oczywiście, młoda dama o pozycji mojej córki musi zostać wprowadzona w świat zgodnie z przyjętymi formami. Jestem pewna, że zdaje sobie pani z tego sprawę, miss Osmond, bo choć sama nie zajmuje pani takiej pozycji, czegoś się chyba pani dowiedziała o eleganckim życiu, gdy pozwolono pani tu przychodzić na lekcje.

— Elegancja jest czymś, z czym się obecnie nie stykam.

Nie rozumiała.

— Miała pani dużo szczęścia, że pozwolono pani na to patrzeć przez pewien czas. Zawsze uważałam za błąd dawanie ludziom wykształcenia powyżej ich pozycji.

— Dzięki temu czasem synowie i córki duchownych posiadających wielką wiedzę mogą być użyteczni ludziom wyżej stojącym.

— Cieszy mnie, że tak pani na to patrzy, miss Osmond. Muszę przyznać, że nie zawsze okazuje pani tak stosowną pokorę.

To była niezmiernie głupia kobieta. Mówiono, że sir Ralf poślubił ją dla majątku. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego to zrobił, sam był człowiekiem majątnym i przy zdrowych zmysłach. Ale mogłam zrozumieć, dlaczego zasłużył sobie na opinię, że wszędzie szuka pociechy.

— Czekaj więc panią teraz dużo pracy. Trzeba napisać i wysłać zaproszenia. Nie ma pani pojęcia, miss Osmond, co pociąga za sobą wydanie takiego balu.

— Trudno po mnie tego oczekiwać — odpowiedziałam — gdy pochodzę z takiej sfery towarzyskiej.

— Ale cóż znowu. To będzie dla pani pouczające. Takie doświadczenie dla kogoś z pani pozycją jest nadzwyczaj cenne.

— Z całą pokorą zrobię, co tylko będzie w mojej mocy — odcięłam się z ironią.

Ale tego oczywiście lady Bodrean nie zauważyła.

Jane, pokojówka lady Bodrean, mrugnęła na mnie.

— Napije się pani herbaty? — zapytała. — Jest gotowa.

Miała małą lampę spirytusową w swoim pokoju, który urządziła bardzo wygodnie.

— Ach, wiem jak dbać o swoje sprawy — powiedziała.

Usiadłam, a ona nalała herbatę.

— Założę się, że pani dokuczyła.

— Myślę, że moje towarzystwo nie jest dla niej rozkoszą. Zastanawiam się, dlaczego nie robi sobie przyjemności pozbycia się mnie.

— Znam ją. Świetnie się bawi. Ona uwielbia ludzi dręczyć. Zawsze taka była. Byłam przy niej jeszcze przed jej zamążpojsciem. Robi się coraz gorsza.

— To nie może być dla pani miłe?

— Och, umiem sobie z nią poradzić. Słodzi pani, miss Osmond?

— Tak, dziękuję — powiedziałam w zadumie. — Ona wydaje się bardziej mnie nie lubić, niż ma do tego podstawy. Proszę zauważyć, gotowa jestem przyznać, że nie najlepiej wykonuję moje obowiązki. Nie mogę sobie wyobrazić, dlaczego nie robi w końcu tego, o czym ciągle napomyka. Nie oddali mnie.

— Ona tego nie chce. Nad kim będzie się wtedy znęcać?

— Ma w czym wybierać. Na pewno wśród was wszystkich znajdzie się ktoś, kto będzie się nadawał do dręczenia.

— Och, pani żartuje, miss Osmond. Chociaż myślę czasem, że pani lada moment wybuchnie.

— Ja też — przyznałam.

— Pamiętam, jak pani tu przychodziła na lekcje. Mówiliśmy wtedy: >Słowo honoru, ta ma w sobie więcej charakteru niż cała reszta, razem

wzięci. Prawdziwy mały podżegacz!". A gdy się zdarzył jakiś figiel, mawialiśmy: „Wierzcie mi. To sprawka Judyty Osmond”.

— A teraz jest pani świadkiem metamorfozy Judyty Osmond.

— Co? To się już zdarzało. Guwernantka dzieci, która była tu przed miss Graham. Dziewczyna o miłym usposobieniu. Ale niedługo tu była, jak się zaczęło. Sir Ralf nie spuszczał z niej oczu, a gdy lady Bodrean wzięła się do dzieła... Niech mi pani wierzy, zmieniła się. Dawniej sir Ralf... on to dopiero był! Żadna kobieta nie była bezpieczna. On też się bardzo zmienił. Uspokoił się. Widziałam te jego różne niesamowite „zawroty głowy”. Przyhamował się trochę. Było kilka skandali!

Podeszła do mnie bliżej i jej małe, żywe, piwne oczy zabłyśły uciechą.

— Kobiety — powiedziała. — Nie umiał zostawić w spokoju ładnej dziewczyny. Wywoływał awantury. To było na początku. Nieraz słyszałam... byłam w drugim pokoju, wie pani. Nie mogłam nie słyszeć, choć próbowałam.

Wyobrażałam ją sobie z uchem przy dziurce od klucza, gdy młody Don Juan — sir Ralf stał pod pręgierzem oskarżeń rozgniewanej małżonki.

— Po jakimś czasie zrozumiała chyba, że nic na to nie poradzi. On poszedł swoją drogą, ona swoją. Chciał mieć syna, naturalnie. Ale nie było już dziecka po miss Teodozji. Więc zjawił się tu panicz Hadrian. Ale ona... jej lordowska mość... coraz częściej okazywało się, że trafiła kosa na kamień, a jak już raz wbiła komuś nóż w plecy, wiadomo było, że nie przestanie nim obracać.

Powiedziałam:

— Myślę, że powinnam zejść jej z drogi.

Jane podeszła do mnie jeszcze bliżej i wyszeptwała poufnie:

— Może pani znaleźć lepsze miejsce. Myślałam o tym. A miss Teodozja?

— Jak to?

— Ten bal... no, przecież to jest jakby wprowadzenie w świat. Zaproszeni będą wszyscy bogaci dżentelmeni z sąsiedztwa. I później będą bale i różne różności. Wie pani, do czego to wszystko ma prowadzić. Miss Teodozja będzie się przed nimi popisywać... wszystkimi swoimi urokami, a bynajmniej nie najmniejszym z nich będzie

piękne złote wiano, połyskujące na jej szyi. „Młodzi panowie, przedstawiajcie swoje listy uwierzytelniające, składajcie oferty”. Pani zawsze miała gotową odpowiedź, prawda? Mówiłam nieraz do miss Graham: „Boże, ta to umie się odezwać”. Ale do czego zmierzam. Niedługo znajdą męża dla miss Teodozji, a pani jest jej przyjaciółką... więc...

— Ja — przyjaciółką. Żeby tylko nie doszło do uszu lady Bodrean, że mnie pani tak nazywa. Pewna jestem, że byłaby oburzona w najwyższym stopniu.

— No, teraz to gorycz przez panią przemawia. To dlatego, że była pani traktowana jak jedna z nich, a teraz zajmuje tu pani płatną posadę. Musi pani być sprytna. Byłyście z Teodozją razem jako dzieci. To pani jej rozkazywała. Teodozja nie jest podobna do matki. Gdyby jej pani przypomniała o waszej przyjaźni.

— Wkradać się w łaski córki domu?

— Możecie znów się zaprzyjaźnić, a kiedy wyjdzie za mąż... rozumie pani, co mam na myśli? *Madame* Teodozji potrzebna będzie pani do towarzystwa, a któż może być lepszy od starej przyjaciółki? Co pani sądzi o tym pomysłe?

— Makiawelski — powiedziałam.

— Może się pani śmiać. Ale ja nie chciałabym spędzić życia na zajmowaniu się tą zgryźliwą staruchą.

— Ale przypuśćmy, że Teodozja nie wyjdzie za mąż?

— Teodozja nie wyjdzie za mąż? Oczywiście, że wyjdzie. Już zresztą mają dla niej odpowiedniego kandydata. Słyszałam, jak sir Ralf mówił o tym z jej lordowską mością. Była przecież cała awantura. Ona powiedziała: „Jest pan przez tych ludzi opętany. Sądziłam, że myśli pan o Hadrianie dla Sabiny.

— Co? — powiedziałam słabo.

— Mogłabym się z panią założyć, miss Osmond, że przed upływem roku zaręczyny będą ogłoszone. Ostatecznie jest tytuł. Pieniądze... no, nie jestem tego pewna, ale przecież miss Teodozja będzie miała dość. Sądzę, że po śmierci ojca odziedziczy wszystko. Będzie jedną z najbogatszych pań w kraju. Oczywiście, nie powiedziałabym właściwie, że są biedni, ale pieniądze zawsze się przydadzą, a mówią, że on włożył majątek w tę swoją pracę. Muszę przyznać, że to dziwny sposób trwonienia pieniędzy. Gdy się pomyśli, co można z nimi zrobić... i to

wszystko idzie na kopanie ziemi w obcych krajach. Mówią, że w niektórych miejscach jest tak gorąco, że nie można wytrzymać.

Zapytałam, choć znałam już odpowiedź:

— Więc dla Teodozji wybrali... ?

— Syna, oczywiście. Pana Teobalda Traversa. Tak, to właśnie jego wybrali dla Teodozji.

Nie mogłam dłużej tu siedzieć i słuchać jej paplania.

Sir Edward i Teobald wrócili do Giza House i byli na obiedzie w Keverall Court. Pod pretekstem układania kwiatów byłam obecna w hallu, gdy się zjawili.

Teobald powiedział:

— To miss Osmond, prawda? — jak gdyby musiał dobrze się przyjrzeć, żeby być pewnym. — Jak się pani miewa?

— Jestem teraz lektorką, wie pan.

— Tak, słyszałem. Czy wciąż pani tyle czyta?

— Żarłocznie. Pani Grey tak bardzo mi w tym pomaga.

— To dobrze. Ojczy, to miss Osmond.

Sir Edward posłał mi swe błędne spojrzenie.

— To miss Osmond udawała mumię. Chciała wiedzieć, jak to jest, gdy się jest zabalsamowanym i leży w sarkofagu. Czytała wiele twoich książek.

Teraz sir Edward skierował na mnie uwagę. Oczy mu zabłyśły. Myślę, że historia mumii go rozbawiła. Był teraz bardziej podobny do Teobalda.

Chciałam stać tu i rozmawiać z nim. Lady Bodrean ukazała się u szczytu schodów. Zastanawiałam się, czy słyszała mój głos.

— Mój *drogi* sir Edwardzie... i ... Teobald? — Spłynęła majestatycznie po schodach. — Zdawało mi się, że rozmawia pan z moją lektorką.

Poszłam więc do pokoju i zostałam tam przez cały wieczór. Wytchnienie od mego tyrana, bo była zajęta gośćmi. Wyobraziłam ich sobie, siedzących przy stole, i Teodozję, wyglądającą pięknie w różowej atłasowej sukni — łagodną, wrażliwą, uległą, z ogromną fortuną, która może tak się przydać do sfinansowania ekspedycji wykopaliskowych do egzotycznych miejsc.

Chyba nigdy nie czułam się tak beznadziejnie, jak w owej chwili, świeżo mając w pamięci ostatnie spotkanie z Teobaldem — które potwierdziło wszystko, co o nim myślałam — byłam bardziej niż kiedykolwiek pewna, że jest on jedynym mężczyzną, który się dla mnie liczy. Zadawałam sobie pytanie, czy powinnam natychmiast złożyć rezygnację.

Ale oczywiście to nie wchodziło w grę przy moim usposobieniu. Dopóki nie był mężem Teodozji, będę dalej marzyć... i żywić nadzieję.

Przespacerowałam się z psami do Giza House, i gdy już tam byłam, usłyszałam, że ktoś woła: „Judyta”.

Odwrociłam się i zobaczyłam Evana Calluma wychodzącego z domu.

— Judyta — wołał, wyciągając do mnie rękę — jakże się cieszę.

— Słyszałam, że przyjechałeś — powiedziałam. — Jak miło cię zobaczyć.

— A jak twoje sprawy?

— Zmieniły się — powiedziałam.

— Na lepsze?

— Pastor zmarł. Wiesz, że OHver ożenił się z Sabina, a ja jestem teraz lektorką lady Bodrean.

Skrzywił się.

— Ach — uśmiechnęłam się — przeczuwasz, co to znaczy.

— Pracowałam tu kiedyś, jak pamiętasz, jako coś w rodzaju waszego nauczyciela. Na szczęście moja praca nie podpadała pod jej jurysdykcję. Biedna Judyta!

— Powtarzam sobie pięćdziesiąt razy dziennie, że nie należy się martwić sobą. Więc jeśli *ja* się nie martwię, to i tobie nie wolno.

— Ale ja się martwię. Byłaś moją najlepszą uczennicą. Tyle miałaś zapału, a to jedna z najcenniejszych rzeczy w tym zawodzie. Entuzjazm! Dokąd byśmy bez tego zaszli?

— Czy będziesz im towarzyszył w tej wyprawie?

— Niestety nie. Nie mam wystarczającego doświadczenia, by przypadł mi ten zaszczyt. Będzie teraz dużo bieganiny pomiędzy Keverall i Giza House. Namawiają sir Ralfa, żeby pomógł w finansowaniu wyprawy.

— On zawsze bardzo się nią interesował. Myślę, że uda im się osiągnąć to, co zamierzają.

— Teobald nie ma wątpliwości.

Rozejrzał się dokoła.

— Jak to przypomina dawne lata. Ty, Hadrian, Teodozja, Sabina. To dziwne, najmniej zainteresowana była Sabina. Czy oni się zmienili?

— Sabina jest żoną pastora. Rzadko ją widuję. Moje obowiązki nie pozostawiają mi dużo wolnego czasu. Gdy tylko mogę, odwiedzam Dorcas i Alison i tutaj przychodzę, do pani Grey, która jest tak dobra, że pożycza mi książki.

— Z naszej dziedziny, oczywiście?

— Oczywiście.

— To dobrze. Nie zniósłbym myśli, że *tobie* się to mogło sprzykrzyć. Słyszałem, że Hadrian ma być w domu pod koniec tygodnia.

— Nie wiedziałam. Mnie się takich rzeczy nie mówi.

— Biedna Judyta. Życie jest czasem niesprawiedliwe.

— Może miałam swój udział w szczęściu. Czy wiedziałeś, że byłam znaleziona w pociągu?

— Porzucone dziecko!

— Niezupełnie. To było podczas katastrofy. Moi rodzice zginęli i nikt się o mnie nie upomniał. Mogłam być znaleziona w sierocińcu... nikogo z was nie spotkać... nigdy nie znaleźć fragmentu tarczy z epoki brązu i nigdy nie przeczytać żadnej książki z Giza House.

— Zawsze myślałem, że jesteś daleką krewną pastora.

— Wiele osób tak myślało. Dorcas i Alison uważały, że lepiej będzie utrzymywać, że jestem czymś w rodzaju dalekiej kuzynki. Ale nie wiadomo, kim jestem... i moje wielkie szczęście na tym polegało, że przyjęły mnie do siebie i życie dotychczas było wspaniałe. Może teraz muszę płacić za ten cudowny łut szczęścia na początku? Myślisz, że takie może być rozwiązanie?

— Nie — powiedział — to tylko pewien etap. Na każdego przychodzi. Ale w Keverall jest Teodozja, a ona jest twoją przyjaciółką. Jestem pewien, że nigdy nie bywa niezyczliwa dla ciebie.

— Nie, ale rzadko ją widuję. Zawsze jestem bardzo zajęta nadskakiwaniem jej mamusi.

Rzucił mi spojrzenie pełne współczucia.

— Biedna Judyto — powiedział — może tak nie będzie zawsze. To jest jak powtarzający się splot w tkaninie. Byliśmy tu wszyscy razem i teraz znów jesteśmy.

— Żałuję, że nie doceniłam całego przepychu tego splotu, gdy los go tknął — jeśli trzymać się twojej metafory.

— To częsta tragedia w życiu, nie sądzisz? Nie doceniamy rzeczy dobrych, gdy nas spotykają.

— Będę doceniać w przyszłości.

— Mam nadzieję, że wszystko się zmieni, Judyto. Musimy się często spotykać.

— Ale bariery towarzyskie rozdziela nas, bo gdy przyjdiesz z wizytą do Keverall Court, będziesz gościem.

— Przeskoczę każdą barierę, którą pomiędzy nami ustawią — zapewnię.

»

Odprowadził mnie do domu. Jego powrót do St. Erno bardzo mnie podniósł na duchu.

Hadrian przyjechał pod koniec tygodnia. Byłam w ogrodzie, dokąd zostałam wysłana po róże, gdy mnie zobaczył i zawołał:

— Judyto! — wziął mnie za rękę i przypatrywaliśmy się sobie bacznie.

Hadrian zrobił się przystojny — a może zawsze był, tylko ja nie zwracałam na to szczególnej uwagi. Jego gęste brązowe włosy zbyt nisko zarastały czoło — albo może uważałam, że zbyt nisko, bo jednym z najbardziej uderzających rysów Teobalda było jego wysokie czoło? Hadrian miał w sobie coś sympatycznego, co było wrodzone, i choć więcej było w nim teraz gorczy, błysk humoru nie zniknął z jego szaro-niebieskich oczu. Był średniego wzrostu, miał szerokie barki; gdy mnie witał, jego oczy zapaliły się w sposób dodający otuchy. Czułam, że Hadrian należy do ludzi, na których mogę polegać.

— Zostałeś uczonym, Hadrianie — powiedziałam.

— Zostałaś pochlebca. I lektorką! Mojej ciotki! Jak mogłaś, Judyto?

— Łatwo to wytłumaczyć. Gdy ktoś nie ma pieniędzy, musi je zarobić. I to właśnie robię.

— Ale ty — panią do towarzystwa! Ścinasz róże... założę się, że zawsze ścinasz niewłaściwie.

— I nie mylisz się! To pewne, że zamiast czerwonych powinnam ściąć żółte, ale mam tę pociechę, iż wiem o tym, że gdybym wybrała żółte, jej wybór padłby na czerwone.

— Moja ciotka to tyran! Wiem. Nie wydaje mi się, żeby taka praca była dla ciebie dobrym rozwiązaniem. Kto podsunął taką myśl?

— Twój wuj. I powinniśmy mu być naprawdę wdzięczni, bo gdyby nie doprowadził do tego, że tu jestem, ścinałabym róże lub spełniałabym inne podobne obowiązki dla innego tyrana, może o całe mile stąd — nie mogłabym z tobą rozmawiać, ani widywać Evana i ... ee ...

— To skandal. I właśnie ty spośród nas wszystkich. To przecież zawsze ty wszystkimi rządziłaś.

— Wiem. To po prostu kara. Ciemnościel sam jest teraz ciemżony. Złapana we własne sidła. Jednak miło wiedzieć, że nie wszyscy w rodzinie uważają mnie za pariasa teraz, gdy muszę wykonywać to upokarzające zadanie zarabiania na życie.

— Nareszcie znów jesteśmy razem. Evan, ty, Teodozja, ja..., a co z Sabina?

— Doskonale gra rolę żony pastora.

— Nie mogę uwierzyć.

— Życie układa się inaczej, niż oczekujemy.

Teodozja weszła do ogrodu. Miała białą muślinową suknię w jasno-błękitne kropki i słomkowy kapelusz z niebieskimi wstążkami. Wyrosła prawie na piękność — pomyślałam z ostrym ukłuciem bólu.

— Mówiłem właśnie Judycie, że jak w dawnych czasach, jesteśmy wszyscy razem — powiedział Hadrian. — Evan i Teobald ...

Zauważyłam, że lekko się zarumieniła i pomyślałam o słowach Jane. Więc to była prawda. Nie, to nie mogło być prawdą! Nie Teobald i Teodozja. To absurdalne. Ale była niemal piękna: była właśnie odpowiednia; i była spadkobierczynią. Na pewno Teobald nie ożeni się dla pieniędzy. Ależ oczywiście, że tak. To był naturalny porządek rzeczy. Sabina nie wyszła za mąż dla pieniędzy, bo OHver jako pleban nie miał w nadmiarze tego pożytecznego artykułu. Jak bardzo się zmieniliśmy wszyscy. Lekkomysłna Sabina żoną pastora; nieskomplikowana Teodozja ma poślubić mego cudownego Teobalda; a ja, dumna ja, która przewodziłam w pokoju szkolnym, jestem lektorką, której chlebem codziennym jest służba i upokorzenie.

— Evan, Teobald, ja, ty, Judyta i Sabina z OHverem na plebanii — mówił Hadrian.

— Tak — powiedziała Teodozja; patrzyła na mnie nieśmiało, ze skruchą, bo tak rzadko mnie widywała, odkąd znalazłam się w Keverall Court. — To... to tak miło, że Judyta tu jest.

— Naprawdę? — zapytałam.

— Ależ oczywiście. Zawsze byłaś jedną z nas, prawda?

— Ale teraz jestem tylko lektorką.

— Ach, słuchasz tego, co mówi mama.

— Muszę, to należy do moich obowiązków.

— Mama bywa trudna.

— Nie musisz przebywać z nią przez cały czas — pocieszał mnie Hadrian.

— Wydaje mi się, że niewiele czasu z nią nie jestem.

— Musimy to zmienić, prawda, Teodozjo?

Teodozja skinęła głową i uśmiechnęła się.

Te spotkania podniosły mnie na duchu. To był jakby trochę powrót do dawnych czasów.

Dużo mówiło się o nadchodzącym balu.

— To będzie największy bal od lat — powiedziała Jane. — Miss Teodozja wchodzi w świat. — Łypnęła na mnie okiem. — Ustalono termin teraz, kiedy wszyscy tu są. Lady Bodrean ma nadzieję, że zaręczyny zostaną ogłoszone, zanim oni wyjadą do Egiptu.

— Myśli pani, że pan Travers zabierze ze sobą swoją świeżo poślubioną małżonkę?

— Z tego, co mówią — nie będzie na to czasu. To będzie taki ślub, który wymaga całych miesięcy przygotowań, jak myślę. Jej lordowska mość nie zgodzi się na inny. Na spokojny, cichy ślub, taki jak miała Sabina i nowy proboszcz. Lady Bodrean nie pozwoli na to swej jedynej córce.

— No dobrze, ale jeszcze nie są zaręczeni?

— Teraz to już możliwe każdego dnia, wspomni pani moje słowa.

Zaczęłam wierzyć, że miała rację, gdy rozmawiałam z Teodozją, która od powrotu Hadriana widywała mnie o wiele częściej. Miałam

wrażenie, jakby chciała mi wynagrodzić to, że przedtem pozostawała z dala ode mnie.

Jedyne momenty, gdy lady Bodrean była odrobinę wobec mnie grzeczniej sza, zdarzały się wtedy, gdy mówiła o balu Teodozji; od razu zrozumiałam, że chciała wywołać we mnie zazdrość. Teodozja mogła mieć wszystkie bale, jakich tylko zapragnie, byleby zostawiła mi Teobalda.

— Mogłaby pani pomóc w szyciu Sarze Sloper — powiedziała lady Bod/ean. — Jest pięćdziesiąt jardów koronki, z której ma być uszyta suknia na bal dla mojej córki. A za godzinę proszę być gotową do czytania i proszę nie zapomnieć, nim pani pójdzie, wyjść na spacer z psami.

Sara Sloper była zbyt dobrą krawcową, by mi pozwolić na dołożenie choćby jednego ściegu do kreacji, która leżała rozłożona na stole — piana miękkiego, błękitnego szyfonu z pięćdziesięcioma jardami bladoniebieskiej koronki.

Teodozja przyszała do przymiarki, pomogłam jej więc włożyć suknię. Będzie w niej wyglądała uroczo — pomyślałam ze ściśniętym sercem. Mogłam ją sobie wyobrazić, płynącą po sali balowej w ramionach Teobalda.

— Podoba ci się, Judyto? — zapytała.

— Kolor jest doskonale dobrany.

— Bardzo lubię tańczyć — powiedziała.

8

Poskakała z radości dokoła, a ja poczułam się tak, jakbym znów **była** w szkolnym pokoju. Podeszłam do niej i skoniłam się. *"

— Miss Bodrean, czy mogę prosić o ten taniec?

Zrobiła głęboki dyg. Ujęłam jej dłoń i zaczęłyśmy tańczyć dokoła pokoju, a Sara Sloper przyglądała się nam z uśmiechem.

— Jakże pięknie pani dziś wygląda, miss Bodrean.

— Dziękuję panu, sir.

— Jak miło z pani strony, że dziękuje mi pani za dary, których użyczyła pani natura.

— Ach, Judyto, ani trochę się nie zmieniłaś. Chciałabym...

Sara Sloper skoczyła nagle na równe nogi i złożyła dyg przed sir Ralfem, który stał w drzwiach i obserwował nas.

Nasz taniec urwał się natychmiast. Zastanawiałam się, co powie, widząc lektorkę tańczącą tak poufale z jego córką.

Najwyraźniej nie był tym wcale zmartwiony.

— Z wdziękiem, nie sądzisz, Saro? — zapytał.

— O tak, sir, z pewnością, sir — wyjąkała Sara.

— A więc to jest twoja balowa suknia?

— Tak, ojczy.

— A miss Osmond? Czy ona ma suknię balową?

— Nie mam — odrzekłam.

— A dlaczego?

— Bo osobie z moją pozycją nie jest specjalnie potrzebny **taki** strój.

Spostrzegłam, że podbródek drgnął mu w znany mi sposób.

— Ach, prawda — powiedział — teraz jest pani lektorką. Słyszałem o pani od lady Bodrean.

— Wątpię więc, by słyssał pan o mnie coś dobrego.

Nie wiem, dlaczego mówiłam do niego w ten sposób. To był nieodparty impuls, choć wiedziałam, że zachowuję się w sposób, który nazwano by zuchwałym u kogoś w moim położeniu, i że narażam się na utratę pracy.

— Bardzo niewiele — zapewnił mnie, potrząsając ponuro głową.

— Właściwie zupełnie nic.

— Tego się obawiałam.

— Naprawdę? Cóż za przeobrażenie. Zawsze mi się wydawało, że jest pani nieustraszoną młodą damą.

Ściągnął krzaczaste brwi.

— Wcale pani nie widuję. Gdzie się pani obraca?

— Nie w pana kręgach, sir — odpowiedziałam, świadoma, że przynajmniej on nie żywi do mnie niechęci i że raczej bawią go moje impertynenckie riposty.

— Zaczynam tego żałować.

— Ojczy, czy podoba ci się moja suknia? — zapytała Teodozja.

— Bardzo ładna. Niebieska, prawda?

— Tak ojczy.

Zwrócił się do mnie:

— Gdyby pani miała suknię, to jakiego byłaby koloru?

— Zielona — odpowiedziała Teodozja. — To był zawsze **ulubiony** kolor Judyty.

— Mówi się, że przynosi nieszczęście — odpowiedział. — Albo może tak było za moich czasów. Mówiło się: „zielono w poniedziałek, czarno w piątek”. Ale przysięgłbym, że miss Osmond nie jest przesądna.

— Nie jestem, jeśli chodzi o kolory — powiedziałam. — Mogę być przesądna co do innych rzeczy.

— To mogłoby znaczyć, że nie jest pani nieszczęśliwa — rzekł — w przeciwnym wypadku byłaby pani przesądna na tym punkcie.

I wyszedł, poruszając brodą.

Teodozja spojrzała na mnie, unosząc brwi.

— Po co ojciec tu przyszedł?

— Powinnaś lepiej znać jego zwyczaje niż ja.

— Myślę, że bardzo go interesuje mój bal. Judyto, miss Grey mówiła, że czytałaś książki, i też niektóre napisane przez sir Edwarda Traversa. Musisz dużo wiedzieć o archeologii.

— Dość, by zdawać sobie sprawę, że jestem ignorantką w tej dziedzinie. Obie mamy blade o tym pojęcie, prawda? Dzięki Evanowi Callumowi.

Była ożywiona. Za wszelką cenę chciała móc mądrze rozmawiać z Teobaldem.

Zaproszenia zostały wysłane. Zrobiłam listę gości i stawiałam znaki, jakie kwiaty trzeba przynieść z cieplarni do dekoracji sali balowej, bo był październik i w ogrodach trudno było znaleźć to, co potrzebne; przygotowywałam karnety. Wybierałam różowo-niebieskie ołówki i jedwabne sznureczki, które miały być do nich przywiązane.

Po raz pierwszy lady Bodrean wydawała się zadowolona; wiedziałam, że to dlatego, iż chciała, bym zobaczyła, ile starań wymaga wprowadzenie w świat dobrze urodzonej panny. Musiała zauważyć, że bywałam przygnębiona i wprawiało ją to w dobry humor, tak że miałam ochotę zawołać. „Nic mnie nie obchodzą te wielkie wydarzenia, Teodozja może sobie z nich korzystać do woli. Mój smutek nie ma z tym nic wspólnego”.

Gdy miałam wolną chwilę, szłam do Tęczowego Domku. Dorcas i Alison zawsze robiły wiele zamieszania w związku ze mną, próbowały pokrzepić mnie naleśnikami, które zwykłam być pochłaniać łapczywie jako dziecko.

Chciały wiedzieć wszystko o balu.

— To wstyd, że ciebie nie poproszą, Judyto — powiedziała Dorcas.

— Dlaczego mieliby mnie zapraszać? Nie zaprasza się przecież pracowników na bale rodzinne.

— Twoja sytuacja jest inna. Uczyłaś się przecież razem z nimi.

— Lady Bodrean pouczyłaby cię, że jest to coś, za co należy być wdzięcznym, a nie powód do oczekiwania dalszych łask.

— Ach, Judyto, czy to jest naprawdę nie do wytrzymania?

— Widzisz, po prawdzie, ona jest tak wstrętna, że znajduję pewną przyjemność w walce. Przy tym jest tak głupia, że mogę wbić niejedną szpilkę, a ona nie zda sobie z tego sprawy.

— To okropne, musisz odejść.

— Możliwe, że mnie o to poproszą. Ostrzegam was, że każdego dnia spodziewam się odprawy.

— Nie martw się tym, kochanie. Damy sobie tutaj radę. A ty szybko znajdziesz coś innego, jestem tego pewna.

Czasem rozmawiały o tym, co się dzieje na wsi. Pracowały sporo dla kościoła, do czego były przygotowane — robiły to przecież całe życie. Sabina nie jest zbyt praktyczna — mówiły w sekrecie — i choć umie rozmawiać z ludźmi, czegoś więcej należy oczekiwać od żony pastora. OHver zaś ma odpowiednie kwalifikacje.

Przypomniałam im, jak zwykli były mawiać, że dźwiga na barkach całą parafię, gdy żył ich ojciec.

To prawda, zgodziły się niechętnie. Wiedziałam, że nie mogą wybaczyć OHverowi tego, że nie ożenił się ze mną, a jeszcze trudniej było im wybaczyć Sabinie, że to ona została tą wybraną.

Świadomość, że były tu, w tle mojego życia, była pokrzepiająca.

Wizyty pomiędzy Giza House i Keverall Court trwały ciągle. Ponieważ sir Ralf nie czuł się dobrze, Teobald z ojcem często go odwiedzali. Omawiali szczegóły wyprawy. Bezwstydnie próbowałam być zawsze tam, gdzie mogłam ich zobaczyć w przelocie. Nawet sir Edward teraz mnie poznawał i obdarzał swym nieobecny uśmiechem, bez wątpienia pamiętając, że byłam tą dziewczynką, która udawała mumię.

Teobald zamieniał ze mną kilka słów — przeważnie pytając, co czytam. Bardzo chciałam usłyszeć od niego o wyprawie, ale oczywiście nie mogłam o to pytać.

Na dwa dni przed balem zdarzyła się najdziwniejsza rzecz pod słońcem.

Gdy wynurzyłam się z apartamentów lady Bodrean i miałam wyjść na codzienny spacer, spotkałam na korytarzu Teodozję. Odniosłam wrażenie, że mnie szukała.

Wydawała się podniecona.

— Halo, Judyto — powiedziała z nutą rozweselenia w głosie.

— Czekałaś na mnie? — zapytałam.

— Tak, mam ci coś do powiedzenia.

Serce zabiło mi szybciej, ogarnęło mnie przygnębienie. A więc to nadeszło, Teobald poprosił ją o rękę. Zaręczyny zostaną ogłoszone podczas balu.

Wsunęła mi rękę pod ramię.

— Chodźmy do twego pokoju — powiedziała. — Nigdy nie zgadniesz, o co chodzi.

Pomyślałam: Nie zniosę tego. Tyle razy to sobie wyobrażałam, ale nie mogę tego znieść. Muszę wyjechać... zaraz. Powiem Dorcas i Alison, że znalazłam pracę gdzieś bardzo daleko i nigdy już nie zobaczę nikogo z nich.

Wyjąkałam:

— Wiem. Ty... ty się zaręczyłaś.

Zatrzymała się i krew napłynęła jej do policzków, wiedziałam więc, że choć może nie to było przygotowaną dla mnie niespodzianką, to jednak nadejście szybko.

— Zawsze byłaś pewna, że wszystko wiesz, prawda? Ale teraz bystra Judyta się myli.

Bystra Judyta nigdy nie była bardziej zadowolona ze swej omyłki.

Teodozja weszła do mego pokoju, a ja za nią, zatrzaszczając drzwi. Otworzyła szafę. Wisiała tam zielona, szyfonowa suknia wieczorowa.

— Co to jest? — zawołałam zdumiona.

— To twoja balowa suknia, Judyto.

— Moja! Jakim sposobem? — Podeszłam do niej, pogładziłam piękny, miękki materiał, podniosłam ją i przyłożyłam do siebie.

— Jest doskonała — oznajmiła Teodozja. — Przymierz. Chcę cię w niej zobaczyć.

— Przede wszystkim, skąd się tu wzięła?
— Ja ją przyniosłam.
— Ale skąd ona jest?
— Ach, przymierz ją najpierw, potem ci wyjaśnię.
— Nie, muszę wiedzieć.
— Och, nudzisz. Chcę zaraz zobaczyć, czy pasuje. Ojciec powiedział, że musisz ją mieć.
— Ale... dlaczego?
— Powiedział: „Kopciuszek musi iść na bal”.
— Mając na myśli lektorę?
— Pamiętasz, widział, jak tańczyłyśmy. Tego dnia powiedział do mnie: „Ta dziewczyna, Judyta musi być na balu”. Wtedy powiedziałam: „Mama nie będzie chciała o tym słyszeć”. A na to on: „Więc jej nie mów”.

Zaśmiałam się. Już widziałam siebie na balu tańczącą z Teobaldem.

— Ale to niemożliwe. Ona nigdy do tego nie dopuści.
— Wiesz przecież, że to dom mego ojca.
— Ale ja jestem zatrudniona przez twoją matkę.
— Nie ośmieli mu się sprzeciwić.
— Będę bardzo niemile widzianym gościem.
— Tylko dla jednej osoby. My wszyscy pozostali **chcemy, żebyś była. Ja, Evan, Hadrian, Teobald...**

— Teobald!
— No, on oczywiście jeszcze nie wie, ale jestem pewna, że chciałby, gdyby wiedział. Za to Hadrian wie. Bardzo jest ubawiony i wszyscy będziemy mieli dużo uciechy, ukrywając cię przed mamą, jeśli to możliwe.

— Ani przez chwilę się nie łudzę, że jest możliwe. Zostanę wyproszona z balu w pierwszej godzinie.

— Nie wtedy, gdy przyjdiesz jako gość ojca, a tak będzie.

Roześmiałam się.

— Wiedziałam, że będziesz się z tego cieszyć.

— Opowiedz mi, jak to się stało.

— No więc, ojciec powiedział, że zawsze byłaś wesołą dziewczyną i chciał, żebyś bardziej okazała swoją energię. Niepokoi się, że nie masz

zbyt miłego życia z mamą i chce, żebyś wzięła udział w balu. To dlatego pytał o kolor sukni. To był nasz sekret z Sarą Sloper. Ja wybrałam materiał i służyłam jej jako model. Jesteś trochę wyższa i szczuplejsza ode mnie. Pracowałyśmy nad tym. Jestem absolutnie pewna, że będzie doskonale leżała. Włóż ją zaraz, proszę.

Włożyłam. Przeobrażenie było cudowne. To naprawdę był mój kolor. Rozpuściłam moje gęste, ciemne włosy i pomyślałam, że mogłabym być piękna z tymi błyszczącymi oczami i zaróżowionymi policzkami, gdyby nie nos, który był za duży. Hadrian zawsze śmiał się z mojego nosa. „Jest pełen siły — mówił — zdradza twój charakter. Nikt łagodny nie mógłby mieć takiego nosa. Twoje losy, kochana Judyto, nie zależą od gwiazd, ale od twego nosa”.

Zachichotałam. W tak pięknej sukni można nie pamiętać o tym godnym pożałowania nosie.

— Wyglądasz zupełnie jak Hiszpanka — powiedziała Teodozja. — Powinnaś upiąć wysoko włosy i wetknąć w nie hiszpański grzebień. Wyglądałabyś wspaniale. Chciałabym, żeby to był bal maskowy. Łatwiej byłoby ukryć cię przed mamą. Ale ona będzie wiedziała, że to jest życzenie ojca i nic nie powie... przynajmniej podczas balu. Nie będzie chciała wywołać sceny.

— Burza przyjdzie potem.

Nie miało to dla mnie znaczenia. Stawię temu czoła. Będę na balu. Chciałabym mieć mały karnecik z różowym sznureczkiem i ołówkiem. Zachowałabym go na zawsze, gdyż byłyby w nim inicjały Teobalda.

Porwałam Teodozję w ramiona i zaczęłyśmy taniec dokoła pokoju.

Nadszedł wieczór balu. Dzięki Bogu, lady Bodrean była zbyt zajęta, by sobie mną głowę zaprzętać.

— Boże — powiedziała Jane — będziemy miały przeprawę. Trzeba uczesać jej włosy, a ja muszę pomóc jej się ubrać. A jak przyjdzie do klejnotów, co ma włożyć — to czy tamto, a tamto znów niedobre, to może to. Dobrze, że umiem sobie z nią radzić.

Wolno mi więc przyoblec ten obcisły futerał z zielonego atłasu, wokół którego powiewają jardy i jardy jedwabnego szyfonu. Nie można było wybrać dla mnie nic lepszego. A gdy przyszła chwila ubierania się,

zobaczyłam, że Teodozja położyła na mojej toalecie hiszpański grzebień. Hadrian też mnie podtrzymywał na duchu. Czułam, że moja sytuacja zmieniła się, odkąd wrócił. Teraz naprawdę miałam w tym domu przyjaciół.

— A w balowy wieczór — postanowiłam — będę się cieszyć.

Sir Ralf i lady Bodrean witali gości u szczytu wielkich schodów. Oczywiście, nie zaprezentowałam się. Ale cóż to była za radość wmieszać się w tłum gości, których było tak dużo, że byłam pewna, iż umknę oku lady Bodrean. W każdym razie niełatwo mnie pozna w moim stroju.

Tańczyłam z Hadrianem, który powiedział, że przypomina mu to niektóre figle, urządzone przez nas w dzieciństwie.

— Ty i ja, Judyto — powiedział — zawsze byliśmy sprzymierzeńcami.

Tak było.

— Przykro mi, że to właśnie dla mojej ciotki musisz pracować.

— Nie może ci być bardziej przykro niż mnie. To mi jednak daje szansę bywania w Keverall.

— Lubisz ten stary dom, prawda?

— Jest częścią mojego życia. Nie zapominaj, że bywałam tu prawie co dzień.

— Ja to samo odczuwam. Teodozja ma szczęście. Pewnego dnia będzie do niej należał.

— Słyszę w twoim głosie zazdrość.

— Słyszysz więc to, co czuję. Widzisz, ja sam jestem trochę jakby dzieckiem z sierocińca.

— O, nie Hadrianie. Jesteś bratankiem sir Ralfa... niemal synem.

— Niezupełnie.

— No, to powiem ci, co powinieneś zrobić — powiedziałam lekko.

— Ożenić się z Teodozją.

— Moją kuzynką!

— Dlaczego nie? Często są związki małżeńskie między kuzynami. To bardzo dobry sposób na utrzymanie majątku w rodzinie.

— Nie myślisz chyba, że ona wyszłaby za mnie? Myślę, że gdzie indziej kieruje wzrok.

— Naprawdę?

— Nie zauważyłaś, jak bardzo bywa przejęta za każdym razem, gdy ktoś poruszy temat...

— Jaki temat?

— Archeologii. Jest tak poruszona wyprawą. Można by sądzić, że weźmie w niej udział.

— Usiłuje na kimś wyrzucić wrażenie. Może na tobie! Ostatecznie to przecież twoja dziedzina.

— Ach, nie. To nie to. To nie ja jestem wybrany.

Nie mogłabym znieść rozmowy o Teodozji i Teobaldzie, powiedziałam więc szybko:

— Nie chciałbyś wyjechać z tą wyprawą do Egiptu?

— Cieszyłoby mnie to do pewnego stopnia. Słyszałem, że sir Edward to samotny wilk. Nie dzieli się niczym ze stadem. Niektórzy ludzie tak pracują. Rozmawiałem o tym z Evanem. Pochlebiałoby nam oczywiście, gdyby nas zaproszono do udziału w ekspedycji. Ale na naszym etapie mielibyśmy niewielkie uprawnienia.

— A Teobald?

— No, on jest synem wielkiego człowieka. Na pewno bywa dopuszczany do niektórych tajemnic.

— Przypuszczam, że będzie kiedyś równie wielki jak ojciec.

— Jest tak samo namiętnie tym pochłonięty.

— Widziałam, że tańczy z Teodozją, ale nie widziałam sir Edwarda.

— Pewnie pokaże się później.

Orkiestra zatrzymała się, taniec się skończył. Hadrian poprowadził mnie do krzesła ukrytego za palmami.

— Czuję się jak lis w jamie — powiedziałam.

— Chciałaś powiedzieć: lisica — poprawił Hadrian.

— Przyznaję się czasem do pokrewieństwa charakteru z tym stworzeniem, ale teraz jestem nastawiona o wiele łagodniej.

Podszedł Evan z Teodozją i usiedli koło nas. Teodozja patrzyła z przyjemnością na mnie, ubraną w zieloną suknię.

— Czy dobrze się bawisz na balu, Judyto? — zapytała niespokojnie.

Zapewniłam ją, że tak.

— Brakuje tylko Sabiny, aby było jak za naszych dawnych szkolnych dni — powiedziała.

A potem zjawił się Teobald. Myślałam, że przyszedł po Teodozję, ale on usiadł przy nas. Zupełnie nie wydawał się zdziwiony moim widokiem.

Evan przypomniał Teodozji, że chyba przyrzekła mu ten taniec. Odeszli, a Hadrian powiedział, że musi poszukać partnerki, zostaliśmy więc z Teobaldem we dwoje.

— Czy sprawia panu przyjemność taniec? — zapytałam.

— Nie za bardzo się na tym znam.

— Widziałam, że tańczył pan przed chwilą.

— Bardzo niezgrabnie.

— Zupełnie dobrze — zapewniłam go. — Niedługo pan wyjedzie — ciągnęłam. — Jak bardzo musi pan pragnąć już wyruszyć w tę podróż.

— To rzeczywiście bardzo ekscytująca wyprawa.

— Proszę mi o niej coś powiedzieć.

— Pani naprawdę się tym interesuje, prawda?

— Ogromnie.

— Popłyniemy statkiem do Port Saidu, a potem drogą lądową dostaniemy się do Kairu. Zatrzymamy się tam na pewien czas, a później udamy się na teren dawnych Teb.

Zacisnęłam z przejęciem dłoń.

— Proszę mi jeszcze o tym powiedzieć. Jedziecie do grobów, prawda?

Skinął głową.

— Mój ojciec od pewnego czasu przygotowuje się do tej wyprawy. Był tam wiele lat temu i zawsze miał wrażenie, że jest u progu jakiegoś wielkiego odkrycia. Myślał o tym przez całe lata. Teraz zaspokoi swoje pragnienie.

— To będzie cudowne — zawołałam.

— Myślę, że to będzie najbardziej fascynująca wyprawa spośród tych, w których brałem udział.

— Czy był pan tam już przedtem?

— Tak, z ojcem. Byłem wtedy bardzo niedoświadczony i to było wielkie ustępstwo, że w ogóle pozwolono mi tam pojechać. Ekipa mojego ojca odkryła grób, który musiał być przygotowany dla kogoś z wysokiego rodu. Został obrabowany przed tysiącami lat. To było

wielkie rozczarowanie, jak sobie pani może wyobrazić. Cała ta trudna praca, kopanie, badanie, nadzieje... a potem odkrycie, że grób został tak całkowicie splądrowany, że nie pozostało nic, co by mogło pomóc w odtwarzaniu zwyczajów tego fascynującego kraju. Ponosi mnie entuzjazm, ale to pani wina, miss Osmond. Wydaje się pani tak zaciekawiona.

— Bo jestem zainteresowana. Ogromnie.

— Tak mało osób spoza naszego niewielkiego światka coś z tego rozumie.

— Czuję, że nie jestem tak zupełnie poza nim. Miałam wiele szczęścia. Uczyłam się w Keverall Court, a jak pan wie, sir Ralf zawsze interesował się archeologią.

— Na całe szczęście. On nam bardzo pomaga.

— To on zaangażował Evana Calluma, by dawał nam lekcje. Potem oczywiście przyszło to, co się działo na łące Cartera. Czasem tam pomagałam... naturalnie zupełnie po amatorsku, jak się pan może domyślić.

— Ale połąkła pani bakcyła, prawda? Słyszę to w pani głosie i czytam w pani twarzy. I pamiętam, jak bardzo bywała pani przejęta, gdy przychodziła pani po książki do Giza House. Jestem przekonany, że nie należy pani do tych śmiesznych romantycznych osób, które sądzą, że to polega na kopaniu i znajdowaniu cudownych klejnotów i resztek dawnych pałaców.

— Wiem, że to się rzadko zdarza.

— To prawda. Ale myślę, że chciałaby pani zatańczyć, jeśli więc pani zgodzi się trochę pocierpieć...

Roześmiałam się i powiedziałam:

— Wytrzymam to.

I oto tańczyłam z Teobaldem. Sen się urzeczywistnił. Kochałam go tym więcej, że ciągle stawiał nogę w nieodpowiednim miejscu. Przeproszał, a ja chciałam zawołać: „To wspaniale, że depczesz mi po palcach!”

Byłam taka szczęśliwa. Alison i Dorcas mówiły, że miałam dar odrzucania wszystkiego, co nie jest daną chwilą, i cieszenia się tą chwilą w całej pełni. Byłam z tego rada tego wieczoru. Ramiona Teobalda otaczały mnie i byłam bliżej niego niż kiedykolwiek.

Chciałam, żeby muzyka trwała bez końca, ale oczywiście skończyła się i wróciliśmy do naszej niszy, gdzie Teodozja siedziała z Evanem.

Tańczyłam z Evanem, który mówił, jak bardzo się cieszy, że mnie widzi. Opowiedziałam mu, jak znalazłam suknię w szafie i jak sir Ralf chciał, żebym była na balu.

Śmialiśmy się i wspominali dawne czasy, a potem poszliśmy na kolację a Teodozja, Hadrian i Teobald dołączyli do nas.

Jakże umiałam się wtedy cieszyć. To było jak za dawnych dni. Błyszczałam dowcipem i starałam się być duszą towarzystwa. Teodozja zachowywała się łagodnie i nie miała nic przeciw temu, że odrywam od niej uwagę, podobnie jak w naszym pokoju do nauki.

Teobald trzymał się oczywiście trochę na uboczu naszej beztroskiej paplaniny. Był bardziej od nas dojrzały i nie mogłam nie zauważyć, jak blado przy nim wypadali Hadrian i Evan. Gdy Teobald mówił o archeologii, płonął wówczas szczerą i głęboką namiętnością, której doświadczać mógł, jak byłam pewna, tylko człowiek bardzo głęboko odczuwający. Sądziłam, że gdyby Teobald kiedykolwiek pokochał kobietę, okazywałby to samo niezachwiane oddanie, które przejawiał wobec swego powołania. Ponieważ chciałam widzieć Teobalda ożywionego, płonącego pasją, która* mną wstrząsała, poruszyłam temat archeologii i niemal natychmiast Teobald znalazł się w centrum uwagi zafascynowanych słuchaczy.

Gdy rozmowa się urwała, Teodozja powiedziała:

— Ach, jesteście wszyscy tacy mądrzy... i tak samo Judyta! Ale czy nie sądzicie, że ten łośoś jest wyśmienity?

Hadrian opowiedział nam o wyprawie na połów ryb nad Spey w górach szkockich, gdzie, jak mówił, są najlepsze na całym świecie łośosie. Opowiadał właśnie, jak skoczył do rzeki i wyciągnął miotającą się rybę, pokazując jej rozmiary, na co zareagowaliśmy pełnym robawienia niedowierzaniem, gdy lady Bodrean przeszła obok naszego stołu otoczona gośćmi.

Mówiłam:

— Oczywiście wiecie, że wszyscy rybacy podwajają rozmiary tego, co złowili, nie zdziwiłabym się, gdyby Hadrian je potroił.

I oto była tu, unosząc w zdumieniu brwi, a obrażone uczucia powoli, ale coraz wyraźniej malowały się na jej twarzy.

Zapadła cisza, która zdawała się trwać w nieskończoność; wreszcie lady Bodrean zrobiła krok w kierunku naszego stołu. Mężczyźni wstali, ale ona patrzyła na mnie z niedowierzaniem. Próbowałam się spokojnie uśmiechnąć.

Ktoś z jej gości powiedział:

— Ach, to pan Travers, jak sędzę.

Teobald odrzekł, że tak, to on, a lady Bodrean odzyskała równowagę. Przedstawiła zebranych, mnie zostawiając na koniec, i wtedy:

— Miss Osmond — powiedziała w taki sposób, że moje nazwisko zabrzmiało niemal nieprzyzwoicie.

Ale nikt tego nie zauważył i po kilku minutach grzecznej wymiany zdań lady Bodrean i jej goście odeszli.

— O Boże — powiedziała Teodozja z rozpaczą.

— Do pewnego stopnia czułam, że tak będzie — dodałam udając, że nic mnie to nie obeszło.

— No tak — powiedział Hadrian — ale sir Ralf odpowiada za swych gości.

— Co się stało? — zapytał Teobald.

Odwrociłam się do niego.

— Nie powinnam tu być.

— Ale jakże nie — odpowiedział. — To dzięki pani towarzystwu ten wieczór był tak interesujący.

Te słowa sprawiły, że wszystko stało się ła we do zniesienia.

— Może się okazać, że będę musiała się jutro rano pakować.

Teobald robił wrażenie zaniepokojonego, a ja czułam się absurdalnie szczęśliwa. Teodozja próbowała wyjaśnić.

— Widzisz, mój ojciec uważał, że Judyta powinna być na balu, i on i ja naradziliśmy się. Ja wybrałam dla niej suknię, a Sara Sloper uszyła... ale mama nie wiedziała o tym.

Teobald roześmiał się i rzekł:

— Zawsze jakiś dramat otacza miss Osmond. Jeśli nie przebiera się za zabalsamowane zwłoki i nie wchodzi do sarkofagu, to przebiera się w piękną suknię i zjawia się na balu. I jak się wydaje — w żadnym z tych miejsc nie spodziewają się jej zastać.

Hadrian przykrył moją dłoń swoją.

— Nie martw się, Judyto. Przetrawsz jutrzejszą burzę.

— Mama może być bardzo zawzięta — powiedziała Teodozja.
— Ale przecież — przypomniał Evan — Judyta przyszła jako gość sir Ralfa. Nie wiem, jak lady Bodrean może przeciw temu protestować.

— Nie znasz mamy — powiedziała Teodozja.

— Zapewniam cię, że znam i wygląda na to, że zbiera się na burzę, ale skoro Judyta przyszła na zaproszenie sir Ralfa, nie zrobiła przecież nic niewłaściwego.

— W każdym razie — powiedziałam — ta burza będzie jutro. Teraz jest piękna noc. Jest łośoś, złowiony, miejmy nadzieję, w górach szkockich, i szampan z właściwych okolic. Towarzystwo jest pełne animuszu, czegoż więc możemy więcej żądać?

Teobald pochylił się do mnie i powiedział:

— Pani żyje chwilą.

— To jedyny sposób życia. Tej nocy jestem czymś w rodzaju Kopciuszka. Jutro wrócę do mojego popiołu.

— Ja będę królewiczem — powiedział Hadrian. — Zaczynają grać. Zatańczmy.

Nie chciałam odchodzić od Teobalda, ale cóż mogłam zrobić?

— Gratuluję — powiedział Hadrian, gdy tańczyliśmy. — Byłaś najspokojniejsza ze wszystkich. To był popis. Myślę, że w rzeczywistości dygotały ci nogi w szklanych pantofelkach.

— Jestem gotowa na wszystko — powiedziałam. — Mam wrażenie, że wkrótce znajdę się z powrotem w Tęczowym Domku i będę pisać pokorne listy do przyszłych pracodawców.

— Biedna Judyta. To okropne być ubogim.

— Cóż ty możesz o tym wiedzieć?

— Bardzo dużo. Mam swoje kłopoty. Muszę błagać wuja o łaskawość. Wierzyście depczą mi po piętach. Muszę z nim jutro pomówić. Więc widzisz, tak jak i ty chcę dzisiejszej nocy jeść, pić i wesełić się.

— O, Hadrian. Naprawdę jesteś w długach?

— Po uszy. Co bym dał za to, żeby być w skórze Teodozji.

— Nie sądzę, żeby miała wydzieloną tak dużą pensję jak ty.

— Ale pomyśl o kredycie. Czy wiesz, że mój wuj jest bajecznie bogaty? No, a słodka Teodozja odziedziczy to wszystko pewnego dnia.

— Nienawidzę rozmów o pieniądzech.

— Tak, to przygnębiające. To jeden z powodów, dla których chciałym być bogaty. Wtedy można zapomnieć, że na świecie istnieje coś takiego jak pieniądze.

Śmiałyśmy się i tańczyli, i żartowali, ale chyba oboje nie przestawaliśmy myśleć o tym, co przyniesie następny dzień. Ja umiałam żyć chwilą tylko wtedy, gdy Teobald był przy mnie.

Miałam nadzieję, że go jeszcze zobaczę, ale tak się nie stało i zanim wszyscy goście się rozjechali, uznałam za wskazane wrócić do swego pokoju.

Myślałam się sądząc, że burza wybuchnie rano. Lady Bodrean nie miała zamiaru tak długo czekać.

Nie zdjęłam jeszcze mej balowej sukni, gdy rozległ się energiczny dźwięk dzwonka.

Poszłam do jej pokoju. Też była w balowym stroju — z fioletowego aksamitu, ze wspaniałym trenem, przybranym futrem, które wyglądało jak gronostaje. Miała wygląd iście królewski.

— No więc, miss Osmond, co ma pani do powiedzenia?

— Czego pani ode mnie oczekuje, lady Bodrean?

— Czego nie oczekuję, to zuchwalstwa. Była pani dzisiejszego wieczoru na balu. Jak pani śmiała wdrzeć się i obracać wśród moich gości?

— Przyjęcie zaproszenia nie wymaga wielkiej śmiałości.

— Zaproszenia? Ma pani czelność powiedzieć, że wysłała sobie zaproszenie?

— Nie. Sir Ralf zarządził, że będę na balu.

— Nie wierzę w to.

— Może wasza lordowska mość życzy sobie, żebym go poprosiła.

Nim zdążyła odpowiedzieć, pociągnęłam za sznur od dzwonka. Jane wbiegła do pokoju.

— Lady Bodrean życzy sobie, żeby poprosić sir Ralfa, by tu przyszedł... jeżeli nie udał się jeszcze na spoczynek.

Lady Bodrean bełkotała coś w furii, ale Jane, która, w co nie wątpię, wiedziała, co się stało, pośpieszyła po sir Ralfa.

— Jak pani śmie pozwalać sobie na wydawanie tu poleceń?
— zapytała lady Bodrean.

— Myślałam, że wypełniam polecenie — odpowiedziałam. — Miałam wrażenie, że jej lordowska mość życzyła sobie, by sir Ralf tu przyszedł i potwierdził to, co mówię, bo najwyraźniej nie wierzyła mi pani.

— Nigdy w życiu nie spotkałam się z taką... taką... taką...

— Niesubordynacją? — podsunęłam.

— Bezczelnością — powiedziała.

Wciąż byłam odurzona szczęściem. Tańczyłam z Teobaldem, Teobald rozmawiał ze mną, dowiedział się, że interesuje mnie jego praca. Powiedział: „Dzięki pani ten wieczór był tak interesujący”. I myślał tak naprawdę, bo byłam pewna, że to nie jest człowiek, który mówi to, czego nie myśli. Dlaczego więc miałabym się przejmować tą zwariowaną starą jędzą, która za chwilę stanie twarzą w twarz ze swym mężem, a on — wiedziałam — potwierdzi to, co mówiłam.

Stał w drzwiach.

— Co do... — zaczął.

Potem mnie zobaczył i podbródek drgnął mu w sposób, który już dobrze znałam.

— Co miss Osmond tu robi? — zapytał.

— Posłałam po nią. Jest tak zuchwała, że była dziś wśród naszych gości.

— Była także gościem — powiedział krótko.

— Chyba zapomina pan, że jest moją lektorka.

— Była dziś pani gościem. Przyszła na bal na moje zaproszenie. To wystarczy.

— Chce pan powiedzieć, że zaprosił ją pan bez porozumienia ze mną?

— Doskonale pani wie, że to zrobiłem.

— Ta młoda osoba wyobraża sobie, że skoro umożliwiono jej zdobycie pewnego wykształcenia, z czego część pod tym dachem, ma prawo do specjalnego traktowania. Chcę powiedzieć, że nie dopuszczę do tego. Przebywa tu jako moja lektorka i tak powinna być traktowana.

— Co znaczy — powiedział sir Ralf — że jej życie będzie nie do zniesienia dzięki pani. Będziesz pani dla niej tak niemiła, jak tylko potrafisz, a to, na Boga, znaczy, że bardzo.

— Narzucił mi pan tę osobę — powiedziała. — Ja tego dłużej nie ścierpię.

— Tak będzie, jak było.

— Jestem zmuszona powiedzieć panu, że nic nie zmusi mnie do trzymania takich osób... w moim domu.

— *Madame* — powiedział sir Ralf— będzie, jak powiedziałem...

Chwycił ręką za krzesło; widziałam, jak krew napływa mu do twarzy, i zachwiał się lekko.

Podbiegłam i ujęłam go za ramię. Poszukał wzrokiem krzesła, pomogłam mu usiąść. Oddychał z trudem. Powiedziałam:

— Myślę, że trzeba wezwać służącego sir Ralfa. On nie czuje się dobrze.

Wzięłam na siebie wydanie polecenia Jane, by to zrobiła.

Jane pobiegła i wróciła zaraz z Blake'em, osobistym służącym sir Ralfa. Blake wiedział, co robić. Rozluźnił sir Ralfowi kołnierzyk i wyjąwszy małą tabletkę z pudełka, włożył mu ją do ust. Sir Ralf oparł się na krzesło, jego twarz, zalana purpurą, stawała się powoli coraz bledsza, choć nabrzmiałe żyły wystąpiły silnie na skroniach.

— Teraz lepiej, sir — powiedział Blake. Potem spojrzął na lady Bodrean. — Położę go teraz do łóżka, jaśnie pani.

Sir Ralf podniósł się niepewnie i oparł ciężko na Blake'u. Ski-
nął mi głową i cień rozbawienia przemknął mu przez twarz. Wymam-
rotał:

— Pamiętaj pani, co powiedziałem. Mówiłem poważnie.

Potem Blake go wyprowadził.

Gdy drzwi się zamknęły, lady Bodrean odwróciła się do mnie:

— No! — powiedziała — Widzi pani, co pani narobiła.

— Nie ja — odparłam znacząco.

— Proszę wrócić do swojego pokoju. Porozmawiamy później — powiedziała.

Wróciłam. Co za noc! Nie pozbędzie się mnie. Nie odważy się na to. Nie byłam nawet wcale pewna, czy chce. Gdybym odeszła, byłaby pozbawiona przyjemności uprzykrzania mi życia. Myślę, że tego by nie chciała.

Ale poradzę sobie z nią; tej nocy nie chciałam o niej myśleć. Zbyt wiele miałam wspomnień, o których wolałam rozmyślać.

Pod koniec miesiąca sir Edward wyruszył na wyprawę wykopaliskową do Egiptu, a Teobald wziął w niej udział.

Evan wrócił na uniwersytet, gdzie miał tymczasową pracę jako wykładowca archeologii; Hadrian udał się do Kent, by prowadzić jakieś prace nad łodzią żałobną wikingów, którą odkryto gdzieś na wschodnim wybrzeżu, ja zaś wróciłam do monotonii służenia lady Bodrean, którą ożywiały tylko jej próby upokorzenia mnie. Ale myśl, że miałam przyjaciół w sir Ralfie i Teodozji była pokrzepiająca. Nie było już spacerów do Giza House, bo Tabita wyjechała z wyprawą, ale nieraz przechodziłam obok tego domu, który zdawał się przywrócony dawnym czasom, kiedy nazywaliśmy go strasznym domem. Story były opuszczone, meble w pokrowcach i zaledwie dwoje czy troje ze służby. Dwaj Egipcjanie, Mustafa i Absalam wyjechali z sir Edwardem.

Czekałam z upragnieniem na powrót ekspedycji. I Teobalda.

Teraz, gdy nie mogłam chodzić do Giza House, częściej odwiedzałam Tęczowy Domek; byłam tam zawsze pożądanym gościem. Dorcas i Alison były zachwycone, gdy im opowiadałam o balu i o pięknej, zielonej sukni balowej, którą znalazłam w szafie.

Od dawna dziwiła mnie ich postawa, od samego początku, gdy tak były uradowane tym, że miałam być w Keverall Court. Byłam młoda — i choć mój nos nie dopuszczał do tego, bym była piękna, mogłam czasem wyglądać dość pociągająco. W ciągu ostatnich miesięcy często oceniałam własną urodę, porównując się z Teodozją. Miałam w sobie żywotność, której jej brakowało, i moje ożywienie było atrakcyjne, tego byłam pewna. Choć łatwo wybuchałam gniewem, burze przemijały szybko; umiałam śmiać się z życia, a to znaczyło śmiać się z siebie. Miałam bardzo gęste, ciemne włosy — niełatwe do ułożenia, gdyż prawie proste; miałam duże, piwne oczy z rzęsami tak gęstymi i czarnymi jak moje włosy i miałam na szczęście mocne, zdrowe zęby. Byłam wyższa niż Teodozja i Sabina i skłonna do zachowywania szczupłej sylwetki. Brakowało mi ślicznej pulchności Teodozji i figury Sabiny, która była jak klepsydra. Ponadto miałam młodość, co, jak mówią, stanowi niezawodną atrakcję dla starzejących się rozpustników. Reputacja sir Ralfa daleka była od dobrej. Słyszałam rozmowę kowali z dzierzawcami o dawnych czasach, gdy sir Ralf był w pełni rozkwitu jako uwodziciel dziewcząt. Zamilkli natychmiast, gdy się ukazałam wtedy w towarzyst-

wie Hadriana i Teodozji. A jednak Dorcas i Alison były uszczęśliwione perspektywą mojej pracy w Keverall Court.

Sądziłam, że uważały, iż sir Ralf porzucił swój dziki sposób życia. Był o wiele za stary, żeby przy nim trwać; wspominając wieczór, gdy przyszedł do pokoju lady Bodrean, byłam w stanie w to uwierzyć. Mimo to uważałam raczej za dziwne, że Dorcas i Alison tak łatwo pozwoliły mi wejść do jaskini rozpustnika.

Teraz chciały, bym im dokładnie opowiedziała o balu.

— Suknia! — wykrzyknęły — Co za czarujący pomysł.

Nowa niespodzianka, gdyż byłam przekonana, że do zasad towarzyskich należało, że młode damy nie przyjmują sukien od mężczyzn.

To było co innego. To sprawiła Teodozja. Doszłam do wniosku, że sir Ralf mnie lubi. Ja go w jakiś sposób bawiłam. Teodozja nie.

Cieszyłam się, że byłam na balu i że mi to sprawiło przyjemność. Gdybym nie dostała sukni, nie mogłabym pójść.

Dużo łatwiej było przyjąć wygodny punkt widzenia, jaki znalazłam w Tęczowym Domku, niż badać do gruntu motywy sir Ralfa. Przy wszystkich swoich wadach był dobrym człowiekiem. Służba z pewnością bardziej go lubiła niż jego żonę. Co do mnie, czułam się całkowicie zdolna sprostać każdej sytuacji, która może powstać. Na szczęście do Tęczowego Domku było tak blisko, że mogłam zawsze pobiec tam prosto z Keverall Court, gdy zaszła potrzeba.

Opowiedziałam im więc wszystko o balu. Dorcas interesowało bardzo jedzenie, Alison — ułożenie kwiatów, a obie najbardziej interesowało to, co spotykało mnie.

Tańczyłam walca w maleńkiej bawialni Tęczowego Domku, przewracając etażerkę, co pociągnęło za sobą dwie ofiary — utracone uszko jednej z porcelanowych filiżanek Dorcas i palec osiemnastowiecznej ogrodniczki.

Było im żal, ale szczęśliwe, że widzą mnie weselszą, potraktowały lekko te straty. Uszko od filiżanki można przykleić, a braku palca nikt nie zauważy. A z kim tańczyłam?

— Teobald Travers! To dziwny człowiek. Siostra Emilii, która tam pracuje, mówi, że on i jego ojciec przyprowadzają ją o gęsią skórkę.

— Gęsia skórka! — zawołałam — Służba tam jest pomyłona na punkcie gęziej skórki!

- To dziwny dom i niezwykły zawód — powiedziała Dorcas.
- Marnować czas na zajmowanie się rzeczami, którymi ludzie posługiwali się przed tyłu, tyłu laty.
- Och, Dorcas, mówisz jak jakaś wiejska prostaczka.
- Wiem, że ciebie to bardzo interesuje. I muszę powiedzieć, że niektóre ilustracje w tych książkach, które tu przynosiłaś, mogły wywołać koszmarnie sny. Nieraz się zastanawiałam, czy nie powinnyśmy się ich pozbyć.
- Jakie ilustracje?
- Czaszki i kości... Myślę, że te mumie są okropne. A sir Edward...
- Co z sir Edwardem?
- Wiem, że jest bardzo wybitny i bardzo wysoko ceniony, ale mówią, że jest trochę dziwny.
- Dlatego, że jest inny niż oni, dlatego, że nie uwodzi wszystkich dziewcząt wiejskich jak sir Ralf... dlatego myślą, że jest dziwny!
- Judyto, gdzie ty się uczysz takich rzeczy?
- Od życia, kochana Alison. Od życia wokół mnie.
- Stajesz się taka gwałtowna, ilekroć wspomnieć tych Traversów.
- Poświęcają się przecież tej cudownej pracy...
- Myślę, że chciałabyś tam z nimi być i tracić czas na te wszystkie nieżywe mumie.
- Nie mogę sobie wyobrazić nic, czego bym bardziej pragnęła. To ~ byłoby coś trochę innego niż wysługiwanie się najbardziej niemiłej kobiecie świata.
- Biedna Judyta. Może to nie będzie trwało zawsze. Wiesz, myślę, że mogłybyśmy dać tu sobie radę. Ogród jest całkiem duży. Mogłybyśmy uprawiać i sprzedawać warzywa.
- Skrzywiłam się, patrząc na moje ręce.
- Obawiam się, że nie mam do tego ręki.
- Zresztą, kto wie, co się może zdarzyć. Ten młody człowiek, który was uczył... On był na balu, prawda?
- Masz na myśli Evana Calluma?
- Zawsze go lubiłam. Było w nim coś sympatycznego. Dużo o nim mówiłaś. Byłaś lepsza na jego lekcjach niż inni.

Uśmiechnęłam się łagodnie. Doszły do wniosku, że małżeństwo rozwiąże moje problemy. Nie powiodło się z OHverem Shrimptonem, więc wybrały Evana Calluma jako następnego kandydata.

— Przypuszczam, że przyjedzie tu znowu. To całe zainteresowanie wyprawą...

— Dlaczego *on* nie przyprowadzi nikogo o gęsią skórkę? — zapytałam. — Zajmuje się tym samym co sir Edward i Teobald.

— On jest bardziej... normalny.

— Chyba nie sugerujesz, że Treversowie są nienormalni!

— Oni są inni — powiedziała Dorcas. — O, tak, pan Callum będzie tu znowu. Mówią, że sir Ralf jest zaangażowany w sprawy egipskie. Słyszałam, że pomaga w finansowaniu wyprawy, ponieważ jego córka ma wyjść za Teobalda Traversa.

— Gdzie to słyszałaś? '

— Przez Emilię.

— Plotki służących.

— Moja droga Judyto, kto zna lepiej sprawy rodzinne niż służba?

Miały rację. Służba słyszy strzępy rozmów. Wyobraziłam sobie Jane z uchem przy dziurce od klucza. Niektóre z nich zbierały podarte listy wyrzucane do kosza na śmiecie. Miały oczy i uszy otwarte na skandale domowe.

Nie było żadnych wątpliwości, że uważano powszechnie Teobalda za przeznaczonego Teodozji.

Wróciłam do Keverall Court pogrążona w myślach.

On jej nie kocha — uspokajałam się. Wiedziałybym o tym. Wolał tańczyć na balu ze mną o wiele bardziej niż z Teodozją. Jak mógłby ktoś taki jak Teobald zakochać się w Teodozji!

Ale Teodozja była bogata — była spadkobierczynią wielkiej fortuny. A z taką fortuną, jaką Teodozja mogła wnieść w posagu, Teobald mógłby finansować swoje własne wyprawy.

Dla sir Edwarda niewiele spraw miało znaczenie poza jego pracą, a Teobald szedł bardzo wyraźnie w jego ślady.

To dlatego służbie w tym domu „cierpła skóra”.

W dniu, w którym Teobald poślubi Teodozję, ja wyjadę. Znajdę pracę możliwie jak najdalej od St. Erno i spróbuję zbudować nowe życie

na gruzach dawnego. Praca może być jego obsesją; on jest moją; i byłam pewna bardziej niż czegokolwiek innego, że kiedy utracę jego, utracę cały urok życia.

Dorcas powiedziała:

— Gdy Judyta czymś się pasjonuje, wkłada w to całe serce. Nigdy nic nie robi połowicznie.

Miała rację; a teraz pasjonowałam się tak, jak nigdy dotychczas — jednym mężczyzną, jedną drogą życia.

Teodozja, jakby chcąc wynagrodzić mi dotychczasowe zaniedbanie, szukała teraz mojego towarzystwa. Lubiła mówić o książkach, które czytała, wiedziałam, że wkładała dużo wysiłku, by pogłębiać swą wiedzę w dziedzinie archeologii.

Zapraszała mnie do swego pokoju i często miałam wrażenie, że jest o krok od zwierzeń. Była trochę roztargniona; czasem wydawała się szczęśliwa, kiedy indziej znów pełna obaw. Kiedyś, gdy byłam w jej pokoju, otworzyła szufladę i zobaczyłam pakiet listów przewiązanych niebieską wstążką. Jakże to podobne do Teodozji, związać listy miłosne niebieską wstążką! Zastanawiałam się, co w nich mogło być. Nie mogłam sobie wyobrazić Teobalda piszącego listy miłosne, i to do Teodozji!

„Najdroższa Teodozjo!

Z niecierpliwością oczekuję dnia, w którym zostaniemy małżeństwem. Mam w planach wiele wypraw wykopaliskowych, które wymagają podpory pieniężnej. Jak bardzo przyda się twój majątek...”

Roześmiałam się z siebie. Próbowałam sama siebie przekonać, że jedyne czego Teobald pragnął od Teodozji, to jej fortuna. A nawet gdyby tak było, jakże by mógł napisać podobny list!

— Jak się mama ostatnio zachowuje? — zapytała leniwie pewnego popołudnia, gdy mnie zaprosiła do siebie.

— Właściwie tak jak zawsze.

— Myślałam, że będzie jeszcze gorzej po balu.

— Słusznie myślałaś.

— Biedna Judyta.

— Ach, wszyscy mamy swoje problemy.

— Tak — westchnęła.

— No, ty na pewno nie, Teodozjo.

Zawahała się. Potem zapytała:

— Judyto, czy byłaś kiedyś zakochana?

Poczułam, że się czerwienię, ale na szczęście było to nie tyle pytanie do mnie, co wstęp do zwierzeń.

— To jest cudowne — ciągnęła — a jednak... trochę się boję.

— Dlaczego miałybyś się bać?

— Widzisz, nie jestem zbyt bystra, jak sama wiesz.

— Jeżeli on cię kocha.

— Jeżeli! Oczywiście, że mnie kocha. Powtarza mi to zawsze, gdy się widzimy... zawsze, gdy do mnie pisze.

To chciałam znaleźć wymówkę, by uciec, to znów pragnęłam zostać i poddać się torturze.

— Tak naprawdę to uważam, że archeologia jest raczej nudna, Judyto. Taka jest prawda, ale oczywiście on tym żyje. Próbowалам. Czytałam książki. Lubiłam czytać o wspaniałych odkryciach, ale na ogół to jest o narzędziach do kopania, o rodzajach gruntu i tak dalej, i te wszystkie nudne garnki i inne przedmioty.

— Jeżeli cię to nie interesuje, może nie powinnaś udawać.

— Nie myślę, żeby się po mnie spodziewał zainteresowania. Powinam się po prostu o niego troszczyć. To wszystko, czego chce. Ach, to będzie wspaniałe, Judyto. Ale niepokoi mnie ojciec.

— Dlaczego miałby cię niepokoić?

— Nie będzie z tego zadowolony.

— Nie będzie zadowolony! Ależ myślałam, że zależy mu na tym, żebyś wyszła za Teobalda.

— Za Teobalda! Nie mówię o Teobaldzie.

W moich uszach zabrzmiało to jak pieśń. Jakbym słuchała jakiegoś niebiańskiego chóru. Zwołałam.

— Jak to! Nie mówisz o Teobaldzie? Żartujesz!

— Teobald! — zawołała. I powtórzyła to imię z przerażeniem — Teobald! Bałabym się go śmiertelnie. Jestem pewna, że uważa mnie za zupełną idiotkę.

— On jest poważny, to prawda, ale to dużo bardziej interesujące niż niemądra lekkomyślność.

— Evan nie jest lekkomyślny.

— Evan! A więc to Evan!

— Oczywiście, któżby inny?

Wybuchnęłam śmiechem. Te listy, przewiązane błękitną wstążką... i te westchnienia i rumieńce. Evan! — uścisnęłam ją.

— Ach, Teodozjo, jestem tak szczęśliwa — miałam dość przytomności umysłu, by dodać — z twojego powodu.

— Co się z tobą dzieje, Judyto?

— Nie sądziłam, że to Evan.

— Myślałaś, że chodzi o Teobalda. Wszyscy tak myślą, dlatego, że chce tego ojciec. Chciałby połączyć nasze rodziny przez małżeństwo. Zawsze był wielkim wielbicielem sir Edwarda i interesował się wszystkim, co on robi. I byłby zachwycony, gdybym była taka jak ty i umiała zrozumieć cały ten kram. Ale ja taka nie jestem, i — jak mógłby ktoś marzyć o Teobaldzie, gdy jest Evan!

— Niektórzy by mogli — powiedziałam spokojnie.

— Musieliby być *szaleni*.

— Tak szaleni, że mogliby uznać za szaloną ciebie, dlatego, że wolisz Evana.

— Judyto, jak to dobrze, że z tobą pomówiłam. Widzisz, nie chcemy powiedzieć ojcu. Wiesz, jakie są rodziny. Rozumiesz, rodzice Evana byli bardzo biedni i sam musiał na siebie pracować. Był jakiś krewny, który mu pomagał, i Evan chce mu zwrócić co do grosza wszystko, co na niego wyłożył. I zrobimy to. Uważam, że to mu przynosi chlubę, iż tak daleko zaszedł. Nie ma się czego wstydzić. Popatrz, Teobald otrzymał wszystko za darmo, a Evan musiał wszystko dla siebie sam wypracować.

— To godne pochwały — powiedziałam.

— Judyto, lubisz Evana, prawda?

— Oczywiście, i myślę, że ty i on jesteście idealnie dobrani.

— To cudownie. Ale jak myślisz, co powie ojciec?

— Jedyne sposob, żeby się dowiedzieć, to go zapytać.

— Sądzisz, że można by to zrobić?

— Ależ dlaczego nie?

— A jeśli odmówi?

— Zainscenizujemy ucieczkę z ukochanym. Drabina przy murze, przyszła oblubienica ucieka po niej; potem do Gretna Green*, ale że to raczej daleko od Kornwalii, to może lepiej będzie uzyskać specjalne zezwolenie na ślub.

— Och, Judyto, zawsze z ciebie taka żartownisia. Wszystko u ciebie wygląda jak zabawa. Cieszę się, że ci powiedziałam.

— Ja też — odpowiedziałam ze szczerym przekonaniem.

— Co ty byś zrobiła?

— Poszłabym do ojca i powiedziałam: „Kocham Evana Calluma. I postanowiłam wyjść za niego za mąż”.

— Ale przypuśćmy, że powie nie.

— Wtedy zorganizujemy ucieczkę.

— Chciałabym już teraz to zrobić.

— Ale najpierw musisz zapytać ojca. Może się okazać, że będzie tym zachwycony.

— Nie będzie. Jest oczarowany Traversami. Chciałby, żebym była taka jak ty... zwiariowana na punkcie wykopalisk. Myślę, że gdyby się dobrze czuł, pojechałby do Egiptu.

— Ty pewnie kiedyś pojedziesz z Evanem.

— Z Evanem pojedę wszędzie.

— Co on mówi?

— Że pobierzemy się bez względu na konsekwencje.

— Ojciec może cię wydziedziczyć.

— Czy myślisz, że dbam o to? Wolę głodować, ale być z Evanem.

— Do tego nie dojdzie. Dlaczego miałoby tak być? Evan przecież ma dobrą pracę na uniwersytecie. Nie masz się czego obawiać. Nawet jeśli nie odziedziczysz wielkiego majątku, będziesz żoną profesora.

— Oczywiście. Nie zależy mi na pieniądzach ojca.

— Masz więc pozycję. Musisz walczyć o to, żeby poślubić, kogo chcesz. I nie możesz zacząć za wcześnie.

Uścisnęła mnie.

Była taka szczęśliwa! Jak to dobrze coś zrobić dla czyjegoś szczęścia, jeśli przyczynia się to do naszego własnego.

* Gretna Green — wieś w Szkocji, gdzie zgodnie z prawem można było zawrzeć małżeństwo bez formalności (przyp. tłum.).

Teodozja miała rację, mówiąc, że ojciec nie będzie zadowolony z tego małżeństwa.

Gdy zakomunikowała mu tę nowinę, wybuchła burza.

Teodozja przysłała do mnie z płaczem.

— Nie chce o tym słyszeć — łkała. — Jest wściekły. Mówi, że do tego nie dopuści.

— No cóż, musisz być bardzo stanowcza, jeśli naprawdę chcesz wyjść za męża.

— Ty byś była, prawda, Judyto?

— Czy możesz w to wątpić?

— Ani przez chwilę. Jakże bym **chciała** być **do ciebie podobna**.

— Możesz być.

— Ale jak, Judyto, *jaki*

— Nie odstępuj od swego zdania. Nikt nie może cię zmusić **do** małżeństwa, jeśli nie wypowiesz odpowiednich słów.

— Pomożesz mi, Judyto, prawda?

— Z całego serca — odpowiedziałam.

— Powiedziałam ojcu, że może się mnie wyprzeć, że mi nie zależy. Że kocham Evana i że go poślubię.

— No więc zrobiłaś pierwszy krok.

Była bardzo podniesiona na duchu i w moim pokoju planowałyśmy, co dalej. Powiedziałam, że musi przede wszystkim napisać do Evana, żeby wiedział, jak sprawy stoją. Zobaczymy, co odpowie.

— Napiszę mu, że ty wiesz o wszystkim i że możemy na ciebie liczyć.

Zdziwiłam się, gdy sir Ralf wezwał mnie do siebie. Gdy weszłam do jego apartamentów, siedział w szlafroku w fotelu, a Blake krążył w pobliżu. Odprawił go i powiedział:

— Proszę usiąść, miss Osmond.

Usłuchałam.

— Mam wrażenie, że pani miesza się do spraw mojej córki.

— Wiem, że chce wyjść za męża — powiedziałam. — Nie widzę tu wtrącania się.

— Doprawdy! Czy nie radziła jej pani, żeby postawiła mi ultimatum?

— Mówiłam jej, że jeśli chce wyjść za męża, powinna to panu powiedzieć.

— I może poprosić mnie o pozwolenie?

— Tak.

— A jeśli go nie dam, postąpić wbrew mojej woli?

— Tylko ona może decydować, co zrobi.

— Ale pani w jej sytuacji nie byłaby posłuszna ojcu?

— Gdybym postanowiła wyjść za męża, zrobiłabym to.

— Nawet wbrew woli ojca?

— Tak.

— Domyśliłem się. Służyła pani jako podpora, ot co. Na Boga, miss Osmond, ma pani nie byle jakie wyobrażenie o swoim znaczeniu.

— Nie wiem, co pan ma na myśli, sir Ralf.

— Przynajmniej raz przyznaje pani, że czegoś nie wie. Miło mi widzieć, że ma pani choć odrobinę skromności.

Milczałam.

— Wie pani, że moja córka Teodozja chce wyjść za tego gościa bez grosza przy duszy.

— Wiem, że chce wyjść za profesora Evana Calluma.

— Moja córka będzie kiedyś bardzo bogatą kobietą... pod warunkiem, że zastosuje się do moich życzeń. Czy nadal uważa pani, że powinna wyjść za tego człowieka?

— Jeśli go kocha.

— Kocha! Nie wiedziałem, że jest pani sentymentalna, miss Osmond.

Znów się nie odezwałam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego mnie wezwał.

— Pani radziła mojej córce, żeby poślubiła tego człowieka?

— Ja? Wybrała go już, zanim dowiedziałam się o jej zamiarach.

— Już było ułożone jej małżeństwo ... znacznie odpowiedniejsze.

— Z pewnością to ona powinna decydować o tym, co jest odpowiednie.

— Ma pani nowoczesne poglądy, miss Osmond. Za moich czasów córki były posłuszne rodzicom. *Pani* nie uważa, że powinny ich słuchać.

— W większości spraw, tak. Ale moim zdaniem o małżeństwie powinni decydować partnerzy, których to dotyczy.

— Czy małżeństwo mojej córki mnie nie dotyczy?
— Nie w takim stopniu jak jej i jej przyszłego męża.
— Powinna pani być adwokatem. A zamiast tego upodobała pani sobie, jak mi się zdaje, zawód człowieka, którego ma poślubić moja córka — jeśli się na to zgodzę.

— To prawda.

Zobaczyłam, że broda mu drgnęła i nabrałam otuchy, bo znów go rozbawiłam.

— Pani wie o tym, że pragnąłem innego małżeństwa dla mojej córki.

— Były pewne domysły.

— Nie ma dymu bez ognia, co? Będę szczery. Chciałem, żeby wyszła za męża, ale oblubieńcem miał być ktoś inny. Jestem pewien, że pani wie co w trawie piszczy, miss Osmond.

— Dotarły do mnie pewne sugestie.

— I nie sądzi pani, że to niedobrze, że moja córka wybrała tego właśnie? No tak. A naprawdę, miss Osmond, czy nie jest pani trochę z tego zadowolona?

— Nie wiem, co pan chce przez to powiedzieć?

— Nie wie pani? Po raz drugi przyznaje się pani do niewiedzy. To do pani niepodobne... a już szczególnie udawanie, że pani nie wie. Z radością pomoże pani mojej córce zostać żoną tego młodego człowieka, wbrew woli jej ojca, prawda? Pani jest przebiegła, miss Osmond. Ma pani swoje powody.

Odchylił się do tyłu, twarz nabiegła mu krwią.

Widziałam, że się śmieje. Jego insynuacje sprawiły, że ogarnęło mnie zmieszanie.

Wiedział więc, że cieszyłam się z miłości pomiędzy Teodozją i Evanem Callumem, ponieważ chciałam mieć Teobalda dla siebie.

Pożegnał mnie ruchem dłoni. Byłam rada, że mogę stąd uciec.

W kilka dni później sir Ralf oświadczył, że zgadza się na zaręczyny swej córki z Evanem Callumem.

Teodozja była w stanie upojenia.

— Kto by pomyślał, Judyto, że nastąpi tak całkowita zmiana frontu.

— Sądzę, że twój ojciec jest w rzeczywistości raczej człowiekiem sentymentalnym, a ty jesteś tak wyraźnie zakochana.

— To dziwne, Judyto, jak mało wiemy o ludziach, z którymi jesteśmy tak blisko przez całe życie.

— Myślę, że nie jesteś pierwszą osobą, która to odkryła.

Ślub miał się odbyć na Boże Narodzenie i Teodozja wpadła w wir przygotowań.

Lady Bodrean nie aprobowała tego. Słyszałam jej kłótnię z sir Ralfem. Odeszłam pośpiesznie do siebie, ale Jane złożyła potem sprawozdanie, a ja bezwstydnie słuchałam, co, jak sądzę, było równie złe, jak i podsłuchiwanie.

— Słowo daję, co za awantura — mówiła Jane. — Oni chyba uważają, że on nie jest dość dobry dla naszej dziedziczki. „Czy postradał pan zmysły?” — pyta lady Bodrean. „*Madame*” — on odpowiada — „to ja będę decydował o losie mojej córki”. „Tak się składa, że jest i moją córką”. „Na szczęście nie jest do pani podobna, bo byłoby mi żal tego młodzieńca, którego ma poślubić”. „To znaczy, że żałuje pan siebie” — powiada ona. A on: „Nie, *madame*, ja umiem sobie radzić”. A na to ona: „Owszem, cała okolica roi się od pańskich nieprawych dzieci”. To on wtedy mówi: „Mężczyzna musi się jakoś rozweselić”. O, on jest całkiem górą. Gdyby trafiła na kogoś potulniejszego, zawojowałaby go. Ale nie naszego dziedzica. Potem powiedziała: „Mówił pan, że ma wyjść za Teobalda Traversa”. „No cóż, postanowiłem inaczej”. „To nagła zmiana postanowienia”. „Ona kocha tego człowieka”. „Miłość” — parsknęła. „To coś w co pani nie wierzy, wiem, ale ona wyjdzie za tego, kogo wybrała”. „Zmienił pan zdanie. Niedawno mówił pan: Chcę, żeby moja córka poślubiła syna mego starego przyjaciela Edwarda Traversa”. „Zmieniłem zdanie, to wszystko co mam do powiedzenia...” No, i tak dalej, i dalej, obrzucali się obelgami. Słowo daję, oglądamy samo życie.

Dużo myślałam o sir Ralfie. Naprawdę bardzo go lubiałam.

Gdy Alison i Dorcas posłyszały nowinę, były zdumione.

— Teodozja wychodzi za Evana Calluma! To niesłychane! Ty byłaś dużo lepsza niż ona, jeśli chodzi o całą tę pracę, do której jest tak zapalony.

Widać było, że były zakłopotane. Druga próba wydania mnie za mąż nie powiodła się.

Evan i Teodozja wzięli ślub w dzień Bożego Narodzenia, a Oliver Shrimpton dokonał tej ceremonii. Siedziałam w tylnych ławkach, pomiędzy Dorcas i Alison. Sabina była z nami.

Gdy panna młoda szła wzdłuż nawy wsparta na ramieniu małżonka, Sabina szepnęła mi do ucha: „Teraz twoja kolej”.

Zauważyłam, że spojrzała na Hadriana, siedzącego z przodu. Jezus Maria! — pomyślałam. — Więc komuś może coś takiego przyjść do głowy?

Ja sama traktowałam zawsze Hadriana jak brata. Roześmiałam się w duchu pomyślawszy, co by na to powiedziała lady Bodrean, gdyby wiedziała. Uważałaby za wysoce niewłaściwe, by lektorka traktowała bratanka sir Ralfa jak brata.

Młoda para miała spędzić święta Bożego Narodzenia w Keveryall Court. Potem mieli się udać do domu w Devon, który jeden z wykładowców uniwersytetu udostępnił im na miodowy miesiąc. Pozwolono mi spędzić dzień w Tęczowym Domku i powrócić wcześniej następnego ranka. Dziwiło mnie to ustępstwo; później przyszło mi do głowy, że lady Bodrean mogła myśleć, że sir Ralf, który teraz zupełnie wyraźnie stał się moim protektorem, może mnie zaprosić na wieczorne przyjęcie, wydane zarówno z okazji świąt jak i ślubu.

Spędziłam spokojny dzień, a wieczorem Alison i Dorcas zaprosiły kilku swoich przyjaciół i wieczór przeszedł miło na grze w zgadywanke.

W dwa dni później promienna panna młoda wyjechała ze swym mężem. Odczułam jej brak. Wszystko teraz wydawało się monotonne, gdy minęło podniecenie związane z weselem.

Lady Bodrean stała się irytująco drażliwa i narzekała bez przerwy.

Rozmawiałam przy jakiejś okazji z Hadrianem, który jak zawsze martwił się o pieniądze.

— Mogę zrobić tylko jedno — powiedział — znaleźć, tak jak Evan, bogatą dziedziczkę, która by wyszła za mnie.

— Jestem pewna, że nie przyszło mu to do głowy — zaprotestowałam gorąco.

Hadrian uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Przy najlepszych w świecie zamiarach, musiał odczuć ulgę. Pieniądze to pieniądze i majątek nigdy jeszcze nikomu nie zaszkodził.

— Masz obsesję pieniędzy!

— Złóż to na karb tego, że ich nie mam.

Pod koniec stycznia wyjechał i w tym samym czasie lady Bodrean była przez kilka dni cierpiąca, miałam więc trochę swobody.

Sir Ralf wezwał mnie do siebie i powiedział, że skoro lady Bodrean nie potrzebuje moich usług, mogę czytać jemu gazety.

Tak więc co rano miałam czytać mu przez godzinę, dwie „Times'a”, ale nigdy nie pozwolił mi na to długo. Zdałam sobie sprawę, że chciał rozmawiać.

Powiedział mi coś niecoś o wyprawie.

— Pojechałbym z nimi, ale doktor mi zabronił. — Postukał się w serce. — Nie mogę go wyczerpywać. Dawałbym się we znaki. Gorąco to byłoby dla mnie za wiele.

Byłam w stanie odpowiadać inteligentnie dzięki niewielkiej wiedzy, którą zdobyłam.

— Szkoda, że nie możemy posłać pani na uniwersytet. Dałaby pani sobie doskonale radę, tak myślę. Zawsze panią do tego ciągnęło, prawda? To jest właśnie potrzebne — pociąg. Sam go zawsze miałem, ale nigdy nie byłem niczym innym jak tylko amatorem.

Powiedziałam, że można mieć bardzo wiele przyjemności, będąc po prostu amatorem.

— U sir Edwarda to jest pasja. Uważam, że jest jednym z najwybitniejszych specjalistów w tym zawodzie... Posunąłbym się nawet do uznania go za *najwybitniejszego*.

— Tak, myślę, że za takiego jest uważany.

— A młody Teobald jest taki sam.

Rzucił mi szybkie spojrzenie. Poczułam zdradliwy rumieniec na policzkach. Przypomniałam sobie jego aluzje na nasz temat.

— Będzie taki jak jego ojciec. Bardzo trudny we współżyciu — sir Edward. Jego małżeństwo nie było zbyt szczęśliwe. Niektórzy mężczyźni poślubiają raczej swój zawód niż kobietę. Zawsze się rozjeżdżają na wszystkie strony. A gdy są w domu, zagrzebują się w książkach albo w pracy. Kiedy był w domu, żona nie widywała go czasem przez kilka dni. A prawie zawsze był poza domem.

— Przypuszczam, że nie interesowała się jego pracą.

— Jego praca była najważniejsza. Zawsze tak jest u tego rodzaju ludzi.

— Pana córka wyszła za archeologa.

— Ten człowiek! Znam jego miarę. Będzie przez całe życie wykładał... teoretyzował na temat tego czy tamtego... a kiedy dzień pracy dobiegnie końca, wróci do domu, do żony i rodziny i zapomni o wszystkim. Są tacy ludzie, ale rzadko są to ci, którzy osiągają szczyty w swoim zawodzie. Chciałaby pani zobaczyć sprawozdania z Egiptu?

— Och, bardzo bym się cieszyła.

Przyglądał mi się z tym swoim charakterystycznym potrząsaniem brodą.

Czytywałam mu raporty i omawialiśmy je. Jak szybko upływały takie godziny!

Pomiędzy sir Ralfem i mną zadzierzgnął się nowy stosunek. Dziwiłam się czasem, że to przyszło tak niepostrzeżenie. Zainteresowanie, które zawsze mi okazywał, stało się podstawą przyjaźni, o której nigdy bym nie pomyślała, że jest możliwa.

Na początku marca nadeszła wiadomość o śmierci sir Edwarda i zaczęto snuć domysły na temat klątwy faraonów.

ŻONA TEOBALDA

Sir Ralf doznał głębokiego wstrząsu, który spowodował następny atak; jego wynikiem było uszkodzenie narządów mowy. Wtedy właśnie zaczęły krążyć pogłoski o znaczeniu tej choroby. To klątwa królów, głosiły wieści, gdyż wiadano powszechnie, że sir Ralf wspierał ekspedycję finansowo. Nie mógł uczestniczyć w pogrzebie, ale w jakiś tydzień później posłał po mnie i kiedy weszłam do pokoju, ze zdziwieniem ujrzałam tam Teobalda.

Litość ogarniała, gdy się patrzyło na ruinę, jaką stał się krzepki niegdyś sir Ralf. Mówił z bolesnym wysiłkiem, nie ustawał jednak w próbach, ponieważ było coś, co chciał powiedzieć.

Wskazał nam miejsca po obu stronach.

— Ju... Ju... — zaczął i zdałam sobie sprawę, że próbuje wymówić moje imię.

— Jestem tu, sir Ralfie — powiedziałam i gdy położyłam mu rękę na dłoni, chwycił ją i trzymał mocno. Zwrócił spojrzenie na Teobalda i poruszył prawą ręką, bo lewą trzymał moją. Teobald zrozumiał gest i podał mu rękę. Sir Ralf uśmiechnął się i złożył dłonie razem. Teobald ujął wtedy moją rękę, a sir Ralf uśmiechnął się słabo. O to mu chodziło.

Spojrzałam w oczy Teobalda i poczułam, jak krew powoli wypływa mi na policzki.

Było oczywiste, co sir Ralf miał na myśli.

Cofnęłam rękę, ale Teobald dalej patrzył na mnie.

Sir Ralf zamknął oczy. Blake podszedł na palcach.

— Myślę, że byłoby lepiej, sir — powiedział — gdyby pan i miss Osmond teraz wyszli.

Gdy drzwi się za nami zamknęły, Teobald zapytał:

— Pójdzie pani ze mną do Giza House?

— Muszę iść do lady Bodrean — odparłam. Drżałam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego sir Ralf postawił nas w tak krępującym położeniu.

— Chciałbym z panią porozmawiać — nalegał Teobald. — To jest bardzo ważne.

Wyszliśmy razem z domu, i gdy oddaliliśmy się już nieco, Teobald powiedział:

— On ma rację, pani to rozumie. Powinniśmy.

— Ja... ja nie rozumiem.

~— Ależ Judyto, co się z panią dzieje? Jest pani zawsze taka szczerą.

— Ja... ja nie wiedziałam, że pan tak dużo wie o mnie.

— Wiem bardzo dużo o pani. Wiele lat upłynęło, odkąd pierwszy raz panią spotkałem w przebraniu mumii.

— Nigdy pan tego nie zapomni.

— Nie zapomina się pierwszego spotkania z własną żoną.

— Ale...

— On to miał na myśli. Mówił nam, że powinniśmy zostać mężem i żoną.

— On majaczył.

— Nie sędzę. Myślę, że od pewnego czasu było to jego życzeniem.

— Zaczynam rozumieć. Myślał, że jestem Teodozją. Miał nadzieję, że pan i Teodozja zostaną małżeństwem. Pan o tym wiedział, prawda?

— Myślę, że mówili o tym z ojcem.

— No więc... widzi pan, co się stało. Zapomniał, że Teodozja wyszła za męża. Wziął mnie za swoją córkę. Biedny sir Ralf. Obawiam się, że bardzo jest chory.

— Boję się, że on umiera — odpowiedział Teobald. — Pani zawsze interesowała się moją pracą, prawda? ... to poważne zainteresowanie?

— Ależ tak.

— Widzi pani, powinniśmy zgadzać się ze sobą. Moją matkę nudziła praca ojca. To było bardzo smutne małżeństwo. Z nami będzie inaczej.

— Nie pojmuję. Chce pan powiedzieć, że ożeni się pan ze mną dlatego, ponieważ sir Ralf dał nam do zrozumienia, że by tego chciał?

— To oczywiście nie jest jedyny powód.

— Proszę mi podać inne.

— Po pierwsze, mogłaby pani pojechać ze mną do Egiptu. Myślę, że byłaby pani z tego zadowolona.

— Jednak nawet to nie jest dostatecznym powodem do zawarcia małżeństwa.

Przystanął i popatrzył na mnie.

— Są inne — powiedział i przyciągnął mnie do siebie.

Powiedziałam:

— Nie chciałabym wychodzić za męża, ponieważ chcę być użytecznym członkiem ekspedycji.

— Będzie pani pomimo to.

Potem mnie pocałował.

— Gdyby w grę wchodziła miłość... — zaczęłam.

Roześmiał się i przytulił mnie.

— Czy pani wątpi, że tak jest?

— Nie jestem zdecydowana i chciałabym jednak czegoś w rodzaju oświadczyć.

— Proszę zatem, aby pani je wyraziła, bo pani robi to o wiele lepiej. Nigdy nie brakuje pani słów. Obawiam się, że mnie — tak... często.

— To może mógłby być ze mnie lepszy pożytek. Pisałabym pana listy, na przykład. Będę dobrą sekretarką.

— Czy to są *pani* oświadczenia?

— Myślę, że pan wie, że od lat jestem w panu zakochana. Sir Ralf chyba o tym wiedział.

— Nie wiedziałem, że jestem tak szczęśliwy! Żałuję, że wcześniej nie wiedziałem.

— Co by pan wtedy zrobił?

— Zadałbym sobie pytanie, czy gdyby mnie pani znała lepiej — nie zmieniłaby pani zdania i zastanawiałbym się, czy odważyłbym się do tego dopuścić.

— Naprawdę jest pan tak skromny?

— Nie, będąc najbardziej zuchwałym mężczyzną w pani życiu.

— Nie ma nikogo, kto miałby dla mnie znaczenie... i nigdy nie było.
Będę pana o tym przekonywać przez całe życie, jeśli trzeba.

— To znaczy, że zgadza się pani dzielić je z mną?

— Wolę umrzeć, niż robić cokolwiek innego.

— Moja najdroższa Judyto! Czy nie mówiłem, że umie pani radzić sobie ze słowami?

— Powiedziałam szczerze, że pana kocham. Chciałabym usłyszeć od pana, że pan kocha mnie.

L^ — Czy nie okazałem tego wyraźnie?

^M — Bardzo chciałabym to usłyszeć.

^H — Kocham cię — powiedział.

| ^ ^ — Powiedz to jeszcze raz. Mów stale. Tak długo marzyłam, że mówisz te słowa. Nie mogę uwierzyć, że to prawda. Teraz już nie śnię, prawda? Nie zbudzę się nagle na dźwięk dzwonka lady Bodrean?

Ujął moją rękę i całował ją żarliwie.

— Moja, droga, *droga* Judyto! — powiedział. — Zawstydzasz mnie. Nie zasługuję na ciebie. Nie oceniaj mnie zbyt wysoko. Rozczaruję cię. Wiesz, jak jestem opętany pracą. Zamęcę cię moją obsesją.

) — Nigdy.

— Nie nadaję się na męża. Brak mi twojej radości, spontaniczności... wszystkiego, co czyni cię tak pociągającą. Będę nudny, zbyt poważny...

— Nie można być zbyt poważnym, gdy w grę wchodzi ważne sprawy życia.

— Będę nieraz ponury, zaabsorbowany, ciągle zajęty, będę cię zaniedbywał dla pracy.

— Którą chcę z tobą dzielić, razem ze zmianami nastroju i troskami, więc ta przeszkoda nie istnieje.

— Trudno mi przychodzi wyrażanie uczuć. Mogę zapomnieć mówić o tym, jak bardzo cię kocham. Trwożysz mnie. Zawsze ponosi cię zapał. Zbyt dobrze o mnie myślisz. Oczekujesz doskonałości.

Roześmiałam się, kładąc głowę na jego piersi.

l — Nie mogę powstrzymać moich uczuć — powiedziałam. — Od tak dawna cię kocham. Chcę tylko być z tobą, dzielić twoje życie, czynić cię szczęśliwym, sprawiać, by twoje życie było pełne spokoju i łatwe, i takie jakie chcesz.

— Judyto — powiedział — zrobię co tylko w mojej mocy, byś była szczęśliwa.

— Jeśli mnie kochasz, jeśli się godzisz, bym dzieliła z tobą życie, to będę szczęśliwa.

Wsunał mi rękę po ramię i uściśnął mocno moją dłoń.

Gdyśmy się przechadzali, mówił o przyszłości. Nie widział powodu, żeby odwlekać ślub. Chciał, by odbył się jak najszybciej. „Będziemy bardzo zajęci naszymi planami wykopaliskowymi. Czy nie masz nic przeciw temu, żebyśmy po ślubie zostali w Giza House i od razu zabrali się do przygotowań?”

Czy mam coś przeciw temu? Nic nie ma dla mnie znaczenia, dopóki jestem z nim. Największa radość, jaka może mnie spotkać, to dzielić z nim życie na zawsze.

W Tęczowym Domku zapanowało zdumienie, gdy powiedziałam nowinę Dorcas i Alison. Cieszyły się, że wychodzę za mąż, ale miały pewne wątpliwości co do pana młodego. Ich zdaniem Oliver Shrimpton był dużo lepszą partią, a o Traversach mówi się w St. Erno, że to dziwni ludzie. A teraz, gdy sir Edward zmarł w tak tajemniczych okolicznościach, czuły, że lepiej byłoby, gdybym nie była związana z tak niejasną sprawą.

— Zostaniesz lady Travers — rzekła Alison.

— Nie myślałam o tym.

Dorcas potrząsnęła głową.

— Jesteś szczęśliwa, widzę to.

— Ach, Dorcas, Alison. Nigdy nie myślałam, że można być tak szczęśliwą.

— No, no — powiedziała Dorcas, jak wtedy gdy byłam dzieckiem.

— Nigdy nie umiałaś nic robić połowicznie.

— Nie można przecież myśleć o małżeństwie „połowicznie”, jak to określasz.

Zaśmiałam się.

— W tym małżeństwie — powiedziałam — wszystko uda się w pełni.

W Keverall Court nie powiedziałam nic o zaręczynach. Nie wydawało mi się to właściwe, gdy sir Ralf był tak bardzo chory. A następnego dnia zmarł.

Keverall Court pogrążone było w żałobie, ale myślę, że nikomu nie brakowało sir Ralfa tak bardzo jak mnie. Cień padł na wielką radość moich zaręczyn. Ale przynajmniej — myślałam — on byłby zadowolony. Był moim przyjacielem, a w ciągu tygodni poprzedzających śmierć nasza przyjaźń znaczyła dla mnie bardzo wiele, a sądzę, że dla niego także. Jak bardzo chciałam móc usiąść w jego pokoju i opowiedzieć o moich zaręczynach i o wszystkich marzeniach na przyszłość. Bardzo dużo o nim myślałam i przypominałam sobie przeszłe wydarzenia — gdy przyniosłam mu brązową tarczę i zaczął mi okazywać zainteresowanie, jak podarował mi balową suknię i jak stawał później w mojej obronie.

Lady Bodrean przybrała twarz smutkiem, ale było oczywiste, że skrywał on ulgę. Mówiła do mnie i Jane o zaletach sir Ralfa; wyczuwałam jednak, że tylko chwilowo uciszyła swą wrogość wobec mnie, obiecując sobie, że teraz, gdy straciłam mego orędownika, będę zdana na jej łaskę i niełaskę. Nie spodziewała się ciosu, który miałam jej zadać. Miałam poślubić mężczyznę, którego przeznaczyła dla córki. To będzie wielki wstrząs dla niej, gdy się dowie, że jej biedna lektorka zostanie wkrótce lady Travers.

Hadrian wrócił do domu. Powiedziałam mu.

— To jeszcze nie jest oficjalnie ogłoszone — zastrzegłam. — Chcę poczekać, aż będzie po pogrzebie.

— Teobald ma szczęście — powiedział posępnie. — Uważam, że mnie ubiegł.

— Ależ chciałeś się ożenić z bogatą kobietą.

— Gdybyś, miała majątek, Judyto, złożyłbym serce u twoich stóp.

— Biologicznie niemożliwe — odpowiedziałam.

— No cóż, życzę ci szczęścia. I cieszę się, że odejdziesz od mojej ciotki. Twoje życie musiało być piekłem przy niej.

— Nie było aż tak źle. Wiesz, że zawsze lubiłam walkę.

Tego wieczora dostałam dziwne zawiadomienie od prawników sir Ralfa. Chcieli, bym była obecna przy odczytywaniu testamentu.

Gdy przyszłam do Tęczowego Domku i powiedziałam o tym Dorcas i Alison, zachowały się osobliwie.

Wyszły, pozostawiając mnie w bawialni i dość długo nie wracały. To było dziwne, gdyż moje odwiedziny były z konieczności krótkie, i w chwili, gdy chciałam je zawołać, by powiedzieć, że muszę już iść, powróciły.

Miały wypieki na policzkach i spoglądały na siebie w wielkim zakłopotaniu; znając je dobrze, zdałam sobie sprawę, że jedna usiłuje przynaglić drugą, by podjęła temat, który uważały za przykry czy denerwujący z jakiegoś powodu.

— Co się stało? — zapytałam.

— Jest coś, co jak uważamy, powinnaś wiedzieć — powiedziała Dorcas.

— Tak, istotnie, musisz być przygotowana.

— Przygotowana? Na co?

Dorcas przygryzła wargi i spojrzała na Alison. Alison skinęła głową.

— To ma związek z twoim urodzeniem, Judyto. Jesteś naszą siostrzenicą. Lawinia była twoją matką.

— Lawinia! Dlaczego mi nie powiedziałyście?

— Ponieważ myślałyśmy, że tak będzie najlepiej. To była raczej trudna sytuacja.

— To był dla nas straszny wstrząs — mówiła dalej Dorcas — Lawinia była najstarsza i ojciec kochał ją do szaleństwa. Była taka śliczna. Była tak podobna do naszej rhatki... podczas gdy my byłyśmy podobne do ojca.

— Dorcas kochana! — powiedziałam. — Ciągnij dalej i powiedz, o co w tym wszystkim chodzi.

— To był wielki wstrząs, gdyśmy się dowiedziały, że będzie miała dziecko.

— Które okazało się mną?

— Tak. Przemyciłyśmy Lawinie do krewnej... zanim to się stało widoczne, rozumiesz. Powiedziałyśmy ludziom we wsi, że przyjęła posadę... guwernantki. I ty się urodziłaś. Miałyśmy kuzynkę w Londynie, która miała kilkoro własnych dzieci. Lawinia mogła się nimi zajmować i mieszkać tam ze swoim dzieckiem. To było dobre rozwiązanie. Przywoziła ciebie do nas, ale oczywiście nie mogła przyjeżdżać tutaj. Spotykałyśmy się wszystkie w Plymouth. Spędzałyśmy tam miło trochę czasu, a potem odprowadzałyśmy ją do pociągu.

— Zdarzyła się katastrofa — powiedziałam — ona zginęła, a ja ocalałam.

— I powstał problem, co z tobą będzie dalej. Powiedzieliśmy, że jesteś dzieckiem naszej kuzynki i przywieźliśmy cię tutaj... żeby cię, jak gdyby adoptować.

— To znaczy, że naprawdę jesteście moimi ciotkami! Ciociu Alison, ciociu Dorcas! Ale dlaczego opowiadaliście mi tę historię, że jestem niczyja?

— Zawsze zadawałaś pytania na temat tych dalekich kuzynów, o których sądziłaś, że są twoją bliską rodziną, uważaliśmy więc, że lepiej będzie dla ciebie nie mieć w ogóle rodziny.

— Wiem, że zawsze postępowaliście tak, jak uważaliście, że będzie dla mnie lepiej. Kto był moim ojcem? Czy to wiecie?

Popatrzyły przez chwilę na siebie, a ja wybuchnęłam:

— Czy to naprawdę możliwe? To wyjaśnia wszystko. Sir Ralf!

Ich twarze powiedziały mi, że odgadłam.

Był moim ojcem. Cieszę się. Kochałam go. Zawsze był dla mnie dobry. Podeszłam do nich i objęłam je ramionami.

— Przynajmniej wiem teraz, kim byli moi rodzice.

— Myślałyśmy, że możesz się wstydzić tego, że jesteś dzieckiem zrodzonym poza małżeństwem.

— Wiecie — powiedziałam — myślę, że on naprawdę ją kochał. Musiała być jedyną miłością jego życia. A przynajmniej była dla niego wielkim pocieszeniem, które było mu potrzebne w małżeństwie z lady Bodrean.

— Och, Judyto — zawołały pobłażliwie.

— Ale on był dla mnie dobry. — Myślałam o tym, w jaki sposób na mnie patrzył, o rozbawionym błysku w oku, o drganiu podbródka. Mówił sobie: To córka Lawinii. Jak bardzo bym chciała, żeby żył i żeby mogła mu powiedzieć, jak bardzo go kocham.

— A więc, Judyto — powiedziała Dorcas — musisz być przygotowana. Powodem, dla którego masz być przy czytaniu jego ostatniej woli jest to, że coś ci zapisał. Może wyjść na jaw, że jesteś jego córką, a nie chciałybyśmy, żeby to był dla ciebie szok.

— Jestem przygotowana — powiedziałam.

Miały rację. Byłam wymieniona w testamencie sir Ralfa. Zapisał ćwierć miliona funtów na badania archeologiczne; miały być wykorzystane, przy spełnieniu pewnych warunków, w taki sposób, jaki sir Edward i Teobald uznają za właściwy; pozostawił dożywocie żonie, Hadrianowi dochód w wysokości tysiąca funtów rocznie, Teodozji, swej spadkobierczyni, dom po śmierci matki i połowę pozostałości spadkowej swych dochodów; druga połowa miała przypaść jego córce urodzonej poza małżeństwem, Judycie Osmond, a w razie śmierci jednej z córek, jej udział ma przejść na drugą.

To było zdumiewające.

Ja, bez grosza, niechciana od urodzenia, odzyskałam rodziców i od jednego z nich otrzymałam majątek tak wielki, że przyprawił mnie o zawrót głowy.

Ostatnie tygodnie obfitowały w dramatyczne wydarzenia. Miałam poślubić mężczyznę, którego kochałam, i nie przyjdę do niego, tak jak myślałam — z pustymi rękami. Przyniosę z sobą wielkie bogactwo.

Przypominałam sobie chwilę, gdy sir Ralf wziął moje i Teobalda ręce i połączył je razem. Zastanawiałam się, czy powiedział Teobaldowi o tym, co nas łączyło i co zamierza zrobić.

I wtedy poczułam pierwszy skurcz niepokoju.

Prawda o moim urodzeniu obiegała całą wieś. To, że byłam córką sir Ralfa, zdziwiło niewielu; było trochę plotek wśród parafian Olivera, którzy przypominali sobie szczegółowo, jak to byłam wychowywana razem z jego prawowitą córką i bratankiem, a potem przyjęta do Keverall Court, choć na skromne stanowisko. Zgadli, jak mówili, mądrzy, gdy prawda wyszła już na jaw. Alison i Dorcas były na przemian to zadowolone, to pełne zażenowania. Alison uważała, że to dobrze, że ich ojciec nie dożył tego skandalu: ich siostra, córka proboszcza kochanką sir Ralfa, która urodziła mu dziecko! To *było* raczej skandaliczne. Jednocześnie ja, która znałyłam dla nich o wiele więcej niż reputacja ich zmarłej siostry, byłam teraz kobietą zamożną, o zabezpieczonej przyszłości. Oczarowałam również mego ojca tak bardzo, że pokazał światu, iż byłam dla niego kimś równie ważnym jak prawowita córka.

Skandal ucichnie; korzyści pozostaną.

Tak bardzo chciały, żebym wyszła za mąż, ale teraz gdy byłam od tego o krok, wyczuwałam, że nie są zbyt zadowolone. Jako zamożna młoda kobieta nie potrzebowałam już utrzymania, które mógłby mi dać mąż, a to ze względu na to utrzymanie wybrały dla mnie najpierw OHvera a potem Evana; teraz zaś, zanim dowiedziałam się o spadku, związałam się z tym raczej dziwnym mężczyzną, którego ojciec zmarł niedawno w tajemniczych okolicznościach. Nie to zamyślały dla mnie.

Gdy przyszłam do nich po odczytaniu testamentu, patrzyły na mnie jak na kogoś obcego, jakbym stała się inną osobą.

Śmiałam się z nich.

— Szalone stare ciotki — wołałam — bo przecież okazałyście się moimi ciotkami, to że będę bogata nie zmienia mnie ani trochę! I pozwólcie sobie powiedzieć, że koniec z oszczędzaniem w tym domu. Będziecie miały dochód, który umożliwi wam prowadzenie takiego życia, do jakiego byłyście przyzwyczajone.

To była bardzo wzruszająca chwila. Alison wykrzywiła usta, a twarz Dorcas była już mokra od łez. Uściskałam je.

— Pomyślcie tylko. Możecie opuścić Tęczowy Domek... Sprzedać go, jeśli chcecie (bo sir Ralf im go pozostawił) i zamieszkać w pięknym domu... z pokojówką czy nawet dwiema...

Alison roześmiała się.

— Judyto, zawsze wybiegałaś za daleko naprzód. Jesteśmy tu zupełnie szczęśliwe i ten dom jest teraz naszą własnością. Zostanemy tu.

— W każdym razie nigdy się już nie będziecie martwiły, jak związać koniec z końcem.

— Nie możesz wydawać wszystkich pieniędzy, jeszcze zanim je otrzymasz.

Rozbawiło mnie to.

— Myślę, że jest ich niemało, i jeśli sądzicie, że pierwszą rzeczą, którą zrobię, nie będzie zajęcie się wami, to nie znicie Judyty Osmond.

Dorcas przyłożyła dłoń do oczu, a Alison powiedziała z powagą w głosie:

— Judyto, a co z nim?

— Z nim?

— Z tym... z tym człowiekiem, którego chcesz poślubić. Z Teobaldem.

Patrzyły na mnie z niepokojem.

— Teraz, kiedy... e... — zaczęła Alison — kiedy masz ten majątek...

— Jezus Maria! — zawołałam. — Chyba nie myślicie...

— My... zastanawialiśmy się, czy on wie...

— Czy co wie? — zapytałam.

— Że ty... że ty... odziedziczysz te pieniądze.

— Ciotki! — krzyknęłam ostro. — Jesteście w wielkim błędzie. Teobald i ja jesteśmy dla siebie stworzeni. Ja pasjonuję się jego pracą.

Alison powiedziała z niezwykłą u niej szorstkością:

— Mam nadzieję, że on nie jest namiętnie zainteresowany twoimi pieniędzmi.

Byłam rozgniewana.

— To jest potworne... Jakże on mógłby... Poza tym...

— Judyto, nam chodzi tylko o twoje dobro — powiedziała Dorcas.

Mój gniew prysnął. To była prawda. W całym tym niepokoju chodziło im tylko o moje dobro. Ucałowałam je znowu.

— Posłuchajcie — powiedziałam. — Kocham Teobalda, kocham, kocham, *kocham!* Rozumiecie? Zawsze go kochałam. Zawsze będę kochała. I będziemy razem pracować. To najbardziej idealne małżeństwo, jakie kiedykolwiek skojarzono. Nie ośmielicie się twierdzić inaczej. Nie ośmielicie się *myśleć* inaczej...

— Ach, Judyto, zawsze zagarniałaś wszystko za jednym zamachem. Mam tylko nadzieję...

— Nadzieję. Czy trzeba mieć nadzieję, kiedy się *wiel*

— Ty naprawdę go kochasz?

— Czy w to wątpisz?

— Nie. Zastanawiamy się nad nim.

— Oczywiście — powiedziałam — on nie **okazuje swoich uczuć tak** jak ja. Któż okazuje?

Zgodziły się, że mało kto.

— Może się wydawać daleki, zimny — ale taki nie jest.

— Złamałoby nam to serca, gdybyś nie była szczęśliwa, Judyto.

— Nie ma żadnych powodów do obaw. Wasze serca pozostaną nienaruszone.

— Naprawdę jesteś szczęśliwa, Judyto? — zapytała Alison.

— Kocham Teobalda — odpowiedziałam — i on chce mnie poślubić. A kiedy tak jest, jakże mogłabym nie być szczęśliwa?

Na plebanii było inaczej. Sabina powitała mnie gorąco.

— Ach, co za zabawa, Judyto! — zawołała w swój zwykły, nielogiczny sposób. — Więc jesteśmy wszyscy, nasza stara banda, szczęśliwie razem połączeni. Interesujące, prawda? Jedyny pominięty to Hadrian. Ale oczywiście, byliśmy nie do pary. Trzy kobiety, czterej mężczyźni. Jaka piękna proporcja i jak rzadko spotykana. Chociaż Teobald nie był jednym z nas. Mam na myśli — w szkolnym pokoju. A drogi, dobry Evan, i *kochany* Oliver... oni byli nauczycielami. Tak się cieszę. Mimo wszystko rządziłaś nami, Judyto, więc Teobald jest właśnie dla ciebie odpowiedni. Zawsze mówiłam Ohverowi, że potrzebny jest ktoś, kto by rządził tobą. No i teraz masz Teobalda. Nie, żeby to robił tak jak ty, ale ma silną rękę. Trudno sobie wyobrazić, by ktoś rządził Teobaldem, prawda? Ach, Judyto, czy nie jesteś szczęśliwa? A ja nie mogę sobie wyobrazić nikogo, kogo bym wolała dla mojego ukochanego, doskonałego brata.

To była dla mnie większa szczypta pokrzepienia niż w Tęczowym Domku.

A Sabina paplała dalej:

— Wszystko to było takie ekscytujące. Sir Ralf i wszystko razem... i pieniądze! Będziesz mogła wszędzie jeździć z Teobaldem. Mój ojciec zawsze umiał ludzi zainteresować... żeby wspomagali finansowo jego podróże, rozumiesz. Sam też nie mała na nie wydawał... Moja matka mówiła że bylibyśmy *fantastycznie*, bogaci gdyby nie *obsesja* ojca.

Wyglądało więc na to, że kiedykolwiek mówiło się o moim małżeństwie, zawsze rozważano sprawę mojej świeżo uzyskanej fortuny.

Nie mogła mi nie sprawić radości rozmowa z lady Bodrean.

Po odczytaniu testamentu stawiałam się przed nią. Patrzyła na mnie, jakbym była czymś nad wyraz przykrym, czym, jak mi się wydaje, byłam.

— Przyszła więc pani złożyć rezygnację?

— Tak, lady Bodrean.

— Spodziewałam się, że wkrótce to pani zrobi. Będę więc w kłopotcie.

Odpowiedziałam:

— No cóż, jeśli byłam tak bardzo przydatna, co pani starannie ukrywała, chętnie zostanę jeszcze przez tydzień, zanim znajdzie pani kogoś na moje miejsce.

— Już pani wie, że pani obecność była na mnie *wymuszona*. Nie zatrudniałam przedtem lektorki.

— Nie ma więc pani nic przeciwko temu, bym odeszła zaraz.

Było oczywiste, iż doszła do wniosku, że nowy zwrot w moim losie oznacza, że nie będę już dobrym obiektem do dręczenia, zdecydowała więc, że powinnam odejść natychmiast, choć udawała, że się jeszcze waha.

To, że byłam córką sir Ralfa, nie było, jak sędzę, dla niej niespodzianką. Myślę, że w istocie jego postępowanie wobec mnie przekonało ją o łączących nas związkach krwi i dlatego właśnie była dla mnie szczególnie przykra. Ale to, że Teobald poprosił mnie o rękę, zaintrygowało ją.

Chciała, by Teobald ożenił się z jej córką i fakt, że Teodozja wyszła za Evana Calluma, a zdobycz przypadła mnie, drażnił ją.

— Słyszałam, że wkrótce wychodzi pani za męża — powiedziała, krzywiąc się szyderczo.

— Dobrze pani słyszała — powiedziałam.

— Muszę wyznać, że byłam zdziwiona, dopóki...

— Dopóki?

— Wiem, że sir Ralf miał duże zaufanie do sir Edwarda. Byli przyjaciółmi. Nie wątpię, że powiedział mu, jakie jest położenie i to dlatego...

— Była pani zawsze bardzo szczerą dawniej, lady Bodrean — powiedziałam — nie ma potrzeby, żeby była pani mniej bezpośrednia teraz, gdy jesteśmy na równej stopie. Sugeruje pani, że sir Teobald Travers poprosił mnie o rękę, ponieważ jestem córką sir Ralfa?

— Sir Ralf bardzo pragnął połączenia z tą rodziną. Oczywiście wolałby, żeby jego *prawdziwa* córka zawarła to małżeństwo, a zamiast tego musi wyjechać z tym belfrem bez centa przy duszy.

— Jeśli wolno mi sprostować, co byłoby niemożliwe przed ujawnieniem mojej właściwej tożsamości, muszę pani przypomnieć, że profesor Callum nie jest pozbawiony środków do życia. Ma dobre stanowisko na jednym z czołowych uniwersytetów w kraju i określenie belfer nie jest właściwe dla wykładowcy archeologii.

— To nie jest człowiek, którego sir Ralf pragnął na męża dla swojej córki. Była nierozsądna i zlekceważyła nasze zdanie — wydaje mi się, że sir Ralf postanowił, że skoro Teodozja była tak niemądra, zaoferuje jej szansę pani.

— Mój przyszły mąż to nie jest nagroda, którą można oferować wszystkim wokoło.

— Można by rzec, że to jemu oferowano niezłą nagrodę. Zdumiewa mnie sposób, w jaki mój mąż rozporządził swym majątkiem. Powiedziałabym, że zwyciężyła ekstrawagancja i brak poczucia moralności.

Nie mogłam dopuścić, by spostrzegła, że zdobyła punkt. Sugestia, że miałam zostać poślubiona dla pieniędzy nie była nowa.

Pożegnałam lady Bodrean i tak zakończyły się nasze stosunki jako pracodawczyni i pracownicy.

Wróciłam do Tęczowego Domku, który miał być moim domem do chwili ślubu.

Nasz ślub miał nastąpić w bardzo niedługim czasie. Teobald nalegał na to. Dorcas i Alison uważały za niestosowne wyprawianie wesela tuż po pogrzebie, a ja powinnam pamiętać, że pogrzeb ten okazał się pogrzebem mojego ojca.

Gdy zwróciłam na to uwagę, Teobald powiedział:

— Co za nonsens! Dopiero potem dowiedziałaś się, że to był twój ojciec.

Zgodziłam się z nim. Byłam gotowa zgodzić się z nim we wszystkim. Gdy byłam przy nim, zapomniałam o jakichkolwiek obawach. Tak bardzo nie mógł się doczekać chwili naszego ślubu, i choć z pewnością nie był wylewny, patrzył jednak na mnie w sposób wprawiający mnie w upojenie, gdyż wiedziałam, że myślał o naszej przyszłości z największą radością. Zwierzył mi się całkowicie ze swych planów. Legat sir Ralfa to było dobrodziejstwo. Tak wielka suma, odpowiednio zainwestowana,

przyniesie dochód, który będzie w całości przeznaczony na te badania, którymi sir Ralf zawsze tak bardzo się cieszył.

Mówił dużo o tamtej wyprawie, tak nagle i fatalnie zakończonej dla sir Edwarda. Jego słowa wywoływały przed moimi oczami wypalony krajobraz, czułam żar rażącego słońca. Mogłam sobie wyobrazić ich podniecenie, gdy znaleźli wejście w stoku górskim i schody wiodące do korytarzy.

Gdy mówił o starożytnym Egipcie, płonał uniesieniem. Nigdy nie widziałam, by był czymś tak oczarowany jak swoją pracą, mówiłam sobie jednak, że nasze małżeństwo będzie czymś dla nas obojga najważniejszym, ważniejszym nawet niż jego praca. Dopilnuję tego.

Bywałam często w Giza House. Teraz, gdy miał się stać moim domem, wydał mi się inny. Tabita przyjęła mnie serdecznie. Przy pierwszej sposobności powiedziała mi, jak bardzo się cieszy, że Teobald i ja weźmiemy ślub.

— Kiedyś — wyszeptła — bardzo się obawiałam, że to mogłaby być Teodozja.

— Zdaje się, że wszyscy tak myśleli.

— Dużo się o tym mówiło. Chyba z powodu przyjaźni, jaka łączyła sir Ralfa i sir Edwarda. I zmarli w tak krótkim czasie jeden po drugim.

Wydawała się bardzo smutna.

— Myślę, że ty jesteś dla Teobalda przeznaczona. — Uścisnęła moją dłoń. — Nigdy nie zapomnę, jak przychodziłaś pożyczać książki. Obawiam się, że to nie były bardzo szczęśliwe dni w twoim życiu.

Powiedziałam, że nic co było dawniej, nie ma już znaczenia. W ciągu ostatnich tygodni życie dało mi wszystko to, na co nigdy nie miałam nadziei.

— I wyśniłaś swoje sny, Judyto!

— Bo długo śniłam. A teraz będę żyła.

— Musisz być wyrozumiała dla Teobalda.

— Myślę, że go rozumiem.

— Będiesz czasem sądziła, że cię zaniedbuje dla pracy.

— Nie, bo to będzie także moja praca. Będę z nim związana we wszystkim co robi. Pasjonuje mnie to wszystko, tak jak i jego.

— Tak powinno być — powiedziała. — Myślę, że kiedy zostaniesz panią Giza House, nie będziesz chciała, bym odeszła.

- Jakże bym mogła? Przyjaźnimy się.
- Zawsze byłam w wielkiej przyjaźni z Teobaldem i jego ojcem. Gdybym mogła pozostać tu nadal w roli ochmistrzyni, byłabym szczęśliwa. Ale, z drugiej strony, gdybyś wolała...
- Co za nonsens! — zawołałam. — Chcę, żeby pani tu była. My jesteśmy także w przyjaźni.
- Dziękuję ci, Judyto.

Teobald powiedział, że chciałby mi pokazać dom, ale nie wyszliśmy poza pokój, w którym stał niegdyś sarkofag, bo zaczął mi pokazywać książki napisane przez ojca i plany terenów, na których prowadzili wykopaliska. Nie miałam nic przeciw temu. Byłam po prostu szczęśliwa, że z nim jestem, że go słucham i że potrafię wypowiadać inteligentne komentarze.

To Tabita oprowadziła mnie po domu i przedstawiła służbę. Emilia, Ellen, Jane i Sara — to były pokojówki, cztery normalne dziewczęta, tak bardzo podobne do innych w tym rodzaju, że długo nie mogłam ich rozróżnić. Ale były trzy dziwne osoby w tym domu.

Widziałam dwóch egipskich służących, Mustafę i Absalama, niezwykłych, obcych i, jak słyszałam, nawet groźnych; słuchałam chciwie historii, jakie o nich opowiadano we wsi.

Tabita wytłumaczyła mi, że sir Edward lubił, by się nim zajmowali. Gotowali mu egzotyczne potrawy, o których ona nie miała pojęcia. Przyjął ich do pracy przy wykopaliskach w Egipcie i z jakiegoś powodu spodobał mu się; zatrzymał ich i przywiózł do Anglii.

Powiedziała, że byli pełni żalu po jego śmierci, ale też nastawieni do niej fatalistycznie. Byli pewni, że go dosięgła, ponieważ ściągnął na siebie klątwę faraonów.

— Bardzo są przejęci tym, że Teobald planuje dalej prowadzić to, co jego ojciec zaczął. Zastanawiam się, czy byliby zdolni odwieść go od tego.

Gdy zostałam im przedstawiona jako przyszła lady Travers, przyglądali mi się bacznie, z podejrzliwością. Widywali mnie przed laty, gdy biegałam ścieżkami ogrodu. Pewnie słyszeli o wypadku z mumią.

Na nich byłam przygotowana. Inna sprawa z Janet Tester. To była ta stara kobieta, niańka Teobalda i Sabiny, która tę samą rolę pełniła przy

ich matce; pozostała jednak z nimi po śmierci lady Travers. Pamiętałam słowa Sabiny, że niania Tester miewała „dziwne napady”, a jej paplanina o staruszcze tak bardzo przeplatała się z innymi sprawami — jak to zwykle u Sabiny — że nie zwróciłam na to większej uwagi, gdyż tyle innych rzeczy w Giza House mnie interesowało. Widziałam nianię Tester kilka razy i uznałam ją za osobliwą starą kobietę, ale tak dużo niezwykłości było w Giza House, że nie wydała mi się tak dziwna, jak mogłaby mi się wydać gdzie indziej.

Słyszałam plotki, że dom przyprawiał służbę o „gęsią skórkę” i sądziłam, że miało to coś wspólnego z dziwnymi przedmiotami, które się tu znajdowały — na przykład sarkofagiem i niezapomnianą mumią. Mustafa i Absalam na pewno też się do tego przyczyniali i, jak zaczęłam sobie z tego zdawać sprawę, także niania Tester.

— Muszę ci opowiedzieć o Janet Tester — powiedziała Tabita, nim zaprowadziła mnie do niej. — To niezwykła kobieta. Teraz już jest oczywiście stara. Przybyła tu jako nianka żony sir Edwarda, której była ślepo oddana. Została, by zająć się Teobaldem i Sabina; ale po śmierci lady Travers była prawie obłąkana. Wiesz, jak to czasem bywa z niankami. Ich podopieczni to niemal ich dzieci. Musimy postępować z nią ostrożnie... i traktować ją łagodnie. Jej umysł jest trochę zbłąkany. Sir Edward zwolniłby ją po zakończeniu służby, ale nie chciała odejść. Powiedziała, że zawsze należała do rodziny i pragnie zostać. Na górze jest idealne pomieszczenie, zupełnie odcięte od reszty domu. Spodobało się Janet i poprosiła o nie. Utrzymuje się sama, choć oczywiście troszczymy się o nią.

— Co za niezwykły układ.

— Sama zobaczysz, że wchodzisz do niezwykłej rodziny. Teobald jest taki jak ojciec, nie uznaje żadnych konwencji. Sir Edward nigdy nie chciałby go absorbować codziennymi sprawami. Odsuwał je z łatwością od siebie. Teobald jest do niego bardzo podobny pod tym względem i pod wieloma innymi. W tym przypadku trzeba było albo pozostawić Janet Tester tutaj, albo odesłać ją do jakiegoś specjalnego domu. To by ją unieszczęśliwiło. Teobald ją odwiedza, gdy przypomina sobie o jej istnieniu. Sabina przychodzi często, dzięki czemu Janet jest szczęśliwa. Sabina jest jej oczkiem w głowie. Kiedyś był nim Teobald, ale odkąd poszedł w ślady ojca, przeniosła swą miłość na Sabinę.

— To znaczy, że nie lubiła sir Edwarda.

— Wiesz, jakie są te stare niańki. Była o niego zazdrosna. Miała swoją miss Ruth — lady Travers — gdy ta była dzieckiem; zawsze była jej dzieckiem. Poczuli się dotknięta wtargnięciem męża. Biedna Janet. Teraz jest już bardzo stara. Musi mieć osiemdziesiątkę. Ale chodź, poznasz ją.

Weszliśmy po schodach. Jaki cichy był ten dom; nasze stopy tonęły w grubych dywanach przykrywających każdy ułamek podłogi. Powiedziałyśmy coś na ten temat, a Tabita odrzekła:

— Sir Edward nie mógł znieść hałasu, gdy pracował.

Dom był wysoki, a mieszkanie Janet Tester składało się z kilku pokoiów na poddaszu, powyżej czwartego piętra.

Zaskoczył mnie widok siwowłosej kobiety o szlachetnym wyglądzie, która otworzyła drzwi, gdy zapukałyśmy; nosiła świeżo wypraną muślinową bluzkę z wzorem gałązek i spódnicę z czarnej krepy.

Tabita powiedziała:

— Janet, przyprowadziłam ci miss Osmond.

Spojrzała na mnie i jej oczy zabłyśły podnieceniem.

— Proszę, proszę — powiedziała.

To był miły pokój, z pochylonym ukośnie sufitem, ozdobiony pięknymi, ręcznie tkanymi dywanami i haftowanymi poduszkami. Na kominku płonął ogień i czajnik zaczął gwizdać.

— Napije się pani ze mną herbaty? — zaproponowała, a ja odrzekłam, że z przyjemnością.

— Więc pani już o mnie słyszała? — zapytałam.

— Co też pani mówi, oczywiście. Teobald mi powiedział, a ja go wtedy poprosiłam: „Powiedz mi, jaka ona jest, Teobaldzie”, a on powiedział tylko: „Entuzjazmuje się moją pracą”. Jakież to do niego podobne! Aleja wszystko wiem. Widywałam panią nieraz, pędzącą tu przez ogrody. Ależ pani lubiła psocić! Przygotuję herbatę.

— Czy mogę to zrobić — zapytała Tabita — gdy będziecie rozmawiać z miss Osmond?

Wyraz miłej, starej twarzy uległ gwałtownej przemianie. Rzuciła jadowite spojrzenie, zaciskając wargi.

— Sama to zrobię, dziękuję — powiedziała. — Sama zrobię swoją herbatę w swoim pokoju.

Gdy ją zaparzała, Tabita rzuciła mi szybkie spojrzenie. Pomyślałam, że mnie przygotowuje do dziwactw Janet, o których wspominała.

Herbata była gotowa.

— Zawsze ją mieszam — zwróciła się do mnie — i zostawiam na pięć minut. Tylko w taki sposób dobrze się zaparzy. Trzeba rozgrzać imbryczek — tłumaczyłam miss Ruth...

— To lady Travers — wyjaśniła Tabita, a jej uwaga wywołała nowe jadowite spojrzenie.

— I herbatę trzeba wsypywać do *suchego* imbryczka — ciągnęła dalej Janet Tester — to jest bardzo ważne.

Mruczała coś, nalewając herbatę.

— Mam nadzieję, że będzie pani szczęśliwa, moja droga — powiedziała. — Teobald był dawniej takim dobrym chłopcem.

— Był? — zapytałam.

— Kiedy był mały, przebywał zawsze ze mną. Był wtedy synkiem swojej matki. Ale gdy poszedł do szkoły i zaczął dorastać, przeszedł na stronę ojca.

Pokiwała głową ze smutkiem.

— Teobald wykazywał naturalny pociąg do archeologii od początku — wyjaśniła Tabita. — Sir Edward był uradowany i oczywiście Teobald tak wiele korzystał dzięki ojcu.

Janet Tester mieszała w kółko łyżką w filiżance. Atmosfera stawała się ciężka.

— A teraz wyjdzie pani za niego za mąż — powiedziała. — Jak ten czas ucieka. Wydaje się, że to zaledwie wczoraj bawiłam się z nim w chowanego.

Nie mogłam się powstrzymać, by się nie roześmiać na myśl o Teobaldzie bawiącym się w chowanego.

— Przeszedł długą drogę od tego czasu — powiedziałam.

— Mam nadzieję, że to nie droga do ruiny — odparła Janet Tester, gwałtownie poruszona.

Spojrzałam na Tabitę, która wzruszyła ramionami. Doszłam do wniosku, że zawód Teobalda i jego ojca nie był miłym tematem rozmowy i zapytałam o jego dzieciństwo.

To jej się spodobało.

— Był dobrym chłopcem. Nie wdawał się zanadto w te różne figle. Miss Ruth świata poza nim nie widziała. Był jej synkiem, bez reszty. Mam fotografie.

Delektowałam się nimi: Teobald siedzący na puszystym pledzie jako golasek, Teobald — cudowny dwulatek, Teobald i Sabina.

— Czy nie rozkoszna maleńka? — rozplęwała się niania Tester.

Przyznałam, że tak.

— Malutka gaduła. Ani na chwilę nie przestawała mówić.

Zauważyłam, że zachowała tę cechę.

— Mała figlarka — powiedziała z czułością piastunka.

Na którejś fotografii Teobald stał obok ładnej kobiety z masą puszystych włosów, trzymającej na kolanach dziecko.

— To oni z matką. O, a tu Teobald w szkole.

Miał w ręku kij od krykieta.

— Nie przepadał za sportem — powiedziała niania Tester zawiedzionym głosem. — Tylko nauka i nauka. Nie tak jak Sabina. Wszyscy mówili, że nie potrafi się skupić. Ale oczywiście, *on* zbierał wszystkie nagrody. I potem sir Edward, który prawie nie zauważał dzieci, nadstawił uszu.

Przekazywała swe uczucia za pomocą tylu gestów — tonem głosu, pogardliwym machnięciem ręki, wygięciem ust, przymknięciem oczu. Bardzo krótko z nią przebywałam, ale dowiedziałam się, że nie znosiła Tabity i sir Edwarda, uwielbiała miss Ruth i podczas gdy Teobaldowi jako dziecku ofiarowała całe swe oddanie, nie byłam pewna, jak odnosiła się do dorosłego.

Byłam zaciekawiona — bardzo nawet — i odniosłam wrażenie, że gdyby nie było tu Tabity, zrozumiałabym o wiele lepiej Janet Tester.

Wyczułam ulgę Tabity, gdy mogłyśmy, nie uchybiając grzeczności, wyjść; szła przede mną i nagle, w małym hallu Janet chwyciła mnie za rękę. Jej palce były suche i silne.

— Proszę jeszcze przyjść, miss Osmond — powiedziała i dodała szeptem — sama.

Gdy schodziłyśmy po schodach, powiedziałam:

— Co za niezwykła kobieta!

— Więc to odczułaś.

— Myślę, że niezupełnie jest taka, jak się wydaje. Chwilami była tak miła — a chwilami coś zupełnie przeciwnego.

— Ma rodzaj obsesji.

— Zauważyłam to. Miss Ruth, jak przypuszczam.

— Wiesz, jakie są te stare piastunki. Są jak matki dla swoich wychowanków. O wiele im bliższe niż własne matki. Czuła niechęć do sir Edwarda. Myślę, że była zazdrosna i ponieważ miss Ruth nie interesowała się jego pracą, potępiała go za tę pracę. Bardzo nielogiczne, jak widzisz. Matka Teobalda chciała, żeby został duchownym. Oczywiście zupełnie się do tego nie nadawał i od bardzo młodych lat postanowił pójść w ślady ojca. Bardziej ku radości sir Edwarda niż ku zadośćuczynieniu pragnieniom matki — i ku rozczarowaniu Janet. Ale powzięły za to urazę do sir Edwarda. Obawiam się, że lady Travers była kobietą raczej histeryczną i nie wątpię, że ufała bardzo Janet, która nie widziała w niej żadnej wady. To było pod wieloma względami fatalne małżeństwo — choć lady Travers wniosła wielki majątek.

— Znowu pieniądze — powiedziałam. — Dziwne, jak ten temat ciągle się pojawia.

— No cóż, to bardzo pożyteczny towar, musisz przyznać.

— Zdaje się, że odgrywa wielką rolę w niektórych małżeństwach.

— Tak już jest na świecie — powiedziała Tabita lekko. — Jak to dobrze wyjść z pokojów Janet. Duszę się tam.

Myślałam później dużo o tym spotkaniu. Rozumiałam niechęć Janet do sir Edwarda, ale zastanawiałam się, dlaczego miała tak silne odczucia — a jej zachowanie świadczyło, że miała — wobec Tabity.

Przemijały tygodnie zbliżające mnie do dnia ślubu. Dorcas i Alison chciały, żeby to była prawdziwa uroczystość. Zdawały się tak odprężone, że nie muszą utrzymywać dłużej sekretu mojego urodzenia, że zachowywały się jak dzieci wypuszczone ze szkoły. Rozwiały się też niepokoje o przyszłość. Domek należał do nich; ja miałam im wyasygnować fundusze; moja przyszłość także była ustalona, choć — mimo, że starały się to ukryć — miały jakieś obawy związane z moim narzeczoną. Teobald niewiele miał im do powiedzenia i ich wzajemne spotkania zawsze były pełne skrępowania. Gdy byłam z nimi, podtrzymywałam rozmowę, lecz gdy wychodziłam z pokoju, po powrocie uderzały mnie

niezręczne pauzy, gdy żadne z nich nie miało nic do powiedzenia. A przecież umiały tak naturalnie gawędzić z OHverem o sprawach parafii, a z Evanem o dawnych dniach i naszych wybrzkach.

Teobald stawał się swobodny, gdy zostawaliśmy sami. Ja byłam tak bez pamięci zakochana, tak pełna czułych gestów, że jego brak wylewności nie był tak bardzo zauważalny. Czasem siadywaliśmy przytuleni do siebie oglądając plany, jego ramię otaczało mnie, a ja zadawałam sobie pytanie, czy naprawdę to mi się przydarzyło; ale rozmowa toczyła się na ogół wokół jego i jego ojca pracy.

Kiedys powiedział:

— Jak to cudownie być z tobą, Judyto. A potem dodał — Nigdy nie spotkałem nikogo, kto tak kipiałby entuzjazmem jak ty.

— Ty jesteś taki — powiedziałam. — Twój ojciec musiał taki być.

jk — Ale w spokojniejszy sposób.

◁V — Jednak bardzo intensywny — odparłam.

Pocałował mnie lekko w czoło.

— Ale ty wyrażasz siebie w sposób tak gwałtowny. Lubię to, Judyto. Właściwie uważam, że to jest cudowne.

Otoczyłam go ramionami i przytuliłam do siebie, tak jak to robiłam z Dorcas i Alison. Uścisnęłam go i zawołałam:

— Jestem taka szczęśliwa.

Potem mu opowiedziałam, jak postanowiłam go nienawidzić, gdy Sabina wychwalała go tak gorąco.

— Wyobrażałam sobie, że się garbisz, że nosisz okulary, jesteś błydy i masz rzadkie, tłuste włosy. A potem stanąłeś przed nami... w pokoju, gdzie była mumia... byłeś surowy i mściwy, jakby któryś z bogów egipskich przybył, by wyrzucić zemstę na tym, kto zbezcześcił antyczny sarkofag.

— Czy rzeczywiście tak wyglądałem?

— Dosłownie — i uwielbiałam cię od tej chwili.

— Muszę więc pamiętać, by wyglądać surowo i mściwie — czasami.

— A to, że mnie wybrałeś... to cud.

— Och, Judyto, naprawdę jesteś zbyt skromna.

— Daleka jestem od tego! Wiesz przecież, że marzyłam o tobie... o tym, że nagle odkryjesz moją wartość.

— Co zrobiłem w odpowiedniej chwili.

— Kiedy to się stało?
— Gdy się dowiedziałem, że przychodziłaś pożyczać książki i że okazywałaś takie zainteresowanie. A może wtedy, gdy zobaczyłem, jak się wynurzasz z tych bandaży. Wyglądałaś raczej na ofiarę fatalnego wypadku niż na zabalsamowaną. Ale to się nieźle udało.

Ujęłam jego rękę i ucałowałam.

— Teobaldzie — powiedziałam — będę się o ciebie troszczyć przez wszystkie dni twojego życia.

— To pokrzepiająca myśl — powiedział.

— Zrobię wszystko, aby być tak dla ciebie ważną, żebyś nie znosił każdej chwili spędzonej z dala ode mnie.

— Już ten stan osiągnąłem.

— Naprawdę? Czy tak jest naprawdę?

Ujął moje dłonie. <

— Zrozum Judyto, brak mi twojej siły ekspresji. Słowa wybiegają z twoich ust, wyrażając twoje najgłębsze uczucia.

— Wiem, że mówię nie myśląc. Jestem pewna, że ty tego nigdy nie robisz.

— Bądź cierpliwa dla mnie.

— Powiedz mi jedno. Czy jesteś szczęśliwy?

— Czy sądzisz, że nie?

— Niezupełnie.

Powiedział wolno:

— Straciłem kogoś, kto był mi bliższy, zanim ty przyszałaś, niż ktokolwiek na świecie. Pracowaliśmy razem; nasze myśli biegły tymi samymi torami, czasem nie potrzebowaliśmy nic mówić. On umarł, i to umarł nagle. Jednego dnia tu był, a następnego został powalony przez śmierć... tajemniczo. Opłakuję go, Judyto. Będę go opłakiwać przez długi czas. Dlatego musisz być cierpliwa. Nie mogę ci dorównać w tej bujności, radości życia. Moja droga, moja droga Judyto, wierzę, że gdy będziemy mężem i żoną, zacznę się wyzwalać od tej tragedii.

Oparłam głowę na jego piersi i objęłam go mocno ramionami.

— Uczynienie cię szczęśliwym, danie ci czegoś, co ci zrekompensuje to, co straciłeś... to będzie moje zadanie w życiu.

Ucałował moją głowę.

— Dziękuję Bogu za ciebie, Judyto — powiedział.

Doszło do lekkiego starcia pomiędzy Teobaldem a ciotkami z powodu ślubu. Nie może się odbyć — tu Alison była stanowcza — przed upływem „odpowiedniego” czasu od śmierci sir Edwarda i sir Ralfa.

— Ojcowie panny młodej i pana młodego dopiero co zmarli — powiedziała Dorcas. — Powinniście poczekać co najmniej rok.

Nigdy nie widziałam, by Teobald tak gwałtownie okazywał swe uczucia.

— To niemożliwe! — zawołał. — Wyjeżdżamy do Egiptu za kilka miesięcy. Judyta musi pojechać jako moja żona.

— Nie wyobrażam sobie, co ludzie powiedzą — rzuciła nieśmiało Dorcas.

— To — odparł Teobald — nie obchodzi mnie ani trochę.

Dorcas i Alison wyglądały, jakby powietrze z nich uszło, ale słyszałam, jak jedna mówiła potem do drugiej:

— Jego to może nie obchodzić, ale nas obchodzi; mieszkaliśmy tu przez całe życie i będziemy tu żyły do końca.

— Teobald nie zwraca uwagi na konwenanse — uspokajałam je — a martwić się, co ludzie powiedzą, to doprawdy zbyteczne.

Nie odpowiedziały, ale pokiwały głowami nade mną i nad moimi sprawami. Ja byłam zamroczona; ale były pewne że pokazywanie mężczyźnie przed ślubem, jak bardzo jest uwielbiany, było błędem. Później, tak. Potem obowiązkiem żony było myśleć tak jak mąż, podporządkować mu się pod każdym względem — chyba żeby okazał się *przestępcą* — ale przed ślubem nie wolno „siebie nie cenić”; mężczyzna przed zawarciem małżeństwa powinien czołgać się na kolanach, taki był zwyczaj.

Śmiałam się z nich pobłaźliwie.

— Moje małżeństwo, musicie wiedzieć, nie będzie podobne do żadnego dotychczasowego. Nie możecie się po mnie spodziewać, że będę robiła, to, czego się po mnie oczekuje.

Gdy były ze mną, wpadały czasem w zapał, bo ślub w rodzinie to jednak wydarzenie. Przynosiły wszelkiego rodzaju rzeczy do mojej dolnej szuflady; rozprawiły o przyjęciu i martwiły się, że Tęczowy Domek jest za mały, a przecież to musi się odbyć w domu panny młodej.

Mogłam je wykpiwać, ale zdawałam sobie sprawę z ich niepokoju. Nie tyle ze względu na obyczaje chciały odłożyć ślub na rok, ale dlatego że pragnęły, bym miała czas na to, żeby widzieć jasno, jak się wyrażały. Faktem było, że wybrały dla mnie na męża OHvera; Evan był drugi z kolei, ale Teobald nie odpowiadał im zupełnie.

Dorcias przeziębiała się — przeziębiała się niezmiennie zawsze wtedy, gdy była Zaniepokojona; jej przeziębienia trzeba było jednak leczyć, gdyż przechodziły w bronchit.

Teobald przybył w pośpiechu do Tęczowego Domku. Oczy błyszczały mu podnieceniem, gdy wziął mnie za rękę. Przez chwilę myślałam, że to z radości, że mnie widzi. Potem odkryłam inną przyczynę.

— Zdarzyło się coś nadzwyczajnego, Judyto. To niedaleko stąd. W Dorset. Robotnik kopiący rów odsłonił jakieś rzymskie płyty. To może być naprawdę odkrycie. Zaproszono mnie, bym przyjechał i wydał opinię. Wyjeżdżam jutro. Chciałbym, żebyś ze mną pojechała.

— To wspaniałe — krzyknęłam. — Opowiedz mi.

— Jeszcze bardzo niewiele wiem. Ale te odkrycia są tak elekt-rzujące. Nigdy nie wiadomo, co można znaleźć w ziemi.

Spacerowaliśmy po ogrodzie Tęczowego Domku rozmawiając. Nie pozostał długo; musiał wrócić do Giza House, by się przygotować, a ja poszłam zawiadomić ciotki, że nazajutrz wyjeżdżam.

Zdumiał mnie ich sprzeciw.

— Moja droga Judyto! — zawołała Alison. — O czym ty myślisz. Jakże możesz — jako niezamężna kobieta — wyjechać z mężczyzną?

— Z mężczyzną, którego mam poślubić.

— Ale jeszcze nie jesteście po ślubie — gderała Dorcas tonem dającym do zrozumienia, że ma nadzieję, iż nigdy nie dojdzie do ślubu z Teobaldem.

— To nie będzie właściwe — powiedziała Alison stanowczo.

— Kochane ciotki — zaoponowałam — według słów Teobalda te drobne konwenanse naprawdę nie mają znaczenia.

— Jesteśmy od ciebie starsze, Judyto. Niejedna dziewczyna uprzedzała swoje małżeństwo, drogo za to płacąc. Ufa swemu narzeczonemu, wyjeżdża z nim, a potem okazuje się, że nie będzie dzwonoów weselnych.

Wybuchnęłam:

— Najpierw sugerujecie, że Teobald żeni się ze mną dla pieniędzy, a za chwilę, że planuje uwiedzenie i porzucenie mnie. Naprawdę mówicie od rzeczy.

— Nie, nic takiego nie sugerujemy — powiedziała stanowczo Alison. — I jeśli takie myśli przychodzą ci do głowy, to naprawdę powinnaś się zastanowić. Żadna narzeczona nie może posądzić swego narzeczonego, że jest do tego zdolny.

Jak mogłam z nimi dyskutować? Wróciłam do pokoju i zaczęłam przygotowywać się do podróży.

Wieczorem Alison zapukała do drzwi. Jej twarz była napięta.

— Martwię się o Dorcas. Chyba trzeba wezwać zaraz doktora Gunwena.

Powiedziałam, że go sprowadzę.

Gdy przybył, stwierdził u Dorcas bronchit. Alison i ja spędziłyśmy całą noc na nogach w jej pokoju.

Następnego dnia wiedziałam, że nie będę mogła pojechać do Dorset i zostawić Alison, by sama pielęgnowała Dorcas, powiedziałam jej więc, że muszę iść do Giza House, by wytłumaczyć to Teobaldowi.

Zanim zdążyłam otworzyć usta, zaczął mówić, że odkrycia mają większą wagę niż sądzono na początku. Przerwałam mu:

— Ja nie pojadę, Teobaldzie.

Zmienił się na twarzy. Patrzył na mnie z niedowierzaniem.

— Nie pojedziesz!

— Moja ciotka Dorcas jest chora. Nie mogę zostawić Alison z nią samej. Ma ataki, które bywają przerażające. Jest naprawdę bardzo chora.

— Możemy coś zorganizować. Ktoś ze służby może cię zastąpić.

— Ciotka Alison nie zgodzi się na to. To nie będzie to samo. Muszę tam być na wypadek gdyby ...

Milczał.

— Zrozum, Teobaldzie. Ja chcę pojechać... zależy mi na tym, żeby być z tobą bardziej niż na czymkolwiek innym, ale nie mogę feraz wyjechać z Tęczowego Domku.

— Oczywiście — przyznał, ale widziałam, że jest rozczarowany. Nie ufałam sobie.

Tabita ukazała się w ogrodzie od frontu, gdzie rozmawialiśmy.

— Przyszłam powiedzieć, że nie jadę — powiedziałam. — Moja ciotka jest chora. Muszę zostać do pomocy.

— Ależ oczywiście, że musisz — powiedziała Tabita.

— Czy pojedziesz zamiast Judyty? — zapytał Teobald. — Jestem pewien, że będzie to dla ciebie w najwyższym stopniu interesujące.

W najwyższym stopniu interesujące. Czy to była wymówka? Czy uważał, że dla mnie to powinno być *w najwyższym stopniu* interesujące?

Tabita powiedziała:

— Jeśli Judyta musi zostać, pojedę zamiast niej. Nie możesz teraz opuścić ciotek, Judyto.

Teobald przycisnął moje ramię.

— Tak się cieszyłem, że pokażę ci to nadzwyczajne odkrycie. Ale będziemy mieli jeszcze dużo czasu... później.

— Całe życie — powiedziałam.

W ciągu kilku dni, ku naszej wielkiej uldze, Dorcas zaczęła wracać do zdrowia.

Wzruszyło ją to, że zostałam, by ją pielęgnować i dodawać otuchy Alison.

Słyszałam, jak mówiła do niej, gdy sądziła, że są same:

— Ta szalona Judyta ma *serce* na właściwym miejscu.

Wiedziałam, że dużo mówiły o mnie i o moim małżeństwie. Tak bardzo chciałam rozproszyć ich wątpliwości, ale wbiły sobie do głowy, że Teobald poprosił mnie o rękę, ponieważ wcześniej dowiedział się o spadku. Z niecierpliwością czekałam chwili, gdy opuszczę Tęczowy Domek, oczywiście dlatego, że pragnęłam być żoną Teobalda, ale chciałam też uciec od tej atmosfery podejrzliwości i dowieść im, że Teobald jest najcudowniejszym mężem na świecie.

Teobald i Tabita wrócili po dwóch tygodniach, tak poruszeni tym, co widzieli, że prawie o niczym innym nie mogli mówić. Byłam rozżalona, że nie mogę wziąć udziału w tych rozmowach, tak jak bym pragnęła. Teobalda to śmieszyło.

— To nic — mówił — gdy się pobierzemy, będziesz ze mną jeździć wszędzie.

Dzień ślubu był tuż. Sabina powiedziała, że można urządzić dyskretnie przyjęcie na plebanii. W końcu Dorcas była chora, Tęczowy Domek był mały, a plebania była moim domem, ona zaś jest siostrą Teobalda.

— Nalegam na to — mówiła. — Muszę ci powiedzieć, Judyto, że jesteś najszczęśliwszą kobietą na świecie... z jednym wyjątkiem, gdyż nawet Teobald nie dorównuje OHverowi. Teobald jest *zbyt* doskonały... wszystko wie... wszystko o tych starych rzeczach, a Oliver zna grekę i łacinę... Nie chcę powiedzieć, że Teobald nie zna... tylko trudno sobie wyobrazić Teobalda mówiącego kazanie lub słuchającego, jak farmerzy mówią o suszy, a kobiety o swych dzieciach...

— O czym ty mówisz, Sabino? Miałyśmy mówić o naszym weselu.

— Oczywiście. Tu się musi odbyć. Tak chce mój najukochańszy Oliver. Weźmiecie ślub w jego kościele i będzie tylko kilku przyjaciół, tak bliskich przyjaciół jak mój ojciec i twój... Jakie to niespodziewane i fantastyczne, że byłaś przez cały ten czas córką sir Ralfa i nic o tym nie wiedzieliśmy. Nie dziwi mnie to zresztą zbytnio, chociaż... Pamiętasz bal? Och, przyjęcie musi być na starej plebanii.

Wydawało się to dobrym pomysłem, nawet Dorcas i Alison to zaaprobowwały, choć utrzymywały, że ze względu na obydwą zgony powinno się to odbyć w cichej rodzinnej atmosferze.

Teobald, gdy z nim o tym mówiłam, nie miał sprecyzowanego zdania. Widziałam, że nie ma dla niego znaczenia ani gdzie będzie przyjęcie, ani czy w ogóle będzie.

Chciał, żebyśmy wzięli ślub, mówił. Gdzie i jak, to nieważne. Miał dla mnie niespodziankę.

— Będziemy mieli miodowy miesiąc — powiedział. — Nie chciała-byś pewnie od razu przenosić się do Giza House.

— To nie ma znaczenia *dla mnie*. Wszystko, czego żądam to być z tobą.

Odwrócił się do mnie i niezwykle czułym gestem wziął mą twarz w obie ręce.

— Judyto — powiedział. — Nie oczekuj ode mnie zbyt wiele.

Zaśmiałam się głośno — byłam taka szczęśliwa.

— Jak to, *wszystkiego* od ciebie oczekuję.

— To mnie właśnie niepokoi. Widzisz, jestem raczej egoistą, ani trochę nie jestem godny podziwu. I jestem człowiekiem opętanym obsesją.

— Dzielę ją z tobą — powiedziałam śmiejąc się. — I mam jeszcze drugą. Ciebie.

Przytulił mnie.

— Przerażasz mnie — powiedział.

— Ciebie? Ciebie nic nie przeraża... ani nikt.

— Naprawdę jestem przerażony twoją dobrą o mnie opinią. Skąd się to wzięło?

— Od ciebie.

— Za dużo masz wyobraźni, Judyto. Wyobrażasz coś sobie, przeważnie zgodnie z tym jak chcesz, żeby było, a potem usiłujesz wszystko do tego nagiąć.

— To taki sposób życia. Nauczę cię tak żyć.

— Lepiej wiedzieć prawdę.

— Uczynię to moją prawdą.

— Widzę, że na nic się nie zda ostrzeżenie, żebyś nie myślała o mnie za dobrze.

— Na nic.

— Czas cię tego nauczy.

— W miarę upływu lat będziemy sobie coraz bliżsi. Będziemy dzielić wszystko. Nigdy nie myślałam, że można być tak szczęśliwą, jak jestem w tej chwili.

— Będziesz miała chociaż tę chwilę.

— Co za sposób rozmawiania! Ta chwila nie jest podobna do tego co będzie.

— Judyto, nie ma nikogo drugiego takiego jak ty.

— Oczywiście, że nie! Jestem sobą. Nierozważna, impulsywna, jak by powiedziały ciotki. Apodyktyczna, stwierdziłyby zgodnie Sabina i Teodozja, a Hadrian by to potwierdził. Oni znali mnie najdłużej. Więc to *ty* nie powinienesz *mnie* cenić zbyt wysoko.

— Cieszę się, że istnieją te małe wady. Będę cię za nie kochał, tak jak, mam nadzieję, ty mnie — za moje.

Powiedziałam:

— Będziemy bardzo szczęśliwi.

— Przeszedłem ci powiedzieć o naszym miodowym miesiącu. Zabiorę cię do Dorset. Tam wszyscy poruszeni są odkryciem. Marzę, żeby ci to pokazać.

Powiedziałam, że to cudownie; ale przyszło mi na myśl, że na pewno będzie tam bardzo dużo ludzi i że miodowy miesiąc tylko dla nas obojga odpowiadałby mi bardziej.

Ale tam będzie Teobald — a to było wszystko, czego żądałam.

Było tyle przygotowań, nawet do „dyskretnego” ślubu, włączając w to przymiarki w domu Sary Sloper, które zdawały się trwać godzinami. Byłam ja, w białej atłasowej sukni ślubnej, i Sara, klęcząca u mych stóp, z ustami pełnymi szpilek, które, gdy je od nich uwolniła, nie zamykały jej się ani przez chwilę.

— Ot, do czego przyszło. Pani, panno Judyto... i on. On miał być dla miss Teodozji, wie pani, a jej się dostał mały profesor, a pani wychodzi za *niego*.

— Mówi pani tak, jakby to była jakaś loteria.

— Mówią, że małżeństwo to jest loteria, panno Judyto. I panny jest córką sir Ralfa i to wszystko. Dawno to zgadłam. No przecież, on naprawdę miał dla pani tyle sympatii. A miss Lawinia. Piękna była jak obrazek, ale powiedziałabym, że pani ma więcej z sir Ralfa.

— Dziękuję, Saro.

— Och, nie myślałam w ten sposób, panno Judyto. Będzie panny bardzo pięknie wyglądała w swojej ślubnej sukni. Panny młode zawsze pięknie wyglądają. Dlatego nie ma nic, co bym bardziej lubiła robić. A czy będzie panny miała kwiat pomarańczy? Uważam, że nie ma nic lepszego dla panny młodej jak kwiat pomarańczy. Sama go miałam, kiedy wychodziłam za Slopera. To już trochę czasu. Ale wciąż go mam. Włożyłam do szuflady. Popatruję na niego czasem i myślę o dawnych latach. Będzie panny mogła też tak robić, panno Judyto. To sprawia przyjemność wtedy, gdy sprawy nie układają się tak, jak człowiek sobie wymarzył. A kto nie marzy, kiedy nadchodzi dzień ślubu?

— Myślę o tym dniu jako o początku szczęścia, a nie o szczycie marzeń.

Och, to panienki gadanie. Zawsze panienka taka była. Ale mówią, że to miło wspominać dzień ślubu, jeśli tylko to nie działa człowiekowi na nerwy.

Westchnęła i mówiła dalej żarliwie:

— Mam nadzieję, że będzie panienka szczęśliwa, panno Judyto. No coż, wszyscy możemy tylko mieć nadzieję. Módlmy się więc, żeby słońce świeciło w dniu panienki ślubu. Mówią: Szczęśliwa panna młoda, której świeci słońce.

Śmiałam się; ale to przypuszczenie, że małżeństwo mogłoby być dla mnie ryzykownym przedsięwzięciem, zaczynało mnie irytować.

W pewien mglisty październikowy dzień wzięliśmy z Teobaldem ślub w kościele, który tak dobrze znałam. I nieoczekiwanie, gdy szłam wzdłuż nawy, wsparta na ramieniu doktora Gunwena, który zaofiarował się, że mnie „poprowadzi do ołtarza”, gdyż nie było komu dopełnić tego koniecznego obowiązku, pomyślałam o tym, jak bardzo bolały mnie kolana od klęczenia na matach, którymi wykładano ławki. Dziwne myśh tuż przed ślubem.

Kolega archeolog i przyjaciel Teobalda był jego drużbą. Nazywał się Terence Gelding i miał z nami pojechać do Egiptu. W wieczór przed ślubem me widziałam Teobalda. Udał się na stację, by go przywieźć do Giza House, gdzie miał spędzić dwa dni. Tabita powiedziała mi rano w dniu ślubu, że rozmawiali do późnej nocy. Poczułam ten niewyraźny posmak zazdrości, który zaczynał mnie nawiedzać, gdy inni wchodzili w zażyłość z Teobaldem, a ja czułam się odsunięta. Wiem, że to było głupie, myślę jednak, że tak długo marzyłam o tym wydarzeniu, iż nie mogłam do końca uwierzyć w jego realność; krążyło tak wiele plotek na temat mojego małżeństwa, że te insynuacje przeniknęły, jak mi się wydaje, powłokę mego naturalnego optymizmu. To że los tak nieoczekiwanie spełnił moje najbardziej wypieszczone marzenie, wywoływało we mnie ukłucia niepokoju i nieufności.

Gdy złożyłam jednak moje przyrzeczenia przed obliczem OHvera i Teobald włożył mi obrączkę na palec, cudowne uczucie szczęścia ogarnęło mnie falą — byłam bardziej niż kiedykolwiek dotąd szczęśliwa.

Gdy weszliśmy do kruchty, ku naszemu rozczarowaniu zaczął siec deszcz.

Nie możesz wyjść — powiedziała Dorcas tuż koło mnie.

— To nie — odpowiedziałam — to krótkotrwała ulewa, mamy tylko parę kroków do plebanii.

— Musimy poczekać.

Oczywiście miała rację. Staliśmy więc, ja wciąż trzymałam rękę Teobałda, patrzyłam na deszcz i myślałam: Naprawdę wysłałam za mąż... za Teobałda!

Usłyszałam za sobą szept.

— Jaka szkoda!

— Co za pech!

— Zupełnie nie weselna pogoda.

Podobne do gнома stworzenie wynurzyło się z cmentarza. Gdy się zbliżyło, poznałam Peggera, schyłego w pół, z przedartym workiem na głowie, dla ochrony przed deszczem. Niósł łopatę, oblepioną jeszcze brązową ziemią. Widocznie kopał dla kogoś grób i szukał w kruchcie schronienia przed ulewą.

Na nasz widok zatrzymał się nagle; odgarnął wór z czoła i utkwiał fanatyczne spojrzenie we mnie i Teobaldzie, i naszych ślubnych strojach.

Patrzył wprost na mnie.

— Nic dobrego nie przyjdzie z tego nieprzyzwoitego pośpiechu — powiedział. — To bezbożne.

Pokiwał głową i przeszedł przez' kruchtę z obłudnym wyrazem twarzy człowieka, który spełnił swój niemiły obowiązek.

— Kim jest, u diabła, ten stary szaleniec? — zapytał Teobald.

— To Pegger, grabarz.

— Bezczelny.

— Widzisz, znał mnie jako dziecko i na pewno myśli, że wciąż nim jestem.

— Ma coś do zarzucenia naszemu małżeństwu.

Usłyszałam szept Teodozji:

— Och, Evan, jakie to przykre. To jest jak ... *omen*.

Nie zareagowałam. Poczułam nagle gniew wobec tych wszystkich ludzi, którzy z jakichś śmiesznych powodów zdecydowali, że coś niezwykłego kryje się w moim małżeństwie z Teobaldem.

Spojrzałam na zachmurzone niebo i zdawało mi się, że słyszę piskliwy głos Sary Sloper: „Szczęśliwa panna młoda, której świeci słońce”.

Po kilku minutach deszcz ustał i mogliśmy przejść po trawie do plebanii.

Stara rodzinna bawialnia przystrojona była chryzantemami i michałkami. W jednym końcu stał stół, a na nim weselne ciasto i szampan.

Podzieliłam ciasto z pomocą Teobalda; wszyscy pochwalili i nieprzyjemny incydent w kruchcie poszedł chwilowo w zapomnienie.

Hadrian wygłosił dowcipne przemówienie, a Teobald bardzo krótko odpowiedział. Powtarzałam sobie: „To jest najważniejsza chwila w moim życiu. Może mówiłam to sobie trochę zbyt gwałtownie. Nie mogłam zapomnieć oczu Peggera fanatycznie utkwionych w nas, pod tym absurdalnym workiem. Deszcz uderzył znowu siekącą ulewą.

Teodozja znalazła się przy mnie.

— Och, Judyto — powiedziała — tak się cieszę, że jesteśmy siostrami. Czy życie nie jest dziwne? Wychodzisz za Teobalda, a wszyscy chcieli, żebym to ja za niego wyszła. Tak więc spełniło się życzenie ojca, żeby jego córka poślubiła Teobalda. Czy to nie cudowny obrót rzeczy? — Spojrzała na Evana, który w drugim końcu pokoju pogrążony był w rozmowie z Tabitą. — Tak ci jestem wdzięczna...

— Wdzięczna?

Zająknęła się. Teodozja nigdy nie umiała wyrażać swoich myśli z wdziękiem i często tak zaplątywała się w rozmowie, że trudno jej się było wywikłać.

— No tak, no, że wyszłaś za Teobalda i że wszystko się dobrze ułożyło, tak że nie muszę mieć wyrzutów, że nie dogodziłam ojcu... i za wszystko...

Zabrzmiało to tak, jakbym poślubiając Teobalda wyświadczyła jakieś dobrodziejstwo wszystkim tym, którzy zostali od niego uwolnieni!

— Jestem pewna, że będziesz *bardzo* szczęśliwa — powiedziała pocieszającym tonem. — Zawsze miałas tyle wiadomości z archeologii. Walczę z sobą, żeby nadażać za Evanem, ale on mówi, żebym się nie martwiła. Że kocha mnie taką, jaką jestem.

— Jesteś bardzo szczęśliwa, Teodozjo?

— Och... niebiańsko. Dlatego jestem taka... — urwała.

— Wdzięczna, że ja wysłałam za Teobalda, dzięki czemu wszystko się tak gładko potoczyło. Zapewniam, że nie wysłałam za niego z tego powodu.

Sabina podeszła do nas.

— No, czy to nie *zabawne!* Wszystkie trzy jesteśmy razem. I wszystkie zamężne. Judyto, czy podobają ci się te kwiaty? Miss Crewe je ułożyła. W większości pochodzą z jej ogrodu. Ona ma do tego rękę, wiesz. I zawsze tak wspaniale przystraja kościół. I wszystkie tu jesteśmy razem. Pamiętacie nasze rozmowy w pokoju szkolnym? Oczywiście, dramatyczne wydarzenia przypadły w udziale Judycie. Zawsze tak było, prawda? Albo może to ty dramatyzowałaś wszystko, a potem się okazało, że jesteś córką sir Ralfa... Nieślubną oczywiście... ale to jeszcze bardziej ekscytujące. A teraz wysłałaś za Teobalda. Czy on nie wygląda wspaniale? Jak rzymski bóg czy coś w tym rodzaju... Zawsze był inny niż wszyscy... i ty też, Judyto... w pewien sposób. Ale teraz jesteśmy siostrami, Judyto. I ty jesteś siostrą Teodozji... No czy nie mam racji, że to, wszystko jest cudowne! — Patrzyła na Teobalda z takim samym uwielbieniem jak dawniej.

— Wyobrazić sobie Teobalda jako pana młodego! Zawsze myśleliśmy, że nigdy się nie ożeni! „Poślubił te wszystkie głupstwa — mówiła niania — tak jak twój ojciec powinien był zrobić”. Zwracałam jej uwagę, że gdyby papa poślubił te wszystkie głupstwa, nie byłoby mnie ani Teobalda, bo archeologia, choć papa i Teobald znajdowali, że jest cudowna, nie wydaje *potomstwa*... w każdym razie żywego. Może tylko mumie. O! Pamiętacie, jak udawałaś mumię? Co to był za dzień! Myśleliśmy, że zabiłaś Teodozję.

Śmiały się. Wiedziałam, że Sabina doda mi otuchy.

— I mówiłaś, że Teobald się garbi i nosi okulary, a kiedy go zobaczyłaś, wpadłaś w zdumienie. *Uwielbiałaś* go od tej chwili. Och, tak, uwielbiałaś, nie możesz zaprzeczyć.

— Nawet nie próbuję — powiedziałam.

— A teraz za niego wysłałaś. Twoje marzenia stały się rzeczywistością. Czy to nie cudowne zakończenie bajki?

— To nie jest zakończenie — powiedziała Teodozja trzeźwo. — To jest początek. Evan tak się cieszy, bo zaproszono go do udziału w wyprawie.

— Naprawdę? — zawołała Sabina. — To wielki zaszczyt. Gdy pojedzie, ty musisz tu przyjechać i zostać.

— Jadę z nim — oświadczyła z dumą Teodozja. — Nie myślcie, że pozwolę Evanowi pojechać beze mnie.

— Czy Teobald pozwolił? Papa nigdy nie lubił żon w pobliżu. Mówił, że kręcą się i odrywają od pracy... chyba że same pracują, i wiele z nich pracuje... ale ty nie, Teodozjo. Więc Teobald się zgodził! Myślę, że teraz, kiedy sam jest żonaty, ma więcej zrozumienia dla innych. Będziesz towarzyszką Judyty. Tabita jedzie. Oczywiście, ona jest bardzo uczona. Rozmawia teraz z Teobaldem. Założę się nie wiem o co, że rozmawiają o Egipcie. Tabita jest piękna, nie sądzicie? Wydaje się, że zawsze jest odpowiednio ubrana. Myślę, że to elegancja. Zupełnie inaczej niż ja. Ta srebrzysta szarość teraz... Właśnie *odpowiednia!* Czasem mi się wydaje, że to najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek widziałam.

— Musisz uważać, Judyto — dodała filuternie. — Byłam zdziwiona, że pozwoliłaś, by Teobald pojechał z nią do Dorset... Och, wiem, że musiałaś zostać... ale ona jest naprawdę młoda. Może o rok, dwa starsza od Teobalda, nie więcej. Oczywiście, jest zawsze taka spokojna... powściągliwa..., ale przed spokojnymi trzeba się mieć na baczności, jak mówią. Och, Judyto, co też ja wygaduję do panny młodej w dniu jej ślubu. Myślę, że jesteś zdenerwowana. Ale nie chciałam tego. Tylko żartowałam. Teobald będzie *najwierniejszym* mężem na świecie! Jest zawsze zbyt zajęty, żeby mogło być inaczej. Dziw, że w ogóle się ożenił. Jestem pewna, że będziesz nadzwyczajnie szczęśliwa. Myślę, że to doskonałe małżeństwo. Ty się interesujesz jego światem i wszystkim czym on żyje i jesteś wystarczająco bogata, więc nie będzie problemów z pieniędzmi, i sir Ralf zostawił pieniądze na badania archeologiczne. Czy to nie było cudowne? To brzmi właściwie okropnie, jakbyśmy byli zadowoleni, że nie żyje. Ja nie jestem. Zawsze go lubiłam. Mam tylko na myśli, że wszystko się tak wspaniale ułożyło i *wiem*, że będziesz nadzwyczaj szczęśliwa. Wyszłaś za najcudowniejszego człowieka pod słońcem, oczywiście z jednym wyjątkiem. Ale nawet mój Oliver nie jest tak dystygowany i wybitny jak Teobald... choć jest *spokojniejszy* i ja go uwielbiam i nie zamieniłabym go na nikogo na całym świecie...

— Och, ona jeszcze mówi — powiedziałam do Teodozji. — Nikt inny nie ma szansy.

— To zemsta za twój despotyzm w szkolnym pokoju, i dlatego milczysz, że to dzień twojego ślubu, trudno ci przywyknąć do tego. Gdybyś nie myślała o Teobaldzie i tym wszystkim, nigdy byś mi nie pozwoliła tak długo przemawiać.

— Wierzę, że wykorzystasz w pełni możliwości. Patrzcie, Hadrian.

— Halo — powiedział Hadrian. — Zjazd rodzinny. Muszę się i ja przyłączyć.

— Mówiliśmy o wyprawie — powiedziała Sabina. — Między innymi.

— Kogo brakuje?

— Czy wiedziałeś, że Evan i Teodozja jadą? — zapytałam.

— Słyszałem, że jest możliwość. To będzie jak za dawnych dni. Będziemy wszyscy razem... z wyjątkiem ciebie, Sabino, i twego Olivera.

— Oliver ma kościół i parafię... poza tym, on jest pastorem, nie archeologiem.

— Więc ty też jedziesz, Hadrianie?

— To wielka rzecz. Daje mi szansę ucieczki od moich wierzycieli.

— Zawsze mówisz o pieniądzach.

— Mówiłem ci już, że nie jestem dość bogaty, by je lekceważyć.

— Nonsens — powiedziałam.

— Teraz, Judyto, ty weszłaś do towarzystwa plutokratów. No, to będzie dla nas dobre doświadczenie — tak mi powiedział Teobald. Będziemy musieli trzymać się razem w razie, gdyby rozgniewani bogowie wyszli ze swych *nor*, by nam zadać cios.

— Czy bogowie mają nory? — zapytała Sabina. — Myślałam, że to raczej lisy. Jakiś wielki rudy napada na gospodarstwo Brenta. Dzierżawca Brent czai się na niego z dubeltówką.

— Niech ją ktoś powstrzyma — powiedział Hadrian — zanim zdąży zmienić temat.

— Tak — powiedziałam — nie chcemy słuchać o lisach. Ekspedycja jest znacznie bardziej interesująca. Nie mogę się wprost doczekać. Niedługo czas będzie wyruszyć do Egiptu.

— To powód pośpiesznego ślubu — powiedział Hadrian. — Co myślisz o tajemniczej postaci w kruchcie?

— To był tylko stary Pegger.

— Mowa o proroku zguby. Nie mógł się zjawić w bardziej nieodpowiedniej chwili... lub, z jego punktu widzenia, w bardziej odpowiedniej. Wydawał się tak zachwycony swoją rolą zwiastuna nieszczęścia.

— Chciałabym, żeby już wszyscy przestali robić aluzje do nieszczęścia — poskarżyłam się. — To w najwyższym stopniu nie na miejscu.

— Oczywiście — zgodził się Hadrian. — A oto nadchodzi twój wielbny mąż, Sabino. Pewnie udzieli błogosławieństwa i wypędzi złe duchy wywołane przez tego starego upiora w kruchcie.

— Nic takiego nie będzie robił — powiedziała Sabina, wsuwając rękę pod ramię Ołivera, gdy się zbliżył.

— Akurat w porę — powiedział Hadrian — by nie dopuścić twojej niekonsekwentnej małżonki do wygłoszenia dysertacji o obowiązkach proboszcza, a dokąd to by mogło zaprowadzić, tylko niebo — i Sabina — wie. Chcę zaproponować pannie młodej miłe *tete-a-tete*.

Zostaliśmy sami w kącie; patrzył na mnie potrząsając głową.

— No, no, Judyto, to takie nagłe.

— I ty także — powiedziałam z wyrzutem.

— Och, nie mam na myśli tego co Pegger. Myślę o tym, jak zdobyłaś fortunę i wyszłaś za mąż nawet nie mrugnawszy czy też w mgnieniu oka, by trzymać się metafor „twarzowych”.

Roześmiałam się. Hadrian zawsze podnosił mnie na duchu.

— Gdybym wiedział, że odziedzyczyłaś majątek, sam bym się z tobą ożenił.

— Cóż za stracona okazja! — zakpiłam.

— Moje życie jest pełne straconych okazji. No, serio, kto by pomyślał, że starszy pan zostawi ci połowę majątku. Mój ochłap to tyle co zdmuchnąć.

— Nie, Hadrianie, to przyzwoity dochód, i jako dodatek do tego, co zarabiasz w swoim zawodzie...

— Bogactwo! — mruknął. — Naprawdę, Judyto, Teobald to szczęściarz. I ty, i te wszystkie pieniądze. I to co mój wuj zapisał dla Sprawy.

— Jak bym chciała, żeby ludzie na chwilę przestali mówić o pieniądzach.

— To dzięki pieniądзом ziemia się kręci... a może dzięki miłości.
A szczęśliwa Judyta ma i jedno, i drugie!

— Widzę, że moje ciotki dają jakieś gwałtowne znaki.

— Pewnie zbliża się czas waszego odjazdu.

— Tak, powóz zawiezie nas na stację za niecałą godzinę. I muszę się przebrać.

Dorcas nadeszła pośpiesznie.

— Judyto, czy zdajesz sobie sprawę, która godzina?

— Właśnie mówiłam o tym Hadrianowi.

— Myślę, że czas się przebrać.

Wymknęłam się z Dorcas i Alison i weszłyśmy do pokoju, który mi przydzieliła Sabina. Wisiał tam mój srebrzystopopielaty płaszcz i spódnica z tego samego materiału, i biała bluzka z falbankami i małą, szarą, aksamitną kokardą przy kołnierzu.

Srebrzystopopielaty. Wytworny. Tak, gdy nosi go kobieta taka jak Tabita.

— Wyglądasz pięknie — gruchała Dorcas.

— Dlatego, że patrzysz na mnie oczami miłości.

— Ktoś inny będzie na ciebie patrzył w ten sposób — powiedziała szybko Alison. Zrobiła niemal niedostrzegalną pauzę i dodała: — Mam nadzieję.

Wyszłam na ganek. Powóz już stał i Teobald czekał na mnie.

Wszyscy nas otoczyli; stangret podciął konia. Zaczął się nasz miodowy miesiąc.

Co mam powiedzieć o naszym miodowym miesiącu? Że zawiódł moje oczekiwania? Na początku było cudownie i cud trwał przez dwie noce i dzień. Teobald był wtedy mój bez reszty. Byliśmy bardzo sobie bliscy. Przerwaliśmy podróż do Dorset i spędziliśmy noc, następny dzień i kolejną noc w małej gospodzie wśród torfowisk.

— Zanim dojedziemy do wykopów — powiedział mi — pomyślałem, że należy nam się to małe wytchnienie.

— To cudowny pomysł.

— Myślałem, że pałasz chęcią zobaczenia tej mozaikowej posadzki, którą odkryli?

— Bardziej pałam chęcią bycia tylko z tobą.

To moje szczere wyznanie rozweseliło go, a jednocześnie miałam wrażenie, że trochę zaniepokoiło. Znowu podkreślił, że brak mu moich umiejętności wyrażania uczuć.

— Nie wolno ci myśleć, Judyto — powiedział — że ponieważ nie wyznaję nieustannie mojej miłości do ciebie, to jej nie czuję. Trudno mi mówić o moich najgłębszych uczuciach.

To mnie zadowoliło.

Nigdy nie zapomnę gospody w małej wiosce wśród torfowisk: skrzypienia szyldu nad naszym oknem — zwieńczonym szczytem, bo gospoda miała trzysta lat; grzmotu wodospadu oddalonego o pół mili, przerzucającego swe połyskliwe wody przez urwiste głązy, ani wielkiego łoża z pierzyną, w którym leżeliśmy.

Ogień płonął na palenisku i gdy śledziłam cienie migocące na tapecie w wielkie czerwone róże, a Teobald otaczał mnie ramionami — byłam najzupełniej szczęśliwa.

Śniadanie jedliśmy w wielkiej izbie gospody z miedzianymi naczyniami i cynowymi dzbankami na półkach, i szynkami zwisającymi u krokwi. Gorąca kawa, chleb prosto z pieca, szynka i jajka z pobliskiego gospodarstwa, placuszki i domowa konfitura truskawkowa z miseczką devonshirskiej śmietanki koloru jaskrów. I Teobald, siedzący naprzeciw, patrzący na mnie z wyrazem niemal zdumienia w oczach. Jeśli kiedykolwiek w życiu byłam piękna, to tego ranka.

Po śniadaniu poszliśmy na torfowiska i spacerowaliśmy milami po grząskiej, elastycznej darni. Żona właściciela gospody zapakowała dla nas mały koszyk z pokrywką, więc urządziliśmy piknik nad małym, czystym strumykiem. Widzieliśmy dzikie kucyki na torfowiskach, zbyt bojaźliwe, by się do nas zbliżyć; jedyne istoty ludzkie, które spotkaliśmy tego dnia, to człowiek jadący furą pełną jabłek i gruszek, który podniósł bat i nas pozdrowił, i mężczyzna na koniu, który też nas powitał. Szczęśliwy, sielankowy dzień, a potem powrót do rozkosznych kaczątek i pnącego groszku, i wreszcie przytulna sypialnia i migotanie ognia.

Następnego dnia złapaliśmy pociąg w kierunku Dorset.

Oczywiście fascynowały mnie rzymskie wykopaliska, ale w tym czasie pragnęłam tylko jednego — kochać Teobalda i być przez niego kochaną. Hotel, w którym się zatrzymaliśmy, był pełen ludzi należących

do ekipy, co różniło go znacznie od naszego schronienia w Dartmoor. Dumna byłam z szacunku, jakim otaczano Teobalda, i choć przekonano mnie, że jestem amatorem wśród profesjonalistów, i choć ciągle miałam zamęt w głowie z powodu fachowych szczegółów, byłam jak zawsze żądna wiedzy, co zachwycało mojego męża.

Następnego dnia przyjechał Terence Gelding, družba Teobalda. Był wysoki i smukły, z tym samym poważnym i oddanym wyrazem twarzy, który zauważyłam u wielu jego współtowarzyszy. Był nieco wyobcowany, wydawało mi się, że go trochę niepokoję i wyobraziłam sobie, że nasze małżeństwo nie wzbudza jego zachwytu. Teobald wyśmiał mnie, gdy mu o tym powiedziałam.

— Masz takie dziwne wyobrażenia, Judyto — powiedział; przypominałam sobie, jak często Alison i Dorcas mówiły to samo. — Terence Gelding jest doskonałym pracownikiem, godnym zaufania, rzetelnym. To człowiek, z którym lubię pracować.

Terence i on całymi godzinami rozmawiali z ożywieniem i nie było mi łatwo — choć próbowałam — nadać za tokiem ich rozmowy.

Gdy zarysowała się możliwość, że obok wykopu mógł być amfiteatr, zelektryzowało to wszystkich: cała ekipa udała się na teren wykopalisk, by zbadać niektóre znaleziska, mogące to poświadczyć. Ja nie zostałam zaproszona.

Teobald mnie przeproszał.

— Widzisz, Judyto — wyjaśniał — to sprawa zawodowa. Gdybym ciebie zabrał, inni też chcieliby zabierać swoje rodziny.

Rozumiałam to i postanowiłam szybko nauczyć się tyle, by uznano mnie w takich sytuacjach za godną udziału.

Teobald ucałował mnie z czułością.

— Wrócę za kilka godzin. Co będziesz robiła, gdy mnie nie będzie?

— Będę czytała książkę na temat rzymskich relikwów, którą tu widziałam. Wkrótce już będę tak mądra jak ty.

To go rozśmieszyło.

Spędziłam ten dzień sama. Muszę być na takie sytuacje przygotowana — upominałam siebie. Jednak, choć tak bardzo zaabsorbowana tą dziedziną, byłam przecież świeżo poślubioną żoną, spędzającą miodowy miesiąc, i wczesno-rzymska posadzka, choćby nawet była geometryczną mozaiką, nie mogła się równać ze źródłami i głazami Dartmoor.

Później Teobald często bywał przy wykopach z robotnikami. Czasem z nim chodziłam. Rozmawiałam z mniej ważnymi członkami ekipy; studiowałam mapy i nawet trochę kopałam, tak jak na łące Cartera, obserwowałam metody „pierwszej pomocy” przy rekonstrukcji płyty, na której wryta była głowa Cezara. Fascynowało mnie to, ale chciałam być sama z Teobaldem.

Spędziliśmy dwa tygodnie przy rzymskich wykopach. Wydaje mi się, że Teobald ociągał się z wyjazdem. Ostatniego wieczora przez wiele godzin konferował na osobności z kierownikiem ekspedycji. Położyłam się już, gdy wrócił. Było tuż po północy.

Usiadł na łóżku, oczy mu błyszczały.

— To prawie pewne, że tam jest amfiteatr — powiedział. — Co za odkrycie! Myślę, że to będzie jeden z najciekawszych terenów wykopaliskowych w Anglii. Profesor Brownlea nie przestaje mówić o swoim szczęściu. Czy wiesz, że znaleźli płytę z wrytą głową? Jeśli będą w stanie stwierdzić — czyją, będzie to wielkie odkrycie.

— Wiem — powiedziałam. — Byłam przy tym, jak ją składali.

— Niestety, są duże ubytki. Ale, oczywiście, mozaiki podłogowe są najbardziej interesujące. Datowałbym czarno-białe na ok. 74 rok naszej ery.

— Pewna jestem, że masz rację, Teobaldzie.

— Och, nie można mieć pewności... jeśli nie ma absolutnego dowodu. Dlaczego się uśmiechasz?

— Uśmiechałam się? — wyciągnęłam do niego rękę. — Może dlatego, że pomyślałam, że są w życiu inne ekscytujące rzeczy oprócz rzymskich zabytków.

Przytulił się do mnie i przez kilka chwil trwaliśmy w uścisku. Roześmiałam się miękko.

— Wiem o czym myślisz. Tak, są bardziej ekscytujące rzeczy. Ale wyobrażam sobie groby faraonów, zwyciężające w tych zawodach o głowę.

— Ach, Judyto — powiedział. — Cudownie jest być razem. Tak bym chciał, żebyś ze mną pojechała.

— Oczywiście. Przecież z tego powodu się ze mną ożeniłeś.

— Z tego i z innych — powiedział.

— No dobrze, mówiliśmy już o tym... rozważmy teraz te inne powody.

Rozbawiłam go. Moja szczerą radość z naszej miłości z pewnością zgorszyłyby Dorcas i Alison. Ale tyle osób uważało, że jestem zbyt śmiała i bezwstydna.

Zastanawiałam się, czy Teobald też był tego zdania. Zapytałam go o to.

— Widzisz — tłumaczyłam — nigdy nie umiałam udawać.

Powiedział:

— Nie zasługuję na ciebie, Judyto.

Roześmiałam się, uszczęśliwiona.

— Zawsze możesz się starać zasłużyć — podsunęłam.

I byłam szczęśliwa. On także. Czy aż tak szczęśliwy, jak z powodu mozaikowej posadzki, połamanej płyty czy ruin amfiteatru? Czy naprawdę był szczęśliwy?

To było szaleństwo z mojej strony, te małostkowe wątpliwości. Chciałabym móc zapomnieć o twarzy Kasandry, którą ukazywały Dorcas i Alison, o aluzjach i insynuacjach, o ponurym wzroku starego Peggera w kruchcie kościoła. Pragnęłam, żeby sir Ralf nie zostawił mi fortuny; wtedy naprawdę mogłabym być pewna, że zostałam poślubiona dla mnie samej.

Ale o tym wszystkim można zapomnieć... na pewien czas. Obiecałam sobie, że kiedyś usunę je na zawsze z pamięci.

Potem wróciliśmy do Giza House.

W pierwszym tygodniu listopada, późnym, mrocznym i smutnym popołudniem przyjechaliśmy do domu. Październikowe wiatry prawie zupełnie odarły drzewa z liści, ale gdy jechaliśmy powozem od stacji, krajobraz był niezwykle spokojny, wiatr ustał. To była typowa kornwalijska październikowa aura — ciepła i wilgotna. Gdy zatrzymaliśmy się przy bramie z kutego żelaza i schodziliśmy po stopniach, Tabita wyszła na powitanie.

— Niezbyt przyjemny dzień — powiedziała. — Musicie być zziębnięci. Chodźcie szybko, zaraz będzie herbata.

Patrzyła na nas badawczo, jakby podejrzewała, że miesiąc miodowy mógł się nie udać. Dlaczego wciąż miałam wrażenie, że wszyscy dochodzili do wniosku, iż Teobald i ja nie byliśmy dobranym małżeństwem?

Wyobraźnia! — mówiłam sobie. Spojrzałam na dom. Nawiedzany przez duchy — pomyślałam, przypominając sobie, jak dokuczałam Teodozji i straszyłam ją, każąc jej biegać do niego ścieżką. Pomyślałam o niani, ukazującej się w szczytowym oknie.

— Giza House zawsze mnie intrygował — powiedziałam wchodząc do holu.

— To jest teraz twój dom — przypomniała mi Tabita.

— Gdy wrócimy z Egiptu, Judyta może będzie chciała wprowadzić jakieś zmiany — powiedział Teobald ujmując mnie pod ramię. Uśmiechnął się do mnie. — Teraz musimy się skupić na naszych planach.

Tabita zaprowadziła nas do naszego pokoju. Znajdował się na pierwszym piętrze, obok pokoju, w którym widziałam sarkofag. Tabita zmieniła w nim tapety podczas naszej nieobecności.

— Jesteś bardzo dobra — powiedział Teobald.

W półmroku spostrzegłam Mustafę i Absalama. Zauważyłam ich intensywnie utkwione we mnie oczy. Musieli mnie pamiętać jako hałaśliwe dziecko, a potem „osobę do towarzystwa” z Keverall Court, która przychodziła pożyczać książki. Teraz byłam nową panią. Czy może Tabita miała zachować ten tytuł?

Jakże bym chciała, żeby nie posiano cichymi aluzjami w mym umyśle tych wszystkich obaw.

Zostałam w pokoju, by się odświeżyć, a Tabita wróciła do salonu z Teobaldem. Jedna z pokojówek przyniosła gorącą wodę i gdy się obmyłam, podeszłam do okna i wyjrzałam. Ogród był jak zawsze zarośnięty krzewami i drzewami, które go zaciemniały. Widziałam pajęczyny na krzakach, połyskujące tam, gdzie światło padało na kropelki wilgoci, tak jak często je widywałam dawniej o tej porze roku. Kotary były ciemnoniebieskie, obrzeżone meandrami złotej wstążki. Łóżko było wielkie, z baldachimem i zasłonami. Na podłodze gruby dywan. Pamiętałam, co mówiła Tabita, że sir Edward nie znosił hałasu gdy pracował, że w całym domu musiała panować cisza. Półki z książkami wypełniały jedną stronę pokoju. Patrzyłam na nie. Niektóre z nich pożyczałam i czytałam. Wszystkie dotyczyły jednej dziedziny. Przyszło mi na myśl, że to była sypialnia sir Edwarda, nim wyruszył w fatalną podróż, i przeszłość stanęła mi przed oczami. Wolałabym,

żeby wybrano dla nas inny pokój. Potem przypomniałam sobie, że jestem panią tego domu i jeśli nie podoba mi się pokój, mogę to głośno powiedzieć.

Zmieniłam strój podróżny i zeszłam do salonu. Teobald i Tabita siedzieli obok siebie na sofie, oglądając jakieś plany.

Gdy weszłam, Tabita zerwała się z miejsca.

— Herbata zaraz będzie — powiedziała. — Myślę, że marzysz o niej. Podróż jest tak męcząca.

Ellen przywiozła zastawę do herbaty i stała obok, gdy Tabita nalewała.

Tabita chciała wiedzieć, jak się nam udał miodowy miesiąc, a potem Teobald zaczął długie objaśnienia związane z rzymskimi wykopami.

— To wszystko musiało być bardzo dla ciebie ciekawe, Teobaldzie — powiedziała z uśmiechem. — Myślę, że dla Judyty także.

Spojrzała na mnie z pewną obawą, a ja zapewniłam ją, że bardzo mi się podobał nasz pobyt w Dorset.

— A teraz — powiedział Teobald — musimy poważnie zabrać się do naszych planów wyjazdowych. To zdumiewające, jak czas ucieka, gdy tyle jest do zrobienia. Chciałbym wyjechać w lutym.

Mówiliśmy więc o podróży i miło było siedzieć tak przy kominku, gdy mroczne popołudnie przechodziło w zmierzch. Nie mogłam przestać myśleć o dniach, gdy marzyłam o tym, by dzielić życie z Teobaldem.

Jestem szczęśliwa, zapewniałam siebie. Moje marzenia się spełniły.

Moja pierwsza noc w Giza House! Jedna ze służących zapaliła ogień na kominku w sypialni i cienie błędzących płomieni tańczyły na ścianach; jak zupełnie inaczej niż w gospodzie w Dartmoor — te miały złowrogie kształty, które mogły w każdej chwili nabrać życia. Jaka cisza panowała w tym domu! Za błękitną aksamitną kotarą były drzwi. Otworzyłam je i zobaczyłam, że prowadziły do pokoju, w którym stał sarkofag.

Znalazłam się na górze przed Teobaldem, a pokój w świetle ognia, gdy tylko dwie świece paliły się w wysokich lichtarzach, zdawał się ożywać cieniami.

Myślałam o sir Edwardzie i jego żonie, która nigdy nie mieszkała w tym domu, gdyż umarła, zanim się tu sprowadzili. A w pokojach na poddaszu żyła stara piastunka, która musiała wiedzieć, że Teobald i ja wróciliśmy z podróży poślubnej. Zastanawiałam się, co teraz mogła robić i dlaczego tak długo nie ma Teobalda. Czy rozmawiał z Tabitą, mówiąc jej o rzeczach, o których nie chciał, bym wiedziała? Co za pomysł! Nie mogę być zazdrosna o czas, który spędza z Tabitą. Ona była zawsze przyjacielem domu, była dla niego prawie jak matka. Matka! Nie mogła być od niego starsza więcej niż o dwa lata.

To ten dom — mówiłam sobie. Coś jest w tym domu. Coś... złego. Czułam to od początku, zanim tu zamieszkali Traversowie, wtedy gdy straszylam Teodozję.

Teobald wszedł do pokoju i złowrogie cienie wycofały się; ogień na kominku stał się dobrotliwy, a światło świec swojskie.

— Co ty — zapytał — robisz w tym pokoju?

— Znalazłam drzwi. To pokój, w którym był sarkofag.'

Roześmiał się.

— Nie miałś zamiaru udawać mumii... żeby mnie przestraszyć?

— Ty... przestraszony przez mumię! Przecież wiem, że je bardzo kochasz.

— Nie tak bardzo — odpowiedział — jak kocham ciebie.

W rzadkich chwilach, gdy mówił takie słowa, moje szczęście było zupełne.

— Czy podoba ci się pokój, który dla was przygotowałam?

— zapytała następnego ranka Tabitą. Teobald poszedł do swego gabinetu, miał dużo korespondencji do załatwienia w związku z ekspedycją.

— Jest trochę upiorny — powiedziałam.

Tabitą zaśmiała się.

— Co masz na myśli, Judyto?

— Zawsze myślałam, że trochę straszy w Giza House.

— To przez te drzewa i zarośla w ogrodzie, jak sądzę. Ten pokój jest najlepszy w całym domu. Dlatego go przygotowałam. To był kiedyś pokój sir Edwarda.

— Domyśliłam się. A pokój obok to ten, w którym stał sarkofag.

— Sir Edward zawsze korzystał z tego pokoju, gdy nad czymś pracował. Często siedział do późnej nocy, gdy powziął jakąś ideę. Czy chcesz zmienić pokój?

— Nie, nie sędzę.

— Judyto, wiesz, że masz robić to co chcesz. Jesteś teraz panią domu.

— Nie mogę się przyzwyczaić do bycia panią czegokolwiek.

— To przyjdzie z czasem. Jesteś szczęśliwa, prawda?

— Mam to, czego zawsze pragnęłam.

— Niewiele z nas mogłoby to powiedzieć o sobie — odrzekła z westchnieniem.

— A ty, Tabito?

Chciałam, żeby mi zaufała. Byłam pewna, że w jej życiu były tajemnice. Była dość młodą — jak przypuszczałam — wdową. Miała jeszcze życie przed sobą, a jednak wyczuwało się w niej jakąś rezygnację, ledwie uchwytną tajemnicę, co stanowiło chyba jeden z powodów jej atrakcyjności.

Powiedziała:

— Miałam swoje dobre chwile. Może nie należy żądać więcej.

Tak, zdecydowanie było coś tajemniczego w Tabicie.

Zbliżało się Boże Narodzenie. Sabina powiedziała stanowczo, że musimy obchodzić święta na plebanii, i nalegała, by ciotki przyłączyły się do nas. Wyobraziłam sobie, że Dorcas i Alison będą rozżalone; były przecież takie konwencjonalne. Sądzę, że uważały, iż powinniśmy przyjść do nich, do Tęczowego Domku, albo one do Giza House.

Wyłumaczyłam im, jak dogodne było zaproszenie Sabiny i jak miło będzie znów się znaleźć w starej bawialni, gdzie obchodziliśmy tyle naszych świąt Bożego Narodzenia.

Dni biegły szybko. Trzeba było myśleć o świętach i, oczywiście, zawsze o wyprawie. Tabita i ja ubierałyśmy dom ostrokrzewem i jemiołą.

— Nigdy tego nie robiliśmy przedtem — powiedziała Tabita.

Służące były zachwycone. Ellen powiedziała mi, że odkąd tu jestem, Giza House bardziej przypomina dom. To był naprawdę komplement.

Lubiły mnie te służące; zdawało się, że sprawia im przyjemność zwracanie się do mnie „jaśnie pani” — niezmiennie mnie to zaskakiwało, a czasem musiałam sama siebie upewniać: Tak, to prawda. Teraz nie śnisz. Spełniło się największe marzenie twego życia.

To na początku grudnia po raz pierwszy zdarzyło się coś, co mnie zaniepokoiło.

Nigdy nie rozumiałam Mustafy i Absalama. Denerwowali mnie. Byłam w jakimś pokoju i nagle odkrywałam ich stojących tuż koło mnie — zdawali się poruszać zawsze razem — zupełnie nieświadoma chwili, gdy weszli. Często, gdy nagle podnosiłam głowę, widziałam ich ciemne oczy utkwione we mnie. Czasem wydawało mi się, że zaraz do mnie przemówią, ale w następnej chwili jakby zmieniali zdanie. Nigdy nie mogłam ich rozróżnić i myślę, że często się myliłam, zwracając się do nich. Tabita nie myliła się nigdy, ale ona miała z nimi do czynienia od bardzo dawna.

Przyszło mi na myśl, że to prawdopodobnie ich obecność — i niani na poddaszu — sprawiała, że odczuwałam coś złowrogiego w atmosferze domu.

To było po południu — o tej godzinie, gdy zaczyna zapadać zmierzch. Szłam do naszej sypialni i po drodze zauważyłam, że drzwi z korytarza do pokoju, który nazywałam pokojem sarkofagu, są uchylone. Zajrzałam sądząc, że zobaczę tam Teobalda. Sylwetka Mustafy czy może Absalama zarysowała się na tle okna.

Weszłam i wtedy drugi Egipcjanin znalazł się przy mnie... Staął pomiędzy mną a drzwiami.

Poczułam, jak cierpnie mi skóra. Nie wiedziałam, dlaczego. Zapytałam:

— Mustafa... Absalam, czy coś się stało?

Nastała krótka chwila ciszy. Ten, który stał przy oknie, skinął głową drugiemu i powiedział:

— Ty mów, Absalamie.

Odwrociłam się twarzą do Absalama.

— Jaśnie pani — powiedział —jesteśmy twoimi najpokorniejszymi niewolnikami.

— Nie wolno ci tak mówić, Absalamie. Nie mamy tu niewolników. Skłonili się, pochylając głowy.

Potem Mustafa zaczął mówić:

- Dobrze służymy jaśnie pani.
- Ależ oczywiście — odparłam lekko.

Zobaczyłam, że drzwi były zamknięte. Spojrzałam na te, które prowadziły do sypialni. Były na wpół przymknięte. Ale wiedziałam, że Teobald nie mógł tam być o tej porze.

- Tyle razy próbowaliśmy pani powiedzieć.
- Więc powiedzcie mi teraz.
- To nie może być — powiedział Mustafa, potrząsając z powagą głową. Absalam też zaczął potrząsać głową.
- Co? — zapytałam.
- Proszę tu zostać, jaśnie pani. Pani mówi sir Teobaldowi. Pani mówi. On nie może jechać.

Zaczęłam rozumieć, co mają na myśli. Bali się powrotu do Egiptu, do sceny, na której rozegrała się tragedia ich pana.

- Obawiam się, że to niemożliwe — powiedziałam. — Już wszystko jest zaplanowane. Teraz nie można tego zmienić.
- Trzeba to zmienić — powiedział Mustafa.
- Jestem pewna, że sir Teobald nie zgodziłby się z wami.
- Tam jest śmierć. Tam jest klątwa...

Oczywiście, pomyślałam, muszą być przesądni. Zapytałam:

- Czy mówiliście o tym sir Teobaldowi?

Zaprzeczyli równocześnie ruchem głowy.

- To na nic. Na nic mówić jego wielkiemu ojcu. Na nic. Na nic. Więc on umiera. Klątwa na niego spada i spadnie na innych.

- To legenda — powiedziałam. — Nic więcej.
- Legenda? — zapytał Mustafa.

— To czyjś wymysł. Wszystko będzie dobrze. Sir Teobald to zapewni.

- Jego ojciec nie mógł zapewnić. Jego ojciec umarł.
- To nie miało związku z jego pracą.
- Nie? To była klątwa, jaśnie pani. I klątwa znów spadnie.

Absalam podszedł bliżej i stanął przede mną. Dłonie miał zaciśnięte, oczy wzniesione.

- Jaśnie pani musi powiedzieć. Musi przekonać. Milady jest nową żoną. Mąż słucha swojej ukochanej.

— To niemożliwe — powtórzyłam.
— Tam jest śmierć... śmierć.
— Jesteście dobrzy, że tak się troszczycie — powiedziałam — ale ja nic nie mogę zrobić.

Patrzyli na mnie wielkimi, rozżalonymi oczami i ponuro kiwali głowami.

Wymknęłam się do sypialni. Oczywiście — myślałam — są przesądni.

Tego wieczora, gdy już leżeliśmy, powiedziałam do Teobalda:

— Egipcjanie rozmawiali dziś ze mną. Bardzo się boją.
— Czego się boją?
— Tego, co nazywają kłatwą. Wierzą, że jeśli pojedziemy do Egiptu, stanie się nieszczęście.
— Jeśli tak czują, powinni zostać.
— Prosimi, żebym z tobą porozmawiała. Powiedzieli, że mąż kocha swoją ukochaną i słuca jej.

Śmiał się.

— Mówiłam im, że to daremne.
— Oni są bardzo przesądni.
— Czasem trochę się boję.
— Ty, Judyto?

Przytuliłam się do niego.

— Tylko o ciebie — zapewniłam. — A jeśli to, co spotkało twego ojca, spotka i ciebie?

— Dlaczego miałoby tak być?
— Jeśli jest coś w tej opowieści o kłatwie?
— Moja droga, chyba w to nie wierzysz?
— Gdyby ktoś inny stał na czele wyprawy, wyśmiałabym ten pomysł. Ale to będziesz ty.

Śmiał się w ciemności.

— Moja mała Judyta — powiedział.

I to było wszystko.

Chciałam, żeby te dni były już poza nami. Jakże były chmurne przed Bożym Narodzeniem. Deszcz padał nieustannie, jodły lśniły i ociekały kroplami; łagodny, wonny, południowo-zachodni wiatr przyginał drzewa i pojękiwał za oknami. Gdziekolwiek spotykałam Egipcjan, wodzili

za mną oczami na poły żałośnie, na poły z nadzieją. Widywałam nianię, ale tylko w obecności Tabity, gdyż pozostawała przeważnie u siebie i rzadko się pokazywała.

Teodozja i Evan przyjechali na święta do Keverall Court, a Teobald i ja, Sabina i Oliter zostaliśmy zaproszeni tam na Wigilię. Hadrian też tu był; miał pozostać aż do naszego wyjazdu do Egiptu.

Zgodnie z dawnym zwyczajem w Keverall Court śpiewano w Wigilię kolędy w sali balowej i przybyło wielu ludzi z sąsiedztwa. Ołiver odprawiał nabożeństwo, tak jak robił to wielbny James Osmond; była to niezwykła uroczystość, zakończona marszem z pochodniami z kościoła do dworu.

Po odśpiewaniu kolęd wybrani goście lady Bodrean przechodzili do hallu, gdzie podawano wieczerzę, na którą składały się różne, popularne od stuleci, pasztety w cieście: z gołębka, z baraniny i wołowiny, i — oczywiście — gorące kornwalijskie zapiekanki z mięsa i ciasta; wszystko to jedzono popijając miodem i tym, co nazywano ponczem z Keverall — robionym w wielkiej cynowej misie według przepisu przekazywanego od czterystu lat ochmistrzowi Keverall Court i znanego tylko jemu; był bardzo mocny.

Śmieszyla mnie postawa, jaką lady Bodrean przyjęła wobec mnie. Gdy sądziła, że nikt nie widzi, patrzyła na mnie z pewnego rodzaju podejrzliwym zdumieniem, ale gdy stawałyśmy twarzą w twarz, była samym urokiem.

Gdy spożyliśmy mięsiwa i poncz, udaliśmy się do kościoła na nabożeństwo o północy i przywędrowaliśmy do domu wcześniej rano w dzień Bożego Narodzenia. Wszystko odbyło się tak, jak robiliśmy tyle razy dawniej, czułam radość, że wszyscy przyjaciele z czasów mego dzieciństwa zgromadzili się z tej okazji razem.

Dzień świąteczny na plebanii też upłynął miło. Zabawne było widzieć Sabinę prezydującą przy stole, gdzie niegdyś siadywała Alison. Był indyk z nadzieniem kasztanowym, a do ciast krem przyrządzany z dodatkiem brandy, co tyle trudu przysparzało zawsze Dorcas i Alison. Sabina nie okazywała żadnego niepokoju. Trzepała na prawo i lewo, a my drażniliśmy ją ze śmiechem. Uroczyście wniesiono świąteczny pudding z mąki chlebowej, rodzyneków i przypraw, otoczony płonącą brandy, a po nim babeczki z leguminą z rodzyneków,

jabłek, migdałów i skórki pomarańczowej, połyskujące pudrową powłoką.

Teodozji z Evanem i Hadriana nie było; musieli zostać w Keveryall Court. Rozmowa przynajmniej raz nie toczyła się więc wokół zbliżającej się wyprawy, za co byłam wdzięczna gdyż Dorcas i Alison na pewno nie znalazłyby w tym przyjemności.

Później rozwiązywaliśmy szarady, odgrywaliśmy sceny mimiczne, graliśmy w dziecinne zgadywanki, w czym ja celowałam, a Teobald nie. Dorcas i Alison kibicowały nam i oklaskiwały moje sukcesy, co mnie zarazem irytowało i wzruszało.

Wczesnym rankiem, gdy Tabita, Teobald i ja przemierzaliśmy niewielką odległość dzielącą plebanię od Giza House, przytapałam się, że myślę o tym, czy zawsze będziemy razem we troje. Lubiłam Tabitę, ale bywały chwile, gdy dawne powiedzenie, że dwoje to zespół, a troje to tłum, zdawało się bardzo odpowiednie. Czy było tak dlatego, że gdy Tabita była z nami, Teobald zdawał się odnosić do mnie inaczej? Czasem zachowywał się niemal ceremonialnie, jakby bał się zdradzić przed nią z uczuciem, które w coraz większym stopniu okazywał, gdy byliśmy sami.

Przez bramę, ścieżką obrośniętą po obu stronach krzewami i drzewami. I do domu — tego cichego domu, gdzie na górze żyła niezwykła niania, a w pokojach dla służby spali Egipcjanie. Spali? Czy leżeli bezsenni i mówili o klątwie?

Gałązka jemioli zawieszona u świecznika w hallu dziwnie raziła w tym domu cieni.

Nadszedł styczeń. Chwytał mróz, szron na krzewach nadawał im wygląd jak z bajki.

Teobald, przeglądający pocztę przy śniadaniu, zmarszczył brwi i skrzywił się z oburzenia.

— Och, ci prawnicy! — wykrzyknął z rozżaleniem.

— Co się stało?

— Zatwierdzenie testamentu sir Ralfa zajmie dużo czasu. To wyraźne odwlekanie. Miesiące upłyną, nim wszystko zostanie wyjaśnione.

— Czy to ma tak wielkie znaczenie? — zapytałam.

— Wiesz, że pozostawił ten fundusz powierniczy. Liczyliśmy na te pieniądze. To zrobi wielką różnicę, jeśli chodzi o ekspedycję. Przy dodatkowych wpływach byłibyśmy mniej ograniczeni finansowo. Sama zobaczysz, Judyto, jak tego rodzaju wyprawy pochłaniają pieniądze. Muszę zatrudnić około stu robotników. Poza tym są przecież ci wszyscy dodatkowi pracownicy. Dlatego nie można zacząć takiego przedsięwzięcia, dopóki nie zostaną załatwione te wszystkie nieznośne sprawy finansowe. Prawie zawsze mamy pokrzyżowane plany z powodu wydatków.

— I nie możecie podjąć tych pieniędzy ani procentów, czy co tam jest, zanim testament nie zostanie zatwierdzony?

— Ach, wszystko będzie w porządku. Przy tak wielkiej sumie, która została na ten cel zapisana, możemy przyspieszyć płatność. Ale będą formalności. Chyba będę musiał pojechać do Londynu. I tak bym musiał, ale później.

— Więc to niewielki powód do zdenerwowania?

Uśmiechnął się do mnie.

— To prawda, ale niewielkie powody mogą oznaczać zwłokę.

Potem zaczął ze mną rozmawiać jak dawniej i powiedział, że jest przekonany, że jego ojciec odkrył wejście do nienaruszonego grobu.

— Był tak podekscytowany. Pamiętam, jak wrócił do domu. Wynajął dom od jednego z najbardziej wpływowych ludzi w Egipcie, którego interesowała nasza operacja i który udostępnił nam swój pałac, co było wielką łaską. To bardzo imponująca i piękna rezydencja, ze wspaniałymi ogrodami i całą zgrają służby, która miała się o nas troszczyć. Nazywa się to pałac Chefrona. Płacimy symboliczną rentę dzierżawną — ustępstwo na rzecz niezależności; ale pasza jest naprawdę bardzo zainteresowany tym, co robimy, i pragnie nam pomóc. Będziemy znów korzystać z jego pałacu.

— Zacząłeś mówić o ojcu?

— Wrócił w nocy ze wzgórz. Świecił księżyc i było prawie tak widno jak w dzień. Nie da się pracować w skwarze południa, wykorzystywaliśmy więc te księżycowe noce. Jechał na mule i jak się domyślałem, coś się zdarzyło. Ojciec rzadko okazywał swe uczucia, ale wtedy było po nim widać, że jest wzburzony. Był niemal wylewny. Pomyślałem, że po-

czekam, aż się umyje, zmieni ubranie i zje lekki posiłek, który mu zawsze przygotowywali Mustafa i Absalam. Zszedłem na dół i czekałem aż mi opowie. Wiedziałem, że mnie powie najpierw. Nikomu o niczym nie wspomniałem, bo mogło to być coś, co chciał zachować w sekrecie. Kilka dni przedtem mieliśmy prawdziwy powód do rozpacz. Przed wieloma miesiącami odkryliśmy drzwi w skale; przedarliśmy się przez korytarz po to tylko, żeby dojść do grobu, który został obrabowany prawdopodobnie dwa tysiące lat wcześniej. Wydawało się więc, że doszliśmy do kresu naszych poszukiwań i cała praca, i koszty poszły na marne. Ale mój ojciec miał niezwykle wyczucie. Nie dał za wygraną. Był pewien, że nie odkryliśmy wszystkiego. Nie miałem wątpliwości, że tylko jakieś dużej wagi odkrycie mogło tak go wzburzyć tego dnia.

Tabita przyszła do nas.

— Opowiadam Judycie o śmierci ojca — powiedział.

Tabita skinęła poważnie głową; usiadła i wsparłszy łokcie na stole, podparła brodę dłońmi. Patrzyła zamglonym wzrokiem, gdy Teo, bald ciągnął dalej:

— Zszedłem na dół, gdy sądziłem, że już wypoczął i znalazłem go chorego. Nie myślałem, że to coś poważnego. Był człowiekiem o ogromnej żywotności fizycznej i umysłowej. Skarzył się na bóle i drętwienie rąk i nóg. Powiedziałem Absalamowi i Mustafie, którzy byli bardzo zdenerwowani, że położymy go do łóżka. Zrobiliśmy to. Pomyślałem: rano mi powie. Tej nocy umarł. Zdażył mnie wezwać. Gdy ukląknę przy jego łóżku, widziałem, że próbuje mi coś powiedzieć. Poruszał wargami. Jestem pewien, że mówił: pracuj dalej. Dlatego jestem zdecydowany.

— Ale dlaczego umarł właśnie wtedy?

— Mówiło się o kłątwie, ale to niedorzeczne. Dlaczego miałyby go dosięgnąć z powodu czegoś, co tak wielu robiło przed nim? Był tylko przy wykopie, przy którym pracowaliśmy. Nie naruszył żadnego grobu. To absurdalne.

— Ale on umarł.

— Klimat jest gorący; mógł zjeść coś zepsutego. To — zapewniam was, niejednokrotnie się zdarzało.

— Ale umrzeć tak nagle.

— To była największa tragedia w moim życiu. Ale chcę spełnić życzenie ojca.

Wyciągnęłam rękę i uściśniełam jego dłoń. Zapomniałam o Tabicie. Potem zobaczyłam łzy w jej pięknych oczach; pomyślałam — z rozdrażnieniem, muszę przyznać — dlaczego jesteśmy zawsze we troje!

Niania przeziębiała się w czasie mrozów; przeziębienie przeszło w bronchit, tak jak u Dorcas. Bardzo się przydałam, mając doświadczenie w pielęgnowaniu. Staruszka leżała w łóżku, wodząc za mną błyszczącymi jak paciorki oczami; myślę, że była zadowolona z tego, że jestem przy niej; całe szczęście, gdyż zdawało mi się, że nie wiadomo dlaczego nie znosi Tabity. To było naprawdę niesprawiedliwe, gdyż Tabita była w najwyższym stopniu delikatna; ale nianię czasem rzeczywiście ogarniał jakiś niepokój, gdy była przy niej.

W lutym Teobald pojechał do Londynu, by poczynić dalsze przygotowania do wyprawy i zobaczyć się z prawnikami; miałam nadzieję, że zabierze mnie z sobą, powiedział jednak, że będzie zbyt zajęty, by poświęcać mi dużo czasu.

Pomachałam mu ręką na pożegnanie na stacji w Plymouth i nie mogłam odpędzić myśli o Lawinii, udającej się w taką samą podróż z dzieckiem w ramionach i o odprowadzających ją Dorcas i Alison — a potem, nim minęła godzina, już nie żyła.

Doszłam do wniosku, że kochać intensywnie to nie znaczy radować się prostym szczęściem. Za chwile uniesienia trzeba płacić wielkim niepokojem. Można być naprawdę szczęśliwym tylko wtedy, gdy ukochana istota jest tuż obok. Gdy jej nie ma, wyobraźnia zdaje się znajdować jadowitą rozkosz w przedstawianiu obrazów wszelkich okropności, które ją mogą spotkać. Teraz widziałam zmiażdżone wagony, słyszałam krzyki rannych, milczenie zabitych.

Szałeństwo! — uspokajałam siebie. Ilu ludzi podróżuje pociągiem? Tysiące! Ile się zdarza katastrof? Ledwie kilka.

Wróciłam i zajęłam się pielęgnowaniem niani.

Tego wieczora, gdy siedziałam z Tabitą, powiedziałam jej o moich obawach.

Uśmiechnęła się do mnie łagodnie.

— To czasem bardzo bolesne, gdy się zanadto kocha.

Mówiła tak, jak gdyby wiedziała, jak to jest i znów się zastanawiałam, jakie było jej życie. Dlaczego nigdy o tym nie mó-

wiła? Może zechce któregoś dnia — myślałam — kiedy lepiej mnie pozna.

Niania wracała do zdrowia.

— Jednak — powiedziała Tabita — te ataki nigdy nie mijają bez śladu. Zawsze, po każdej chorobie, wydaje się słabsza. Jej umysł błądzi.

Zauważyłam to. Zauważyłam także, że moja obecność zdaje się ją uspokajać, zanosila jej więc jedzenie i czasem siadywałam przy niej. Brałam ze sobą książkę i czytałam albo kładłam nierówne ściegi haftu. Często przychodziła Sabina. Słyszałam, jak paplała do niani, a wizyty jej miały zawsze dobry skutek.

Pewnego dnia, gdy siedziałam przy łóżku, niania powiedziała:

— Strzeż się jej. Bądź ostrożna.

Zrozumiałam, że mający i uspokoiłam ją.

— Tu nie ma nikogo, nianiu.

Prosiła, bym się tak do niej zwracała. Wszyscy w rodzinie tak mówią — wyjaśniła.

— Mogę ci różne rzeczy powiedzieć — wymamrotała. — Zawsze miałam oczy otwarte.

— Staraj się wypoczywać, nianiu — prosiłam.

— Wypoczywać! Kiedy widzę, co się dzieje w tym domu. Jest jego i jej. Ona go podżega. Ochmistrzyń! Przyjaciół rodziny! Czym ona jest? Powiedz mi.

Zrozumiałam, że mówi o Tabicie, i musiałam wysłuchać tego, co chciała mi powiedzieć.

— On i ona? — podsunęłam.

— Ty nie widzisz. Jesteś ślepa. Często tak bywa. Ci, których to dotyczy, nie widzą, co się dzieje na ich oczach. Jeden patrzy... drugi widzi.

— Co widzisz, nianiu?

— Widzę, jak się sprawy mają między nimi. Ona jest przebiegła. O, jaka przyjacielska! Przyjaciół rodziny! Ochmistrzyń! Możemy się bez niej obyć. Nie robi nic takiego, czego ja bym nie mogła zrobić.

To nie było zgodne z prawdą, ale milczałam.

— Nigdy nie widziałam takiej ochmistrzyń. Co wieczór zasiada do obiadu z rodziną, rządzi domem. Można by pomyśleć, że jest tu panią, o, można. Potem on wyjeżdża i co się dzieje? I ona musi wyjechać. Och,

w jakiejś sprawie rodzinnej. Rodzinnej! Jaka rodzina! Teraz też ją wezwą, kiedy jego nie ma... Wiem, że tak będzie.

Wyraźnie majaczyła.

— Strzeż się, milady — mruzczała. — Strzeż się jej. Hodujesz żmiję na własnym łonie, ot, co robisz.

Uśmiechnęłam się, słysząc to określenie; i gdy pomyślałam o wszystkim, co Tabita robiła dla domu i jak bardzo była urocza i oddana, nabrałam pewności, że starą kobietę ogarnęła obsesja, pewnie dlatego, że była zazdrosna.

Dom wydawał się inny bez Teobalda. Sypialnię wypełniały cienie, ogień palił się na kominku co wieczór, i leżałam, śledząc je wzrokiem. Często sobie wyobrażałam, że słyszę szmery w sąsiednim pokoju i pewnej nocy wyszłam z łóżka, żeby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma. Jak upiornie wyglądał, słabo oświetlony księżycem na nowiu: książki, stół, przy którym często pracował sir Edward, miejsce, gdzie stał sarkofag. Na wpół oczekiwałam, że zmaterializują się tu Mustafa i Absalam. Wróciłam do łóżka i śniłam, że weszłam do pokoju i zobaczyłam sarkofag, z którego uniosła się mumia; nagle opadły z niej owicia i ukazali się Egipcjanie. Przyglądali mi się ciemnymi oczyma, zbliżając się i wskazując na mnie; słyszałam wyraźnie, ich głosy, odbijające się echem w pustce: „Zatrzymaj go. Mężczyzna słuca swej ukochanej. Dosięgnie cię kłątwa królów”.

Obudziłam się z krzykiem. Usiadłam na łóżku. Nie było innego światła prócz księżycowego, gdyż na kominku żarzyło się tylko kilka węgli. Wyszłam z łóżka, otworzyłam drzwi, spodziewając się zobaczyć sarkofag, tak wyrazisty był sen. Pokój był pusty. Szybko zatrzęsłam drzwi i położyłam się z powrotem.

Pomyślałam: Gdy wrócimy, wprowadzę w tym domu zmiany. Każę wyrwać ponure krzaki; zasadzę piękne, kwitnące krzewy, hortensje, które tak obficie tu rosną, o pięknych, niebieskich, różowych i białych kwiatach, i czerwone fuksje, aby zwieszały swe kielichy z żywopłotu. Zastąpię ciemności przepychem jasnych barw.

Z takimi myślami zasnęłam.

Tak, inaczej było bez Teobalda. A może pozwoliłam wziąć górę niepokojącym myślom, które drzemały w mojej głowie, ponieważ nie było go tu, by je rozproszył.

Ponury dom, aluzje na temat Tabity, bezszelestnie stąpający Egipcjanie, wodzący za mną oczami i przekazujący w milczeniu swe wezwanie za każdym razem, gdy ich widziałam: Wstrzymaj wyprawę lub dosięgnie cię klątwa zmarłych.

Och, Teobaldzie — myślałam — wróć, a wszystko znów będzie dobrze.

Każdego ranka przychodziłam na śniadanie z nadzieją, że znajdę na stole wiadomość od Teobalda, że wraca. Nie było żadnej.

Tabita trzymała list w ręce, gdy weszłam.

— Och, Judyto, będę musiała na kilka dni wyjechać.

— O?

— Tak, ktoś... ktoś z moich krewnych zachorował. Muszę wyjechać.

— Oczywiście — odpowiedziałam. — Nie mówiłaś nigdy, że masz krewnych.

— Mieszka w Suffolk. To daleka podróż. Myślę, że powinnam zaraz wyjechać.

— Dziś.

— Tak. Pojadę pociągiem o dziesiątej trzydzieści do Londynu. Będę musiała pojechać najpierw do Londynu i dopiero stamtąd do Suffolk. Dasz sobie radę beze mnie?

— Tak — powiedziałam. — Oczywiście, że dam.

Odeszła od stołu w pośpiechu. Robiła wrażenie zmartwionej. Jenner, stangret, odwiózł ją dwukółką na stację.

Patrzyłam, jak odjeżdżała i myślałam o niani. Co ona powiedziała? „On wyjedzie... i ona musi wyjechać”. Ale jak mogła to przewidzieć? Jednak tak się stało.

Poszłam na górę do niani. Stała przy oknie, owinięta w swój staromodny, flanelowy szlafrok.

— Więc pojechała — rzekła. — O tak, milady, pojechała. Czy nie mówiłam pani?

— Skąd wiedziałaś, nianiu?

— Są rzeczy, które wiem. Mam oczy, które daleko widzą i patrzą za tych, o których się troszczę.

—: Więc... troszczysz się o mnie, nianiu?

— Czy może pani wątpić? Troszczyłam się od pierwszej chwili, gdy na panią spojrzełam. Powiedziałam: „Będę jej strzegła przez wszystkie dni mojego życia”.

— Dziękuję ci, nianiu — powiedziałam.

— Boli mnie, gdy patrzę, jak cię traktują, kochanie. Tu właśnie boli. — Położyła dłoń na sercu. — On wyjeżdża... i ona jedzie do niego. To bajka, że jedzie kogoś zobaczyć... Dlaczego tak jest zawsze, gdy jego nie ma? Posyła po nią. Będą razem tej nocy.

— Przestań, nianiu. To nonsens. To nie jest prawda.

— Zawsze tak mówisz, kochanie.

— Zawsze! To po raz pierwszy podsunęłaś mi taką straszną myśl, nianiu.

— Och! — zawołała. — Widziałam to. Wiedziałam, że to przyjdzie. Teraz sama też zobaczysz... jeśli będziesz patrzeć. To jej on pragnie. Ciebie wziął dla pieniędzy... pieniędzy... pieniędzy... tak jest. I po co? Żeby mogli jechać i wykopywać zmarłych. To nie jest w porządku. To niezgodne z naturą.

— Nianiu — powiedziałam — jeszcze nie przyszłaś do siebie.

Patrzyłam na jej szalone oczy, pałające policzki. Nie bez pewnej ulgi stwierdziłam, że mówi beżładnie.

— Pomogę ci się położyć do łóżka.

— Do łóżka... dlaczego do łóżka? To ja powinnam ciebie położyć do łóżka, mój skarbie.

— Czy wiesz, kto ja jestem, nianiu?

— Znam cię. Czy nie chowałam cię od trzeciego tygodnia po urodzeniu?

’ Powiedziałam:

— Mylisz mnie z kimś, nianiu. Ja jestem Judyta, lady Travers, żona Teobalda.

— O tak, jasnie pani. Pani jest moją panią, oczywiście. I dużo pani z tego przyszło. Byłabym wolała, żeby pani została żoną zwykłego dżentelmena, który nie poświęca więcej myśli wykopywaniu zmarłych niż swej młodej żonie.

— Teraz przyniosę ci coś ciepłego do picia, nianiu, i zaśniesz.

— Taka jest pani dla mnie dobra — powiedziała.

Zeszłam do kuchni i poprosiłam Ellen, by przygotowała gorące mleko. Zniosę je niani, która nie czuje się najlepiej.

— Pewnie się jej polepszy teraz, kiedy pani Grey wyjechała — powiedziała Ellen. — Mój Boże, jasnie pani, ona chyba nienawidzi pani Grey.

Pozostawiłam to bez komentarza. Gdy zaniiosłam mleko, niania już prawie spała.

Tabita wróciła razem z Teobaldem. Musiała w powrotnej drodze pojechać do Londynu, a ponieważ Teobald był już gotowy do powrotu, przyjechali razem.

Byłam niespokojna. Tyle pytań chciałam zadać, ale z drugiej strony zbyt byłam szczęśliwa: Teobald wrócił i wydawał się cieszyć, że jest ze mną.

Był bardzo zadowolony. Sprawy finansowe doprowadzono do porządku. Wyjedziemy w marcu, a nie w lutym — jak miał nadzieję — ale była to tylko dwutygodniowa zwłoka.

— Teraz—powiedział — będziemy bardzo zajęci. Musimy naprawdę przygotować się do podróży.

Miał rację. Nie należało myśleć o niczym innym, jak tylko o wyprawie.

W marcu wyruszyliśmy do Egiptu.

PAŁAC CHEFRONA

Pałac Chefrona stał majestatyczny, złocisty, z dala od wsi. Byłam zdziwiona, że wielki Hakim-pasza oddał nam do dyspozycji tyle wspaniałości.

Od chwili przyjazdu pozostawałam całkowicie pod urokiem tej dziwnej, wypalanej, egzotycznej ziemi faraonów. Rzeczywistość była nie mniej cudowna niż obrazy, które tworzyła moja wyobraźnia, gdy kierowały nią tylko marzenia i ilustracje w czytanych książkach.

Wielu członków ekipy roboczej wyjechało przed nami. — mieli zamieszkać na terenie wykopalisk; wzięli też ze sobą dużą część niezbędnego sprzętu.

Hadrian, Evan z Teodozją, Terence Gelding i Tabita popłynęli okrętem z Southampton z Teobaldem i ze mną, ponieważ jednak Teobald miał coś do załatwienia w Kairze, ja i on mieliśmy spędzić tam kilka dni, zanim wyruszymy do pałacu Chefrona.

Na dzień przed wyjazdem poszłam do Tęczowego Domku. Dorcas i Alison żegnały mnie tak, jakbyśmy nie miały się już nigdy zobaczyć. Sabina i Oliver byli zaproszeni na kolację i znów musiałam sobie uświadomić, jak bardzo ciotki pragnęły, bym poślubiła była OHvera i osiadła spokojnie na plebanii, wiodąc życie, jakie dla mnie wybrały.

Byłam raczej zadowolona, gdy wieczór dobiegł końca, a następnego dnia, gdy wsiedliśmy w Southampton na pokład statku o nazwie „Stalwart”, zaczęła się moja wielka przygoda.

To było fascynujące doświadczenie znaleźć się na pokładzie statku i nie mogłam zapanować nad pragnieniem, byśmy byli, Teobald i ja,

zupełnie sami. Myślę, że Evan i Teodozja czuli to samo, jeśli chodzi o nich; pozostali więc Hadrian, Terence i Tabita. Biedna Teodozja była uwięziona w swojej kabine przez kilka pierwszych dni, choć morze nie było zbyt wzburzone jak na tę porę roku. Rozmowy dotyczyły przeważnie wyprawy i gdy nie było Teodozji, ja czułam się jak nowicjuszka, gdyż Tabita miała zdumiewająco dużo wiadomości.

Zatoka, wbrew przewidywaniom, była niemal gładka i gdy zbliżaliśmy się do Gibraltaru, Teodozja mogła się już pojawić na pokładzie. Evan był dobrym i troskliwym mężem; większą część czasu spędzał z Teodozją i zastanawiałam się, czy Teobald też troszczyłby się przede wszystkim o mnie, gdybym cierpiała na chorobę morską, tak jak moja przyrodnia siostra.

Spędziliśmy dzień na Gibraltarze; wyruszyliśmy ku wzniesieniom w małych dwukółkach ciągniętych przez konie; śmiało się z błaznujących małą, podziwialiśmy wspaniałą scenerię i dzień był bardzo radosny. Wkrótce potem przybyliśmy do Neapolu. Ponieważ mieliśmy tam pozostać przez dwa dni, udaliśmy się, jak należało się spodziewać, do Pompei. Prowadzono tam wciąż wykopaliska i odkrywano coraz więcej fragmentów tego pogrzebanego miasta. Gdy chodziłam ramię przy ramieniu z Teobaldem po tych kamieniach, które jeszcze w 79 lat po narodzeniu Chrystusa były ulicami, zafascynowana tym wszystkim powiedziałam do Teobalda:

— Jakiś ty szczęśliwy, że pracujesz w zawodzie, który te wszystkie skarby przywraca światu.

Cieszył się, że podzielam jego entuzjazm, i wskazał mi szczątki domów, roztaczając przed moimi oczami obraz życia tych ludzi w cieniu Wezuwiusza aż do fatalnego dnia erupcji lawy, która pogrzebała miasto na całe wieki, tak że wyłoniło się dopiero przed stu laty, gdy odkryli je archeolodzy.

Gdy wróciliśmy na statek, długo w noc trwała jeszcze dyskusja na temat odkryć związanych z tragicznym miastem.

W Port Saidzie zesłaliśmy ze statku i pojechaliśmy we dwoje do Kairu, gdzie Teobald miał załatwić jakieś sprawy.

Dużo czytałam o Egipcie i gdy leżałam w łóżku w Tęczowym Domku albo w Keveryall Court, przenosiłam się wyobraźnią do tego tajem-

niczego kraju. Powinnam być więc przygotowana, jednak żadne z moich marzeń nie dorównywało rzeczywistości i doznałam radosnego wstrząsu, daleko przekraczającego moje wyobrażenia.

To była złocista ziemia, którą władało słońce, często bezlitosne. Od pierwszej chwili miałam świadomość tysięcy lat jej dziejów. Gdy zobaczyłam pasterza w długiej, białej szacie strzegącego kóz, mogłam uwierzyć, że przeniosłam się daleko w czasy Starego Testamentu. Ten kraj mnie oczarował; czułam wewnątrz, że tu wszystko może się zdarzyć — rzeczy najcudowniejsze i najstraszniejsze. Był jednocześnie piękny i odrażający; był podniecający, wstrząsający i złowrogi.

Zatrzymaliśmy się w małym hotelu, położonym nad Nilem; z mojego okna widziałam brzeg rzeki i złociste wzgórza Mokattam — jakże inne od zieleni Kornwalii, mglistej wilgoci, bujnej roślinności. Tu zawsze miało się świadomość wszechobecnego słońca — nieubłaganie palącego ziemię. Tak jak zieleń stanowi o kolorycie Anglii, żółcień jest barwą Egiptu. Moją wyobraźnię porwała atmosfera starożytności. Ludzie w białych szatach i sandałach, woń gotującej się stawy, widok pogardliwych wielbłądów, wybrednie zważających, gdzie stąpają. Oczarowana słuchałam po raz pierwszy muezzina, nawołującego wiernych do modlitwy ze szczytu minaretu; ze zdumieniem patrzyłam, jak zatrzymywali się, gdziekolwiek byli, by oddać cześć Allahowi. Teobald zabrał mnie na *souk*; byłam zachwycona, gdyż on był przy mnie, ale myślę, że gdybym była sama, bałabym się. Ciemnoocy ludzie śledzili nas intensywnie wzrokiem: nie gapili się, lecz niewątpliwie obserwowali nas badawczo. Błądziliśmy wąskimi uliczkami, zaglądaliśmy do zaciemnionych sklepów, gdzie piekarze wypiekali chleb posypany ziarnem, a złotnicy pochylali się nad swymi miedzianymi kotłami. Tam sprzedawca wody zwracał uwagę brzękiem swych miedzianych kubków, a na tle ciemnych otworów siedzieli w kucki mężczyźni tkający i zszywający maty. W powietrzu ciężki zapach wonnych olejków mieszał się z odorem wielbłądziego nawozu używanego jako opału.

Nie zapomnę tego dnia — przepychających się tłumów na hałaśliwych ulicach, połączonych zapachów perfum i nawozu, spojrzeń z ukosa ciemnych, przysłoniętych powiekami oczu, nawoływań do modłów i odpowiedzi wiernych: „Allah jest wielki, a Mahomet jest

jego prorokiem". Jak często miałam słyszeć te słowa; zawsze miały mną wstrząsać.

Zatrzymaliśmy się przy jednym ze sklepów, które wyglądały jak szafasy otwarte na ulicę. W głębi mężczyzna ciął kamienie i rytował na nich, a na straganie wewnątrz wystawione były na pokaz pierścionki i broszki.

— Musisz mieć pierścionek ze skarabeuszem — powiedział Teobald. — Przyniesie ci szczęście w Egipcie.

Było ich dużo na tacy i Teobald wybrał jeden.

— To turmalin — powiedział. — Spójrz na wyrzeźbionego żuka. Dla starożytnych Egipcjan to był święty żuk.

Mężczyzna w głębi podniósł się i skwapliwie postąpił naprzód. Skłonił się nam. Oczy błyszczały mu nadzieją transakcji; słuchałam, jak targują się z Teobaldem o cenę, a tłum małych dzieci przyglądał się im, podchodząc coraz bliżej. Nie mogły oderwać od nas oczu. Myślę, że wydawali się im bardzo dziwni.

Teobald wziął pierścień do ręki i pokazał mi żuka. Obok, bardzo delikatnie, wryte były hieroglify. Teobald przetłumaczył: „Allah z tobą”.

— Nic nie może przynieść więcej szczęścia niż to — powiedział. — To każdy mężczyzna powinien ofiarować tej, którą kocha najbardziej, gdy po raz pierwszy przybywa do tego kraju. *

Wsunęłam pierścionek na palec. Dzieci wydały pełne zachwytu okrzyki. Zapłaciliśmy i poszliśmy dalej odprowadzani dźwięczącymi w uszach błogosławieństwami rytownika kamieni.

— Musiałem się targować — powiedział Teobald. — Byłby bardzo rozczarowany, gdybym tego nie zrobił.

Spojrzał na moją pełną uniesienia twarz:

— Jesteś dziś szczęśliwa, Judyto.

— Jestem tak szczęśliwa, że aż się lękam.

Ujął moją rękę z pierścieniem.

— Gdybyś miała życzenie, to jakie? — zapytał.

— Żebym mogła być tak szczęśliwa każdego dnia w moim życiu.

— Zbyt wiele żądasz od życia.

— Dlaczego... jesteśmy razem... masz swą wielką pasję. Nie widzę powodu, żebyśmy nie mogli zachować tego stanu szczęśliwości. Czy nasze życie nie jest takie, jakim je uczynimy?

- Obawiam się, że wpływa na nie wiele czynników zewnętrznych.
- Nie mogą nas dotykać.
- Wierzę, Judyto, że ty potrafisz nawet tego dokonać.

Z powrotem do hotelu, w ciepłą noc, niosącą zapachy Egiptu, i jasną niemal jak dzień dzięki ogromnemu księżycowi.

To były w tym czasie najszcześniejsze dni mego życia, gdyż byliśmy razem, sami w tym fascynującym kraju. Chciałam, żebyśmy mogli pozostać tam i nie wracać do innych. Absurdalne życzenie, bo przecież przyjechalіśmy do Egiptu, by dołączyć do ekipy.

Następnego dnia wyruszyliśmy do piramid — ostatniego cudu starożytnego świata; spotkanie twarzą w twarz ze Sfinksem ujarzmiło mnie całkowicie. Siedząc dość niepewnie na wielbłądzie, czułam się rozradowana i widziałam, jak Teobalda cieszy moje ożywienie. Sto tysięcy ludzi mozoliło się przez dwadzieścia lat, by uzyskać ten cud — powiedział mi Teobald — kamień wydobywano z pobliskich wzgórz Mokattam i wleczono przez pustynię. Oniemiałam z podziwu, jak chyba każdy, oglądając ten fantastyczny widok.

Zeszliśmy z wielbłądów i weszłam do piramidy Cheopsa, gdzie, na pół zgięta, szłam za Teobaldem spadzistym przejściem do sali żałobnej, gdzie wystawiony był sarkofag faraona z czerwonego granitu.

Potem przez piaski, usadowieni wysoko na naszych opprnych jucnych zwierzętach. Byłam w podniosłym nastroju, gdy wróciliśmy do hotelu.

Myślę, że tego wieczora byłam prawie piękna — tak jak nigdy. Jedliśmy obiad przy małym stole, oddzieleni od hotelowych gości palmami. Upięłam wysoko moje ciemne włosy i włożyłam zieloną, aksamitną suknię, którą dałam uszyć Sarze Sloper przed wyjazdem. Dotykałam mego pierścionka z różowym turmalinem pamiętając, co powiedział Teobald, że jest to podarunek ukochanego, by dobry los zachował w obcym kraju tę, którą najbardziej kocha.

Siedząc naprzeciwko Teobalda, na nowo przeżywałam cud, który przypadł mi w udziale, i wtedy błysnęła mi myśl, że jeśli nawet mój majątek był tym czynnikiem, który zdecydował, że Teobald mnie poślubił, nie ma to dla mnie znaczenia. Dokonam tego, że będzie mnie kochał dla mnie samej. Pamiętam, że mówiono o naszym, ostatnim premierze, Lordzie Beaconsfield, że poślubił Mary Annę dla pieniędzy,

ale pod koniec życia byłby ją poślubił z miłości. Tak powinno być z nami. Byłam jednak romantyczką i byłam też dość szalona, by mieć nadzieję, że to nie dla pieniędzy poślubił mnie Teobald.

Pochylił się ku mnie i ujął moją dłoń ze skarabeuszem; przyglądał się jej bacznie.

— O czym myślisz, Judyto? — zapytał.

— O cudowności tego wszystkiego.

— Widzę, że piramidy wywarły na tobie wrażenie.

— Nigdy nie myślałam, że je zobaczę. Zdarzyło się tyle rzeczy, tak nowych i podniecających. Posmutniałeś jakby nagle, Teobaldzie? Tak?

— Tylko dlatego, że pomyślałem, że nie będziesz się tak ciągle wszystkim zachwycała. Staniesz się zblazowana. Nie chciałbym tego.

— Nie sądzę, żeby do tego mogło dojść.

— Oswoisz się, a to zrodzi lekceważenie... lub co najmniej obojętność. Odkąd jesteśmy razem w Kairze, czuję, że rzeczy, które widziałem przedtem, stały się świeże, bardziej interesujące, bardziej zachwycające. To dlatego, że patrzę na nie twoimi oczami.

To była naprawdę zaczarowana noc.

Kebab serwowany przez cicho stąpających ludzi w długich, białych szatach był wyborny. Nie mogłam uwierzyć, że to pó prostu mięso jagnięce nadziane na szpikulce, przypiekane na węglu drzewnym. Powiedziałam Teobaldowi, że sos, w którym zanurzono mięso, a który, jak później odkryłam, zrobiony był z nasion sezamu, oleju, białego sosu, przypraw i czosnku, smakuje jak nektar.

Odpowiedział prozaicznie, że to dlatego, że jestem głodna.

— Głód dodaje smaku wszystkim potrawom — powiedział, ale ja pomyślałam, że to dlatego, że byłam taka szczęśliwa.

Potem jedliśmy *esh es seraya*, co było wysmienitą mieszaniną miodu, miększu chleba i kremowej śmietanki. Piliśmy napój z róży i syrop z granatów z owocami i orzechami, o nazwie *khosaf*.

Tak, to był niezapomniany wieczór. Po obiedzie siedzieliśmy na tarasie i patrzyliśmy na Nil, pijąc kawę po turecku i pogryzając rachatłukum.

Gwiazdy zdawały się zawieszane nisko na niebie o barwie indygo, a przed nami płynął Nil, po którym żeglowała kiedyś w swej królewskiej

barce Kleopatry. Chciałam zatrzymać te chwile, by móc je potem na nowo przeżywać.

Teobald powiedział:

— Nosisz w sobie wielki potencjał szczęścia, Judyto.

— Może — odpowiedziałam. — Jeśli tak, to los mi sprzyjał. To znaczy, że mogę się w całej pełni cieszyć szczęściem, które mnie spotyka.

Zastanowiłam się wtedy, czy odczuwając tak intensywnie radość, odczuwałabym równie namiętnie cierpienie.

Może Teobald myślał o tym samym?

Jednak nie chciałam o tym rozmyślać — nie tej nocy nad nocami, na romantycznych brzegach Nilu.

Gdy zjawiliśmy się w pałacu Chefrona, pozostali członkowie ekipy już się tam urządzili i Tabita weszła w rolę zarządzającej.

Teobald powiedział mi, że Hakim-pasza był jednym z najbogatszych ludzi w Egipcie i że mieliśmy wielkie szczęście, iż zainteresował się naszą pracą.

— Mógł nam przeszkadzać wszelkimi możliwymi sposobami — powiedział — ale postanowił, że przyjdzie nam z pomocą. Stąd oddanie do dyspozycji tego pałacu za cenę umożliwiającą nam zachowanie godności — to bardzo istotny aspekt sprawy, zapewniam cię. Myślę, że go poznasz, bo gdy był tu mój ojciec, pasza bywał stałym gościem.

Stałam w hallu wejściowym i podziwiałam piękne schody z białego marmuru; posadzka pokryta była płytkami mozaiki o najpiękniejszych połączeniach barw; witraże w oknach ukazywały morską podróż zmarłych, na których czyhały okrutne niebezpieczeństwa, nim dostali się pod ochronę boga Amona-Ra.

Teobald podszedł do mnie:

— Opowiem ci później tę historię. Spójrz, Tabita wysła cię powitać.

— Jesteście nareszcie! — zawołała. Patrzyła błyszczącymi oczami na Teobalda. — Myślałam, że już nigdy nie przyjedziecie.

— To długa podróż, z Kairu — powiedział Teobald.

— Wyobrażałam sobie już najgorsze wypadki.

— To właśnie to, czego nie powinnaś robić, przyznasz mi rację, Judyto, prawda? Oczywiście, że przyznasz.

— No, ale jesteście. Zaprowadzę was do waszego pokoju. Potem będziecie mogli zwiedzić cały pałac, a Teobald na pewno będzie chciał zobaczyć stanowisko.

— Tak — powiedział Teobald.

— Potem zjemy. Mustafa i Absalam właśnie gotują, myślę więc, że otrzymamy małą mieszankę kuchni angielskiej i egipskiej, co może sprawić rozkosz naszym podniebieniom. Ale najpierw do waszego pokoju.

Tabita poprowadziła nas wielkimi imponującymi schodami, a potem galerią, której ściany ozdobione były mozaiką taką jak na posadzce w hallu. Były to — ukazane zawsze w profilu — postacie najczęściej faraonów składających dary bogom. Musiałam się zatrzymać, by przyrzeć się tym figurom i przepięknym, przytłumionym barwom płytek. Na suficie wyrytowany był bóg Słońca, Amon-Ra; jego symbolem był sokół i baran; pamiętałam, co mówił mi Teobald, że bogowie egipscy, jak mówiono, posiadali nie tylko wszystkie ludzkie przymioty, ale także jeden zwierzęcy. Jednak Amon-Ra miał dwa — sokoła i barana. Pod nim był jego syn, Ozyrys, bóg podziemnego świata, który sądził umarłych, gdy odbyli podróż rzeką; była tam Izyda, wielka bogini, ukochana Ozyrysa, i ich syn — Horus.

— Te postacie są tak pięknie wykonane — powiedziałam.

— Gdyby nie były piękne, byłoby to obrazą dla bogów — dodał Teobald.

Ujął mnie pod ramię i weszliśmy do przygotowanego dla nas pokoju. Spojrzałam na olbrzymie łoże stojące na podwyższeniu. Siatki chroniące od moskitów zwieszały się z sufitu jak kruche pajęczyny.

— Tego pokoju używa sam pasza, gdy przebywa w rezydencji — wyjaśniła Tabita.

— Może nie powinniśmy go zajmować? — zapytał Teobald.

— Musicie. Cały pałac jest zajęty, a zresztą jest właściwe, żeby nasz kierownik zajmował paradną sypialnię. Pamiętaj, że sypiał w niej twój ojciec, gdy tu był.

Pokazała nam pomieszczenie obok, służące jako łazienka — była tam wpuszczona w podłogę wanna ze statuą pośrodku i trzema marmurowymi stopniami; ścienne mozaiki przedstawiały nagie postacie. Jedna ściana tego pokoju składała się z luster, była tu toaleta

za brokatową złotą zasłoną; wieloskrzydłowe lustro ukazywało moją postać, a jego rama wyłożona była chalcedonem, różowym kwarcem, ametystem i lazurytem. Tymi kamieniami usiane były, jak zauważyłam, dekoracje w całej sypialni.

Roześmiałam się.

— To jest imponujące. Będziemy się czuli jak rodzina królewska.

— Pasza zapowiedział służbie, że każda wasza skarga spowoduje odpowiednią karę. Trzęsą się ze strachu.

— Jest aż tak autokratyczny?

— Jest władcą swoich ziem i traktuje swych służących jak niewolników. Wymaga od nich całkowitego posłuszeństwa. Jesteśmy jego gośćmi i jeśli nie będziemy traktowani z szacunkiem, będzie to równoznaczne z obrażą dla niego. A on nie daruje obrazy.

*•• — Co czeka tych, którzy go obrażą?

— Ich ciała znajdą się prawdopodobnie w Nilu. Albo stracą ucho czy rękę.

Przeszył mnie dreszcz.

— To niezwykle! — zawołałam. — Ale trochę przerażające. Trochę złowrogie.

— Taki jest Egipt — powiedziała Tabita, kładąc mi rękę na ramieniu. — Odświeżcie się teraz i przyjdźcie jeść. Myślę, że potem będziesz chciał zrobić jakąś naradę, Teobaldzie?

— Powiedz — zapytał Teobald, gdy zostaliśmy sami — co naprawdę o tym myślisz?

— Nie jestem pewna — odparłam. — Myślę, że wołałabym, żeby to nie było aż tak świetne, a ten pasza wygląda nieco diabolicznie.

— Jest zupełnie miły. On i mój ojciec zaprzyjaźnili się. On stanowi w tych stronach władzę. Niedługo go poznasz.

— Gdzie on mieszka teraz, gdy oddał nam swój pałac?

— To jest tylko *jeden* z jego pałaców, moja droga. Może nawet największy, ale pasza uważałby, że to niegrzecznie nam go nie dać. Musisz zrozumieć etykietę. To bardzo ważne. Nie bądź smutna. Zrozumiesz z czasem. No, doprowadźmy się do porządku. Nie mogę się doczekać, żeby się dowiedzieć, co się dzieje.

Zmieniłam ubranie. Teraz nadchodził czas panowania jego drugiej miłości — pracy.

Jadalnię z ciemnymi zasłonami oświetlał świecznik, w którym płonęło prawie sto świec. Teraz już było ciemno na zewnątrz, gdyż zmierzch nie zapadał tu, tak jak u nas. Ale byli tu inni, by nas powitać i wnieść trochę normalności do tego dziwnego pałacu, z czego się cieszyłam. Śmiałam się z siebie myśląc, że werdykt służby w Giza House brzmiałby: „Skóra cierpnie”.

Usiedliśmy przy wielkim stole pod świecznikiem — Hadrian, Evan, Teodozja, Terence Gelding i inni, których przedtem nie znałam, ale którzy byli — wszyscy — zawodowymi archeologami, poważnie zainteresowanymi zadaniem, które przed nimi stało. Teobald usiadł na jednym końcu stołu, ja na drugim; z prawej strony miałam Hadriana, z lewej Evana.

— Jesteś nareszcie, Judyto — powiedział Hadrian. — Jak smakuje ci *kuftas*? Osobiście wolę rostbef ze starej Anglii, ale nie mów o tym nikomu. Stary Ozyrys mógłby mnie nie wpuścić do nieba, gdy przyjdzie pora.

— To brak szacunku, Hadrianie, radzę ci zachowywać takie myśli dla siebie. Nie wiadomo, kto mógłby to usłyszeć.

— Oto mówi nasza Judyta — powiedział Hadrian, zwracając się do Evana. — Dopiero przyjechała i od razu narzuca nam, co powinniśmy, a czego nie powinniśmy robić.

Evan uśmiechnął się.

— W tym wypadku ma rację. Nigdy nie wiadomo, co zostanie usłyszane i zrozumiane opacznie. Ci służący na pewno słuchają i donoszą paszy, a twoje żarty zostaną zrozumiane jako uchybienie.

— Co robiliście, czekając na Teobalda? — zapytałam.

— Obchodziliśmy teren, zbieraliśmy robotników, organizowaliśmy to i owo. Jest bardzo dużo do zrobienia w takiej sytuacji. Poczekaj, aż pójdziesz tam i zobaczysz pracowite mrowisko, które stworzyliśmy. Będzie zdziwiona, prawda, Evan?

— To trochę co innego niż łąka Cartera.

— Mamy trudności — powiedział Hadrian. — Widzisz, wielu kopaczy pamięta śmierć sir Edwarda i sądzi, że umarł dlatego, że wtargnął tam, gdzie bogowie sobie tego nie życzą.

— Jest jakiś opór?

— Tak. Prawda Evanie?

Evan poważnie skinął głową.

Spojrzałam na drugi koniec stołu,» gdzie Teobald pograżony był w rozmowie z otaczającymi go ludźmi. Obok niego siedziała Tabita. Zauważyłam z zazdrością, że od czasu do czasu rzucała uwagę, której słuchano z szacunkiem.

Czułam, że Teobald jest już dla mnie stracony.

Po posiłku Teobald poszedł obejrzeć stanowisko i mnie także pozwolono przyłączyć się do ekipy. Mimo późnej godziny praca jeszcze wrzała. Księżyc w pełni i czyste powietrze sprawiły, że było zupełnie jasno. Łatwiej było pracować o tej porze niż w skwarze palącego słońca.

Wzgórza sterczące ku księżycowemu niebu były groźne, lecz piękne. Równoległe rzędy kołków wyznaczających granice terenu wykopalisk, mały barak, który tu wzniesiono, taczki, widły ekskawatorów i robotnicy — to nie było ani trochę romantyczne.

Teobald zostawił mnie z Hadrianem, który uśmiechnął się do mnie cynicznie.

— Niezupełnie tak jak się spodziewałaś? — powiedział.

— Dokładnie tak — odparłam.

— Oczywiście, jesteś weteranem z łąki Cartera.

— Myślę, że to dość podobne, choć tam szukali tylko pozostałości z epoki brązu, a tu są groby zmarłych.

— Możemy być u progu jakichś naprawdę fascynujących odkryć w archeologii.

— To będzie wstrząsające, jeśli tego dokonamy.

— Ale jeszcze nie dokonaliśmy i musisz się nauczyć ostrożności w tej grze. Prawdę mówiąc, wielu rzeczy musisz się nauczyć.

— Na przykład, jakich?

— Jak być dobrą żoną archeologa.

— A co to znaczy?

— Nie skarżyć się, gdy twój pan i władca będzie przez całe godziny nieobecny.

— Mam brać udział w jego pracy.

Hadrian się roześmiał.

— Evan i ja jesteśmy z zawodu archeologami, ale zapewniam cię, że dopuszczają nas tylko do zadań służebnych. A ty myślisz, że będziesz z nim pracowała?

- Ja jestem żoną Teobalda.
- W naszym świecie, Judyto, są tylko archeologowie... żony i mężowie są tylko po drodze.
- Oczywiście, wiem, że jestem tylko amatorką... na razie.
- Ale nie wytrzymasz tego długo, prawda? Niedługo zaczniesz nas wszystkich zawstydząć — nawet wielkiego Teobalda?
- Na pewno nauczę się, czego tylko będę mogła, i mam nadzieję, że będę w stanie rozsądnie uczestniczyć...
- Roześmiał się znowu.
- Zrobisz to. Ale poza rozsądnym uczestnictwem bądź też rozsądnie ostrożna. To moja rozsądna rada.
- Nie potrzebuję twojej rady, Hadrianie.
- Ależ tak, potrzebujesz. Widzę jednak, że szukasz Teobalda. On jeszcze będzie zajęty przez kilka godzin. Powinien był poczekać do rana i poświęcić pierwszą noc w pałacu Chefrona swej młodej żonie. Gdybym był na jego miejscu...
- *Nie* jesteś na jego miejscu, Hadrianie.
- Niestety! Spóźniłem się. Ale zapamiętaj moje słowa, Teobald jest taki, jaki jest, i takim pozostanie. Na nic się nie zdadzą próby zmieniania go.
- Ale kto powiedział, że chciałabym cokolwiek w nim zmienić?
- Poczekaj. Ale pozwól, że odprowadzę cię teraz do pałacu. Musisz się przecież zanurzyć w swojej wannie z chalcedonu.
- Właśnie z chalcedonu?
- Tak mi się zdaje. Imponujące, prawda? Zastanawiam się, co by o tym sądziła lady Bodrean. Nie pochwaliłaby tego dla byłej lektorki, nawet gdy się okazało, że coś was łączy — że tak powiem.
- Chciałabym, żeby mnie zobaczyła w moim paradnym apartamencie, zwłaszcza że sama ma gorszy.
- Drzemie w tobie duch zemsty, kuzynko Judyto. *Jesteś* moją kuzynką, wiesz o tym?
- Uderzyła mnie ta myśl. Jak twoje sprawy?
- Sprawy? Finansowe czy sercowe?
- Jedne i drugie, skoro tak stawiasz sprawę.
- W dużych tarapatkach, Judyto. Pierwsze dlatego, że to ich stan naturalny, a drugie dlatego, że nie wiedziałem na czas, że jesteś dziedziczką i straciłem życiową szansę.

— Czy nie za wiele przypuszczasz? Nie myślisz chyba, że dopuściłabym do tego, by zostać poślubioną dla pieniędzy?

— Kobiety, które się poślubia dla pieniędzy, nie wiedzą o tym w tym momencie. Nie wyobrażasz sobie chyba ambitnego konkurenta, który błaga na kolanach o zaszczyt dzielenia fortuny młodej panny?

— Z pewnością musiałyby to być zrobione bardziej subtelnie.

— Oczywiście.

— A jednak wyobrażasz sobie, że wystarczyłoby, żebyś skinął na moją fortunę, by znalazła się w twojej kieszeni?

— Dopuszczam cię tylko do sekretu teraz, gdy już jest za późno. Chodźmy, odprowadzę cię do pałacu.

Podjechaliśmy na mułach do wybrzeża, gdzie czekała łódź, którą przebyliśmy krótki dystans na drugi brzeg rzeki, prawie pod bramy pałacu.

Teodozja wyszła do hallu.

— Evan jest na terenie wykopalisk — powiedziała — a Hadrian też będzie musiał tam wrócić.

— Możesz być pewna, że będziemy wracać do domu dopiero nad ranem. Teobald jest surowym szefem; sam pracuje jak szatan i tego samego wymaga od swoich pracowników.

Gdy zostałam sama po jego odejściu, Teodozja powiedziała:

— Judyto, chodźmy porozmawiać w moim pokoju.

Poszłam za nią galerią. Pokój, który dzieliła z Evanem, nie był tak wspianały jak mój i Teobalda, był jednak wielki i ciemny, a podłogę przykrywał kobierzec z Buchary. Zamknęła drzwi i stanęła przede mną.

— Och, Judyto — powiedziała. — Nie podoba mi się tu. Znienawidziałam to miejsce od chwili przyjazdu. Chęć wrócić do domu.

— Dlaczego ci się tu nie podoba?

— To się *czuje*. Jakaś groź. Nie podoba mi się to. Nie mogę nic powiedzieć Evanowi. To jego praca, prawda? Może by nie zrozumiał. Ale jestem niespokojna... Ty nie, to oczywiste. Nigdy się nie niepokoiłaś. Chciałabym, żebyśmy już wrócili do Anglii. Dlaczego nie mogą zostawić faraonów w spokoju w ich grobowcach? Tak przecież miało być! Ci, co zadawali sobie tyle trudu z grzebaniem zmarłych, nie myśleli, że kiedyś ludzie będą się mieszać do tego, do czego nie powinni.

— Ależ Teodozjo, odkrywanie tajemnic przeszłości jest celem archeologii.

— To co innego, znajdować broń i rzymskie posadzki czy łazienki; ale mieszanie się do spraw zmarłych nie podoba mi się. Nigdy tego nie lubiłam. Miałam sen ostatniej nocy, że znaleźliśmy grobowiec, a w nim sarkofag, taki jak ten, który był kiedyś w Giza House. I ktoś z niego wstawał, w opadających bandażach...

— Nie zmazałam dotąd mojej winy, prawda?

— Krzyczałam w moim śnie: „Przestań, Judyto”. A potem zobaczyłam, że to nie ty wychodzisz z sarkofagu.

— A kto?

— Ja. Pomyślałam, że to ostrzeżenie.

— Zaczynasz fantazjować, Teodozjo. To ja miałam miewać fantazje.

— Ależ tu każdy może zacząć sobie coś wyobrażać. Na wszystko pada jakiś cień przeszłości. Pałac ma kilka wieków. Wszystkie świątynie i grobowce mają setki i tysiące lat. Och, cieszę się, że przyjechałaś, Judyto. Teraz będzie lepiej, kiedy tu jesteś. Ci ludzie są tak oddani swojej pracy. Myślę, że i ty, Judyto, jesteś temu oddana. Ale ciebie znam i mogę z tobą o tym mówić.

Zapytałam:

— Czy martwisz się o Evana?

Skinęła głową.

— Często myślę, co by było, gdyby to co się stało z sir Edwardem, stało się z nim.

Nie mogłam bez zająknięcia zaoferować jej nic pocieszającego. Czyż sama nie bałam się, że to grozi Teobaldowi?

Powiedziałam:

— Oczywiście, niepokoję się. To dlatego, że kochamy naszych mężów, a człowiek traci rozsądek, gdy kocha. Gdybyśmy mogły spokojnie i racjonalnie spojrzeć z zewnątrz, zobaczyłybyśmy, jak szalona jest nasza rozmowa.

— Tak, Judyto, myślę, że masz rację.

— Dlaczego nie położysz się do łóżka? — zapytałam. — Nie będziesz chyba siedziała i czekała na Evana?

— Myślę, że nie. Bóg wie, kiedy przyjdą. Och, Judyto, o ile lepiej jest, odkąd przyjechałaś.

— Tak powinno być. Nie zapominaj, że jesteśmy siostrami — choć tylko przyrodnimi.

— Cieszę się z tego — powiedziała Teodozja.

Uśmiechnęłam się, życzyłam jej dobrej nocy i wyszłam.

Szłam przez galerię. Jaka cisza! Ciężkie, aksamitne kotary ze złotymi frędzlami otaczały mnie, a moje stopy pogrążały się w miękkich, grubych kobiercach. Zatrzymałam się nagle w napięciu, gdyż instynktownie wyczułam, że nie jestem sama. Rozejrzałam się. Nie było tu nikogo, a jednak miałam poczucie, że śledzą mnie czyjeś oczy.

Poczułam mrowienie w kręgosłupie. Zrozumiałam, dlaczego Teodozja się bała. Była bardziej bojazliwa niż ja — choć może obdarzona mniejszą wyobraźnią.

Usłyszałam odgłos miękkiego stapania za plecami. Niewątpliwie toś tu był. Odwróciłam się błyskawicznie.

— Absalam! — zawołałam. — Mustafa!

Skłonili się.

— Milady — powiedzieli równocześnie.

Wpatrywali się we mnie ciemnymi oczami. Zapytałam spokojnie:

— Czy coś się stało?

— Stało? — popatrzyli na siebie. — Tak, pani. Ale jeszcze nie jest za późno.

— Za późno? — powtórzyłam drżącym głosem.

— Pani wraca. Pani jedzie do domu. Tak najlepiej. Pani o to prosi. Pani nowa żona. Nie można odmówić ukochanej.

Potrząsnęłam głową przecząco.

— Nie rozumiecie. To jest praca sir Teobalda... jego życie...

— Jego życie... — patrzyli na siebie potrząsając głowami. — To było życie sir Edwarda... a potem jego śmierć.

— Nie macie powodu do niepokoju — powiedziałam. — Wszystko będzie dobrze. Gdy znajdą to, czego szukają, wrócą do domu.

— Wtedy... za późno, pani — powiedział Absalam czy może Mustafa?

Drugi popatrzył na mnie bardzo smutnymi oczami.

— Jeszcze nie jest za późno — w jego głosie była nadzieja.

— Dobranoc — powiedziałam. — Pójdę teraz do siebie.

Nic nie odpowiedzieli, patrzyli na mnie żałośnie.

Leżałam bezsennie. Migocące światło świec padało na sufit z malowidłami o delikatnych, przytłumionych barwach. Mogłam rozróżnić teraz znane zarysy postaci Amona-Ra, wielkiego boga-Słońce, jak odbierał dary od mężczyzny w starannie opracowanej szacie, prawdopodobnie faraona. Po brzegach biegały hieroglify — dziwne znaki pełne znaczenia. Zastanawiałam się, czy mogłabym spróbować w czasie pobytu tutaj nauczyć się trochę języka; zdawałam sobie sprawę, że przez wiele nocy będę leżała sama i przez wiele dni nie będę widywała Teobalda.

Muszę być na to przygotowana. Tego w każdym razie się spodziewałam, ale chciałam, by Teobald rozumiał, że moim największym pragnieniem było *dzielić* z nim życie.

Była druga nad ranem, gdy przyszedł. Krzyknęłam z radości na jego widok i usiadłam na łóżku.

Podszedł i wziął mnie za rękę.

— Jeszcze nie śpisz, Judyto?

— Nie, byłam zbyt podniecona, by zasnąć. Zastanawiałam się, co tam robisz, na terenie wykopalisk.

Roześmiał się.

— Nic podniecającego w tej chwili. Wyznaczyli proponowany teren i poczynili ogólne przygotowania.

— Czy będziecie kontynuować to, co zaczął sir Edward?

— Kiedyś ci o tym powiem. Teraz powinnaś spać — pocałował mnie lekko i poszedł do naszej łazienki.

Ale nie mogłam zasnąć. Ani Teobald. Rozmawialiśmy jeszcze, leżąc, przez godzinę.

— Tak — mówił — badamy te same miejsca, co ojciec. Wiesz, co się wydarzyło. Był przekonany, że tam jest nienaruszony grób. Wiesz przecież, że większość z nich była przed wiekami splądrowana.

— Myślałam raczej, że próbowano zachować miejsca grzebalne w tajemnicy.

— Do pewnego stopnia to się udało, ale przecież zatrudniano tylu robotników. Wyobraź sobie wyrabywanie skał, budowanie podziemnych korytarzy, potem samych komór grobowych. I pomyśl o transportowaniu skarbów do grobów.

— Tajemnica musiała wychodzić na jaw — powiedziałam — a potem zjawili się rabusie. To dziwne, że nie powstrzymywała ich klątwa.

— Na pewno powstrzymywała, ale bajeczne skarby znajduwane w grobowcach musiały się wydawać warte ceny potępienia po śmierci; a skoro byli dość sprytni, by znaleźć ukryty skarb, bez wątplenia uważali, że będą dość chytry, by uniknąć nieszczęścia.

— Jednak sir Edward, który pracował dla potomności i po to, by złożyć swoje znaleziska w muzeach, nie uchronił się od klątwy, a rabusie szukający własnego zysku, uniknęli jej.

— Przede wszystkim, śmierć mojego ojca nie miała nic wspólnego z klątwą. Jej przyczyny były naturalne.

— Nikt nie ma co do tego pewności.

— Słuchaj, Judyto, przecież nie stałaś się przesadna?

— Nie sądzę, żeby nadmiernie. Ale każdy musi być trochę przesadny, gdy jego bliscy są w niebezpieczeństwie.

— W niebezpieczeństwie. Co znów za nonsens? To bajka.

— A jednak... on nie żyje.

Pocałował mnie w czoło.

— Szalona Judyta! — powiedział — Zadziwiasz mnie.

— To cię nauczy, że nie powinieneś mieć zbyt wysokiej opinii o mojej roztropności, tam gdzie ty wchodzisz w grę. Mądrzy ludzie są szaleni w miłości — i bądź pewien, że stosuje się to także do kobiet.

Milczeliśmy przez chwilę, wreszcie powiedziałam:

— Widziałam Mustafę i Absalama. Powiedzieli, że powinnam cię przekonać, żebyśmy wrócili do Anglii.

To go rozśmieszyło.

— Co za niedorzeczność — powiedział. — To była bajka, która miała odstraszać rabusiów. Ale nie odstraszyła, jak widzisz. Prawie każdy odkryty grób okazywał się zmieniony. Dlatego marzeniem każdego archeologa jest znalezienie grobowca, który byłby w takim samym stanie jak wtedy, gdy został zamknięty, mniej więcej cztery tysiące lat temu. Będę pierwszym, który stanie w takim miejscu. Wyobraź sobie radość z ujrzenia odbitej w pyłe stopy ostatniego człowieka, który opuszczał grób, lub leżącego tam kwiatu, porzuconego przez opłakującego żałobnika, nim otwór w stoku górskim został

zasypany i zmarły pozostał w spokoju na nadchodzące wieki. Ach, Judyto, nie wyobrażasz sobie, jak to może wstrząsnąć człowiekiem.

— Musimy zrobić co się tylko da, by twoje marzenie się zrealizowało.

— Moja droga, mówisz tak, jakbym był małym chłopcem, który musi otrzymać upragnioną zabawkę.

— No cóż, pod wieloma względami ludzie, nawet najwięksi archeologowie na świecie, wydają się czasem zaślepionym żonom małymi chłopcami.

— Jestem taki szczęśliwy, że tu jesteś ze mną, Judyto. Będiesz ze mną zawsze i wszędzie. Będiesz doskonałą żoną.

— Dziwne, że tak powiedziałaś. Czy wiesz, że Disraeli zadedykował jedną ze swych książek swojej żonie. Mary Annę, właśnie tak: „Doskonałej żonie”.

— Nie — powiedział. — Jestem nieukiem. Poza jedną dziedziną.

— Jesteś specjalistą — odparłam. — I skoro tyle wiesz o jednym, trudno oczekiwać, żebyś tyle samo wiedział o innych sprawach. On się z nią ożenił dla pieniędzy, ale gdy byli starzy, poślubiłby ją z miłości.

— No — powiedział Teobald lekko — to musiał być rzeczywiście idealny związek.

Pomyślałam: Gdyby mnie się to zdarzyło, byłabym zachwycona.

Potem zaczął mi opowiadać o zwyczajach; byłam oczarowana tworzonymi przez niego egzotycznymi obrazami. Opowiedział mi, co odkryto w grobach, które były częściowo obrabowane przed wiekami. Zapytałam, dlaczego starożytni Egipcjanie zrobili z grzebania zmarłych tak wspaniałą sztukę.

— Dlatego, że wierzyli w życie ducha po śmierci. Wierzono, że Ozyrys, bóg podziemnego świata i sędzia zmarłych został zabalzamowany jako pierwszy; zabalsamował go bóg Anubis. Ozyrysa zamordował jego brat, Set, który był bogiem ciemności, lecz powstał on z martwych i zrodził boga Horusa. Gdy człowiek umierał, był utożsamiany z Ozyrysem, ale by uniknąć zniszczenia, musiał szczęśliwie przebyć mityczną rzekę Tuat, o której mówiono, że kończy się tam, gdzie wschodzi słońce w królestwie boga-Słońca, Amona-Ra. Na rzece tej czyhały niebezpieczeństwa i nikt nie mógł po niej żeglować bez pomocy Ozyrysa. Rzeka stawała się coraz ciemniejsza, w miarę jak

posuwał się kruchy statek, którym podróżowała dusza zmarłego. Po niedługim czasie zbliżał się do sali zwanej Amentat, miejsce świtu, i gdy ją minął, okropności rzeki rosły. Wielkie potwory morskie wstawały, grożąc mu; wody wrzały i były tak wzburzone, że łodzi groziło zatopienie w tych strasznych falach. Tylko ci, którzy wiedli dobre życie na ziemi i byli mężni i silni, mogli mieć nadzieję, że przetrwają — i tylko oni, z pomocą Ozyrysa. A gdy mieli dość szczęścia, by przetrwać, dopływali w końcu do ostatniej sali, gdzie sądził ich bóg Ozyrys; ci, co do których bogowie zdecydowali, że są godni odbyć podróż do Amona-Ra — płynęli dalej, ci, którzy nie byli godni, zostawali zniszczeni. Dla tych, którzy istnieli dalej, grób stawał się domem. Ich *Ka*, będące niezniszczalnym duchem, krążyło tam i z powrotem pomiędzy światem a mumią leżącą w grobie i dlatego właśnie uważano za konieczne budowanie grobowców godnych swych znakomitych mieszkańców, by nie brakowało im klejnotów i skarbów, którymi cieszyli się podczas pobytu na ziemi.

Powiedziałam:

— Mogę zrozumieć, dlaczego nie lubią intruzów.

— Oni? — zapytał. — Myślisz o dawno zmarłych członkach starej cywilizacji?

— Musi być dużo ludzi wśród żyjących obecnie, którzy wierzą w tych bogów.

— „Allah jest wielki, a Mahomet jest jego prorokiem.” Będziesz to słyszała dość często.

— Ale wielu utożsamia starych bogów z Allahem. Allah jest wszechmocny jak Horus, Ozyrys i pozostali. Myślę, że tacy ludzie jak Mustafa i Absalam wierzą, że Ozyrys powitanie i porazi każdego, kto wtargnie do jego podziemnego państwa.

— Przesąd. Judyto, zatrudniamy około setki ludzi. Pomyśl, co to dla nich znaczy. Niektórzy z nich są bardzo biedni, jak sama zobaczysz. Te wykopaliska to dla nich ratunek.

— Patrzysz na to z praktycznego punktu widzenia, Teobaldzie.

— Ty także musisz.

— Patrzyłabym, oczywiście, gdyby nie chodziło o ciebie.

Usłyszałam, jak śmieje się w ciemnościach. Potem powiedział coś bardzo dziwnego.

— Zanadto mnie kochasz, Judyto. To nie jest mądre.

Potem przytuliłam się do niego i kochaliśmy się.

I wreszcie zasnęłam.

Nadszedł czas Szem el Nessim, co chyba znaczy „oddychanie wiatrem”, i obchodzenie pierwszego dnia wiosny. U nas był to okres Wielkiejnocy i wyobraziłam sobie Dorcas i Alison, jak wraz z panią Crewe ubierają kościół narcyzami i innymi wiosennymi kwiatami, przeważnie żółtymi, barwy słońca, jak zwykliśmy mówić. Sabina papie o sprawach kościelnych, a Oliver uśmiecha się pobłaźliwie, moje ciotki myślą o tym, że lepiej byłoby dla mnie być żoną proboszcza niż człowieka, który wywozi mnie do obcego kraju na wykopaliska.

Dni, które upłynęły od mego przyjazdu, rozczarowały mnie trochę, ponieważ rzadko widywałam Teobalda. Spędzał niemal każdą chwilę na terenie wykopalisk. Bardzo chciałam mu towarzyszyć, ale utrzymywał, że choć do niektórych prac mogłabym zostać dopuszczona, nie nadszedł jeszcze na to czas.

Jadaliśmy w wielkiej sali bankietowej pałacu i wiele osób zasiadało z nami do długiego stołu. Teobald siedział zawsze u szczytu, a obok niego starsi członkowie ekipy. Hadrian i Evan nie mieli wielkiego doświadczenia za sobą, ale Terence Gelding, dużo starszy od Teobalda, był jego prawą ręką. Pracował przy pewnych udanych kampaniach wykopaliskowych w Anglii i Teobald powiedział mi kiedyś, że stał się dobrze znany w kręgach archeologów, gdy odkrył jedną z najpiękniejszych posadzek rzymskich w kraju, a także datował niektóre wczesne zabytki z okresu kamienia i brązu. Tabita umiejętnie prowadziła dom i było widoczne, że już tu była przedtem. Teodozja i ja spędzałyśmy więc dużo czasu razem i często wyjeżdżałyśmy małymi dwukołowymi wózkami konnymi, zwanymi *arabiya*. Wiedzano, że jesteśmy żonami członków ekipy archeologicznej, więc mogłyśmy do woli przemierzać okolice.

Czasem jeździliśmy za miasto i widywałyśmy fellahów uprawiających pola, z wołami i bawołami. Mieli wygląd pełen godności, mimo niezbyt czystych, długich, białych szat i małych mycek. Często widziałyśmy, jak jedli posiłki, nieodmiennie składające się z praśnego chleba i ziarna.

Chodziłyśmy czasem na *souk* i kupowałyśmy towary, które tam wystawiano na sprzedaż. Nasza obecność wywoływała zawsze pewne podniecenie spowodowane, jak sądzę, nadzieją transakcji, nikt jednak nie próbował zmuszać nas do kupna.

Jeden sklepik interesował nas szczególnie, gdyż siedziała tam młoda dziewczyna, z twarzą zasłoniętą jaszlakiem, pochylona nad kawałkiem skóry, na której rytowała deseń.

Zatrzymywałyśmy się, a ona przerywała pracę, by przypatrzeć się nam przez zasłone wielkimi oczami, które wydawały się jeszcze większe dzięki silnemu uczernieniu powiek.

Kiedyś zapytała znośną angielszczyzną:

— Podoba się paniom?

Powiedziałam, że podoba nam się jej robota, zaprosiła nas więc do Środka, byśmy przez chwilę popatrzyły. Zdumiona byłam zręcznością, z jaką tworzyła wzór.

— Czy pani sobie życzy? — zapytała, wskazując szereg pantofli, torebek i portfeli z miękkiej rytowanej skóry.

Mierzyłyśmy pantofle, oglądałyśmy torby i kupiłam w rezultacie parę szarozielonych pantofli z niebieskim wzorem, a Teodozja małą torebeczkę ściaganą sznurkiem. Jej torebka była tego samego koloru, z bładoczerwonym wzorem.

Dziewczyna, zadowolona z transakcji, zapytała:

— Panie są z Anglikami? Co kopia w dolinie?

Powiedziałam, że tak, nasi mężowie są archeologami, a my mamy szczęście im towarzyszyć.

Skinęła głową.

— Wiem, wiem — powiedziała z ożywieniem.

Zatrzymywałyśmy się potem często przy jej sklepie i od czasu do czasu coś kupowałyśmy. Dowiedziałyśmy się, że ma na imię Yasmin, że jej ojciec, a przedtem ojciec jego ojca też pracowali w skórze. Jej dwaj mali bracia także się do tego zawodu przygotowywali. Miała przyjaciela, który pracował przy naszych wykopach. Dlatego była tym tak zainteresowana.

Kiedykolwiek przechodziłam obok sklepu, szukałam wzrokiem jej drobnej postaci pochylonej nad robotą lub załatwiającej jakąś transakcję. Dla mnie była częścią znanego mi teraz życia *souku*.

Nigdy żadna z nas nie chodziła tam jednak sama. Czułyśmy się bezpiecznie razem, gdy jednak któraś z nas znalazła się nagle sama, ponieważ druga zatrzymała się, by coś obejrzeć, lub poszła naprzód, od razu ogarniał ją niepokój i czuła się nagle otoczona przez obcych ludzi. Wiedziałam, że Teodozja odczuwa to bardziej niż ja. Widziałam ją, gdy sądziła, że się zgubiła; w jej oczach pojawiło się coś zbliżonego do paniki. Ale to się zdarzało rzadko i starałyśmy się trzymać razem, nawet gdy już zaznajomiłyśmy się z różnymi osobliwościami *souku*. Myślałam, że ludzie przyzwyczaili się do naszego widoku. Wprawdzie dzieci zatrzymywały się i wlepiały w nas wzrok, ale dorośli przeważnie mijali nas odwracając oczy, choć wyraźnie świadomi byli naszej obecności.

Ślepi żebracy ożywiali się, gdy się zbliżyłyśmy. Nie wiem dlaczego, skoro byli niewidomi. Nie omieszkałyśmy więc nigdy wrzucić monety do ich żebraczych worków i zawsze słyszałyśmy dziękczynny pomruk: „Niech Allah wynagrodzi”.

Nawet Teodozja zmieniła nastawienie i uczucia, które wzbudzała w niej *souk*, nabrały charakteru podobnego do rozkosznego strachu, jakiego doznają dzieci. Trzymała się kurczowo mojego ramienia, ale jednocześnie cieszyła się kolorytem i rozgwarem bazaru. Mijałyśmy mężczyzn o brązowych twarzach, wysokich kościach policzkowych i szlachetnym profilem, który przypominał mi rysunki oglądane na ścianach świątyń. Kobiety były przeważnie zasłonięte i z ich twarzy widoczne były tylko ciemne oczy, ogromne dzięki czernidłu, którego używały do malowania. Często ubrane były od stóp do głów na czarno. Gdy wyjeżdżałyśmy na wieś, widywałyśmy kobiety pomagające mężczyznom w polu. Wczesnym rankiem lub późnym popołudniem pływałyśmy statkiem w górę Nilu i widywałyśmy kobiety piorące bieliznę i paplające między sobą. Podziwiałymy sposób, w jaki potrafiły nosić na głowach wielki dzban wody, nie roniąc ani kropli, i wdzięk, i godność, z jaką się poruszały.

Wydawało się, że bardzo szybko poznałam teren. Źle jednak znosiłam to, że nie dopuszczano mnie do ważnych prac.

Teobald uśmiechał się, słysząc moje ciągłe pytania, czy nie widzi czegoś, co mogłabym robić.

— Tu są zupełnie inne operacje niż na łące Cartera, przecież wiesz o tym, Judyto.

— Wiem. Ale bardzo chcę mieć w tym udział... choćby niewielki.

— Później — obiecywał. — Czy chciałabyś tymczasem napisać niektóre moje listy i zająć się rachunkami? To cię wprowadzi w nasze sprawy. Musisz się w tym orientować na równi z pracą w terenie.

— Chętnie będę to robić — mówiłam mu — ale chcę brać także udział w aktywnej pracy.

— Och, Judyto, zawsze byłaś taka niecierpliwa.

Musiałam się więc tym zadowolić, ale postanowiłam, że tak będzie tylko przez pewien czas.

Szem el Nessim było świętem publicznym, co martwiło Teobalda.

— Mamy wstrzymać pracę tylko dlatego, że to pierwszy dzień wiosny — gderał.

— Jaki ty jesteś niecierpliwy! — strofowałam go.

— To irytujące, Judyto. Koszty kampanii są ogromne, a to jest strata dnia. Jak zawsze mówił mój ojciec, oni nigdy nie pracują dobrze po dniu świątecznym... Biorą potem jeden lub dwa dni wolne, tak że traci się więcej niż jeden dzień.

Postanowił jednak nie tracić czasu i razem ze swą ekipą był jak zwykle na stanowisku. Dlatego właśnie w poniedziałek, który następuje po naszej niedzieli wielkanocnej, Teodozja i ja przeszliśmy się na *souk*.

Sklepy i kramy były zamknięte, a ulice pozbawione zapachów i dźwięków, i aktywności handlowej były zupełnie inne niż zazwyczaj. Na jednej z ulic był mały meczet; drzwi były zawsze otwarte i przechodząc zaglądałyśmy kątem oka do wnętrza. Wydawało się olbrzymie i często widziałyśmy biało ubrane postacie klęczące na matach, porażone w modlitwie. Odwracałyśmy jednak zawsze oczy wiedząc, jak łatwo urazić ludzi tym, co może się wydawać podpatrywaniem lub brakiem szacunku dla ich religii.

Tego dnia dużo ludzi udawało się do meczetu. Ubrani byli inaczej, w najlepsze ubrania, i choć kobiety pozostały przy czerni, niektórzy mężczyźni nosili jasne kolory.

Zatrzymałyśmy się, by popatrzeć na zaklinacza węzów, który przykucnął na bruku z piszczałką w ustach. Zawsze podziwiałyśmy węza unoszącego się z kosza, z którego muzyka wyprowadzała go, fascynowała, uspokajała i wprowadzała doń na powrót. W dniu Szem el

Nessim po raz pierwszy zobaczyliśmy wróżbiarza siedzącego w kucki na macie koło zaklinacza węzów.

Gdy przechodziłyśmy, zawołał:

— Niech Allah będzie z wami! Allah jest wielki, a Mahomet jest jego prorokiem.

Powiedziałam do Teodozji:

— On chce nam przepowiedzieć losy.

— Chciałabym poznać mój los.

— Masz więc okazję. Chodźmy. Zobaczmy, co kryje nasza przyszłość.

Po obu stronach wróżbiarza leżały dwie maty. Skinął najpierw w stronę Teodozji, potem w moją. Trochę nieśmiało siadłyśmy na matach. Świadoma byłam pary przenikliwych oczu hipnotycznie utkwionych w mojej twarzy.

— Angielskie *ladies* — powiedział wróżbiarz — przyjechały z za mórz.

Nie było nic niezwykłego w tym, że to wiedział, pomyślałam, ale Teodozja zaróżowiła się z podniecenia.

— Przyjechałyście z tłumem ludzi. Przyjechałyście, żeby zostać... tydzień... miesiąc... miesiąc... dwa miesiące...

Rzuciłam okiem na Teodozję. To także było wiadome.

— Wiecie oczywiście — powiedziałam — że jesteśmy z ekipą, która kopie w kotlinie.

Przeszył wzrokiem Teodozję i powiedział:

— Ty zamężna, lady. Ty masz pięknego męża. — Potem do mnie:

— Pani też zamężna, lady.

— Obie mamy mężów. Trudno sobie wyobrazić, żebyśmy tu były, gdybyśmy nie miały.

— Zza mórz przyjechałyście... z powrotem przez morza musicie jechać. — Spuścił oczy. — Widzę dużo złego. Musicie wracać... z powrotem przez morza...

— Która z nas? — zapytałam.

— Obie musicie jechać. Widzę mężczyzn i płaczące kobiety... Widzę mężczyznę leżącego nieruchomo... jego oczy są zamknięte... Nad nim cień. Widzę, to anioł śmierci...

Teodozja zbladła. Zaczęła się podnosić.

— Usiądź, lady — rozkazał wróżbiarz.

Zapytałam:

— Kim jest ten mężczyzna? Opiszcie go.

— Mężczyzna... może to kobieta... Tam są mężczyźni i kobiety. Są pod ziemią... idą po omacku... Zakłócają spokój ziemi i miejsce spoczynku zmarłych..., a nad nimi jest cień. Wycofuje się, ale nigdy nie znika, zawsze tam jest. To anioł śmierci. Widzę go teraz wyraźnie. Pani tam jest... i pani, lady. Teraz jest obok ciebie... a teraz nad tobą... i czeka... czeka na rozkaz, kogo zabrać.

Teodozja drżała.

— Teraz widzę wyraźnie — mówił dalej wróżbiarz. — Słońce jest wysoko. Jest białe światło z góry, ale anioł śmierci odszedł. Jesteście na Wielkim okręcie... Odpływacie... Anioł odszedł. Nie może żyć pod palącym słońcem. Tam. Widziałem dwa obrazy. Obydwa mogą być prawdziwe. Allah jest dobry. Macie wolny wybór.

— Dziękujemy — powiedziała i włożyłam monetę do jego miski.

— Proszę jeszcze przyjść, pani. Powiem więcej.

— Może — powiedziała. — Chodź, Teodozjo.

Wyciągnął rękę, by wziąć miskę, do której wrzuciłam monetę. Gdy jego nagie ramię wynurzyło się z rękawa, zobaczyłam na nim znak. To była głowa szakala. Wiedziałam, że to symbol jednego z bogów, ale nie mogłam sobie przypomnieć, którego.

— Niech błogostawieństwo Allaha będzie z wami — wymamrotał i usiadł z powrotem na macie, zamykając oczy.

— Wydaje się — powiedziała do Teodozji, gdy wędrowaliśmy z powrotem do pałacu — że bardzo wielu ludzi tutaj nie pochwała naszej działalności.

— On wiedział — powiedziała. — On wiedział, kim jesteśmy.

— Naturalnie, że wiedział. Nie potrzeba nadludzkiej mocy, żeby wiedzieć, że jesteśmy Angielkami. Ani żeby zgadnąć, że jesteśmy z ekipą wykopaliskową. Ktoś mógł mu nas nawet pokazać. Dużo ludzi na *souku* nas zna.

— A to co mówił o aniele śmierci.

— Gadanie tych jasnowidzów — powiedziała — które trzeba przyjmować... nie, nie ze szczyptą soli, jak mówią, ale z łykiem *khosaf*.

— To mnie zaniepokoiło.

— Nie powinnam była dopuścić do tego przepowiadania losów. Myślałaś, że usłyszysz cygańską opowieść o ciemnym mężczyźnie i podróży wodą, o spadku i trojgu dzieciach, które będą podporą twojej starości.

— Myślałam, że możemy usłyszeć coś interesującego, ponieważ to Egipcjanin. A zamiast tego...

— Chodź, zrobię miętę. To napój, który w pełni doceniam.

Naprawdę czułam się trochę nieswojo. I mnie się nie podobała ta opowieść o aniele śmierci.

Ponieważ Teobald udał się na teren wykopalisk z innymi członkami ekipy, choć robotnicy nie pracowali, i nie wiedziałam, kiedy wróci, wcześniej położyłam się do łóżka i prawie od razu zasnęłam. Musiało minąć około godziny, gdy się obudziłam. Zerwałam się przerażona, ujrawszy niewyraźny kształt pochylony nad moim łóżkiem.

— Wszystko w porządku, Judyto.

— Tabita!

Świeca, którą widocznie przyniosła, świeciła mdłym światłem na stole.

— Coś się stało — wykrzyknęłam i myśli moje, ciągle błądzące w mglistych snach, pobiegły do wróżbiarza i wywołanego przezeń anioła śmierci.

— To Teodozja. Miała jakiś koszmarny sen. Szłam do pokoju, gdy usłyszałam jej krzyk. Chciałabym, żebyś przyszła ją uspokoić. Wydaje się zupełnie oszalała.

Wyskoczyłam z łóżka, wsuwając stopy w pantofle kupione od Yasmin, i owinęłam się szlafrokiem.

Poszłyśmy do pokoju Teodozji i Evana. Teodozja leżała na wznak ze wzrokiem utkwionym w suficie.

Usiadłam przy jej łóżku; Tabita z drugiej strony.

— Na miłość boską, co się stało, Teodozjo?

— Miałam straszny sen. Śnił mi się wróżbiarz i coś w czarnych szatach, co wyglądało jak ptak o twarzy mężczyzny. To był anioł śmierci i przybył po kogoś z nas.

— To ten straszny wróżbiarz — powiedziałam do Tabity. — Nie powinnyśmy były go słuchać. Próbował nas nastraszyć.

— Co powiedział? — zapytała Tabita.
— Mówił niedorzeczności o aniele śmierci unoszącym się nad nami.

— Nad kim?

— Myślę, że nad całą ekipą, czekając, by spaść na kogoś, kogo sobie upatrzy. Teodozja wzięła to wszystko zbyt poważnie.

— Nie powinnaś, Teodozjo — powiedziała Tabita. — Oni to cały czas robią. Mogłabym się założyć, że powiedział, że Allah daje wam wybór.

— Dokładnie to powiedział.

— Zazdrości pewnie komuś, kto dla nas pracuje. To się często zdarza. Gdy byliśmy tu poprzednim razem, jakiś człowiek ciągle przepowiadał coś złego. Odkryliśmy, że jego największy wróg zarabia więcej, pracując przy wykopaliskach, niż on. To była zwykła zawiść.

Zdawało się, że to uspokoiło Teodozję.

— Będę zadowolona, gdy znajdą to co chcą i wrócimy do domu.

— To otoczenie zacznie ci się coraz bardziej podobać — przepowiadała Tabita. — Ludzie często tak się czują na początku. Mam na myśli tych, którzy nie są praktycznie włączeni w prace przy wykopaliskach.

Zaczęła z nami rozmawiać w taki sposób, jak zwykła była to robić, gdy odwiedzałam ją w Giza House i było to tak interesujące, że Teodozja zupełnie się uspokoiła. Tabita opowiadała, jak podczas poprzedniego pobytu oglądała obchód Maulid-el-Nabi, to znaczy rocznicy narodzenia Mahometa.

— Stragany wyglądały tak pięknie na *souku* — mówiła. — Większość udekorowana była lalkami zrobionymi z białego cukru i owiniętymi w papier, który wyglądał jak sukienki. Po ulicach szły procesje i ludzie nieśli chorągwie, na których wypisano wersety z Koranu. Minarety były oświetlone przez całą noc; to był piękny widok: wyglądały jak pierścienie światła na niebie. Na ulicach śpiewano modlitwy do Allaha, opowiadano historie przekazywane z pokolenia na pokolenie; opowiadających otaczał tłum ludzi w różnym wieku.

Opisywała te wydarzenia i w miarę jak mówiła, powieki Teodozji zaczęły opadać. Biedna Teodozja, wyczerpał ją ten nocny koszmar!

— Śpi — szepnęłam do Tabity.

— Chodźmy więc — odpowiedziała.

Za drzwiami przystanąła i spojrzała na mnie.

— Czy jesteś śpiąca? — zapytała.

— Nie — odparłam.

— Chodźmy do mnie porozmawiać.

Pokój jej był piękny. Otworzyła szerzej żaluzje w oknie, by wpuścić ciepłe nocne powietrze.

— Wyglądam na dziedziniec — powiedziała. — Jest naprawdę ładny. Rosną tu kaktusy i drzewka o cierpkich owocach. To jedna z najbardziej pożytecznych roślin w Egipcie. Jej nasiona dodają smaku wszystkim potrawom, a gdy się gotuje owoce, uzyskanym płynem można impregnować bukłaki na wodę.

— Ty bardzo dużo wiesz, Tabito.

— Nie zapominaj, że już tu byłam, a człowiek naprawdę zainteresowany może się wiele nauczyć.

Odwrociła się od okna i zapaliła kilka świec.

— Na pewno przyciągną owady — powiedziała — ale potrzeba nam trochę światła. Powiedz mi, Judyto, czy wszystko układa się po twojej myśli?

— Przeważnie tak.

— Ale nie wszystko?

— Widzisz, myślałam, że może będę miała więcej pracy do wykonania... do pomocy...

— To są bardzo fachowe zajęcia. Teraz potrzebni są przede wszystkim robotnicy.

— Ale jeśli oni naprawdę znajdą nie odkryty dotychczas grób, myślę, że nie zostaną do niego dopuszczona.

— Na pewno znajdą. Tylko specjaliście wolno dotykać czegokolwiek. Ale Teobald mówił mi, jak doskonale zajmujesz się jego papierami i że jesteś pod wieloma względami bardzo pomocna.

Poczułam się nagle dotknięta, że Teobald rozmawia z nią o mnie, ale potem odczułam wstyd.

Zdawała się rozumieć, co czuję, gdyż powiedziała szybko:

— Teobald zwierza mi się od czasu do czasu. To dlatego, że jestem zaprzyjaźniona z rodziną. Ty teraz do niej należysz i dlatego powiedziałam Teobaldowi, że powinnaś znać prawdę.

- Prawdę! — zawołałam.
- O mnie — powiedziała.
- Co powinnam o tobie wiedzieć? — zapytałam.
- To, co tylko Teobald i jego ojciec wiedzieli, u nich w domu. Gdy zamieszkałam z nimi i przyjąłam stanowisko osoby do towarzystwa żony sir Edwarda, uważaliśmy, że będzie najlepiej, jeśli będę uchodziła za wdowę. Ale tak nie jest. Ja mam męża, Judyto.
- Ale... gdzie on jest?
- Jest w domu dla umysłowo chorych.
- Ach... rozumiem. Tak mi przykro.
- Pamiętasz, że nagle mnie wezwano **przed naszym** wyjazdem?
- Wtedy, gdy wróciłaś razem z Teobaldem?
- v — Tak, ponieważ musiałam wracać przez Londyn, spotkaliśmy się tam i razem wróciliśmy do Kornwalii. Zostałam wezwana, gdyż mojemu mężowi nagle się pogorszyło.
- Czy zmarł? — zapytałam.
- Jej oczy, wielkie, pełne zadumy i bardzo piękne w świetle świec, wypełniła rozpacz.
- Przyszedł do siebie.
- To musi być stała dla ciebie troska.
- Nieustający niepokój.
- Nie odwiedzasz go często?
- Nie poznaje mnie. To daremne. Jemu moje odwiedziny nie przynoszą radości, a mnie sprawiają wielki ból. Ma dobrą opiekę... jest w najlepszych rękach. To wszystko, co mogę zrobić.
- Przykro mi — powiedziałam.
- Rozjaśniła się.
- No cóż, mówi się, że każdy z nas musi dźwigać swój krzyż. Mój jest bardzo ciężki. Ale jestem nagrodzona. Odkąd znalazłam się w domu Traversów, poczułam się tak szczęśliwa, jak nigdy nie przypuszczałam, że to możliwe.
- Mam nadzieję, że nadal będziesz.
- Uśmiechnęła się smutno.
- Uważałam, że powinnaś znać prawdę, **Judyto, teraz kiedy jesteś** jedną z Traversów.

— Dziękuję, że mi powiedziałaś. Czy zawsze tak było... od czasu, gdy za niego wyszłaś? Nie mogłaś przecież wyjść za mąż dawno. Jesteś bardzo młoda.

— Mam trzydzieści lat. Wyszłam za mąż mając osiemnaście. To było zaplanowane małżeństwo. Nie miałam majątku. Moi rodzice uważali, że będzie to dla mnie wielka szansa, ponieważ mój mąż był bogaty w porównaniu z moją rodziną. Już gdy za niego wychodziłam, pił okresami... mówiono, że to nieuleczalne. Było coraz gorzej, a gdy zaczął mieć napady szaleństwa, został oddany do szpitala. Poznałam sir Edwarda, gdy prowadził wykłady dla miłośników archeologii, i zaprzyjaźniliśmy się. Potem zaproponował mi to stanowisko w swoim domu. To była dla mnie wielka pomoc.

— Jakie to tragiczne.

Utkwiła we mnie oczy.

— Ale nigdy życie nie jest wyłącznie tragedią, prawda? Miałam w tym czasie dni, tygodnie szczęścia... To jedno z praw życia, że nic nie pozostaje na tym samym poziomie czy w tej samej sferze. Zmiana jest nieunikniona.

— Cieszę się, że mi powiedziałaś.

— Wiedziałam, że zrozumiesz.

— Zostaniesz z nami?

— Tak długo, jak długo będzie mi wolno.

— A więc tak długo, jak długo będziesz chciała.

Podeszła i pocałowała mnie w czoło. Wzruszył mnie ten gest, a gdy się od niej odsunęłam, spostrzegłam na jej piersi broszkę. To był skarabeusz z lazurytu.

— Widzę, że masz broszkę ze skarabeuszem.

— Tak, mówią, że to chroni przed złymi duchami. Dostałam to od... przyjaciela... gdy pierwszy raz przyjechałam do Egiptu.

— To było podczas ostatniej wyprawy, prawda?... fatalnej?

Skinęła głową.

— Nie przyniósł wtedy szczęścia — powiedziałam.

Milczała, ale zauważyłam, że drżały jej ręce, gdy dotykała broszki.

— Myślę, że powinnaś się już położyć — powiedziałam. — Zastanawiam się, kiedy oni wrócą.

— Tego nigdy nie da się przewidzieć. Cieszę się, że ci powiedziałam. Uważałam, że to nie w porządku wprowadzać cię w błąd.

Wróciłam do mego pokoju. Teobalda jeszcze nie było.

Nie mogłam zasnąć. Leżałam myśląc o Tabicie. Narzucały mi się dawne wspomnienia. Przypominałam sobie, jak przyszłam, jeszcze jako lektorka lady Bodrean, do Giza House, i zobaczyłam Tabitę i Teobalda razem przy fortepianie. Myślałam o ich wspólnym powrocie wtedy, gdy została wezwana, a echa rewelacji niani powracały do mnie falami.

Zastanawiałam się, kto dał jej broszkę ze skarabeuszem. Teobald?

Potem straszna myśl przyszła mi do głowy. Czy gdyby Tabita była wolna, Teobald ożeniłby się ze mną?

*• Po kilku dniach Teodozja i ja udałyśmy się do świątyni turkoczającym po piasku wózkami, ciągniętymi przez osła. Tu było starożytne miasto Teby, ośrodek cywilizacji, która popadła w ruinę, pozostawiając tylko wielkie grobowce dawno zmarłych faraonów, jedyne świadectwo splendoru tamtych czasów.

Choć świątynia była otwarta ku niebu, chłodniej było w cieniu jej wysokich kolumn niż na zewnątrz. Obejrzałyśmy z podziwem bogato rzeźbione kolumny, z których każdą wieńczyły pączki i kielichy kwiatów. Fascynowało nas zarówno studiowanie rzeźb kolumn, jak i rozpoznawanie postaci niektórych faraonów przedstawionych tu razem z bogami, którym składali ofiary.

Błądząc wśród kolumn, natknęłyśmy się nagle, twarzą w twarz, na jakiegoś mężczyznę. Był na pewno Europejczykiem; pomyślałam, że to turysta i tak jak my przyszedł obejrzyć sławną świątynię.

Było naturalne w takich okolicznościach, że się do nas odezwał, mówiąc „Dzień dobry”. Jego oczy miały brązowy kolor, jak kamienie, których tyle widziałyśmy w Egipcie, a skóra opalona była na ciemny brąz. Nosił panamę zsunietą na oczy, jako osłonę przed słońcem.

Ucieszyłyśmy się, ponieważ był Anglikiem.

— Co za fascynujące miejsce — powiedział. — Czy panie tu mieszkają?

— Nie. Przyjechałyśmy z ekipą archeologów pracujących w kotlinie. Czy pan zwiedza?

— Do pewnego stopnia. Jestem handlowcem i przyjeżdżam tu od czasu do czasu za interesami. Ale bardzo mnie zajęła wiadomość, że panie są tu razem z misją archeologiczną.

— Mój mąż nią kieruje — powiedziałam z dumą.

— A więc pani jest lady Travers.

— Tak. Czy pan zna mego męża?

— Słyszałem o nim, oczywiście. Jest sławny w swojej dziedzinie.

— A pan się interesuje tą dziedziną?

— Bardzo. Moja praca na tym polega, że kupuję i sprzedaję przedmioty sztuki. Zatrzymałem się w hotelu niedaleko pałacu Chef-rona.

— Jest tam panu wygodnie, mam nadzieję?

— To bardzo dobry hotel — odparł. Uniósł kapelusz. — Może się jeszcze spotkamy.

Odszedł, a my dalej oglądałyśmy kolumny.

Gdy w oznaczonym czasie wróciliśmy do naszej *arabiya*, zobaczyliśmy ruszając, że człowiek, który z nami rozmawiał, też wsiada do swojej.

Następnego ranka Teodozja nie czuła się dość dobrze, by wstać, ale w południe jej stan się poprawił. Usiadłyśmy na tarasie wychodzącym na Nil i gawędziłyśmy o tym i owym.

Po chwili powiedziała:

— Judyto, myślę, że będę miała dziecko.

Odwróciłam się do niej podniecona.

— O Boże! To cudowna wiadomość.

Zmarszczyła brwi.

— Ludzie zawsze tak mówią. Ale nie muszą mieć dzieci, prawda?

— Och, to niewygodne przez pewien czas, ale pomyśl o nagrodzie.

— To dziwne mieć dziecko... tutaj.

— No, nie zostaniesz tu chyba. Pojedziesz do Anglii. Poza tym, jeśli nie masz pewności, to jeszcze mogą upłynąć całe miesiące.

— Myślę czasem, że zostaniemy tu na zawsze.

— Ach, Teodozjo, co za pomysł! Najwyżej kilka miesięcy.

— Ale przypuśćmy, że nie znajdą tego... no, cokolwiek to jest, czego szukają.

— No cóż, będziemy musieli wrócić. To bardzo kosztowna kampania. Jestem pewna, że jeśli we właściwym czasie nie uda im się, będą wiedzieli, że nie znajdują i trzeba będzie wyjechać.

— Ale przypuścimy...

— Ciągłe się martwisz. Wszystko będzie dobrze. To cudowna nowina. Powinnaś tańczyć z radości.

— Ach, ty jesteś do tego zdolna, Judyto. — Zaczęła się śmiać. — To śmieszne, naprawdę. *Ja jestem* córką mamy, a wiesz, jak ona wszystkim rządzi. Czy myślisz, że będę taka jak ona?

— Może rządzić wszystkim, ale tacy ludzie nie zawsze umieją kierować własnymi sprawami.

— Mama uważa, że umie. A twoją matką była Lawinia, która była chyba osobą bardzo łagodną. Ja powinnam być takajak ty, a ty takajak

— Ależ nie przejmuj się tym teraz. Dasz sobie radę.

— Boję się, Judyto. Boję się od chwili, gdy tu przyjechaliśmy. Chciałabym, żebyśmy wrócili do Anglii. Marzę, żeby zobaczyć deszcz. Tu nie ma zieleni i chciałabym się znaleźć wśród normalnych ludzi.

Roześmiałam się.

— Zapewniam cię, że według Yasmin ludzie na *souku* są bardziej normalni niż my. To sprawa geografii. Po prostu tęsknisz za krajem, Teodozjo.

— Chciałabym, żeby Evan wykładał na uniwersytecie, zamiast tego co teraz robi.

— Z pewnością będzie wykładał, gdy to się skończy. Naprawdę, Teodozjo, nie wolno ci się martwić. To najcudowniejsza nowina.

Ale ona martwiła się dalej, a gdy zostało stwierdzone, że naprawdę będzie miała dziecko, widziałam, że wprawiło ją to w pewien niepokój.

RAMADAN

Był okres Ramadanu — miesiąc postu i modlitwy. Dowiedziałam się, że było to najważniejsze wydarzenie w świecie mahometańskim i że data jego była zmienna, z powodu rachuby kalendarza zależnej od księżyca, tak że każdego roku wypadało ono o jedenaście dni wcześniej. Teobald, który zawsze się denerwował przy takich okazjach, ponieważ zakłócały postępy prac, powiedział mi, że w ciągu trzydziestu trzech lat Ramadan przeszedł kolejno wszystkie pory roku; ale pierwotnie musiał wypadać w lecie, ponieważ arabskie słowo *ramada* znaczy „gorący”.

Zaczął się wraz z wejściem nowego księżyca i aż do jego zniknięcia nie wolno było przyjmować pokarmu od świtu do zachodu słońca. Niewielu było ludzi zwolnionych od tej reguły, jednak dzieci i kaleki mogły jeść. W pałacu staraliśmy się dostosować do przepisów i jedliśmy większy posiłek przed wschodem słońca, a drugi po zachodzie; podtrzymywał nas *herish* — ulepiony z miodu i rozdrobnionych laskowych i kokosowych orzechów, wyśmienity, choć szybko się przejadał. Piliśmy wielkie ilości odświeżającego i podtrzymującego naparu z mięty.

Zmienił się wygląd miasta. Wąskie uliczki ogarnął spokój. Było trzydniowe święto; post obejmował dwadzieścia osiem dni, a trzy poświęcone były modlitwie. Pięć razy w ciągu dnia oddawano dwadzieścia strzałów. Było to wezwanie do modlitwy; odczuwałam zawsze grozę % na widok mężczyzn i kobiet przerywających każde zajęcie, by pochylić głowę, złożyć ręce i oddać cześć Allahowi.

Ramadan oznaczał, że częściej będę widywała Teobalda.

— Nie wolno ich nigdy urazić na punkcie religijnym — powiedział mi. — Ale to jest irytujące. Bezwzględnie potrzebni mi są teraz ci robotnicy.

Przejrzał ze mną jakieś papiery, objął mnie ramieniem i powiedział:

— Jesteś taka cierpliwa, Judyto, a wiem przecież, że nie wszystko jest dokładnie takie, jak się spodziewałaś, prawda?

— Miałam takie absurdalne, romantyczne wyobrażenia. Roiłam sobie, że odkrywam wejście do grobu, wykopuję cudowne klejnoty, znajduję sarkofagi.

— Biedna Judyta. Obawiam się, że to nie tak. Czy będzie to pewnym zadośćuczynieniem, gdy ci powiem, że jesteś dla mnie ogromną pomocą?

— To jest największa pociecha.

— Posłuchaj, Judyto. Zabiorę cię na teren wykopalisk... dziś w nocy. Chcę ci pokazać coś wyjątkowego.

— Więc dokonałeś odkrycia! Po to tu przyjechałeś!

— To nie takie proste. Myślę, że natrafiliśmy na ślad czegoś ważnego. Ale może się okazać, że nie. Możemy całymi miesiącami pracować idąc tropem czegoś, co wydaje się kluczem, i stwierdzić, że nie doprowadziło nas donikąd. Ale to sprawa szczęścia w grze. Niewiele osób o tym wie, ale chcę cię dopuścić do sekretu. Pójdziemy po zachodzie słońca. Księżyc w Ramadanie jest bliski pełni, będzie więc dość światła i teren będzie pusty.

— Teobald, to takie podniecające!

Pocałował mnie lekko.

— Kocham twój entuzjazm. Chciałbym, żeby twój ojciec przygotował cię tak starannie, żebyś mogła być ze mną w krytycznych momentach.

— Może mogłabym się nauczyć.

— Zdobędziesz dziś podstawy. Zobaczysz.

— Mogę czekać.

— Nikomu ani słowa. Pomyślą, że byłem niedyskretny albo że jestem tak ślepo zakochany w żonie, że poniosła mnie chęć przypodobania się jej.

Byłam oszołomiona szczęściem. Gdy byłam przy nim, zastanawiałam się, jak mogłam kiedykolwiek wątpić o jego szczerości.

Przytulił mnie do siebie i powiedział:

— Wymkniemy się wieczorem.

Księżyc był już wysoko, gdy opuściliśmy pałac. Co za piękna noc! Gwiazdy wyglądały jak zakrzepnięte w aksamitnym niebie o barwie indygo, najmniejszy podmuch wiatru nie poruszał powietrza i nie było gorąco, lecz przyjemnie ciepło — wytchnienie po skwarze dziennym. A wysoko na niebie, zamiast rażącego białego światła słońca, był blask księżycyca Ramadanu.

Czułam się jak spiskowiec, a to że moim towarzyszem w konspiracji był Teobald, sprawiało mi wielką radość.

Popłynęliśmy łodzią w dół rzeki, a potem *arabiya* zawiozła nas na teren wykopalisk.

Teobald poprowadził mnie obok kopców na brązowej, twardej ziemi do otworu w stoku wzgórza. Ujął mnie za ramię i powiedział:

— Idź ostrożnie.

Zapytałam w podnieceniu:

— Odkryłeś więc to, Teobaldzie?

— Nie — odpowiedział — ten korytarz odkryła poprzednia ekspedycja. Mój ojciec go odsłonił.

Zdjął latarnię zawieszoną na ścianie i zapalił. Zobaczyłam wtedy tunel; miał około ośmiu stóp wysokości. Szłam za nim, na końcu korytarza było kilka stopni.

— Pomyśl tylko! Te stopnie były wykute przed wiekami! — powiedziałam.

— Dwa tysiące lat przed narodzeniem Chrystusa, mówiąc ściśle. Wyobraź sobie uczucia mego ojca, gdy odkrył ten korytarz i stopnie. Ale chodź, popatrz.

— Jakże musiał być przejęty! To musiało być cudowne odkrycie!

— Prowadziło, jak wiele cudownych odkryć przedtem, do grobu, który został splądrowany prawdopodobnie przed trzema tysiącami lat.

— Więc twój ojciec był pierwszym, który tu wszedł po trzech tysiącach lat.

— Tak mogło być. Ale niewiele nowego znalazł. Daj mi rękę, Judyto. Przeszedł tędy do tej sali. Spójrz na ściany — powiedział

Teobald, unosząc do góry latarnię. — Widzisz te symbole? To jest święty żuk — skarabeusz — a ten mężczyzna z głową barana, to Amon-Ra, wielki bóg-Słońce.

— Poznałam go i mam na rękę mojego żuka. Tego, którego mi dałeś. Będzie mnie chronił, prawda? W godzinie niebezpieczeństwa.

Stanął i popatrzył na mnie. W świetle latarni wyglądał niemal obco.

— Wątpię, Judyto — powiedziała. Potem twarz mu się rozjaśniła i dodał:

— Może to ja będę mógł cię ochronić. Myślę, że dam sobie radę nie gorzej niż żuk.

Zadrżałam.

— Nie jest ci zimno? — zapytał.

— Nie... ale tu jest chłodno.

Czułam się wtedy, jakby — jak u nas mówią — ktoś przeszedł po moim grobie.

Teobald musiał wyczuć mój nastrój, gdyż powiedział:

— To napełnia lękiem. Wszyscy to czujemy. Człowiek, który tu został pochowany, należał do świata, którego cywilizacja osiągnęła szczyt, gdy w Brytanii ludzie mieszkali w jaskiniach i zdobywali pożywienie, polując w dziewiczych lasach.

— Czuję się tak, jakbym wkraczała do podziemnego świata. Kim był mężczyzna, którego tu pochowano... czy może była to kobieta?

— Tego nie mogliśmy ustalić. Tak niewiele pozostawiono. Sama mumia została obrabowana. Rabusie musieli wiedzieć, że często drogocenne klejnoty ukrywane były pod bandażami. Kiedy ojciec dotarł do tej sali grobowej, znalazł tylko sarkofag, nienaruszoną mumię i domek dusz, który złodzieje uznali za bezwartościowy.

— Nie widziałam domku dusz — powiedziałam.

— Mam nadzieję, że będę mógł ci pokazać któregoś dnia. To jest mały model domu, przeważnie z kolumnadą z białego kamienia. Ma być domem mieszkalnym duszy po śmierci i zostawia się go w grobie, tak że gdy *Ka* powraca po podróżach, ma wygodne miejsce, w którym może mieszkać.

— To fascynujące — powiedziałam. — Wydaje się, że codziennie dowiaduję się czegoś nowego.

Doszliśmy do następnej kondygnacji stopni.

— Musimy być bardzo głęboko w stoku górskim — powiedziałam.

— Spójrz na to — rzekł Teobald. — To najstaranniej wypracowana komnata; jest to jakby przedpokój do sali, w której znaleziono sarkofag.

— Jakie to wszystko jest wspaniałe.

— A jednak pochowana tu osoba to nie był faraon. Ktoś bardzo bogaty, ale wejście do grobowca wskazuje, że nie należał do najwyższej warstwy.

— I to jest grób odkopany przez twojego ojca.

— Całe miesiące ciężkiej pracy, nadziei i podniecenia... i oto co odkrył. Że ktoś tu był przedtem. Odsłonił stok górski, znaleźliśmy dokładnie miejsce, które prowadziło do podziemnego korytarza, i gdy znaleźliśmy go... No, możesz sobie wyobrazić, jak nas to zelektrykowało, Judyto. A potem... jeszcze jeden pusty grób!

— Potem twój ojciec zmarł.

— Ale coś odkrył, Judyto. Jestem tego pewien. Dlatego wróciłem. On chciał, żebym wrócił. Wiedziałem. To właśnie próbował mi powiedzieć. To mogło znaczyć tylko jedno. Musiał odkryć, że tam był drugi grób — do którego wejście jest gdzieś tutaj.

— Gdyby było, czy byś go nie znalazł?

— Może być sprytnie ukryte. Nie mogliśmy tu znaleźć nic. Ale gdzieś w tym grobie, czuję pewność, jest ważny trop. Może go znajdę. Spójrz! Widzisz tę lekką nierówność gruntu? Tu może coś być, za tą ścianą. Będziemy tu pracować, utrzymując to, dokąd się da, w tajemnicy. Może to będzie stracony czas, ale nie sądzę.

— Czy myślisz, że twój ojciec został zamordowany, ponieważ to odkrył?

Teobald potrząsnął przecząco głową.

— To był zbieg okoliczności. Podniecenie mogło go zabić. W każdym razie zmarł, a ponieważ postanowił nikomu nic nie mówić... nawet mnie... śmierć go zaskoczyła i nie było już czasu.

— To się wydaje dziwne, że zmarł w takiej chwili.

— Życie jest dziwne, Judyto. — Podniósł latarnię i spojrzał na mnie. — Kto z nas wie, że nadchodzi jego ostatnia chwila?

Poczułam nagłe szarpnięcie lęku. Powiedziałam:

- Jakie to niesamowite miejsce.
- Czego się spodziewałaś po grobie, Judyto?
- Nawet ty wyglądasz tu inaczej.

Podniósł wolną rękę do mojej szyi i dotknął jej pieśczośliwie.

- Inaczej, jak inaczej, Judyto?
- Jak ktoś, o kim wszystkiego nie wiem.
- Ależ kto wie wszystko o innej osobie?
- Chodźmy — powiedziałam.

— Tobie zimno. — Stał bardzo blisko i czułam jego ciepły oddech na twarzy. — Czego się boisz, Judyto? Kłątwy faraonów, gniewu bogów, *mnie*...?

— Nie boję się — skłamałam. — Chcę po prostu wyjść na powietrze. Tu jest duszno.

— Judyto...

Zrobił krok w moją stronę. Nie rozumiałam siebie. Wyczuwałam zło w tym miejscu. Instykt nakazywał mi ucieczkę... Ucieczkę od czego! Od tej emanacji śmierci? Od Teobalda!

Chciałam coś powiedzieć, ale zamknął mi dłońią usta.

— Posłuchaj — wyszeptał.

Wtedy posłyszałam wyraźnie w otaczającej ciszy... lekki odgłos stapania.

— Ktoś jest w grobie — szepnął Teobald.

Puścił moje ramię. Stał bardzo spokojnie, nasłuchując.

— Kto tam jest? — zawołał. Jego głos zabrzmiał obco i głucho, dziwnie, nienaturalnie.

Nie było odpowiedzi.

— Trzymaj się blisko mnie — powiedział Teobald.

Weszliśmy na schody do sali, Teobald trzymał lampę wysoko nad głową, ostrożnie idąc krok za krokiem, powstrzymując chęć pośpiechu, który mógłby okazać się niebezpieczny. Deptałam mu po piętach. Weszliśmy do korytarza.

Nikogo.

Gdy przeszliśmy przez drzwi i przekroczyliśmy kopce brązowej ziemi, ciepłe powietrze nocy otoczyło mnie, przynosząc spokój i błogość.

Moje nogi zdrętwiały; skórę miałam wilgotną i drżałam.

Nie było widać nikogo.

Teobald zwrócił się do mnie.

— Biedna Judyta. Wyglądasz na zatrwożoną.

— To było przerażające.

— Tam ktoś był.

— Może któryś z twoich pracowników.

— Dlaczego więc nie odpowiedział, gdy wołałem?

— Może bał się, że będziesz niezadowolony, że tu grasuje po nocy.

— Chodźmy — powiedział. — Weźmiemy *arabię* i wrócimy do pałacu.

Wszystko było teraz normalne — rzeka ze swym niezwykłym pięknem i zapachami, pałac i Teobald.

Nie mogłam zrozumieć, co mnie opętało w głębi tego grobu. Może obcość atmosfery, świadomość, że upłynęło przecież cztery tysiące lat od czasu pochowania tu zmarłego; może to moce tych bogów sprawiły, że bałam się nawet Teobalda.

Bać się Teobalda! Mężczyzny, który wybrał mnie na swoją żonę! Ale czy nie wybrał mnie dość nagłe — w istocie tak niespodziewanie, że ciotki, które mnie gorąco kochały, obawiały się o mnie? Byłam kobietą bogatą. Musiałam o tym pamiętać. A Tabita... co z Tabitą? Widywałam ich razem, ją i Teobalda. Zawsze wydawali się pogrążeni w szczerzej rozmowie. Częściej niż ze mną z nią rozmawiał o swojej pracy. Ciągłe brakowało mi jej wiedzy i doświadczenia, mimo moich wysiłków. Tabita miała męża...

Zło było obecne w tym grobie i naprowadziło mnie na te myśli. Gdzie się podział mój zwykły zdrowy rozsądek? Gdzie znikł ten rys mojego charakteru, który zmuszał mnie zawsze do szukania w życiu wyzwania i do sprostania mu?

Idiotka! — powiedziałam sobie. — Jesteś tak szalona jak Teodozja.

Od strony rzeki pałac miał taras; lubiłam tam siadywać i obserwować życie na rzece. Znajdowałam zacienione miejsce — było teraz nie do zniesienia gorąco — i nic nie robiąc patrzyłam przed siebie. Często któryś ze służących przynosił mi szklankę mięty. Siadywałam tu czasem sama, czasem z kimś z ekipy. Obserwowałam czarno ubrane kobiety,

które piorąc bieliznę gawędziły z sobą; rzeka wydawała się ośrodkiem życia, prawie tak jak zebrania towarzyskie, którym Dorcas i Alison przewodniczyły w czasach mego dzieciństwa. Słyszałam podniecone głosy kobiet i ich cienki śmiech; zastanawiałam się, o czym rozmawiają. Byłam oczarowana widokiem przesuwających się przed moimi oczami *dahabiyeh* z żaglami jak zakrzywione orientalne miecze.

Księżyc Ramadanu był na schyłku, teraz następował okres małego Bairam. Domy były wiosennie uprzątnięte i widziałam dywany suszące się w słońcu na dachach; widziałam rzezie zwierząt na tych dachach i wiedziałam, że należały one do rytuału i że nastąpią biesiady i doprawianie mięs, które będzie się jeść w ciągu roku.

Zgłębiłam obyczaje tego kraju, a jednak nie mogłam się oswoić z jego niezwykłością.

Pewnego późnego popołudnia, gdy miasto budziło się po sjeście, Hadrian wyszedł z pałacu i siadł koło mnie.

— Wydaje się, że wieki upłynęły, odkąd ostatni raz rozmawialiśmy — powiedział.

— Gdzie się podziewałeś przez ten czas?

— Twój mąż jest bardzo surowym szefem, Judyto.

— To konieczne, gdy uczniowie są leniwi, tak jak ty, Hadrianie.

— Kto powiedział, że jestem leniwy?

— Musisz być, w przeciwnym razie nie skarżyłbyś się. Byłbyś ciągle w napięciu, tak jak Teobald.

— On tym kieruje, Judyto. To on zdobędzie sławę, gdy nadejdzie wielki dzień.

— Nonsens. To będzie dzieło was wszystkich. A kiedy nadejdzie wielki dzień?

— W tym sęk. Kto wie? Ta nowa próba może prowadzić donikąd.

— Nowa próba?

— Teobald wspomniał, że ci powiedział, inaczej nie mówiłbym o tym.

— O tak, pokazał mi.

— Więc wiesz, że myślimy, że wpadliśmy na trop.

— Tak.

— Kto więc wie? A jeśli znajdziemy coś wielkiego, przyniesie to chwałę światu archeologii, ale niewielką korzyść nam.

- Chyba nie martwisz się znów o pieniądze, Hadrianie?
- Możesz polegać na mnie. To mój stan stały.
- Jesteś bardzo ekstrawagancki.
- Mam pewne wady.
- Czy nie możesz ich powściągnąć?
- Spróbuję, Judyto.
- Cieszę się. Hadrianie, dlaczego zostałeś archeologiem?
- Ponieważ tak zarządził mój wuj, a twój papa.
- Nie wierzę w twoje poważne zamiłowanie do tego.
- O, zajmuje mnie to. Nie możemy wszyscy być fanatykami... jak pewne osoby, które mógłbym wymienić.
- Bez fanatyków nie zajdzie się daleko.
- Nawiasem mówiąc, czy wiesz może, że czeka nas wizyta paszy?
- Nie.
- Dał znać. Rodzajem dekretu. Zaszczyci pałac swoją obecnością.
- To będzie interesujące. Myślę, że będę musiała go przyjąć... albo może Tabita.
- Pochlebiacie sobie. W tym świecie kobiety mają mało znaczenia. Będziecie siedziały ze złożonymi rękami i spuszczonej oczami i będziecie się odzywały wtedy, gdy do was przemówi — to będzie trudny wyczyn dla naszej Judyty.
- Nie jestem Arabką i na pewno nie będę się zachowywać jak arabska kobieta.
- Nie to miałem dokładnie na myśli, ale kiedy wlałeś między wrony, musisz krakać jak i one... i sądzę, że to jest regułą w każdym miejscu.
- Kiedy ten wielki mąż przybywa?
- Wkrótce. Nie wątpię, że zostaniesz zawiadomiona.
- Rozmawialiśmy o dawnych czasach w Keveall Court — on z odrobiną nostalgii.
- Byliśmy tam — mówił — gromadką niewinnych dzieci, a spójrz na nas teraz.
- Mówisz tak, jakbyśmy powinni się wstydzić tego, że się rozwijamy.
- Ty nie! — powiedział. — Wyszłaś za wielkiego Teobalda. Od łachmanów do bogactwa, czy nie tak było z naszą Judytą?

— Nie wiem, co by powiedziały moje ciotki, słysząc to. Zapewniam cię, że nigdy nie chodziłam obdarta, choć często miałam pocerowane ubranie i tu i ówdzie połatane, ale zawsze tak schludne, że trudno to było dostrzec.

— Ściśle powiązana wspólnota — powiedziała. — Sabina i pastor, Teodozja i Evan, ty i Teobald. Ja jestem nie do pary, na zewnątrz.

— Jak to, należysz do naszej grupy i zawsze będziesz należał.

— Jestem jedynym, który nie miał szczęścia.

— Szczęście! Słyszałam, że ono nie jest w gwiazdach, lecz w nas samych.

— Też to słyszałem i jestem pewien, że ty i Szekspir nie możecie się mylić. Czy ci mówiłem, że byłem tym, który nie wykorzystał swoich możliwości?

— Teraz możesz zacząć.

Zwrócił się do mnie, jego twarz przybrała wyraz wielkiej powagi.

— W pewnych okolicznościach mógłbym. — Pochylił się naprzód i pogłaskał mnie nagle po rękę. — Dobra, kochana Judyta — dodał. — Ależ byłeś tyranem! Czy tyranizujesz Teobalda? Jestem pewien, że nie. Teraz ja należę do ludzi, którym potrzebny jest tyran.

Zaniepokoił mnie. Czy Hadrian nonszalancko dawał mi do zrozumienia, że myślał kiedyś o połączeniu naszych losów?

— Skarżyłeś się na mnie nieraz.

— To były słodko-gorzkie skargi. Przyrzeknij, że nie przestaniesz mnie tyranizować.

— Będę z tobą szczerą... tak jak zawsze.

— Tego właśnie chcę.

Z minaretu dobiegł głos muezzina.

Kobiety nad rzeką stały teraz z pochylonymi głowami, stary żebrak przykucnięty na poboczu drogi wyprostował się na drżących nogach i trwał w modlitwie.

Patrzyliśmy w milczeniu.

Ledwie uchwytna zmiana dawała się odczuć w pałacu w związku z wizytą paszy. Rosło napięcie w kuchniach, skąd płynęły podkscytowane głosy, podłogi czyszczone z większą niż przedtem energią, a miedź i mosiądz polerowano tak, że błyszczały jak złoto. Służba,

użyczona nam przez paszę, wiedziała, że tolerancyjne panowanie gości skończyło się na pewien czas.

Teobald powiedział mi, czego należy się spodziewać.

— Rzec by można, że on jest gubernatorem tych stron. Do niego należy większość ziem. To dlatego, że udostępnił nam pałac, jesteśmy tak dobrze traktowani. Ułatwił nam zdobycie robotników, a oni wiedzą, że pracować dobrze dla nas, to znaczy pracować dobrze dla paszy. Dlatego nie ośmielają się źle pracować. On bardzo pomagał memu ojcu. Zobaczysz, że przybędzie tu jako wielki potentat.

— Czy będziemy w stanie przyjąć go w taki sposób, do jakiego przywykł?

— Damy sobie radę. Przede wszystkim, przyjmujemy go w jego własnym pałacu, a jego służba wie, czego on oczekuje. Pamiętam, że gdy przyjechał tu przedtem, wszystko poszło gładko. To było na jakieś trzy tygodnie przed śmiercią ojca.

— Szczęśliwie się składa, że on się interesuje archeologią.

— O, nie mam wątpliwości co do jego zainteresowania. Pamiętam, jak ojciec zabrał go na obchód wykopów. Był zupełnie oczarowany tym, co zobaczył. Myślę, że zrobię to samo.

— A jaka będzie moja rola?

— Po prostu zachowuj się naturalnie. On bardzo dużo podróżował *Jf* i nie oczekuje, że nasze zwyczaje będą takie same jak jego. Myślę, że zabawi cię jego wizyta. Tabita ci o tym opowie. Ona będzie pamiętać, jak to było, gdy przyjechał za życia ojca.

Tabita mi powiedziała, że mieli pewne obawy, choć niepotrzebne, bo pasza okazał się samą dobrocią i równie pragnął im się spodobać, jak oni jemu.

Poszłam z Tabita na *souk* i gdy wracałyśmy do pałacu, zobaczyłyśmy, przechodząc obok hotelu, Hadriana i Terence Geldinga siedzących na tarasie z mężczyzną, którego Teodozja i ja spotkałyśmy w świątyni.

Hadrian przywitał nas i podeszłyśmy do nich.

— To jest pan Leopold Harding — powiedział Hadrian. — Terence i ja chcieliśmy się tu posilić, a pan Harding, wiedząc, kim jesteśmy, przedstawił się nam.

— Już się spotkaliśmy — powiedziałam.

- Istotnie — odparł Leopold Harding. — To było w świątyni.
- Potrzeba wam obu czegoś orzeźwiającego — rzekł Terence.
- Ja poprzestanę na nieuniknionej mięcie.

Tabita przyznała, że po spacerze mięta byłaby pożądana. Rozmawialiśmy, gdy ją nam podano.

Pan Harding powiedział, że od czasu do czasu bywa w Egipcie za interesami i że bardzo go ciekawią wykopaliska i oczywiście zabytki, gdyż jego interesy z nimi się wiążą. Kupuje i sprzedaje.

— To ciekawe zajęcie — zapewnił nas.

— Na pewno — odpowiedział Hadrian. — I musi pan mieć dużą wiedzę.

— Muszę. Tak łatwo można się pomylić. Kiedyś zaproponowano mi małą główkę — płaskorzeźbę w profilu. Na pierwszy rzut oka wydawała się z turkusu i lazurytu. Była tak doskonale zrobiona, że tylko ekspert poznałby, że nie jest tym, czym się wydawała.

— Interesuje pana archeologia? — zapytałam.

— Tylko po amatorsku, lady Travers.

— Wszyscy jesteście amatorami — odparłam. — Zgodzisz się ze mną, Tabito? Odkryłam to, gdyśmy się tu znaleźli.

— Pani Grey jest czymś więcej niż amatorem — powiedział Terence.

— Co do Judyty — dodał lekkim tonem Hadrian — próbuje... bardzo poważnie próbuje.

Terence powiedział surowo:

— Obie panie robią bardzo dużo, by pomóc ekipie wykopaliskowej.

— Można by powiedzieć, że jesteśmy amatorkami ze skłonnościami zawodowymi.

— Może należą do tej samej klasy — powiedział Leopold Harding. — Zajmowanie się przedmiotami zabytkowymi — o których przeważnie błędnie się mówi, że pochodzą z grobów faraonów — rozbudza ogromne zainteresowanie. Zastanawiam się, czy istnieje szansa, żeby mi pozwolono obejrzeć wykopaliska.

— Nikt pana nie zatrzyma, jeśli pan przejedzie doliną — powiedział Hadrian.

— Wszystko co pan zobaczy — dodał Terence — to będzie kilka baraków z narzędziami i kąpiący robotnicy. Stosy kamieni...

— Sir Teobald ma wielką nadzieję odkrycia nienaruszonego dotąd grobu, jak sądzę.

— Taką nadzieję mają wszyscy archeolodzy, którzy tu przyjeżdżają — odparł Hadrian.

— No tak.

— To będzie długie, żmudne zadanie — ciągnął Hadrian. — Czuję w kościach, że jesteśmy skazani na niepowodzenie.

— Bzdura — odparł ostro Terence, a ja dodałam surowo:

— To nie jest sprawa kości, tylko ciężkiej pracy.

— To zespół kości, na których można w wysokim stopniu polegać — upierał się przy swoim Hadrian. — A sama ciężka praca nie pochowa faraona tam, gdzie go nie ma.

— Nie sądzę, żeby Teobald mógł się mylić — powiedziałam gorąco.

— Jesteś jego pełną uwielbienia żoną — odpowiedział Hadrian.

Chciałam, żeby Hadrian przestał mówić w taki sposób przy obcym, powiedziałam więc, by zmienić temat:

— Czy naprawdę miał pan do czynienia w handlu z rzeczami znalezionymi w grobach, panie Harding?

— Nigdy nie można być tego pewnym — brzmiała odpowiedź.

— Może pani sobie wyobrazić, jak legendy przystają do takich rzeczy. Fakt, że jakiś przedmiot został pogrzebany razem z faraonem na trzy tysiące lat przed Chrystusem, nadaje mu nieoszacowaną wartość. Jako człowiek interesu nie odwodzę ludzi od pogłosek.

— To dlatego przyjechał pan do Egiptu.

— Podróżuję do wielu miejsc, ale Egipt jest szczególną przechowalnią skarbów. Musi pani przyjść kiedyś do mojego składu. Jest bardzo mały... mniejszy niż szopa. Wynajmuję go, gdy tu jestem, tak bym mógł magazynować moje zakupy, zanim zostaną przewiezione do Anglii.

— Jak długo pan tu pozostanie?

— Nigdy nie umiem przewidzieć moich wyjazdów. Dziś jestem tu, a jutro tam. Jeśli dowiem się o jakimś interesującym obiekcie w Kairze lub Aleksandrii, jadę go zobaczyć. To czyni życie ciekawym, a podobnie jak panią unosi mnie radość, gdy coś znajduję. Rozczarowałem się przed paroma tygodniami. Chodziło o płytkę, która mogła pochodzić wprost ze ściany grobowca — malowana scena przedstawiająca orszak żałob-

ny. Były tam cztery postacie niosące na ramionach trumnę — a przed nimi i za nimi służba niosąca elementy umeblowania — łóżko, stołek, skrzynie i naczynia, wszystko wyłożone srebrem i lazurytem. Piękna rzecz, ale oczywiście, kopia. Gdy ją pierwszy raz zobaczyłem, wprost oszalałem. Niestety, została wykonana około trzydziestu lat temu. Była piękna, ale to fałszerstwo.

— Co za rozczarowanie dla pana! — zawołałam.

Wtedy Hadrian opowiedział im, jak znalazłam brązową tarczę.

— I dlatego — zakończył — jest dziś tu, gdzie jest.

— I wyraźnie cieszy się, że tu jest — powiedział Leopold Harding.

— Muszą mi państwo wyświadczyć zaszczyt i zwiedzić mój mały magazyn. Nie ma tam wiele, ale niektóre rzeczy są interesujące.

Powiedzieliśmy, że z radością przyjdziemy, i mówiąc *au revoir*, pozostawiliśmy go na tarasie hotelu.

Pasza zawiadomił, że zje z nami obiad w powrotnej drodze do jednego ze swych pałaców i ma nadzieję, że usłyszy coś o postępach tych wspaniałych prac, którym udzielił swego pełnego poparcia.

Z Tabitą i Teodozją obserwowałyśmy jego przyjazd z okna jednego z górnych pokoiów pałacu. To był imponujący widok. Pasza przyjechał powozem zaprzężonym w czwórkę pięknych, białych koni; jechał wolno, poprzedzany przez sznur wielbłądów z dzwoneczkami zawieszonymi na szyjach, podzwaniającymi za każdym krokiem. Niektóre wielbłądy obciążone były bagażem paszy, wytwornymi kuframi wysadzanymi kamieniami i umieszczonymi na tkaninach obrzeżonych ciemnożółtą frędzlą.

Wysiadł przed bramami pałacu. Teobald z kilkoma starszymi członkami ekipy czekał tam, by go powitać. Przeszedł następnie na wewnętrzny dziedziniec, gdzie spoczął na specjalnym krześle, które tam dla niego ustawiono. Oparcie krzesła wyłożone było półszlachetnymi kamieniami i choć mogło być niewygodne, zdecydowanie było wspaniałe.

Liczni służący roznosili kandyzowane owoce, wielkie ciastka, usmażone z pszenicy, mąki i miodu, oraz herbatę. Każdy musiał wypić trzy szklanki — pierwszą bardzo słodką, drugą jeszcze bardziej, a trzecią z miętą. Wszystkie szklanki napełniane były po brzegi, uронienie bodaj

kropli stanowiło naruszenie etykiety. Nie wiem, co by się stało ze służącym, który by do tego dopuścił. Na szczęście, przy tej okazji nie zdarzyło się to nikomu.

Tabita objaśniała mi, co się dzieje, ponieważ, jako kobiety, nie byliśmy oczywiście dopuszczone do tej ceremonii.

Jednak, by zadośćuczynić naszym europejskim zwyczajom, dopuszczono nas do stołu, a mnie przyznano nawet miejsce obok wielkiego paszy.

Jego tłuste dłonie połyskiwały od klejnotów; całe szczęście, że przyniesiono tu dla niego nabijane kamieniami krzesło, gdyż było szerokie, a on był tłuściutki. Najwyraźniej był zachwycony przyjęciem i raczej zadowolony z tego, że widzi kobiety. Przyglądał nam się bacznie, nie odrywając oczu, jakby oceniał naszą wartość w zakresie, który — dla niego — jedynie przystoi kobietom. Myślę, że wszystkie zdałyśmy egzamin: Tabita bez wątpienia ze względu na swoją urodę, niezaprzeczalną według wszystkich norm; Teodozja z powodu swej kobiecości, a ja? Z pewnością nie miałam urody Tabity ani kruchego wdzięku Teodozji, ale miałam żywotność, której im obu brakowało, i być może to pociągało paszę, gdyż zdawało się, że spośród nas trzech ja wywarłam na nim największe wrażenie. Myślę, że bardziej różniłam się od kobiet Wschodu niż one i że ta różnica bawiła go lub ciekawiła.

Mówił dość dobrze po angielsku, ponieważ jako wyższy urzędnik utrzymywał częste kontakty z naszymi współziomkami.

Obiad trwał wiele godzin. Służba wiedziała, co należy podawać i znała także olbrzymi apetyt naszego paszy. Niestety, spodziewano się po nas, że będziemy mu dotrzymywać kroku. Po *kebabie* nastąpił *kuftas*; myślę, że w ciągu naszego tu pobytu nigdy nie podawano tak starannie przygotowanych aromatycznych sosów. Widziałam lęk w twarzach bezgłośnie poruszających się służących, gdy podawali dania swemu panu. Obsługiwany był, jako gość, pierwszy, a ja, siedząc obok niego, przerażona byłam olbrzymią ilością jedzenia, które pochłaniał. Jako kobieta nie musiałam jeść takich wielkich porcji. Żał mi było mężczyzn.

Pasza prowadził rozmowę. Mówił żarliwie o naszym kraju, o naszej królowej i o dobrodziejstwie, jakim dla handlu egipskiego stał się Kanał Sueski.

— Proszę pomyśleć o tym wielkim osiągnięciu — powiedział.
— Kanał stumilowej długości biegnący przez Jezioro Timsah i wielkie Gorzkie Jeziora — od Port Saidu do Suez. Co za przedsięwzięcie. I sprowadziło wielką liczbę Anglików do Egiptu. — Jego oczka zaiskrzyły się chytrze. — I co by mogło sprawić większą przyjemność wszystkim zainteresowanym? I co się wydarzyło, odkąd mamy kanał? Ludzie przyjeżdżają tu tak licznie, jak nigdy przedtem. Wy, Brytyjczycy... co za zmysł do handlu, eh! Wasz Tomasz Cook ze swoimi parowcami na Nilu. Frachtuje je od naszego Kedywa. Jaki mądry człowiek. A ile dobrego dla Egiptu! Teraz ma parowiec kursujący pomiędzy Assuanem a Drugą Kataraktą. Taki dobry interes dla Egiptu i zawdzięczamy to waszemu krajowi.

Powiedziałam, że Egipt miał tyle do zaoferowania gościom, jeśli chodzi o zabytki starej cywilizacji, która była jednym z cudów świata.

— A kto wie, co jeszcze może zostać odkryte! — zawołał, a jego małe oczy błyszcząły radością. — Miejmy nadzieję, że Allah sprzyja waszym usiłowaniom.

Teobald powiedział, że on i członkowie ekipy nigdy nie będą w stanie wyrazić całej swej wdzięczności za pomoc, której im udzielił.

— O, to dobrze, że pomagam. To słuszne, powinienem oddać wam swój dom do dyspozycji. — Zwrócił się do mnie. — Moi przodkowie zgromadzili wielkie bogactwa i krąży w rodzinie opowieść o początkach tworzenia naszej fortuny. Czy chcieliby państwo wiedzieć, jak zczynaliśmy?

— Bardzo bym chciała wiedzieć — powiedziałam.

— To będzie dla pani szokujące. Mówi się, że dawno, dawno temu byliśmy rabusiami grobów!

Roześmiałam się.

— To jest historia przekazywana przez setki lat. Tysiąc lat temu moi przodkowie plądrowali tu groby i stali się w ten sposób bogatymi ludźmi. Musimy teraz pokutować za grzechy ojców, służąc wszelką pomocą tym, którzy groby otwierają dla potomnych.

— Mam nadzieję, że pewnego dnia cały świat będzie panu tak wdzięczny jak my — powiedział Teobald.

— Będę więc dalej zjednywał bogów — rzekł pasza. — A jako znak rodzinny przyjąłem głowę Anubisa, który zabalsamował ciało Ozyrysa,

gdy jego niegodziwy brat Set zamordował go. Ozyrys zmartwychwstał, a ja czczę świętego boga, który go zabalsamował i dał memu domowi swój znak.

Rozmowa przeszła na sprawy, które — byłam tego pewna — przede wszystkim zajmowały paszę — na prace wykopaliskowe.

— Dobrego sir Edwarda spotkało nieszczęście — powiedział. — To była dla mnie wielka tragedia. Ale pan, sir Teobaldzie, znajdzie to, czego szuka, wiem o tym.

— Tyle współczucia okazał mi pan w swej dobroci. Nie umiem wyrazić mojej wdzięczności.

Pasza poklepał Teobalda po ręce.

— Pan wierzy, że znajdzie to, czego przyjechał szukać, prawda?

— Po to pracuję — odparł Teobald.

— I dokona pan tego z pomocą swego ducha opiekuńczego. — Zaśmiał się. To było wyrażenie, które często słyszałam od przyjazdu do Egiptu.

— Mam nadzieję, że mój duch opiekuńczy udzieli mi swej pomocy.

— A potem wyjedziecie, eh, i zabierzecie ze sobą piękne panie.

Uśmiechnął się i teraz mnie z kolei poklepały tłuste, upierścienione palce. Pochylił się ku mnie.

— No cóż, chciałbym, żeby się wam nie powiodło.

— W takim wypadku też musielibyśmy wyjechać — powiedział, śmiejąc się Teobald.

— Będę miał wtedy pokusę, by znaleźć coś, co was zatrzyma — pasza był w żartobliwym nastroju. — Czy myśli pani, że mógłbym to zrobić? — zapytał mnie.

— Ależ tak — odpowiedziałam — z pomocą swego ducha opiekuńczego.

Przy stole zapadła cisza. Zrozumiałam swój błąd. Jednak pasza postanowił zachować dobry humor i roześmiał się, co było hasłem dla wszystkich, nawet dla służby, by się do niego przyłączyć.

Potem pytał o moje wrażenia dotyczące Egiptu i jak mi się podoba pałac i służba.

Prowadziliśmy ożywioną rozmowę i widać było, że choć niektóre moje odpowiedzi na pytania paszy mogły być trochę niekonwencjonalne, na ogół jednak wypadłam dobrze.

Mówiono też o wykopaliskach, ale w tej rozmowie nie brałam udziału. Pasza zjadłszy obfity posiłek pogryzał słodycze, podobne do tych, które u nas nazywaliśmy rachatłukum. Tutaj było to nadziane aromatycznymi orzechami i było wyborne lub raczej mogłoby być, gdybyśmy nie byli tak najedzeni.

Pasza musiał udać się w dalszą drogę, do innego pałacu o północy, gdyż w dzień było zbyt gorąco na podróż, przed wyjazdem zaś Teobald miał go zabrać na coś w rodzaju ceremonialnej inspekcji terenu wykopalisk.

Gdy przygotowywali się do wyruszenia, z zewnątrz dobiegł przesywający krzyk; wybiegłam na dziedziniec i zobaczyłam jednego ze służących paszy wijącego się w męczarniach.

Zapytałam, co się stało; powiedziano mi, że ugryzł go skorpion. Ostrzegano nas, byśmy byli ostrożni w pobliżu stosów kamieni, gdyż w ich szczelinach kryły się skorpiony, a ukłucie ich żądał było trujące. Widziałam dużo kameleonów i jaszczurek wygrzewających się na rozpalonych kamieniach; do pałacu wchodziły gekony, ale nigdy nie widziałam skorpiona.

Służącego otaczali jego towarzysze, którzy starali się mu ulżyć, nigdy jednak nie zapomnę jego twarzy, wykrzywionej przerażeniem, nie wiem, czy spowodowanym ukąszeniem, czy tym, że ściągnął na siebie uwagę podczas wizyty paszy.

Pasza czy nie pasza, dopilnowałam, by miał należytą opiekę; przed wyjazdem Alison zaopatrzyła mnie w wielkie ilości leków własnej roboty, zapewniając, że będą pomocne przy wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwach, jakie mogę napotkać w suchym, gorącym klimacie.

Jedno z nich miało przeciwdziałać efektom użądlenia osy, gza końskiego i zmij, które czasem występowały u nas w Kornwalii, i choć wątpiałam, by nasze łagodne leki mogły pomóc na zatruciu jadem skorpiona, postanowiłam jednak spróbować.

Przyniosłam więc mój słoiczek z maścią i gdy smarowałam cierpiącego sługę, zauważyłam na jego ramieniu znak, który już widywałam przedtem. Uspokoił się natychmiast i jestem pewna, że pomyślał, że jakaś uzdrawiająca moc mieści się w słoiku, który, jak sądzę, zawierał kiedyś specjalność Dorcas — galaretkę miętową.

W każdym razie ten człowiek wydawał się pewny, że zagraniczne lekarstwo go uzdrowi; ciemne oczy pozostałej służby śledziły mnie z wyrazem czci i podziwu, tak że czułam się jak jakaś znachorka z przypadku.

Pasza, który przyszedł popatrzeć, jak zajmuję się jego sługą, pokiwał głową i uśmiechnął się z aprobatą. Podziękował mi osobiście za to, co zrobiłam.

Pół godziny później wyjechali i znów śledziłam ich wyjazd z Teodozją i Tabitą, tak jak obserwowałam ich przyjazd. Pasza przespacerował się do łodzi, która czekała, by zawieźć go w górę rzeki. Przewoźnicy ubrali ją flagami i kwiatami o purpurowych kwiatach, które nazywano bocianimi łebkami, ponieważ ich środek, gdy płatki opadły, przypominał dziób bociana, a także płomiennymi kwiatami deloniksu. Tłumy zgromadziły się, by mu oddać hołd. Widać było, że nie tylko służba w pałacu, lecz i okoliczni fellahowie odczuwali lęk przed wszechmocnym paszą.

Tabitą powiedziała:

— To się odbywa dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Myślę, że jest bardzo zadowolony z przyjęcia i że ty mu się spodobałaś, Judyto.

— Rzeczywiście uśmiechał się przez cały czas — odparłam — ale zauważyłam, że służący wydawali się tak samo przerażeni, kiedy się śmiał, jak i wtedy kiedy się nie śmiał. To równie dobrze może być taki zwyczaj, by wyglądać szczególnie dobrotliwie, gdy się jest w najbardziej jadowitym nastroju. Co teraz będziemy robić? Czy możemy odpocząć, czy też oczekuje się, że oddamy mu hołd, gdy wróci z obchodu?

— On tu nie wróci — powiedziała Tabita. — Jego świta przeniesie się w górę rzeki i tam go spotka. Stamtąd, jak sądzę, przemierzy krótki dystans dzielący go od miejsca noclegu.

— Połóżmy się więc do łóżek — zaproponowałam. — Zjednywanie sobie łask paszy to wyczerpujące zajęcie.

Teobald wrócił dopiero wczesnym rankiem. Obudziłam się natychmiast.

Usiadł na krześle i wyciągnął nogi przed siebie.

— Musisz być zmęczony — powiedziałam.
— Tak mi się zdaje, ale zupełnie nie chce mi się spać.
— Myślałam, że te ogromne ilości jedzenia i /ctosa/powinny działać nasennie.

— Zmusiłem się do czuwania. Musiałem się upewnić, że wszystko przebiega jak trzeba i nie będzie żadnej obrazy.

— Mam nadzieję, że zachowałam się właściwie.

— Do tego stopnia, że się obawiałem, że złoży mi ofertę na ciebie. Jestem przekonany, że myślał, że stanowiłabyś zachwycające uzupełnienie jego haremu.

— A ja przypuszczam, że gdyby oferta była dogodna i gdybyś mógł zażądać, by przyznano solidną sumę na twoje prace archeologiczne, to chętnie przystałbyś na taką transakcję?

— No pewnie — powiedział.

Zachichotałam.

— Ale tak naprawdę — powiedziałam — nie dowierzam tej jego łaskawości.

— Był bardzo zainteresowany tym, co robimy, i dokładnie obejrzał teren.

— Czy pokazałeś mu nowe odkrycie?

— Musiałem to zrobić. Trzeba było jakoś wyjaśnić, dlaczego pracowaliśmy wewnątrz tych podziemnych przejść. Nie da się całkowicie utrzymać w tajemnicy tych spraw. Był w najwyższym stopniu zaciekawiony i prosił, by natychmiast go zawiadomić, jeśli tylko coś zostanie odsłonięte.

— Czy myślisz, że to niedługo nastąpi, Teobaldzie?

— Nie wiem. Znaleźliśmy wskazówkę, że coś jest za ścianami jednej z sal. Ponieważ nieuniknione były próby wdarcia się rabsiów do grobów, wiadomo, że ukrywano jedną salę grobową za inną — teoria zakłada, że rabsie znalazłszy jeden grób uznają, że to wszystko, co było do odkrycia i nie będą szukać najważniejszego miejsca za nim. I gdyby to się miało potwierdzić, zmarły w ten sposób tu pochowany byłby zaiste bardzo ważną osobistością. Jestem przekonany, że ojciec zdawał sobie z tego sprawę. — Teobald zmarszczył brwi. — Był jeden denerwujący moment w trakcie zwiedzania. Pamiętasz, jak usłyszeliśmy kroki, gdy byłem tam z tobą?

— Pamiętam. — Wrażenie powróciło z całą wyrazistością; cierpienie skóry, ogarniający mnie lęk.

— Znow się to zdarzyło — powiedział Teobald. — Byłem pewien, że jakaś nieupoważniona osoba lub osoby gdzieś tam są.

— Czy je widziałeś?

— Mogły celowo nas unikać.

— Mogły być ukryte w głębi szybu, na którym znajduje się dość kruchy drewniany pomost. Czy pasza to słyszał?

— Nic nie mówił, ale myślę, że go to zaalarmowało.

— Mógł myśleć, że to ktoś z ekipy.

— Mała grupa weszła do grobowca. Ja, pasza, Terence, Evan z dwoma służącymi, bez których, jak się zdaje, pasza nigdzie się nie rusza.

— Coś w rodzaju straży przybocznej? — zapytałam.

— Tak myślę.

— Mógł odczuwać potrzebę ochrony przed bogami, skoro fortuna rodziny została zbudowana na grabieży grobów.

— To na pewno legenda.

— Co się stało z tym młodzieńcem ukąszonym przez skorpiona?

— Wygląda na to, że w cudowny sposób wyzdrowiał... dzięki tobie. Jeśli nie będziesz ostrożna, uznają cię za czarodziejkę.

— Jakie mam powodzenie! Pasza myśli o zaoferowaniu mi miejsca w haremie, obdarzona jestem dziwną mocą, którą trzymam zamkniętą w słoiku po miętowej galaretkie Dorcas. Widzę, że osiągnęłam ogromny sukces. Mam nadzieję, że znajdę tę samą przychylność w oczach mego prawdziwego, poślubionego pana.

— Mogę cię całkowicie uspokoić pod tym względem.

— Do tego stopnia, że będę pewnego dnia dopuszczona do udziału w twojej pracy?

— Przecież jesteś, Judyto.

— Listy! Rachunki Mam na myśli *prawdziwą* pracę.

— Tego się właśnie obawiałem. Wiem, że zawsze sobie wyobrażałaś, że jesteś w samym gąszczu spraw. Tego się nie da zrobić, Judyto. Jeszcze nie teraz.

— Zanadto jestem amatorką?

— To delikatna sprawa. Musimy być ostrożni. Nie zawsze tak będzie. Tak dużo się uczysz.

- A co z Tabitą?
 - Jak to?
 - Zdaje się, że często rozmawiasz z *nią* o swojej pracy.
 - / Prawie niedostrzegalna chwila ciszy. Potem powiedział:
 - Dużo pracowała z moim ojcem.
 - Więc ona jest czymś więcej niż amatorką?
 - Ma pewne doświadczenie.
 - Którego mnie brakuje?
 - Ale którego z czasem nabędziesz.
 - Jak mogę nabyć, jeśli nie jestem dopuszczana **do udziału** w pracy?
 - Przyjdzie czas, że będziesz. Spróbuj zrozumieć.
 - Próbuję, Teobaldzie.
 - Bądź cierpliwa, najdroższa.
- Gdy używał, co się rzadko zdarzało, tego czułego słówka, moje uszczęśliwienie pokonywało frustrację. Jeśli naprawdę jestem dla niego najdroższa, mogę poczekać. To było logiczne. Oczywiście, nie mogę wejść w tę rozległą i zawiłą dziedzinę i oczekiwać, że zajmę w niej miejsce u jego boku.
- Mogę sobie obiecać, że przyjdzie czas, tak?
- Pocałował mnie i powtórzył:
- Przyjdzie czas.
 - Jak długo tu będziemy? — zapytałam z ożywieniem.
 - Czy już cię to zmęczyło?
 - Naprawdę nie. To staje się z każdym dniem bardziej **fascynujące**.
- Myślałam o Teodozji. Ona chce wrócić do Anglii.
- Nie powinna była tu przyjeżdżać.
 - Uważasz, że Evan powinien był ją zostawić?
 - Ona jest zbyt bojaźliwa na taką wyprawę. Ale **jeśli chce wracać** do domu, to przecież może w każdej chwili.
 - A Evan?
 - Evan ma tu pracę, którą musi wykonać.
 - Myślę, że on jest niezastąpionym członkiem zespołu.
 - Jest rzeczywiście. Jest dobrym archeologiem, naprawdę — **choć** ma raczej skłonności w kierunku teorii niż praktyki.
 - I dobrze się wam razem pracuje?

— Oczywiście.

— Wiedziałam. Uwielbiam cię, Teobaldzie, w każdym calu, tak jak Hakim-pasza uwielbiał mnie.

Ja spałam, ale wątpię, czy Teobald zasnął. Podejrzewam, że leżał, nie śpiąc, snując sny na jawie o chwale, którą znajdzie, gdy przedrze się do grobu, nienaruszonego — przed jego przyjściem — od czterech tysięcy lat.

Wczesnym rankiem Teodozja i ja poszłyśmy na *souk*. Upały były teraz uporczywe. Teodozji dokuczały bardzo i jej pragnienie powrotu do domu przeradzało się w obsesję, podobnie jak lęki związane z urodzeniem dziecka.

Robiłam co mogłam, by ją pocieszyć. Mówiłam, że kobiety tutaj wychodziły w pole, rodziły dzieci i od razu przystępowały znów do pracy. Słyszałam takie opowieści.

To ją uspokajało, ale wiedziałam, że nigdy nie będzie zupełnie spokojna, dopóki nie zaczniemy planować powrotu.

Była rozdarta pomiędzy pragnieniem powrotu do domu i pozostania z Evanem.

— Gdzie byś pojechała? — zapytałam. — Do Keverall Court i twojej matki?

Wykrzywiła usta.

— No, przynajmniej nie byłoby tak przeraźliwie gorąco. I tam jest Sabina.

Sabina też spodziewała się dziecka. Jej reakcje były zupełnie inne niż Teodozji, sądząc z jej listów, w których, tak samo jak w rozmowie, przeskakiwała z tematu na temat. Wydawała się zachwycona, i tak samo Alison; Dorcas i Alison były cudowne.

Zdaje się, że wiedzą wszystko o dzieciach — choć skąd mogą wiedzieć, jest trochę zagadkowe, chociaż naturalnie miały Ciebie, gdy byłaś mała, a wydaje mi się, moja Judytko, że musiałaś być dzieckiem jedynym w swoim rodzaju. Nigdy nie było dziecka pogodniejszego, inteligentniejszego, piękniejszego, lepszego, bardziej nieusłuchanego (choć rozplywają się z zachwyty nad Twoją niegrzecznością), wszystko to oczywiście według Twoich ciotek, a ja nie wierzę w ani jedno słowo.

Jak to przywodziło wspomnienie Sabiny; muszę wyznać, że tęskniłam też trochę za tymi ukwieconymi dolinami, porośniętymi śnie-

kami i postrzępionymi firletkami, i dzwonekami strojącymi w patriotyczne barwy zielone tło, a tu i ówdzie dzikimi, fiołkoworóżowymi storczykami. Jakże to inne od tej rozprażonej i jałowej ziemi; brakowało mi Dorcas i Alison i bardzo bym chciała zająć na starą plebanię i posłuchać bezładnego paplania Sabiny.

Spojrzałam na niebo połyskujące błękitem przez wąskie szczeliny między dwoma rzędami domów; a wonie i widok bazaru porwały mnie i wprawiły w ten stan urzeczenia, który nigdy tu we mnie nie zamierał.

Przechodziłyśmy obok sklepu, w którym zazwyczaj siadywała Yasmin z głową pochyloną nad robotą, ale tego ranka jej nie było. Na jej miejscu był chłopiec; pochylał się nad skórą, pracując w pocie czoła.

Przystanęłyśmy.

— Gdzie jest dziś Yasmin? — zapytałam.

Podniósł głowę i spojrzał ukradkiem. Potrząsnął głową.

— Nie jest chora? — zawołałam.

Ale nie mógł mnie zrozumieć.

— Myślę — powiedziałam do Teodozji — że ma wolny dzień.

Poszłyśmy dalej.

Z przykrością zobaczyłam wróżbiarza, siedzącego na chodniku.

Podniósł głowę, gdy przechodziłyśmy.

— Niech Allah będzie z wami — wymamrotał.

W jego twarzy było tyle nadziei, że nie mogłam przejść mimo, szczególnie gdy spostrzegłam, że jego miska była pusta.

Przystanęłam i wrzuciłam coś do niej; od razu zrozumiałam, że popełniłam błąd. Nie był żebrakiem. Był dumnym człowiekiem, który wykonywał swój zawód. Zapłaciłam, a więc trzeba mi przepowiedzieć los.

Usiadłyśmy więc jeszcze raz na matach koło niego.

Powiedział.

— Cień się rozszerza, *ladies*.

— Ach, tak — rzuciłam lekko — mówiliście nam to już przedtem.

— Kołuje w górze jak nietoperz... jak wielki czarny nietoperz.

— To brzmi raczej nieprzyjemnie — powiedziałam.

Nie zrozumiał mnie, ale ja chciałam tylko uspokoić Teodozję.

— A lady została pobłogosławiona. Lady urodzi dziecko. Wracaj do zielonego kraju, milady. Tam będziesz bezpieczna.

O mój Boże — pomyślałam. — To najgorsze, co mogliśmy zrobić.
Teodozja podniosła się z maty, a wróżbiarz pochylił się ku mnie.
Jego palce jak brązowe kleszcze ścisnęły przegub mojej ręki.

— Pani wielka lady. Mówi „iść” i posłuchają. Pani wielka piękna lady. Wielki nietoperz jest blisko.

Spojrzałam na jego ramię i znów zobaczyłam znak — głowę szakala.
Była podobna do tej, którą miał człowiek ukąszony przez skorpiona.

Powiedziałam:

— Nic mi nie powiedzieliście poza tym, że nietoperz krąży dokoła.
Czy nic nie ma innego?

— Allah będzie dla ciebie łaskawy. On daje dużo. Wielką radość,
dużo synów i córek, wielki piękny dom... ale w twoim zielonym kraju,
lady. Nie tutaj. Ty musisz wybrać. Nietoperz jest już bardzo blisko.
Może być za późno... dla ciebie... i dla tej lady.

Wrzuciłam jeszcze kilka monet do miseczki i podziękowałam mu.

Teodozja drżała. Wzięłam ją pod ramię.

— Szkoda, że słuchałyśmy tych bzdur — powiedziała. — To samo
mówi każdemu.

— Każdemu?

— Tak. Tabita też została poczęstowana nietoperzem.

— Widzisz, ona jest jedną z nas. To zagraża nam wszystkim.

— Och, Teodozjo, nie powiesz mi, że w to wierzysz. To są rzeczy,
które mówi się wszystkim.

— Dlaczego on chce nas stąd wystraszyć?

— Bo jesteśmy tu obcy.

— Ale jesteśmy cudzoziemcami, którym przepowiada losy i którzy
kupują różne rzeczy na *souku*. Oni wszyscy wydają się uszczęśliwieni, że
nas tu widzą.

— Ach, ale on myśli, że my chcemy być straszone. Wszystko wtedy
staje się bardziej podniecające.

— *Ja* nie chcę być straszona.

— Nie masz się czego bać, Teodozjo. Pamiętaj o tym.

ŚWIĘTO NILU

Teobald był w euforii. Był teraz pewien, że jest na właściwym tropie. Roboty w starym grobie wykazały ponad wszelką wątpliwość, że za ścianą, którą teraz przekopywali, była inna sala. Już od kilku miesięcy byliśmy w Egipcie i najwyższy czas — mówił — żebyśmy mieli jakieś wyniki pracy. Po to przecież przyjechaliśmy tutaj.

— To będzie wielkie rozczarowanie — powiedział — jeśli się okaże, że ktoś już tu był.

— Ale jeśli grób był ukryty za innymi, to czy mógł ktoś w nim być?

— Nie, chyba że jest inny dostęp, co nie jest wykluczone. Znów prace zostaną zahamowane z powodu święta Nilu, które nadciąga. Cały kłopot z tymi świętami polega nie tylko na tym, że są, ale że nie przypadają w określonym czasie. To święto będzie zależało od stanu rzeki.

— Dlaczego?

— Bo jest to coś w rodzaju ceremonii przebłagalnej. Jej początki sięgają tysiące lat wstecz, gdy Egipcjanie czcili rzekę. Wierzyli, że powinna być zjednywana i uspokajana, tak aby, jeśli wyleje, nie wystąpiła z brzegów w takim stopniu, by porwać za sobą całe wioski. To się często zdarzało i zdarza się do dziś. Stąd ta ceremonia.

— Czy oni naprawdę myślą, że jeśli odprawią tę ceremonię, rzeka nie przekroczy swoich granic?

— Teraz to jest zwyczaj, powód do świętowania. 'Ale dawniej było traktowane poważnie. Naprawdę składano wtedy ofiary z ludzi. Teraz wrzucają do rzeki lalkę — czasem wielką — naturalnej wielkości,

pięknie ubraną. Symbolizuje ona dziewicę, którą wrzucano w dawnych czasach do rzeki.

— Biedne dziewice! To były dla nich złe czasy. Zawsze były rzucające na pożarcie smokom albo przykuwane do skał czy coś w tym rodzaju. To nie był przyjemny los w dawnych czasach być dziewicą.

— Nie wątpię, że będziesz zachwycona obchodami, ale praca będzie wstrzymana, a to jest ostatnia rzecz, której bym pragnął w tym momencie.

— Nie mogę się doczekać, Teobaldzie, kiedy postawisz stopę w tym nienaruszonym grobie. Bo to będziesz ty, prawda? Jakże będę szczęśliwa z twojego powodu! Będzie tak jak chciałeś. Zobaczysz ślady stóp ostatniego człowieka, który opuścił grób przed jego zapieczętowaniem! Jakież to będzie dla ciebie wzruszające, i zasługujesz na to!

Zaśmiał się do mnie w ten czuły, pobłażliwy sposób, który tak dobrze znałam.

Rozpaczliwie pragnęłam, żeby mu się powiodło.

Mieliśmy znak wskazujący, kiedy powinno przypaść święto Nilu. Wody podnosiły się szybko, co znaczyło, że opady w centrum Afryki były w tym roku wielkie; można więc było obliczyć dzień, kiedy dosięgną naszych okolic.

Od wczesnego ranka brzegi rzeki zaludniły się gęsto. Wszędzie krążyły *arabiye*; niektórzy podróżowali na wielbłądach, ich dzwonki pobrzękiwały wesoło, jak dzwonki trzody paszy. Pogardliwie schodziły do rzeki, jak gdyby wiedząc, że są najbardziej użytecznymi zwierzętami w Egipcie. Poduszkowate stopy umożliwiały im stąpanie z równą łatwością po bruku i po piasku; z ich sierści robiono koce i burnusy z kapturami, tak ulubione przez Arabów, ich skóry wyprawiano, a szczególną woń, która zdawała się przenikać wszędzie, wydzielało ich łajno, którego używano na opał.

Wielkie podniecenie tego dnia wiązało się z problemem — jak się zachowa rzeka? Jeśli przybór będzie wielki, brzegi znajdą się pod wodą; przy umiarkowanym deszczu będzie można podziwiać piękny widok podnoszącej się rzeki bez niebezpieczeństwa zalania.

Ale to było święto, a oni wszyscy uwielbiali święta. Na *souku* większość kramów była zamknięta, ale wokoło unosił się zapach gotowanego jedzenia; będą sprzedawać orzechowe rachatłukum, małe

płaskie ciasteczka z zasmażanej mąki i miodu, *herish* i baraninę albo wołowinę skwiercząca w rynce na ogniu z palonego wielbłądźiego nawozu i podawaną na patykach, by jedzący mógł ją zanurzyć w kotle z parującym aromatycznym sosem; będą sprzedawcy lemoniady w szatach w czerwone pasy, obnoszący swoje dzbany i szklanki; będą stoiska, na których można kupić szklankę naparu z mięty. Żebracy napływali zewsząd — żebracy ślepi, żebracy beznodzy i bezręcy; wzbudzający największą litość widok mógł odjąć całą radość temu dniu wesela. Oto tu siedzieli; często podnosili swe niewidzące oczy ku niebu, trzymając przed sobą swe żebracze torby, prosząc o bakszysz lub wzywając Allaha, by pobłogosławił tym, którzy ich nie ominęli.

To była barwna, pełna ruchu sceneria; nasza ekipa oglądała ją z najwyższego tarasu pałacu — stąd mogliśmy obserwować scenę, nie biorąc w niej udziału.

Siedziałam obok Teobalda; Terence Gelding z jego drugiej strony i obok Tabita; po lewej miałam Evana i Teodozję.

Teobald powiedział, że według niego rzeka będzie spokojna. Należało mieć nadzieję, że tak będzie. Gdyby wylała, niektórzy z jego robotników mogliby zostać odkomenderowani do prac na obszarach dotkniętych katastrofą, a to by oznaczało zwłokę.

Hadrian podszedł do nas. Pomyślałam, że jest trochę napięty i zastanawiałam się, czy może upał jest dla niego zbyt uciążliwy. Może — myślałam — są jakieś granice napięcia. To wszystko trwa tak długo i nie zdarzyło się nic decydującego. Widziałam, jak uparty jest Teobald, i że każdego dnia, gdy wstaje, mówi sobie, że to będzie dzień wielkiego odkrycia, ale każdego wieczora wraca do pałacu rozczarowany.

Wody rzeki wyglądały czerwono, gdy nadpłynęły w wirach, bo pochłoneły po drodze jakąś żyzną ziemię. Ludzie wzdrygali się ze zgrozą, pokazując sobie tę czerwień. Kolor krwi! Czyżby rzeka była w mściwym nastroju?

Z minaretu dobiegł głos muezzina: Allah jest wielki, a Mahomet jest jego prorokiem.

Cisza zapadła natychmiast, mężczyźni i kobiety zamarli, pochylając głowy w modlitwie.

Milczeliśmy na tarasie; myślałam o tym, jak wielu ludzi błaga Allaha, by nie dopuścił do wystąpienia rzeki z brzegów i zalania ziemi.

Byłam przekonana, że choć modlili się do Allaha i jego prcroka Mahometa, wielu z nich wierzyło, że gniew bogów trzeba uśmierzyć i że gdy symboliczna dziewica zostanie wrzucona w te kipiące fale, zagniewany bóg, który podniósł wody, zostanie zaspokojony i rozkaże im, by się uciszyły, i nie wyrze zemsty na biednych mieszkańcach tej ziemi.

Obserwowaliśmy pochód kierujący się ku brzegowi. Chorągwie niesiono wysoko; były na nich napisy, nie wiem czy z Koranu; może nie, pomyślałam, skoro to była ceremonia odprawiana według przekazów z lat przed narodzeniem Proroka.

W centrum pochodu był powóz, a w nim naturalnej wielkości lalka, która miała symbolizować dziewicę. Na brzegu zostanie wyjęta i rzucona do rzeki.

Patrzyłam na lalkę. Do złudzenia przypominała młodą dziewczynę — jaszmak zasłaniał dół jej twarzy; na rękach miała srebrne bransolety i ubrana była we wspianiałą białą suknię.

Gdy pochód przechodził koło nas, przez kilka sekund widziałam ją wyraźnie. Nie mogłam uwierzyć, że to nie jest rzeczywista dziewczyna; było przy tym w niej coś znajomego.

Leżała w swym powozie z zamkniętymi oczami.

Pochód przeszedł.

— Jak żywa, ta lalka — powiedział Hadrian.

— Dlaczego oni robią lalki z zamkniętymi oczami? — zapytał Evan.

— Przypuszczam — wtrąciłam — że ona wie, co ją czeka. To możliwe, że gdy ktoś ma być wrzucony do rzeki, nie chce widzieć tłumy... wszyscy przyszli popatrzeć na to widowisko.

— Ale to jest lalka — zaprotestował Hadrian.

— Sądzę, że powinna być tak realistyczna, jak tylko to możliwe — powiedziałam. — Przypomina mi kogoś. Wiem. Małą Yasmin, dziewczynę, która robiła moje pantofle.

— Oczywiście — powiedziała Teodozja. — Właśnie o niej pomyślałam.

— To wasza znajoma? — zapytał Hadrian.

— Dziewczyna, u której kupujemy na *souku*. To słodkie stworzenie i mówi trochę po angielsku.

— Naturalnie — powiedział Hadrian — wydaje nam się, że dużo ludzi jest tu do siebie podobnych. My też musimy im się wydawać podobni.

-ic Ty i Teobald, na przykład, an/t roczę nie jesteście do siebie podobni, a Evan jest zupełnie inny niż wy obaj, i Terence, i cała reszta.

— Nie kłóćmy się w najważniejszej chwili. Patrz.

Patrzyliśmy. Lalkę uniesiono w górę i rzucono we wzburzone wody Nilu.

Patrzyliśmy, jak kołysała się na falach i wreszcie zatonęła. Dało się słyszeć przeciągłe westchnienie. Gniewny bóg przyjął ofiarę. Można teraz oczekiwać, że rzeka nie wystąpi z brzegów. Nie zatopi ziemi.

Dziwne, nie wystąpiła.

Do pałacu nadeszły dary — hołd ze strony paszy i świadectwo jego dobrej woli. Dla mnie była ozdoba — myślę, że można zrobić z tego broszkę. Zrobiona z pereł i lazurytu miała kształt kwiatu lotosu i była bardzo piękna. Teodozja i Tabita dostały podobne, ale moja była najkunsztowniej wykonana.

Teobald śmiał się, gdy to zobaczył.

— Jesteś najwyraźniej uprzywilejowana — powiedział. — To jest święty kwiat w Egipcie i symbolizuje budzenie się duszy.

— Muszę napisać list z podziękowaniem i ozdobić go pochlebstwami — odpowiedziałam.

Teodozja pokazała mi swoją ozdobę — była z chalcedonu i skalenia.

— Wolałabym, żeby tego nie przysyłał — powiedziała. — Wydaje mi się, że wiąże się z tym coś złego.

Biedna Teodozja przechodziła ciężkie chwile; źle się czuła każdego ranka, ale najbardziej alarmująca była nostalgia. Evan musiał być bardzo nieszczęśliwy. Powiedział mi, że po zakończeniu tej kampanii chyba będzie się starał pozostać w kraju. Sądził, że spokojne uniwersyteckie życie powinno odpowiadać Teodozji. Musiała naprawdę popaść w melancholię, jeśli niezwykle dar wydał jej się czymś zagrażającym.

Gdy szłyśmy na *souk*, powiedziała, że Mustafa był przerażony, gdy zobaczył tę ozdobę.

— Mustafa! — zawołałam. — Mam nadzieję, że nie zaczną znów swoich nawoływań: „Wracaj do domu, milady”.

— Bał się jej dotknąć. Powiedział, że oznacza coś związanego z budzeniem się duszy, ale tylko po śmierci człowieka.

— Co za bzdura! Chodzi po prostu o to, że oni obaj chcą wrócić do Giza House. Próbują więc nas nastraszyć, żebyśmy namówiły Teobalda do powrotu. Oni naprawdę muszą być na pół ogłupiali, jeśli sobie wyobrażają, że możemy to zrobić.

— Teobald wolałby widzieć nas wszystkich martwymi, byleby nie musiał przerywać szukania swego grobu.

— To krzywdzące, absurdalne i śmieszne, coś takiego mówić.

— Naprawdę? On wszystkich zamęcza. Nienawidzi wszystkich świąt i uroczystości. Ciągłe rwie się naprzód i naprzód... jest jak ktoś, kto zaprzedał duszę diabłu.

— Co ty za brednie mówisz!

— Wszyscy mówią, że tam nic nie ma. Pozostawanie tu to marnowanie pieniędzy. Ale Teobald tego nie uznaje. On musi dalej się posuwać. Sir Edvard umarł, prawda? A przed śmiercią wiedział, że nie udało mu się znaleźć tego, czego szukał. Teobaldowi też się nie udało. Ale on tego nie przyzna.

— Nie wiem, skąd czerpiesz te informacje.

— Gdybyś nie była tak zaślepiona na jego punkcie, też byś to widziała.

— Posłuchaj! Idą pewnym tropem, wewnątrz grobowca. Możliwe, że dokonają największego z dotychczasowych odkryć.

— Och, ja chcę wrócić do domu. — Zwróciła ku mnie bladą twarz i poczułam taką dla niej litość, że wybaczyłam jej atak na Teobalda.

— To już nie będzie długo trwało — powiedziałam pocieszająco. — Ty i Evan będziecie mogli wrócić na uniwersytet. Będziesz miała maleńkie dziecko i już zawsze będziecie żyć w spokoju. Staraj się nie skarżyć zanadto, Teodozjo. To bardzo martwi Evana. I wiesz, że możesz wrócić do Keverall Court. Twoja matka się ucieszy, jeśli do niej przyjedziesz.

Przeszył ją dreszcz.

— To ostatnie, czego bym chciała. Wyobraź sobie, co by było! Rządziłaby wszystkim. Nie, uciekłam od mamy, gdy wyszłam za mąż. Nie chcę do tego wracać.

— Staraj się to znieść. Przestań rozmyślać i widzieć we wszystkim zło. Ciesz się osobliwościami tutejszego życia; musisz przyznać, że to jest fascynujące.

— Nie mogłam patrzeć na tę ceremonię związaną z rzeką. Nie mogłam się pozbyć myśli, że to Yasmin do niej wrzucono.

— Jakże by to mogło być? To była lalka.

— Lalka naturalnej wielkości!

— Oczywiście. Dlaczego nie? Chcieli, żeby była jak najbardziej podobna do człowieka. Pójdziemy teraz do niej i powiemy, jak bardzo lalka ci ją przypominała.

Weszliśmy w wąskie uliczki i skierowałam się, mijając tłumy, do sklepu z towarami skórzanymi, wyłożonymi na pokaz. Jakiś mężczyzna siedział na krześle, które zawsze zajmowała Yasmin. Zatrzymałam się, a on wstał spodziewając się, że coś kupimy.

Domyśliłam się, że to ojciec Yasmin.

— Niech Allah będzie z wami — powiedział.

— Iz wami — odparłam. — Szukamy Yasmin.

Ujrzałam przerażenie na jego twarzy.

— Słucham? — powiedział.

— Yasmin. To pańska córka?

— Nie rozumiem.

— Rozmawialiśmy z nią prawie codziennie. Nie widzieliśmy jej ostatnio.

Potrząsnął głową. Usiłował robić wrażenie zakłopotanego, ale byłam pewna, że rozumiał każde słowo.

— Gdzie ona jest? Dlaczego jej tu nie ma?

Potrząsał wciąż głową.

Ujęłam Teodozję za ramię i odeszliśmy. Nie zdawałam sobie sprawy z przepływających tłumów, gwaru głosów, tac z praśnym chlebem, skwierczenia mięsa, sprzedawcy barwnej lemoniady. Byłam jedynie zdolna myśleć o lalce wrzuconej w kipiące wody Nilu, która przypominała nam Yasmin.

A Yasmin teraz zniknęła.

Po powrocie do pałacu okazało się, że czekają na nas listy. To było zawsze wielkie wydarzenie. Zabrałam moje do sypialni, by przeczytać je w samotności.

Pierwszy był od Dorcas i Alison. Jakże lubiłam ich listy! Napisanie zajmowało im całe tygodnie, dodawały po kawałku każdego dnia, tak że czytało się je jak dziennik. Mogłam sobie wyobrazić

„list do Judyty” leżący na biurku w bawialni i Dorcas lub Alison chwytające za pióro, gdy zdarzyło się coś godnego odnotowania.

Co za pogoda. Będzie dobry urodzaj w tym roku. Wszyscy mamy nadzieję, że deszcz nie spadnie. Jack Polgrey zatrudnia ludzi aż z Devonu, przewidując rekordowe zbiory.

Jabłka obrodziły, i tak samo gruszki. Miejmy nadzieję, że osy nie dobiórą się do sliwek. Sama dobrze wiesz, jakie one są!

Sabina wygląda bardzo dobrze. Nie usiedzi w miejscu i Dorcas pomaga jej robić wyprawkę — choć jeszcze całe miesiące przed nią. Słowo daję, nie widziałam jeszcze takiej partaniny. Albo jej roboty na drutach. Dorcas codziennie pruje to, co ona robi, i poprawia, a ja mówię — dlaczego nie dać Dorcas zrobić wszystkiego — tylko, że Sabina chce mieć poczucie, że sama przygotowuje wyprawkę dla dziecka.

Dorcas pisała:

Wydaje się, że już tak dawno Cię nie widziałyśmy. Czy wiesz, że po raz pierwszy w życiu jesteśmy rozdzielone? Myślimy o tym, kiedy wrócisz do domu. Bardzo nam Ciebie brak.

Stary Pegger zmarł w zeszłym tygodniu. Myślę, że to wyzwolenie dla pani Pegger. Był trudnym mężem, choć nie należy mówić źle o zmarłych. Miał piękny pogrzeb, i Mateusz jest teraz nowym zakrystianem. Wykopał grób własnemu ojcu i niektórzy uważają, że to nie jest w porządku. Powinni byli kogoś innego do tego wziąć.

Oliver myśli o przyjęciu wikarego. Jest tyle pracy, a nasz Ojciec miał przecież w swoim czasie Olivera. Wydaje się, że nigdy nie odpoczywa; przyjemnie patrzeć, jak utrzymuje w całości parafię.

I tak dalej; żniwa nadeszły i były takie, jak się spodziewano. Jack Polgrey, który jest człowiekiem ekstrawaganckim w porównaniu ze swym skąpym ojcem, urządził po żniwach tańce w stodole i sprowadził skrzypków. Porobili lalki z kłósów i powiesili w kuchni aż do następnego roku, by zapewnić równie dobre plony.

— Myślę — powiedziałam — że to jest to, co nazywają „szczęśliwym wyzwoleniem”.

— Nigdy by go nie wyleczono. Och, Judyto, ty nie wiesz, co to znaczy. Nareszcie... jestem wolna.

Powiedziałam łagodnie:

— Mogę to zrozumieć. Pozwól, że coś ci podam. Może trochę brandy?

— Nie, dziękuję.

— To poślę po miętę.

Nie odpowiedziała; pociągnęłam za dzwonek.

Ukazał się Mustafa. Kazałam mu przynieść napar, który bardzo szybko podał. Siedziałyśmy, popijając orzeźwiający napój; opowiedziała mi o długich, męczących latach, gdy była i nie była zarazem żoną.

— Musiałam go oddać do zakładu więcej niż dziesięć lat temu, Judyto — powiedziała. — A teraz... — Jej piękne oczy były pełne blasku. — Teraz — powtórzyła — jestem wolna.

Bardzo chciała się zobaczyć z Teobaldem. Tylko jemu chciała powiedzieć. Nie dało się to zrobić, gdy wrócili, ponieważ Teobald został z ekipą do późna na terenie wykopalisk, obiad był już gotowy, kiedy przyszli, a po obiedzie chcieli znów wrócić do pracy. Obserwowałam Tabitę. Chciała mu przekazać wiadomość, gdy będą sami.

Czekała na niego, gdy wrócił do domu tej nocy. To było już po północy. Wiedziałam, że już wrócił, ale nie przyszedł od razu do naszego pokoju. Domyśliłam się, że Tabita czyhała na niego.

Czekałam. Minęła godzina, ale jego wciąż nie było.

Zadawałam sobie pytanie, dlaczego tak dużo czasu zajmuje jej powiadomienie go o tym, co się stało. Podstępne myśli jak drobne robaczki — i jak one wstrętne — rozpełzły się w mojej głowie. Myślałam o złowieszczych słowach niani. Oczywiście — były chaotyczne — ale powracały do mnie, nabierając teraz sensu. Pamiętam, jak zobaczyłam ich przy fortepianie. Wyglądali wtedy jak kochankowie, myślałam. Nie — to wyobraźnia. Jeśli Teobald kochał Tabitę, dlaczego ożenił się ze mną? Dlatego, że ona nie była wolna?

A teraz *była* wolna.

List od ciotek przywiódł mi je tak żywo na pamięć. Zdawało mi się, że słyszę Alison: „Mówisz bez zastanowienia, Judyto. W ten sposób

można zrobić dużo złego. Gdy chcesz z czymś wyskoczyć, najlepiej powstrzymaj się i policz do dziesięciu".

Mogłam policzyć do dziesięciu*, ale to nie pomagało. Musiałam uważać. Nie mogłam powiedzieć nic, czego mogłabym żałować. Zastanawiałam się, jak Teobald odnosiłby się do zazdrosnej żony.

Dlaczego on tak długo jest z nią? Czy uroczyście obchodzą odzyskanie przez nią wolności?

Budził się we mnie szalony gniew. Ożenił się ze mną, ponieważ wiedział, że jestem córką sir Ralfa. Wiedział? Skąd mógł wiedzieć? Ożenił się ze mną, bo wiedział, że odziedziczę pieniądze. Czy to wiedział? Ożenił się ze mną, ponieważ Tabita nie była wolna. *To* wiedział.

Niczego nie dowiodłam, czemu więc trapiły mnie te myśli? Czy dlatego, że jego oświadczenia były tak nagłe? Dlatego, że zawsze istniał jakiś szczególny związek między nim a Tabitą? Dlatego, że był tak oddany swemu powołaniu, a szczególnie tej wyprawie i potrzebne mu były pieniądze na jej sfinansowanie?

Kochałam Teobalda bez reszty. Moje życie nie miało sensu bez niego; a nie byłam jego pewna, podejrzewałam, że kochał inną kobietę, która aż do tej chwili była związana okrutnym węzłem małżeńskim z innym mężczyzną. Ale teraz była wolna.

Usłyszałam kroki za drzwiami. Teobald wracał. Zamknęłam oczy, bojąc się odezwać; nie ufałam sobie. Bałam się, że pozwolę wyjść na jaw tym wszystkim podejrzewaniom, które kłębiły się w mojej głowie. Bałam się, że gdy wypowiem przed nim moje wątpliwości i lęki — one się potwierdzą.

Leżałam bez ruchu, udając sen.

Usiadł na krześle i pogrążył się w myślach. Wiedziałam, o czym myśli: Tabita jest wolna.

Siedział tak niemal całą godzinę. A ja ciągle udawałam, że śpię.

Dlaczego wszystko wygląda inaczej o wschodzie słońca? Tu na niebie było oślepiające białe światło, na które nie można było patrzeć; u nas błyszczało łagodnie i choć nie można było polegać na nim, że ukaże się każdego dnia, z tym większą radością witało sieje, gdy się pojawiało. I wystarczyło, by się pokazało, a lęki — wszechogarniające nocą — zaczynały się rozwiewać.

Jakże byłam szalona! Teobald kochał mnie. To było oczywiste. Ale umiał równocześnie okazywać uczucia innym i to właśnie Tabicie. Należała do jego rodzinnego grona przede mną, była zaprzyjaźniona z rodziną, więc to naturalne, że jej sprawy obchodziły go żywo. Niania nie miała już sprawnego umysłu. Powzięła nieuzasadnioną niechęć do Tabity, a ja zbudowałam na tym swoje podejrzenia.

W świetle dnia widziałam to wyraźnie.

Wyśmiałam siebie samą. Dorównywałam prawie Teodozji.

Zdałam sobie sprawę, że od czasu święta Nilu ogarnął mnie niepokój. Gdybym mogła zobaczyć Yasmin i pomówić z nią jak dotychczas, poczułabym się inaczej. Nie lubiłam tajemnic.

Teodozja nie czuła się dobrze. Tabita powiedziała, że pójdzie ze mną na *souk*.

Rozmawialiśmy po drodze o wiadomości, którą dostała.

— To chyba źle, że odczuwam ulgę, ale nic na to nie mogę poradzić — powiedziała. — To w żadnym wypadku nie było dla niego życie, Judyto. Przeważnie nie zdawał sobie sprawy z tego, kim jest.

— Myślę, że nie powinnaś sobie wyrzucać tego, że czujesz się wyzwolona — zapewniłam ją.

— Jednak tak jest. Człowiek zawsze myśli o tym, czy zrobił wszystko, co mógł.

— Ale co mogłaś zrobić?

— Nie wiem. Ale byłam szczęśliwa tylko wtedy, gdy mogłam zapomnieć o jego istnieniu... a to chyba źle.

Spojrzałam na nią. Wyglądała inaczej — młodziej, i piękność jej nabrała blasku, który ją podkreślał.

Mijałyśmy sklep Yasmin. Stary człowiek był na jej miejscu. Podniósł oczy i zobaczył mnie. Wiedziała, że już miał na ustach zwykłe „Allah z wami!”, ale rozmyślił się. Przybrał pozór bardzo zajętego pracą.

Poszłyśmy dalej. Wróżbiarz, gdy go mijałyśmy, zaczepił nas.

Tabita usiadła przy nim na macie.

— Wielki ciężar został zdjęty, lady — powiedział. — Dawno nie byłaś tak szczęśliwa.

Spojrzał na mnie i wskazał miejsce obok.

— Jesteś kochana — powiedział do Tabity. — Powinnaś odjechać, odjechać do ziemi deszczu. Powinnaś odjechać... i żyć w wielkiej radości... bo jesteś kochana i ciężar spadł z twoich ramion.

Twarz Tabity pokryła się ciemnym rumieńcem.

Pomyślałam: On mówi o Teobaldzie. Teobald ją kocha i ona kocha Teobalda, i jest wolna... choć on już nie jest wolny. Dlaczego nie czekali? Nie powinien był spieszyć się z małżeństwem ze względu na...

Wróżbiarz utkwiał we mnie oczy.

— Wracaj, lady — powiedział. — Nietoperz krąży nad tobą. Krąży jak wielki ptak. Czeka.

— Dziękuję — powiedziałam. — Moja przyszłość wygląda zawsze tak samo. Mam nadzieję, że pewnego dnia nie będzie w niej nietoperza.

Nie zrozumiał; wrzuciłyśmy monety do miseczki i odeszłyśmy.

— No tak — powiedziała Tabita — jest taki sam jak Cyganie u nas. Przepowiadają taki los, jaki według nich może wyrzucić największe wrażenie.

— Na mnie już te ponure wróżby nie robią wrażenia. Ale bardzo zdenerwowały Teodozję.

— Ci ludzie mają zupełnie inne podejście do życia niż my. Odpowiada im raczej fatalistyczna perspektywa. Lubią sobie wyobrazić niebezpieczeństwo, którego unika się dzięki mądrości. On ci to właśnie podsuwa.

— To w najwyższym stopniu niegościnnie zawsze mnie namawiać, żebym wróciła do domu. Dziwi mnie, dlaczego, skoro jestem zupełnie dobrą klientką. Straciłby przecież, gdybym potraktowała poważnie jego gadanie o śmierci.

— Przyznaję, że to trochę dziwne.

— Przynajmniej miał rację, mówiąc o ciężarze zdjętym z twoich bark. Myślę, że ktoś mu przekazuje informacje o nas i on to wykorzystuje w swoich przepowiedniach.

— Nie zdziwiłoby mnie to — powiedziała Tabita.

Później tego samego popołudnia, gdy siedziałam na tarasie, Evan usiadł przy mnie. Zawsze lubiłam tu siedzieć i patrzeć na zachód słońca. Fascynowało mnie to, że w jednej chwili było jeszcze widoczne,

a w następnej zachodziło i prawie natychmiast zapadała ciemność. Tęskniłam wtedy za długim zmierzchem u nas, gdy niebo powoli ciemniało i wieczór ociągał się z nadejściem.

Evan powiedział:

— Dobrze, że jesteś sama, Judyto. Chciałem z tobą porozmawiać o Teodozji.

— Jak ona się dziś czuje? — zapytałam. ~

— Jest bardzo zgnębiona.

— Czy uważasz, że powinna wrócić do Anglii?

— Bardzo bym tego nie chciał, a jednak zaczynam myśleć, że to byłoby dla niej najlepsze.

— Nie będzie chciała cię zostawić. Czy nie możesz z nią pojechać?

— Nie wiem, czy Teobald mógłby mnie zwolnić.

— Ach... rozumiem.

— Myślę, że gdyby to było konieczne, zwolniłby mnie... ale aż tak nie jest. Klimat nie jest dla Teodozji odpowiedni, a teraz, gdy spodziewa się dziecka...

— Wiem, ale wyjedziemy przedtem.

— Na pewno, ale nie wydaje się, żeby czuła się lepiej... właściwie gorzej się czuje. Coś tu jest, w tym miejscu, co wywiera na nią dziwny wpływ.

— Może więc pojechałyby do Anglii i poczekała na ciebie?

— Nie sądzę, żeby chciała wrócić do naszego mieszkania uniwersyteckiego. Mogłaby pojechać do matki, ale wiesz, jak tam jest. Lady Bodrean nigdy właściwie nie pogodziła się z naszym małżeństwem. Myślę, że Teodozja nie byłaby zbyt szczęśliwa w Keverall.

— Może mogłaby zamieszkać w Tęczowym Domku? Ciotki rozpuszczałyby ją z radością. Albo na plebanii, u Sabiny.

— To jest myśl, ale wiem, że nie będzie chciała mnie zostawić... ani ja nie chciałbym tego.

— Możesz ją w każdym razie zapytać.

— Zrobię to — powiedział i zdawało się, że trochę poweselał.

Następnego dnia, gdy byłam na dziedzińcu, usłyszałam szept:

— Milady.

Rozejrzałam się i w pierwszej chwili nie spostrzegłam nikogo, ale zaraz jakaś postać wynurzyła się pomiędzy krzewów w kącie dzie-

dzińca. Był to młody Arab; nie mogłam sobie przypomnieć, bym go przedtem widziała.

— Lady — powiedział — ma czary w słoiku.

Wyciągnął rękę, która lekko krwawiła.

— Ależ oczywiście, opatrzę ją — powiedziałam — ale najpierw trzeba to oczyścić. Wejdz.

Wprowadziłam go do małego pomieszczenia, z którego często korzystała Tabita i które otwierało się na dziedziniec. Tu układała kwiaty, gdy mogłyśmy je dostać. Postawiła tu lampę spirytusową, by można było zagotować wodę. Wzięłam jej trochę ze stojącego na ławie słoika i zagotowałam w rondelku. Kazałam chłopcu usiąść i poszłam do siebie po maść Dorcas.

Nie odrywał ode mnie wzroku, gdy obmywałam ranę, która była bardzo lekka, a gdy ją osuszałam, wyszeptał:

— Przychodzę, bo chcę mówić z lady.

Spojrzałam uważnie w jego błyszczące ciemne oczy; widać było, że jest wystraszony.

— Co chcesz mi powiedzieć?

— Chcę mówić o Yasmin. Pani bardzo dobra dla Yasmin.

— Gdzie ona jest?

— Jej nie ma. Modłę się do Allaha, żeby błogosławił jej duszę.

— Chcesz powiedzieć, że nie żyje?

Skinął głową i wyraz ogromnego bólu ukazał się na jego twarzy.

— Jak umarła? Dlaczego?

— Została zabrana.

— Przez kogo?

Czynił wysiłki, żeby mnie zrozumieć i przekazać mi to, co chciał. Przychodziło mu to z trudem.

— Kochałem Yasmin — powiedział.

— Pracujesz przy wykopaliskach? — zapytałam. — Pracujesz dla sir Teobalda Traversa?

Skinął głową.

— Bardzo dobry pan i bardzo dobra lady. Wielki sekret.

Powiedziałam:

— Możesz mi powierzyć swój sekret, zachowam go. Jak ci na imię?

— Hussein.

— No dobrze, Hussein, powiedz, co wiesz o zniknięciu Yasmin. Możesz polegać na mnie, że nikomu nie powiem, jeśli tak będzie lepiej.

— My się kochamy. Ale jej ojciec mówi: nie. Ona jest dla starego człowieka, co ma dużo kóz i sprzedaje dużo skóry.

— Rozumiem.

— Ale miłość jest mocna, lady, i my się spotykamy. Och, tego nie śmiem mówić. Obraziliśmy faraonów.

— Daj spokój, Husseinie. Dwoje kochanków nie może obrazić zmarłych faraonów. Na pewno poznali niejedną miłość w swoim życiu.

— Gdzie można się spotkać? Nie ma miejsca. Aleja pracuję. Ufają mi. Pracuję w starym grobie. Należę do najlepszych robotników sir Traversa. Wiem, kiedy będą roboty, a kiedy nie; i kiedy nie ma, spotykamy się tam... w grobie.

— Jesteś odważny, Husseinie. Mało kto chciałby się spotykać w takim miejscu.

— To jedyne miejsce, a miłość jest mocna, lady. Nigdzie nie możemy być bezpieczni i gdyby jej ojciec wiedział, wydałby ją zaraz za człowieka co ma dużo kóz.

— Rozumiem, ale gdzie jest Yasmin?

— To noc, kiedy przyjeżdża wielki pasza. Mamy się spotkać. Razem idziemy do grobu. Ale sir Travers mówi do mnie: „Hussein, musisz zanieść wiadomość do Ali Moussa”. To człowiek, który robi dla nich narzędzia. „I masz przynieść, o co proszę. Dam ci papier”. Muszę słuchać i nie mogę iść do grobu. Yasmin idzie sama... i to jest w noc przyjazdu paszy. Nigdy już jej nie widziałem.

— Ale mówiłeś o niej tak, jakby umarła.

— Ona umarła. Wrzucona do rzeki w dzień święta.

Zaczerpnęłam głęboko powietrza.

— Obawiałam się tego — powiedziałam. — Ale... dlaczego, Husseinie?

Podniósł na mnie oczy.

— Proszę mi powiedzieć, lady. Pani jest mądra. Dlaczego Yasmin rzucona krokodylom?

— Krokodylom? — wykrzyknęłam.

Pochylił głowę.

— Świętym krokodylom. Widziałem święte krokodyle z klejnotami w uszach i bransoletami z drogocennych kamieni na łapach. — Spojrzał przez ramię, jakby w obawie, że ktoś go zabije.

— Kto to zrobił? — zawołałam. — Kto mógł wrzucić Yasmin do rzeki?

— Wielcy ludzie, lady. Wielcy s^Nłni ludzie. Ona jakoś obraziła. To dlatego, że ona jest w grobie, w świętym grobie. To klątwa faraonów.

— Ależ, Hussein, faraonowie nie mogli tego zrobić. Zrobił to ktoś inny i musi być jakiś powód.

— Nie widziałem Yasmin od dnia, gdy byłem u Ali Moussa; ale myślę, że ona idzie do gcobu... sama.

— Ona jest dzielną dziewczyną.

— Dla miłości człowiek jest silny, lady.

— Czy myślisz, że ktoś odkrył, że ona tam jest?

— Nie wiem.

— Kiedy wrzucano ją do rzeki, nie dawała znaku życia. Wyglądała jak lalka naturalnej wielkości.

— Może już nie żyła, lady. Może dostaje narkotyk. Nie wiem. Wiem tylko, że nie żyje.

— Ale po co to zrobili? Jeśli ktoś chciał ją zabić, po co uciekać się do takiej wyrafinowanej metody?

— Lady widzi obraz na tych ścianach. Lady widzi jeńców, których faraonowie przywożą z wojen. Pani widziała, lady?

— Zastanawiałam się, kim są ci ludzie. Widywałam ich na tych malowidłach, przywiązanych do dzioba statku; innych bez ręki, bez ramion, bez nogi.

— Widziała pani, lady, co spotyka tych, co obrażają faraona. Oddani są krokodylom. Czasem odcinają rękę, nogę... ijeniec żyje. Sam widzi i inni widzą, co spotyka tego, kto obraża. Czasem rzucają ich krokodylom. Rozumie pani?

— Nie rozumiem, jak Yasmin mogła obrazić?

— Weszła do grobu, lady, do miejsca zakazanego.

— A co z resztą nas?

Dreszcz nim wstrząsnął.

— Hussein — powiedziałałam — czy jesteś pewien, że postać, którą wrzucono do rzeki, to była Yasmin?

— Czy kochanek może nie znać swej ukochanej?

Powiedziałam:

— Znałam ją bardzo słabo, ale wydawało mi się, że ją rozpoznaję.

— To była Yasmin, lady. I ja byłem w grobie... choć nie tej nocy, kiedy znikła.

— Boisz się, że ciebie też wezmą?

Skinął głową.

— Nie sądzę, Husseinie. Na pewno już by to dotychczas zrobili. Myślę, że tam ktoś był tej nocy, gdy ona była sama i ktokolwiek to był, zabił ją. Nie powinienes mówić nikomu, że was coś łączyło.

— Nie, nie powiem. To była nasza tajemnica. To dlatego wybrałiśmy takie miejsce.-

— Musisz być ostrożny, Husseinie. Nie mów o Yasmin. Nie okazuj swego żalu.

Przytakiwał, utkwivszy oczy w mej twarzy. Byłam wzruszona i trochę przestraszona jego wyraźną wiarą we mnie.

— To — pokazał na swoją rękę — nic. Przychodzę zobaczyć mądra lady.

, Chciałam przeciw temu zaprotestować, ale wiedziałam, że jedyny sposób, by go uspokoić, to pozwolić mu w to wierzyć.

— Cieszę się, że do mnie przyszedłeś — powiedziałam. — Przyjdź znowu, jeśli się czegoś dowiesz.

Skinął głową.

— Wiedziałem, że lady jest mądra — powiedział. — Lady ma czary w słoiku.

Nie mogłam czekać, aż Teobald będzie sam. Chciałam mu powtórzyć, czego się dowiedziałam od chłopca i zapytać, co można z tym zrobić. Jak trudno było znaleźć mego męża samego! Denerwowało mnie czekanie. Dopiero późno po południu zobaczyłam, że wraca do pałacu. Sprawiał wrażenie przygnębionego. Poszedł prosto do naszego pokoju, a ja pospieszyłam za nim. Siedział na krześle, wpatrując się w czubki butów.

— Teobaldzie — zawołałam —•• muszę ci coś powiedzieć.

Spojrzał trochę nieprzytomnie, jakby z trudem słyszał, co mówiłam. Wybuchnęłam:

— Yasmin nie żyje.

— Yasmin? — powtórzył.

— Och, oczywiście, nie możesz jej znać. To ta dziewczyna, która robiła skórzane pantofle na *souku*. Została wrzucona do rzeki w dniu święta Nilu.

— Och? — powiedział.

— To morderstwo.

Patrzył na mnie z zakłopotaniem i zdałam sobie sprawę, że nie uważa na to, co mówię.

Zawołałam gniewnie:

— Dziewczyna nie żyje... została zabita, a ty się nie przejmujesz. Yasmin była w grobie tej nocy, gdy przyjechał pasza i...

— Co? — zapytał.

Pomyślałam w rozdrażnieniu: Wystarczy wspomnieć o grobie i cały zamienia się w słuch! To, że tam weszła, jest dla niego ważniejsze niż to, że spotkała ją śmierć.

Powiedziałam:

— Był u mnie jeden z twoich robotników. Jest przerażony, nie bądź więc dla niego surowy. Grób był ich miejscem spotkań, a dziewczyna nie żyje.

— Miejsce spotkań w grobie! Nie ośmieliliby się.

— Jestem pewna, że nie kłamał, ale istotne jest to, że dziewczyna nie żyje. Wrzucono ją do rzeki w dniu święta.

Teobald powiedział:

— Teraz wrzucają do rzeki lalki.

— Tym razem wrzucili Yasmin. Zdawało mi się, że ją poznaję. Tak samo Teodozji. A teraz wiemy na pewno. Teobaldzie, co z tym zrobisz?

— Judyto, ekscytujesz się czymś, co nie jest naszą sprawą.

— Chcesz powiedzieć, że mamy spokojnie patrzeć, jak kogoś mordują?

— Ktoś ci tak powiedział. Kto to był?

— Jeden z twoich robotników. Nie chcę, żebyś był dla niego surowy. Dość wycierpiał. Kochał Yasmin, a teraz ją utracił.

— Myślę, że padłaś ofiarą mistyfikacji, Judyto. Niektórzy z tych ludzi uwielbiają dramaty. Opowiadacz na *souku* zawsze opowiada

historie o kochankach, którzy umierają z miłości, i sam jest twórcą tych opowieści.

— Jestem pewna, że ten nie stworzył swojej. Co możemy z tym zrobić?

— Zupełnie nic... nawet jeśli to prawda.

— To znaczy mamy patrzeć bezradnie i sankcjonować morderstwo?

Popatrzył na mnie ostrzegawczo.

— Nie jesteśmy sędziami tych ludzi. Pierwsze, czego trzeba się nauczyć, to niewtrącania się. Niektóre ich obyczaje wydają nam się niesamowite... nawet barbarzyńskie... ale przyjeżdżamy tu jako archeolodzy i uważamy się za szczęśliwych, że wolno nam wykonywać naszą pracę. Jedną z kardynalnych zasad, to nieingerencja.

— W zwykłych okolicznościach tak... ale to...

— To brzmi absurdalnie. Nawet w dawnych czasach, gdy rzucono do rzeki dziewczynę, co było częścią obchodów, musiała to być dziewczina. Wydaje mi się, że twoja Yasmin nie mogła chyba nią być, skoro spotykała się ze swym kochankiem w tym dziwnym miejscu.

— Ktoś chciał się jej pozbyć.

— Jest wiele sposobów pozbywania się zwłok, nie muszą być tak kunsztownie wypracowane i publiczne.

— Myślę, że to było ostrzeżenie.

Przesunął dłonią po czole ze znużeniem.

— Teobaldzie, wydaje mi się, że ty nie słuchasz uważnie.

Spojrzał na mnie poważnie i powiedział:

— Zakpńczyliśmy wykopy, w których pokładaliśmy nadzieję. I doprowadziły nas do sali, która okazała się ślepą ulicą. Dalej nic nie ma. Musiała być tam zbudowana po to, by wprowadzić w błąd rabusiów. No cóż, to *my* zostaliśmy całkowicie wprowadzeni w błąd.

— Teobald!

— Tak, cała nasza praca przez ostatnie miesiące do tego prowadziła. Można uznać, że nasze wysiłki i wszystkie pieniądze, które w to włożyliśmy, poszły na marne.

Chciałam mu dodać otuchy; chciałam objąć go ramionami i ukołysać jak rozczarowane dziecko. I wtedy zdałam sobie sprawę, że nie byliśmy sobie naprawdę tak bliscy, jak kazała mi wierzyć namiętność, która nas łączyła.

Wewnętrznie był ode mnie daleko; nie mogłam powiedzieć nic, co nie brzmiałoby banalnie. Uświadomiłam sobie w tej chwili, że praca była dla niego ważniejsza niż cokolwiek innego na ziemi.

— A więc — powiedziałam chłodno, praktycznie, panując całkowicie nad uczuciami — to koniec.

— To zupełne fiasko — powiedział.

Głupio byłoby powiedzieć, że mi przykro. Milczałam.

Wzruszył ramionami i nienaturalna cisza trwała nadal.

Wiedziałam, że zapomniał zupełnie o Yasmin, że naprawdę wcale o niej nawet nie pomyślał. Zdałam sobie sprawę, że nie był chyba świadomy mojej obecności.

Myślał wyłącznie o Niepowodzeniu.

I

TRAGEDIA NA POMOŚCIE

Następnego dnia wszyscy mówili o powrocie. To była jedna z najkosztowniejszych kampanii wykopaliskowych, jakie kiedykolwiek podjęto, a skończyła się niepowodzeniem.

Teobald popełnił wielki błąd. Zwiodły go słowa ojca przed śmiercią. Wszystko do tego wracało. Ponieważ jego ojciec zmarł w tajemniczy sposób — a to była tajemnicza śmierć, cokolwiek by się o tym nie mówiło — Teobald wierzył, że musiał być u progu wielkiego odkrycia. Wierzyli w to także inni. A teraz zrozumieli poprzez gorzkie rozczarowanie, rozwianie nadziei i zmarnowanie wielkiej sumy pieniędzy, że stworzyli sobie iluzję.

Teodozja była niekłamanie szczęśliwa. Myśl o powrocie podnosiła ją na duchu.

— Oczywiście, żal mi Teobalda — mówiła. — To dla niego wielki zawód. Ale tak cudownie lędzie znaleźć się znów w domu.

Hadrian powiedział:

— Więc to koniec. Wkrótce będziemy już w Anglii i skończy się nasza wielka przygoda. Czy to cię wyleczyło, Judyto? Szalałaś wprost, żeby tu przyjechać, prawda? A to nie było aż tak nadzwyczajne, jak mogło wyglądać z daleka. Och, znam cię. Judyto. Oczywiście wyobraźni widziałaś już, jak prowadzisz nas do zwycięstwa. Przewodziłaś nam, torowałaś drogę, aż w końcu przedzieraliśmy się i odkrywaliśmy nienaruszony grób wielkiego faraona. A oto jak wygląda rzeczywistość.

— Uważam, że jest fascynująca.

— I naprawdę nie miałabyś nic przeciwko temu, żeby zostać wdową po archeologu? Niektóre panie wcale tego nie pragną, zapewniam cię. I nie było ci żal, że jesteś wyłączona z prac? Czy myślisz, że nie widziałem, jak zgrzytasz zębami? Któż chciałby zajmować drugie miejsce za kupą kości — choćby zmumifikowanych?

— Szybko się pogodziłam z moją pozycją i choć tak się to skończyło — co wszyscy powinniśmy z żalem opłakiwać — mogę uczciwie powiedzieć, że było to cudowne doświadczenie.

— Oto co rzekła dobra i lojalna żona, dzielnie znosząca zaniedbywanie jej dla dobra sprawy.

— Wiedziałam, czego się spodziewać — powiedziałam — i zawsze rozumiałam, że Teobald musi większą część czasu poświęcać pracy.

Podszedł do mnie bliżej i powiedział:

— Ja nie zaniedbywałbym cię tak, Judyto. I wszystko na nie!

Odwrociłam się z gniewem.

— Lojalny stronnik swego wodza, jak widzę — rzuciłam.

Uśmiechnął się szeroko.

— Ty i ja zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi, prawda?

— Do tej chwili — warknęłam.

Przestał się uśmiechać. Teraz już się śmiał. Potem nagle spowaźniał.

— Nie wierzę w to. Zawsze byliśmy przyjaciółmi i pozostaniemy nimi. Jeśli kiedykolwiek będziesz mnie potrzebowała...

— *Potrzebowała* ciebie!

— Tak, moja droga kuzynko. Nawet najbardziej samowystarczalni z nas potrzebują czasem innych.

— Co chcesz dać do zrozumienia?

Wzruszył ramionami i posłał mi ten swój krzywy uśmiech, który zawsze wydawał mi się trochę przymilny. Pojawiał się w najpoważniejszych chwilach, gdy Hadrian udawał, że traktuje lekko coś, co go najgłębiej dotykało.

Pomyślałam: On coś wie. Ostrzega mnie. Przed czym? Teobald!

Powiedziałam ostro:

— Lepiej się wytłumacz.

Doszedł chyba do wniosku, że za daleko się posunął.

— Nie ma nic do tłumaczenia.

— Ale dawałeś do zrozumienia...

— Znów, jak zawsze, mówiłem coś po swojemu, bez sensu.
Udało mu się jednak posiać ziarno niepokoju w moim sercu.

W kilka dni później w pałacu zapanowało wielkie podniecenie. Teobald nie posiadał się z radości. Całymi tygodniami szedł fałszywym tropem, ale teraz znalazł nowy ślad.

Mówił o tym z ogromnym ożywieniem.

— Czułem, że pracujemy w niewłaściwym miejscu. Jest coś za ścianą, którą jeszcze musimy zbadać.

— A jeśli to znów ślepa uliczka?

— Nie sądzę, żeby były dwie.

— Dlaczego?

— Och, na miłość boską, Judyto, dlaczego miałyby być dwie?

— Nie wiem, ale ta była.

— Musimy spróbować — powiedział. — Nie zrezygnuję, dopóki nie spróbuję.

— Jak długo więc tu pozostaniemy?

— Nie wiem. Ale musimy próbować.

Na wszystkich podziałało to jak wstrząs.

Terence Gelding i starsi członkowie ekipy byli zadowoleni. Tak samo Tabita.

Biedna Teodozja! Bardzo była rozczarowana. Evan chyba też, ale wyłącznie ze względu na nią. Był dla niej taki dobry i czuły — w pierwszym rzędzie mąż, a na drugim miejscu archeolog — myślałam.

I wiedziałam, że w mych najbardziej sekretnych myślach robię porównania.

Teodozja była przygnębiona. Jaj nadzieje na powrót rozwiały się.

Tabita powiedziała:

— Ona wyprowadza z równowagi Evana. Teobald jest zaniepokojony. Mówi, że Evan nie koncentruje się na pracy, ponieważ ciągle martwi się o żonę.

Oburzyło mnie to. Jak Teobald może rozmawiać z Tabita o Teodozji? Podejrzywałam, że mówi z nią o wielu rzeczach. Nieraz widywałam ich pogrążonych w przyjacielskiej rozmowie. Pamiętałam tamtą scenę z Hadrianem i zastanawiałam się, czy inni patrzyli na to tak jak ja.

Tabita zawsze bardzo energicznie usuwała przeszkody z drogi Teobalda. To ona teraz wpadła na myśl, że skoro Teodozja denerwuje się przedłużeniem pobytu, to może powinna bardziej się interesować postępowaniem prac. Pomyślała, że dobrze byłoby zabrać małą grupę na obchód terenu. Teodozja mogłaby wziąć w tym udział. Leopold Harding, który zachodził od czasu do czasu do pałacu i nigdy nie ominął okazji, by z kimś z nas porozmawiać, zapytał, czy mógłby kiedyś obejrzyć wykopy?

— Niech Teodozja sama zobaczy, jakie to jest interesujące — mówiła Tabita. — Pewna jestem, że pomoże to jej przezwyciężyć te nerwowe lęki.

Poprosiła Teobalda o pozwolenie i zorganizowała wycieczkę. Ku memu zdziwieniu Teodozja zgodziła się dołączyć do grupy. Naprawdę nie chciała martwić Evana i postanowiła zachowywać się odważnie mimo trapiących ją lęków.

Leopold Harding był bardzo zaintrygowany tym, co się działo na terenie wykopalisk. Hadrian mówił mi, że spotkał go tam kilkakrotnie i że zawsze wtedy pytał o postępy prac. Okazał wiele współczucia, gdy myśleliśmy, że wyprawa się nie udała i powiedział Hadrianowi, jak bardzo się cieszy, że nasze nadzieje odżyły.

— On naprawdę bardzo chce to zobaczyć — mówił Hadrian — i pytał mnie, czy może mieć nadzieję, że będę mógł dołączyć do naszej grupy. Był zachwycony, gdy Teobald się zgodził. Zaprosił mnie do swego składu. Czy chciałabyś pójść?

Zgodziłam się i poszliśmy razem z Hadrianem.

To był mały sklep na krańcach *souku*, zamknięty mocno na kłódkę; wynioskowałam stąd, że niektóre zamknięte tam rzeczy musiały być bardzo cenne.

Mała przestrzeń wewnątrz wypełniona była najbardziej fascynującymi przedmiotami. Leopold Harding płonął wprost entuzjazmem, gdy je nam pokazywał.

— Proszę spojrzeć na to karło z wyrzeźbionym motywem przepłatających się liści. Widać głowy lwów na poręczach i pazury na nogach. Znalazłem je tutaj, ale może równie dobrze pochodzić ze Skandynawii. Nigdy nie wiadomo, co się tu znajdzie. Może być z XII wieku.

Hadrian podniósł jakąś płytkę.

— Spójrzcie. Przysięgam, że to autentyczne.

Zobaczyłam postacie w profilu: faraona składającego dary Horusowi.

— Piękna rzecz — powiedział Leopold Harding — i może wprowadzić w błąd większość ludzi. Można by pomyśleć, że została wyrwana ze ścian grobowca. Ale nie. Jest stara — choć nie dość stara. Jakies trzysta lat. Proszę sobie wyobrazić, jak byłem podekscytowany, gdy trafiła do moich rąk.

Zauważyłam, że Hadrian bardzo niechętnie pozwolił Leopoldowi Hardingowi ją sobie odebrać.

— Proszę popatrzeć na to — kontynuował Harding, unosząc szkatułkę — to na klejnoty. Zwróćcie uwagę na inkrustacje z kości słoniowej i małe płytki w szachownicę na pokrywie. To jeden z moich najcenniejszych nabytków.

Zachwycaliśmy się szkatułką, a potem przechodziliśmy dalej od jednego obiektu do drugiego. Pan Harding mówił o trudnościach związanych z ich wysyłką do Anglii i o tym, jak bardzo się cieszy, gdy zdobędzie klejnoty i inne drobne przedmioty, które może sam ze sobą zabrać.

Pokazał nam naszyjniki i kolczyki z lazurytu i turkusy, ciętych i oprawianych na modłę egipską. Byłam nimi zachwycona. Zaintrygowała mnie figura boga Horusa z głową sokoła, u którego stóp przepięknie wyrzeźbiono małą postać faraona. Bóg-sokół unosił się nad nią, jakby ją ochraniał. Rzeźba zdawała się nabierać życia, gdy na nią patrzyłam; miała jakieś pięć stóp wysokości, gdy jednak wpatrywałam się w nią jak zahipnotyzowana, wydawała się urastać do olbrzymich proporcji. Nie mogłam oderwać od niej oczu. Było w niej coś, co wywoływało we mnie chęć ucieczki, a jednocześnie zatrzymywało mnie.

Wzdrygnęłam się, poczuwszy dotyk na ramieniu. To był Leopold Harding; uśmiechnął się do mnie.

— Piękne, prawda? — powiedział. — Doskonała kopia.

— To jakież był oryginał? — zapytałam.

— Nigdy go nie widziałem, ale był na pewno przeznaczony do grobu dawno zmarłego faraona. Tego rodzaju wyobrażenia umieszczano tam dla ochrony przed rabusiami. — Zwrócił się do Hadriana:

— Ale pan wie o tym więcej ode mnie.

— Wątpię — odpowiedział Hadrian. — Nigdy nie widziałem wnętrza nienaruszonego grobu.

— To jest trochę zimne, zgodzicie się? Ciekaw jestem waszej opinii o tej rzeźbie alabastrowej. Sfinks. Raczej dobry i także dość cenny. Bardzo staranna robota.

Zgodziliśmy się z nim i dalej oglądaliśmy inne interesujące przedmioty, które zgromadził, ale ja myślałam wciąż o kamiennym Horusie i kiedykolwiek odwracałam się, by na niego spojrzeć, miałam wrażenie, że sokołe oczy utkwione są we mnie groźnie.

Wszystko to było niezwykle interesujące i wychodząc podziękowaliśmy gorąco Leopoldowi Hardingowi.

— Przysługa za przysługę — powiedział lekko. — Proszę nie zapomnieć, że idę z państwem na obchód terenu.

Grupa składała się z Terence Geldinga, który ją prowadził, Hadriana i Evana, którzy mu pomagali, Leopolda Hardinga — zainteresowanego gościa, Tabity, Teodozji i mnie.

Przyszliśmy na stanowisko wieczorem, gdy nie było robotników.

Nie mogłam nigdy wstępować do tych podziemnych przejść bez dreszczu podniecenia, domyślałam się więc, jak musiała się czuć Teodozja. Jej stan był teraz widoczny i opierała się ciężko na ramieniu Evana; byłam jednak zdumiona, do jakiego stopnia pogodziła się z sytuacją i zdawało się nawet, że gotowa jest czerpać radość z przygody.

To był doskonały plan. Wydawało się, że Teodozja przezwycięży swoje lęki i zmieni się w to, co Tabita nazywała „dobrą archeologiczną żoną”.

Terence niósł jedną lampę, a Hadrian drugą — Terence prowadził, a Hadrian zamykał pochód.

Teodozja przywarła do ramienia męża i posuwała się naprzód ostrożnie.

W porównaniu z upałem na zewnątrz tu było zimno, ale Terence zalecił nam zabrać lekkie płaszcze lub szale.

Terence podniósł lampę i wskazał malowidła ścienne przedstawiające bogów i faraonów. Poznałam Amona-Ra z głową barana i Horsa-sokoła, a może także był to Amon-Ra, bo przecież był on równocześnie sokołem i baranem? Był tam szakal-Anubis, który przypomniał mi znak na ramieniu mężczyzny, któremu opatrywałam rany; widziałam go także na ramieniu wróżbiarza.

Terence objaśniał:

— To nie był grób nikogo szczególnie ważnego. Te freski nie są tak starannie wykonane, jak to widzieliśmy w niektórych pałacach, choćby w naszym. To zdecydowanie było miejsce spoczynku jakiegoś pomniejszego potentata, jednak człowieka bogatego, bo nawet drugorzędny grobowiec musiał drogo kosztować. Możliwe nawet, że pochowano tu więcej osób.

— I stworzono coś w rodzaju syndykatu, który za to płacił? — zapytał Leopold Harding.

— Ale przecież to byli zmarli — zaoponowała Teodozja i wszyscy się ucieszyli, że dała wyraz swojemu zainteresowaniu tym, co ogląda.

— Nie — odpowiedział Terence. — Prace przy budowie zaczynało się długo przed ich śmiercią. Prace przy grobach faraonów trwały latami i kończyły się dopiero z chwilą, gdy umierali.

— Gdy byli gotowi z nich skorzystać — dodał Hadrian. — Im dłużej więc żyli, tym okazalszy był grobowiec, co się wydaje niesprawiedliwe w wypadku młodych. Za jednym zamachem tracili życie i piękny grób.

Posuwaliśmy się ostrożnie wąskim przejściem pod przewodem Terence Geldinga. Wreszcie korytarz doprowadził do sali.

— To nie jest sala grobowa — powiedział Terence. — Sala grobowa znajduje się dalej. Ta jama tutaj mogła zawierać coś, co zabrano podczas rabowania grobu. Trudno powiedzieć. A tę drewnianą konstrukcję mostową zbudowaliśmy, żeby można było przechodzić przez jamę do korytarza leżącego za nią. Ale spójrzcie najpierw na dekorację tej ściany.

Podniósł wysoko latarnię, a Teodozja, chyba po to, by pokazać Evanowi, jak bardzo jest nieustraszona, zaczęła wstępować na drewnianą konstrukcję, służącą jako pomost.

Przerażenie poraziło nas wszystkich po tym, co zaszło za chwilę. Pomost załamał się; Teodozja wyrzucona została w górę, nim runęła do jamy, zagarniając sobą część mostu.

Nastała straszliwa cisza, która zdawała się trwać w nieskończoność, a trwała nie dłużej niż pół sekundy.

Usłyszałam krzyk Hadriana:

— O Boże!

Zobaczyłam Evana. Przedzierał się do jamy; nie było to łatwe, gdyż spadek wynosił około dwunastu stóp.

Terence objął komendę.

— Harding, pan pójdzie poszukać noszy. **Niech ktoś sprowadzi** lekarza. Weźcie tę lampę.

Włożył mi ją do ręki.

— Zejdę na dół.

Przedarł się do jamy i ukląkł obok Evana przed leżącą nieruchomo twarzą ku ziemi Teodozją.

To był koszmar: mrok grobowca, nasze milczenie, leżąca bez czucia Teodozja, ogłuszony Evan.

Zdawało się, że wszystko trwa nieskończenie długo. Były oczywiście trudności. Zaimprovizowaliśmy nosze, ale wyniesienie na nich Teodozji z jamy nie było łatwe; nie było też łatwo przenieść nosze przez wąskie pasáže. Terence okazał się tej nocy przywódcą, Tabita pomagała mu, opanowana i autorytatywna. Robiłam co mogłam, by dodać otuchy Evanowi. Cały czas powtarzał:

— To moja wina. Nie powinienem był jej pozwolić tu przyjść.

Gdy donieśliśmy w końcu Teodozję do pałacu, położyliśmy ją do łóżka. Dziecko urodziło się tej nocy, martwe — pięciomiesięczna dziewczynka. Ale to Teodozja była powodem naszego niepokoju.

Nie odzyskiwała przytomności i Tabita, która miała pewne doświadczenie w pielęgnowaniu chorych, została przy niej, a ja usiadłam w sąsiednim pokoju przy Evanie, bezskutecznie próbując dodać mu otuchy.

Powtarzałam w kółko:

— Wszystko będzie dobrze. Straciłeś dziecko, ale będziesz miał drugie.

— Jeśli ona z tego wyjdzie — powiedział — już nigdy nie wywozę jej z domu... Była przecież przerażona. Wiesz, jak jest bojaźliwa. Ona *czuła* niebezpieczeństwo. To moja wina.

Zaprzeciżyłam:

— Nonsens. To nie twoja wina. To oczywiste, że przyjechała z tobą. Jesteś jej mężem.

— Chciała wracać... a ja ją tu trzymałem. Ze wszystkich sił próbowała się przystosować. Mój Boże, dlaczego nie wyjechałem do Anglii?

— Nie mogłeś — uspokajałam go. — Twoja praca była tutaj.
— Mówiłem z Teobaldem. Ale nie można mnie było zwolnić bez poważnych komplikacji. Musiałby znaleźć zastępstwo.

Tabita podeszła do drzwi. Evan zerwał się na równe nogi. Skinęła na nas.

Patrzyłam na bladą twarz Teodozji na poduszce; była wilgotna od potu i zmieniona nie do poznania.

Ogarnął mnie wielki żal. Była moją siostrą i wiedziałam, że umiera.

Evan uklęknął przy łóżku, łzy płynęły mu po twarzy.

Teodozja otworzyła oczy.

— Evan — powiedziała.

— Moje kochanie — odpowiedział — moje najdroższe kochanie.

— Wszystko dobrze, Evan. Ja... ja się nie boję...

Zdała sobie sprawę z mojej obecności.

— Judyta.

— Jestem tu, Teodozjo.

— Moja... siostra.

— Tak — powiedziałam.

— Jest teraz nade mną, Judyto... wielki czarny nietoperz...

— Och, Teodozjo...

— Ale nie boję się. Evan, ja się nie...

Usłyszałam szept Evana:

— O Boże.

Tabita położyła mi dłoń na ramieniu.

— To już koniec, Judyto — wyszeptwała.

Wstałam.

Nie mogłam uwierzyć. Wczoraj czuła się tak dobrze. Przed dwoma dniami byliśmy razem na *souku*.

A teraz nie żyła.

Wnioski, jakie nasunęła śmierć Teodozji, były alarmujące.

Czy sir Edward nie stracił życia? A teraz następna śmierć. To klątwa faraonów.

Mustafa i Absalam wodzili za mną wielkimi błagającymi oczami. „Jedź do domu, milady” — mówiły te oczy. „Jedź do domu, nim znów spadnie klątwa”.

Teobald był strapiony.

— To rozstroiło Tabitę — powiedział. — Nie może zapomnieć, że wycieczka to był jej pomysł. Mówiłem, że zrobiła to, by pomóc Teodozji, ale to jej nie pociesza.

Rzadko widziałam go w takim wzburzeniu. Z powodu Tabity! — myślałam. Co się ze mną działo? Stawałam się coraz bardziej zawzięta i podejrzliwa. Ważniejsze jest dla niego — mówiłam sobie — co czuje Tabita, niż co czuje Evan, którego Teodozja była żoną, albo ja, jej siostra.

— Od razu zarządziłem dochodzenie — powiedział mi. — Musimy stwierdzić, jak w ogóle mogło dojść do takiego wypadku? Z pomostu korzystano często; był dostatecznie mocny, by utrzymać mężczyzn i ciężki sprzęt. Dlaczego musiał się załamać, gdy próbowała przez niego przejść młoda kobieta? Jeśli nie znajdziemy jakiegoś logicznego wytłumaczenia, te niepoważne plotki znów się zaczną rozchodzić.

Nic nie mógł jednak zrobić, by im zapobiec, tym bardziej, że nie można było wykryć, w jaki sposób pomost się załamał.

Według powszechnego przekonania, to klątwa sprawiła, że się zarwał. To było dzieło rozgniewanych bogów.

Ale dlaczego ofiarą musiała paść Teodozja, która ich niczym nie obraziła? To była jej pierwsza wizyta w grobowcu; marzyła o powrocie do Anglii. Jeśli rozgniewani bogowie chcieli wyrzucić na kimś zemstę, dlaczego ją wybrali na ofiarę?

Niektórzy robotnicy nie weszli więcej do grobowca, co w znacznym stopniu opóźniało prace.

Niepokoiliam się przede wszystkim o Evana, który zatracał się w bólu.

Nie mógł się skupić, nie rozumiał, co do niego mówiono. Oczy miał stale pełne łez; czasem mówił o Teodozji i o swoim z nią szczęściu, i o nadziejach, które dzielili co do przyszłości dziecka. To było bolesne; więcej, to było nie do zniesienia. Mówiłam o tym z Teobaldem.

— Evan będzie musiał wrócić do Anglii. Nie może tu zostać.

— Jest nam potrzebny — powiedział Teobald.

— Na pewno nie w takim stanie, w jakim jest.

— Rzeczywiście jest prawie nieużyteczny.

Powiedziałam ostro:

— Stracił przecież żonę i dziecko.
— Wiem. Myślałem, że dobrze byłoby dla niego, gdyby pograżył się w pracy.

Roześmiałam się.

— Chcę zaproponować coś, co cię przerazi. Tutaj wszystko przypomina mu, co utracił. Musi natychmiast wracać do Anglii.

— Co on tam będzie robił? Opłakiwał żonę. Praca pomoże mu przezwyciężyć ból.

— Czy zdajesz sobie sprawę, Teobaldzie, jak bardzo Evan kochał swoją żonę?

— Był jej bardzo oddany, wiem.

— Obawiam się, że trudno ci zrozumieć uczucia Evana dla Teodozji.

Rzucił mi dziwne spojrzenie.

— Tak — mówiłam dalej ostro — wiem, że tak jest. Ale *ja* go rozumiem. W tej chwili jest ogłuszony nieszczęściem. Musimy mu pomóc, Teobaldzie. Stracił wszystko, co miał najdroższego, wiem, że rozmiary tego trudno pojąć. Praca go nie zbawi. Nic go nie może zbawić. Myślę, że musi stąd wyjechać. Tu zbyt wiele rzeczy przypomina mu o stracie.

— Czy nie będzie ich w Anglii?

— Inne. Tu myśli stale o Teodozji takiej, jaką była tutaj... o wszystkich jej lękach... Zawsze chciała wrócić do domu. Evan robi sobie wyrzuty. Jest u kresu wytrzymałości. Gdybyś widział jego twarz, gdy ją wynosili... i potem, przy jej łóżku, gdy umierała...

Głos mi się załamał; Teobald pogłaskał mnie po ramieniu. Spojrzałam na niego i pomyślałam z gniewem: Zastanawia się, kto może zająć miejsce Evana, jeśli Evan jest zbyt rozbity, by dalej pracować.

Przekonywałam go:

— To nie jest sprawa archeologii. To sprawa ludzkiej przyzwoitości... ludzkiej dobroci. Muszę się zająć Evanem... jeśli nikt się o niego nie troszczy.

— Ależ oczywiście chcemy zrobić to, co będzie najlepsze...

— Wiem, praca musi się posuwać naprzód. Bez względu na to, co się stanie, to jest ważne. Wiem o tym. Ale z Evana nie będzie pożytku w jego

obecnym stanie. Napiszę do moich ciotek o tym, co się stało. Poproszę, żeby Evan mógł przyjechać do Tęczowego Domku, a one zajmą się nim i przywrócą mu chęć do życia.

Teobald nie odpowiedział. Odwróciłam się od niego, mówiąc:

— Pójdę teraz i napiszę do ciotek. Bez względu na to, co powiesz, poproszę, żeby przyjęły Evana.

Teobald spojrział na mnie zdumiony, ale nic nie powiedział.

Napisałam:

1

Drogie Ciotki, chciałabym, żebyście przyjęły Evana do siebie i zajęły się nim. Wiecie z pewnością o tym okropnym wypadku. Biedny Evan jest załamany. Wiecie, jak bardzo kochał Teodozję. Nie mogę w to wszystko uwierzyć. Zżyliśmy się bardzo, szczególnie tutaj. Była moją siostrą i byliśmy jak siostry. A Evan ją kochał.

Nie mogłam do tej chwili płakać. Teraz łzy spływały mi po policzkach na papier, rozmazując atrament. Moje ciotki będą płakać, gdy to zobaczą. Jest po czym płakać.

Biedna, smutna, mała Teodozja, która bała się życia. Przez cały czas obawiała się śmierci; a jednak, gdy stanęła przed nią, jej ostatnie słowa były: „Nie boję się”.

Gdybyż tylko nigdy nie postawiła nogi na tym pomoście! Ale wtedy zrobiłby to ktoś inny. Teobald! Serce we mnie zamarało. Gdyby to był Teobald? Odkąd przyjechaliśmy do Egiptu, moje sielankowe marzenia zabarwiły się wątpliwościami, lękami, podejrzeniami nawet. Zbyt często przypominałam sobie reakcje, jakie wywołało ogłoszenie naszych zaręczyn. Niektórzy, jak Dorcas i Alison, mieli podejrzenia co do czystości intencji Teobalda. Prawdą było, że zostałam spadkobierczynią.

Zawsze czułam, że Teobald nie jest do końca otwarty. Ja nie miałam nic przed nim do ukrycia, tego byłam pewna. Znał moje nagłe impulsy, moje wzloty, moje błędy i zalety; nigdy nie potrafiłam ukryć przed nim uczuć; moje opętanie zaczęło się z chwilą, gdy otworzył drzwi i zobaczył mnie wstającą z sarkofagu; ale chociaż byliśmy teraz mężem i żoną, pod pewnymi względami był mi obcy. Czy brakowało mu tego ludzkiego ciepła i tej potrzeby innych, która sprawia, że tak łatwo nas wszystkich

zranić i może także — kochać? Jak bardzo był ode mnie zależny? Jak bardzo mnie potrzebował?

Dlaczego dręczyły mnie te wątpliwości — mnie, która zawsze całym sercem wierzyłam w swoją umiejętność kształtowania mego życia? Dlaczego doznawałam niepowodzenia teraz, gdy miałam wszystko, czego tak pragnęłam? Odpowiedź brzmiała: ponieważ nie znałam do końca człowieka, któremu oddałam się całkowicie. Podawałam w wątpliwość jego uczucia dla mnie i motywy, które go skłoniły do poślubienia mnie. Uważałam, że jego praca była dla niego ważniejsza niż wszystko... niż ja... Niż Tabita?

A więc wymówiłam to. Byłam zazdrosna. Nie byłam pewna, co go łączy z Tabitą i jakie powody skłoniły go do małżeństwa ze mną. Koszmar, który sama stworzyłam, zaczął nabierać rzeczywistych kształtów.

Wzięłam pióro i pisałam zdecydowanie dalej:

Myszę, że potrzebuje specjalnej opieki, a Wy możecie mu ją zapewnić. Czy przyjmiecie go i zatroszczycie się o niego, i nauczycie go żyć na nowo? Sabina i Oliver Wam pomogą. Myszę, że spokój Tęczowego Domku i Wy dwie z waszą filozofią życiową możecie mu w dużym stopniu pomóc. Najdroższa Alison, najdroższa Dorcas, czy spróbujecie?

Znałam je zbyt dobrze, by oczekiwać natychmiastowej odpowiedzi.

Nadeszła.

Evan nie protestował, nie dziwił się. Robił wrażenie człowieka we śnie... lub opętanego koszmarem.

I tak opuścił nas i pojechał do Tęczowego Domku.

Wydawało się, że od śmierci Teodozji Leopold Harding przystał do naszej grupy. Często widywano go na terenie wykopów; rozmawiał z robotnikami, a Hadrian zapraszał go na nasze obiady. Zadawał wszelkie możliwe pytania i okazywał prawdziwe zafascynowanie pracami.

Poprosił Teobalda, by mógł to i owo zobaczyć, i Teobald dał pozwolenie. Zadawał inteligentne pytania. Najwyraźniej zaznajomił się z literaturą przedmiotu; brał też w krzyżowy ogień pytań

Hadriana. On i Hadrian stale byli razem, a my wszyscy widywaliśmy go dość często.

Przygnębienie Teobalda pierzchło. Czuł teraz, że jest na nowym tropie, sukces był bliski. Był pewien, że za ścianą starego grobowca jest droga do innego. Była sprytnie ukryta, ale on ją znajdzie.

Ciotki pisywały do mnie często.

Miałyśmy nadzieję, że wrócisz do domu. Wydaje się nam, że nie ma Cię już od bardzo dawna. Evan trochę teraz mówi. Wydaje się, że jest z nim lepiej, niż było po przyjeździe.

Sabina jest bardzo szczęśliwa. Jej dziecko już wkrótce przyjdzie na świat. Wszyscy bardzo się tym ekscytują. Nigdy jednak nie mówimy o tym przy Ewanie. Mogłoby go to skłonić do rozmyślań i wpędzić w rozpacz.

Lady Bodrean umieściła w kościele tablicę pamiątkową Teodozji. Odprawiono za nią nabożeństwo żałobne. Ludzie mówią o tym tak, jak mówili po śmierci sir Edwarda. Och, kochanie, jakże byśmy chciały, żebyś już wróciła.

Lady Bodrean zaprosiła nas do Keverall Court na herbatę. Mówiła o Tobie, o tym, jakie to dziwne, że Ty, jej lektorka, stałaś się bardzo bogatą kobietą. Wspomniała, że teraz, po śmierci Teodozji, wszystko będzie należało do Ciebie.

Serce zaczęło mi szybciej bić. To dziwne, ale do tej chwili nie pomyślałam o klauzuli w testamencie sir Ralfa. Mam dwa razy tyle pieniędzy co przedtem i Keverall Court będzie należał do mnie po śmierci lady Bodrean.

Pieniądze nie miały dla mnie znaczenia, poza tym, że czasem marzyłam, bym ich nie była odziedziczyła i mogła mieć pewność, że Teobald poślubił mnie dla mnie samej.

Ciotki miały rację. Byłam teraz bardzo bogatą kobietą.

Wydaje się bardziej przejęta tym, że Tobie przypadły pieniądze, niż śmiercią własnej córki. Jestem pełna podziwu dla Ciebie, że tak długo z nią wytrzymałaś. To nie jest zbyt miła kobieta. Byłaś bardzo dzielna, kochanie. Ach, jak bym chciała, żebyś napisała, że już wracasz.

Jak bardzo ich listy przywodziły mi na pamięć spokój wsi, domek w cichym zakątku, tuż obok starej plebanii.

Teobald był zdania, że musimy tak się zachowywać, jakby tragedia się nie wydarzyła. To najlepszy sposób, by uciszyć krążące pogłoski. Gdy jednak wychodziliśmy, ludzie przyglądali się nam ukradkiem. Myśleli, że musimy być szaleni, skoro nie zważamy na kłatwę faraonów. Jakich jeszcze potrzeba nam ostrzeżeń? Ilu jeszcze ludzi ma paść ofiarą śmierci?

Tabita powiedziała do mnie:

— Nie chodzisz teraz zbyt często na *souk*.

— Nie chcę tam chodzić, zbyt często bywałyśmy tam razem z Teodozją.

— Pewnie zauważą, że nie chodzisz.

— Czy to ma jakieś znaczenie?

— Myślę, że powinnaś zachowywać się tak normalnie, jak tylko można.

— Nie mam ochoty chodzić tam sama.

— Pójdę kiedyś z tobą.

Następnego dnia zaproponowała, żebyśmy poszły.

Idąc rozmawiałyśmy, jak prawie zawsze, o Teodozji.

— Nie rozmyślaj o tym, Judyto — powiedziała Tabita. — Ja też muszę przestać ciągle o tym myśleć. Pamiętaj, że to ja zaproponowałam wycieczkę. Gdybym tego nie zrobiła... Teodozja byłaby dziś tutaj.

— Ktoś inny by umarł. Pomost był w takim stanie, że i tak by się zawalił. A skąd mogłaś to wiedzieć?

Potrząsnęła smutno głową.

— Mimo wszystko nie mogę zapomnieć, że to był mój pomysł.

— Dlaczego ten pomost się załamał! — krzyknęłam. — Czy nie myślisz, że ktoś...

— Och, nie, Judyto!

— Kto mógłby coś takiego zrobić?

— To był wypadek. Jakże mógłoby to być coś innego niż wypadek?

Milczenie zapadło pomiędzy nami. Myślałam: Przypuśćmy, że to nie był wypadek. Przypuśćmy, że ktoś chciał zabić Teodozję. Kto mógłby skorzystać na jej śmierci? Ja stałam się dwukrotnie bogatsza.

Powiedziałam:

— Była moją przyrodnią siostrą. Kochałam ją. Znęcałam się nad nią, wiesz przecież, ale ją kochałam. A teraz...

Tabita przycisnęła moje ramię.

— Przestań, Judyto. Nic już nie można zrobić. To już się stało. Musimy postarać się o tym zapomnieć.

Znalazłyśmy się na placu targowym. Był pełen zgiełku i barw. Połykacz ognia zaczął właśnie występ i tłum podekscytowanych dzieci skakał dokoła niego; zaklinacz węży siedział na pół śpiąc, węże spoczywały w swoich koszykach. Kuglarz próbował przyciągnąć ciżbę. Przeszliśmy przez plac i weszliśmy w labirynt znanych uliczek, minęliśmy sklep, w którym nie było już Yasmin, minęliśmy mięso na tykach i kocioł gorącego sosu... A tam dalej był wróżbiarz.

Przyglądał się nam spod oka.

— Allah niech będzie z wami.

Chciałam przejść mimo niego, ale Tabita zawahała się. Wiedział oczywiście o śmierci Teodozji.

— Mała lady — powiedział — nie posłuchała mojego ostrzeżenia.

Łzy piekły mnie pod powiekami. Mogłam sobie tak wyraźnie wyobrazić Teodozję siedzącą koło niego na macie, z oczami rozszerzonymi przerażeniem.

— Widzę go — powiedział. — Krąży. Stale krąży.

Utkwił we mnie oczy.

— Nie chcę tego słuchać — powiedziałam prawie z rozdrażnieniem.

Odwrócił się ode mnie do Tabity.

— Ciężar został ci odjęty — powiedział do niej. — Teraz jest szczęście. Przeszkoda zniknie i przyjdzie nagroda, jeśli będziesz dość mądra, by ją wziąć.

Chciałam wrzucić pieniądze do miseczki, ale potrząsnął przecząco głową.

— Nie. Nie dziś. Nie chcę bakszyszu. Biorę zapłatę tylko za usługi. Powtarzam, lady, bądź ostrożna.

Odeszliśmy. Drżałam.

— Nie mylił się... co do Teodozji.

— Musi się czasem nie mylić.

- A teraz mnie ostrzega.
 - Zawsze cię ostrzegał.
 - Ty jedna będziesz szczęśliwa. Ty, jak się zdaje, dostąpisz nagrody, gdy usuniesz przeszkodę. Albo może już jest usunięta?
 - To ich trajkotanie w kółko — powiedziała Tabita. — To jest jak refren. Ale nie możemy im pokazać, że jesteśmy zaniepokojone. To byłby najlepszy sposób, by plotki wybuchły ze zdwojoną siłą.
- Ale ja byłam zaniepokojona... bardzo głęboko zaniepokojona.

Jakże mi brakowało Teodozji! Odczuwałam pewien wyrzut sumienia, ponieważ gdy żyła, nigdy nie okazywałam, ile dla mnie znaczyło to, że jestem jej siostrą. Rozmyślałam na tarasie, gdzie tak często siadywałyśmy razem i wspominałam nasze rozmowy. Tabita nie mogła jej zastąpić; nie ufałam Tabicie.

Ciągle myślałam o jej przyjaźni z Teobaldem. Któregoś dnia, gdy wrócił z wykopów, byłam na tarasie; usiadł przy mnie i zaczął szczerze mówić o pracy, a ja słuchałam chciwie. Ale wkrótce nadeszła Tabita. Pamiętała bardzo dużo z poprzedniej wyprawy i omawiała to szeroko z Teobaldem, tak że ja byłam zupełnie wyłączona z rozmowy. Stawałam się lękliwa i zawzięta. Przypominałam sobie ciągle niepokój ciotek o moje małżeństwo, przepowiednię Peggera, podejrzenia niani.

Stawałam się też niesprawiedliwa. Dawniej widziałam w Teobaldzie jedynie dobro. Był wciąż dla mnie wszystkim, ale nie byłam go pewna. Stałam się zazdrosna i podejrzliwa. Zaczęłam w nim widzieć człowieka, który potrafi być w najwyższym stopniu bezwzględny tam, gdzie w grę wchodzi praca. I czy tylko wtedy?

Teobald stawał się dla mnie coraz bardziej obcym człowiekiem.

Pewnego dnia, gdy siedziałam na tarasie, nadszedł Leopold Harding. Stał się prawie członkiem ekipy. Jego ogromne zainteresowanie pociągało Teobalda, który był zawsze gotów pomagać amatorom. Harding jadał teraz nawet czasem w pałacu i bywał na terenie wykopalisk, gdzie obserwował pracę robotników.

Usiadł koło mnie i westchnął.

— Co za widok! — powiedział. — Tyle się zawsze dzieje na rzece. Proszę sobie wyobrazić, jak tu wyglądało trzy tysiące lat temu!

— Królewskie barki — odparłam. — Te wszystkie cudowne dekoracje przedstawiające ludzi robiących dziwne rzeczy... jak dźwiganie kamieni do budowy piramid czy libacje na cześć bogów.

— Dlaczego postacie są zawsze przedstawiane w profilu?

— Chyba dlatego, że ich profile są takie ładne.

— Czy pani mąż jest zadowolony z postępu prac?

— Każdego ranka budzi się z nadzieją: To dziś. Ma niemal pewność. Ale jak dotychczas ten dzień jeszcze, oczywiście, nie nadszedł.

— To był taki smutny wypadek z panią Callum.

Skinęłam głową.

— Taka młoda, u progu życia, można powiedzieć, i ten straszny wypadek. Ludzie w hotelu cały czas o tym mówią.

— Wiem. Wszędzie o tym mówią.

— Są przekonani, że to klątwa królów.

— To absurd — powiedziałam tak, jak powiedziałaby Teobald. Tak bardzo mu przecież zależało, żeby nie zachęcać do szerzenia tych pogłosek. — Gdyby to była klątwa... co jest absurdalne... dlaczego miałyby osiągnąć Teodozji, która była najbardziej niewinnym członkiem ekipy.

— Była jednak jej członkiem.

— Właściwie nie. Była żoną jednego z nich, to wszystko.

— Ale dużo się mówi. Według powszechnej opinii ta kampania wykopaliskowa, tak jak i poprzednia, nie ma szczęścia ... gdyż bogowie, czy też dawni faraonowie są rozgniewani.

— To oczywiste, że muszą tak mówić.

— Miałem list z Anglii. Śmierć Teodozji nabrała rozgłosu w prasie. „Następna śmierć” — piszą, i wspomina się o klątwie.

— Następna! Rozumiem, że nawiązują do śmierci sir Edwarda. Ludzie uwielbiają takie tajemnice. Wierzą w nie, ponieważ chcą wierzyć.

— Możliwe, że ma pani rację — powiedział. — Muszę niedługo wyjechać. Wysłałem większość moich nabytków do Anglii i już niewiele pozostało mi do zrobienia. Ale wszystko było takie fascynujące. Czy myśli pani, że jej mąż nie ma zastrzeżeń do mojego grasowania po wykopach?

— Dałby to do zrozumienia. Jest zadowolony, gdy ludzie okazują zainteresowanie. Dopóki nie wchodzi w drogę.

— Będę bardzo uważał, żeby tego nie robić. Zdaję sobie sprawę z tego, jak wielką ma pani wiedzę.

— Kiedy się obcuje z fachowcami, ma się świadomość tego, jak w gruncie rzeczy niewiele się wie. Zanim wyszłam za męża, dużo czytałam, a Evan Callum był kiedyś naszym nauczycielem... to znaczy Hadriana, Teodozji i moim. Pan wie, że łączy nas pokrewieństwo?

— Słyszałem. Pani i pani Callum były przyrodnimi siostrami, czy tak?

— Tak, a Hadrian jest naszym kuzynem.

— Wszyscy byliście zaprzyjaźnieni od dzieciństwa. Musi pani boleśnie odczuwać utratę pani Callum.

— Tak, i wiem, że Hadrian także.

— Sądzę, że jest do obu pań przywiązany... szczególnie do pani.

— Ach, Hadrian i ja zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi.

— Więc studiowała pani archeologię w swych panieńskich czasach?

— Bardzo po amatorsku, ale zawsze szczególnie interesowały mnie grobowce.

— Fascynujący przedmiot.

— Pomysł balsamowania ciał jest makabryczny i mądry zarazem. Nikt nie potrafi tego robić tak jak oni. Doprowadzili tę sztukę do perfekcji. Pamiętam, jak czytywałam o tym w sypialni na plebanii — wychowałam się na plebanii — i siadałam na łóżku, cała drżąca.

— Wyobrażała pani sobie siebie uwięzioną w grobowcu.

— Oczywiście. Nie balsamowali dużo po roku pięćsetnym naszej ery. Zastanawiam się, dlaczego? Makabryczny proces — usuwanie wnętrzości i napełnianie ciała kasją, mirrą i innymi wonnymi ziołami. Przez trzy miesiące moczyli je w jakimś rodzaju sody, a potem owijali cienkim płótnem i smarowali jakąś lepką substancją.

— To na pewno było wstrząsające zobaczyć wnętrze grobowca tej fatalnej nocy... przed wypadkiem. Jak pani myśli, co się stało z pomostem?

— Musiał mieć jakąś wadę.

— Czy pani myśli, że ktoś przy nim manipulował?

— Kto mógłby to zrobić i po co?

— Żeby kogoś zabić?

— Teodozję! Dlaczego? Co ona zrobiła?
— Może po to, by zabić kogoś z członków ekipy?
— Na pewno mógł to być każdy z nas.
— No właśnie... Wygląda na to, że to było wszystko jedno kto...
byleby to ktoś był.

— Czy myśli pan, że ktoś po prostu chciał, by jedno z nas zginęło?
Rodzaj ostrzeżenia?

— Mógł to oczywiście być po prostu wypadek, gdyby to był ktoś inny. Może stan pani Callum przyczynił się do tego, że okazał się śmiertelny. Pani wie więcej o tych sprawach niż ja. Uważam za wielki przywilej, że wolno mi zerknąć na to, co się tam robi. Nigdy nie zapomnę tego pobytu w Egipcie.

— Myślę, że żadna z osób, które tu są, nigdy nie zapomni tej wyprawy. To samo dotyczy poprzedniej, gdy zmarł sir Edward. Została wtedy zakończona, gdyż był jej kierownikiem i właściwie nie mogli kontynuować prac bez niego.

— Co on odkrył?

— W ścisłym sensie nic. Ale Teobald uważa, że odkryłby, gdyby dalej pracował. Teobald zaczął od tego miejsca, w którym *sir* Edward przerwał pracę.

— Tak, to wielki przywilej. Powinienem wrócić do hotelu, muszę więc panią pożegnać. Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać.

Poczekaliśmy, aż odszedł. Wróciłam do pałacu, gdyż słońce zaczynało zbyt mocno prażyć. Przypomniałam sobie, że zostawiłam słoik Dorcas z maścią w małym pokoju, wychodzącym na dziedziniec. Gdy weszłam do niego, usłyszałam głosy.

Tabita mówiła:

— Och, tak, to wielka ulga, stać się wolną. Gdyby tylko to przyszło wcześniej... ale teraz, Teobaldzie, jest za późno... za późno...

Stałam bez ruchu. Dzwoniło mi w uszach; dziedziniec zdawał się cofać w głąb, poczułam się słabo.

Za późno! Nazbyt dobrze wiedziałam, co to znaczy.

Podjeżdżałam od pewnego czasu... może zawsze podejrzewałam; ale teraz miałam pewność.

Odwrociłam się i pobiegłam do mego pokoju.

Leżałam na łóżku. Teobald poszedł z powrotem na teren wykopalisk. Byłam z tego zadowolona. Nie chciałam go widzieć... nie teraz... dopóki nie zdecyduje, co mam robić.

Przypominałam sobie różne sytuacje. Sposób, w jaki na nią patrzył, gdy siedzieli przy fortepianie; ostrzeżenia niani; moment, w którym wyjechała, by zobaczyć męża, a Teobald odkrył, że musi być w tym samym czasie poza domem. I była piękna, zrównoważona i doświadczona. W porównaniu z nią byłam nieładna i niezręczna, i nie byłam cierpliwa tak jak ona. Byłam zła i porywcza, dlatego, że Teobaldowi bardziej zależało na pracy niż na mnie.

Ona rozumiała to doskonale. Ona była tą, którą kochał; tą, którą by poślubił, gdyby była wolna.

Ale jeśli nawet tak, to dlaczego ożenił się ze mną? Dlaczego na nią nie czekał?

Jego oświadczyzny były nagłe. Były dla mnie zupełną niespodzianką. Poprosił mnie o rękę, gdyż wiedział, że odziedziczyłam pieniądze sir Ralfa. To było coraz bardziej oczywiste... zbyt oczywiste, bym mogła mieć dobre samopoczucie.

A tu była przy nim tak blisko. Zastanawiałam się, jak często, gdy sądziłam, że pracuje przy wykopach — był z Tabitą. Wyobrażałam ich sobie razem; zadawanie sobie udręk zdawało się sprawiać mi rozkosz. Nie mogłam znieść tych wyobrażeń, i nie mogłam się powstrzymać, by ich nie wywoływać.

Czułam się młoda i niedoświadczona. Nie wiedziałam, co mogę zrobić.

Kogo mogłam poprosić o radę? Nie mogłam się teraz zwierzyć Teodozji. Jak gdyby kiedykolwiek było to możliwe! Co by powiedziała o moich problemach — ona — z jej niewinnością, brakiem doświadczenia życiowego i niedostrzeganiem świata poza Evanem, który kochał ją wiernie i do końca. Dorcas i Alison nic nie wiedziały o tego rodzaju związkach; kiwałyby głowami i powtarzały: „Mówiliśmy ci. Nigdy go nie lubiliśmy. Czuliśmy, że coś jest *nie w porządku*”. To wszystko na nic. Sabina? Zdawało mi się, że słyszę jej głos, płynący z odległości: Oczywiście, Teobald jest cudowny. Nikt mu nie dorówna. Powinnaś się cieszyć, że się z tobą ożenił... bo zrobił to przecież. Ale oczywiście nie masz dostatecznej wiedzy, a Tabita ma i jest piękna... i zawsze była

w domu... rzeczywiście, jak jego żona... tylko, że miała tego męża i z jego powodu Teobald nie mógł się z nią ożenić. Zostałaś przynajmniej jego żoną i lady Travers, prawda? Myślę więc, że to powinno wystarczyć... Mimo wszystko, nie jest taki jak inni, prawda?...

To szaleństwo dopuszczać do tych wymaginowanych rozmów. Ale nie mogłam się powstrzymać. Komu miałam zaufać?

Chciałam z kimś porozmawiać. Chciałam zapytać: Co mogę zrobić?

Pomyślałam o Hadrianie. Byliśmy do siebie przywiązani jako krewni, choć on napomykał o innych, silniejszych uczuciach ze swej strony. Czy naprawdę to miał na myśli? Sądziłam, że tak. Żartował na ten temat, ale taki miał sposób bycia. Zawsze byliśmy sprzymierzeńcami; ochranialiśmy się wzajemnie jako dzieci — ja osłaniałam go w większym stopniu niż on mnie, ponieważ zdawało się, że lepiej umiałam to robić, a on, jako chłopiec, częściej był karcony. Kochany, nieskomplikowany Hadrian!

Jednak nawet jemu nie mogłam powiedzieć o moich lękach, gdyż nie zniosłabym roztrząsania spraw dotyczących Teobalda. Wystarczająco złe było to, że ja w moich najskrytszych myślach mogłam konstruować te monstrualne twory. On nagle poprosił mnie o rękę; ja byłam spadkobierczynią, a teraz, po śmierci Teodozji, stałam się bardzo bogata. Śmierć Teodozji! O nie, nie mogę dopuszczać do tak nikczemnych myśli. Każdy mógł wejść na pomost. A jednak to Teodozja *weszła*, a jej śmierć uczyniła żonę Teobalda niezwykle bogatą kobietą. Teobald potrzebował pieniędzy do swojej pracy. Czy dlatego został mężem bogatej żony? Gdyby Tabita była wolna... Ale jej uwolnienie przyszło za późno. „Za późno”... Słyszałam jej głos, pełen smutku... głębokiego, gorzkiego żalu.

Ja stałam pomiędzy nimi. Gdyby mnie tu nie było, Teobald i Tabita mogliby się pobrać, a ktoś odziedziczyłby majątek bogatej żony, jeśli nie wdowiec?

Moje wyobrażenia stawały się coraz bardziej fantastyczne.

PRZECZUCIA I OSTRZEŻENIA

Nie wiem, może sobie to tylko wyobrażałam, ale od tego czasu czułam się śledzona. Stałam się nerwowa. Bałam się przebywać sama w pustej części pałacu; kroki zaczynały brzmieć tajemniczo, a w ciszy przyłapywałam się na ukradkowym oglądaniu się przez ramię. To było tak do mnie niepodobne. To przecież ja śmiałam się z opowieści o wielkim czarnym nietoperzu. Dokuczałam Teodozji, ale teraz wydawało się, że odziedziczyłam nie tylko jej pieniądze, lecz i lęki.

Coś jednak zmuszało mnie nieodparcie, by zmierzyć się z moimi strachami. Chciałam zdobyć pewność, gdyż w mojej podświadomości czaiła się myśl: To Teobald; chce się mnie pozbyć. A za nią szła druga: To kłamstwo. Bardziej dba o swoje sprawy zawodowe niż o ciebie, co jest naturalne, skoro kocha inną kobietę. Ale nigdy nie zrobiłby ci krzywdy. Wiesz o tym.

Nie miałam jednak pewności, która z tych myśli była prawdziwa, a ponieważ stwierdzenie tego było konieczne dla spokoju mego umysłu, dla mego przyszłego szczęścia, nie mogłam oprzeć się pokusie straszenia samej siebie.

W takim będąc nastroju, pojechałam sama *arabiyą* do świątyni. Kazałam woźnicy poczekać.

Gdy weszłam w progi świątyni, zdałam sobie sprawę z otaczającego mnie zewsząd spokoju. Wydawało się, że jestem jedyną osobą, która tu dziś weszła. Stałam wśród wysokich kolumn i wspominałam dzień, gdy byłam tu razem z Teodozją.

Próbowałam całą uwagę poświęcić płaskorzeźbom przedstawiającym historię Egiptu; nie mogłam się jednak skupić, usiłowałam złowić uchem odgłos kroków, nagłego szelestu szat; nie wiem, co to było, ale miałam dziwne wrażenie, że nie jestem sama i że w pobliżu czyha coś złego.

Obserwowałam kunsztowny relief na kolumnie. Był tam faraon Seti z synem, który miał stać się Ramzesem Wielkim. A na innej była królowa Hatszepsut.

Byłam pewna, że ktoś jest blisko... patrzy na mnie. Zdawało mi się, że słyszę głęboki oddech. Wystarczy, by wyciągnął rękę, i pochwyci mnie.

Czułam, jak serce wali mi młotem. Muszę wyjść z tego labiryntu kolumn; wyjść prosto na otwartą przestrzeń. Szybko muszę pobiec do mojej *arabiyi* i polecić woźnicy, by odwiózł mnie do pałacu.

Dzięki Bogu, że woźnica czekał z *arabiyą*. Gdybym nie wróciła, dowiedzieliby się, że zginęłam. Ale czy by się dowiedzieli?

Kolumny zrujnowanej starożytnej świątyni stały gęsto jak drzewa w lesie. Ktoś mógł się schować za jedną z nich, tuż koło mnie, a ja nie widziałabym go. W każdej chwili ręce mordercy mogły mnie schwytać. Zostałabym pogrzebana tutaj, w piasku. A woźnica mojej *arabiyi* Trochę pieniędzy z ręki do ręki. Ma nie pisać ani słowa o damie, którą przywiózł do świątyni. To byłoby bardzo proste. Jeśli mogła zniknąć dziewczyna ze sklepu na *souku* i zostać wrzucona do rzeki zamiast lalki, to na pewno i mnie można usunąć. Aleja byłam żoną kierownika misji wykopaliskowej. Trzeba byłoby sfabrykować jakieś wyjaśnienie... Teobald był gotów przyjąć do wiadomości, że Yasmin została zamordowana i uznać to za fakt o niewielkim znaczeniu. Ale tu byłaby jego żona. Żona, której sam chciał się pozbyć?

To ta właśnie myśl tkwiła w mojej głowie; i tu, w tej złowrogiej starożytnej świątyni mogłam stanąć twarzą w twarz z moimi prawdziwymi lękami. Być może, mogłam także stanąć twarzą w twarz z moim mordercą.

Tak. Ktoś *był* blisko. Jakiś cień przeciął pole mojego widzenia... długi cień. Ktoś podkładał się do mnie. Kolumny zasłaniały go, ale może mnie nagle pochwycić; jego ręce sięgną do mojej szyi i spojrzą mu w twarz. Twarz Teobalda? Nie, nie. Za daleko się posuwam, to zupełne

szaleństwo. To ktoś, kto próbował zainscenizować drugi wypadek. Ktoś, kto chciał, żebyśmy stąd wyjechali. Ktoś, kto manipulował przy pomocy... kto zabił Teodozję, ale teraz o wiele skuteczniejsze będzie zgładzenie żony kierownika wyprawy.

Stałam cichutko, próbując się uspokoić. Dramatyzuję, niemądra, daję się ponieść wyobraźni. Czy Alison i Dorcas nie mówiły, że tak robię i że trzeba z tym skończyć?

Jednego byłam pewna. Bałam się.

Zaczęłam biec. Potrącałam w biegu kolumny.

Wybiegłam z ich cienia na otwartą przestrzeń. Słońce ugodziło we mnie jak cios. Kłuło mnie połyskliwym białym światłem przez szpary mego postrzępionego słomianego kapelusza.

Niewiele brakowało, a wpadłabym w ramiona Leopolda Hardinga, nadchodzącego w moją stronę.

— Och, lady Travers, co się stało?

— Nic... nic. Nie widziałam pana.

— Zauważyłem, jak wybiegła pani ze świątyni. Właśnie miałem tam wejść.

— Och — powiedziałam — cieszę się, że pan przyszedł.

Myślałam: może *on*, nieznanym mordercą, usłyszał nadjeżdżającą *arabię*, może dlatego pozwolił mi uciec? Dodałam szybko:

— To jest warte powtórnej wizyty.

— Cudowna stara świątynia. Jest pani pewna, że wszystko w porządku?

— Myślę, że trochę zmęczył mnie upał.

— Nie powinna pani biegać. Czy wejdzie pani ze mną jeszcze raz?

— Dziękuję, ale sądzę, że wrócę do pałacu. Moja *arabiya* czeka.

— Nie powinienem pozwolić, by wracała pani sama — powiedział.

Byłam rada z jego towarzystwa. Pomógł mi rozwiązać moje absurdalne lęki. Mówił o sprawach praktycznych, o tym jak udało mu się zorganizować wysłanie swoich nabytków.

— Ta podróż przyniosła efekty — powiedział. — Nie zawsze tak jest. Oczywiście, kupuje się masę rzeczy „do przepuszczenia przez młyn”, jak mówimy. Jest z tego pewien zysk, dlatego warto te transakcje podejmować. Ale czasem zdarzają się prawdziwe odkrycia.

— Czy tak było tym razem?

— Myślę, że ... tak, wydaje mi się, że tak. Ale nigdy nie można być pewnym i bez względu na to, jak piękny jest obiekt, trzeba znaleźć na niego kupca. To jest handel. Oto i pałac. Czy dobrze się pani czuje, lady Travers?

— Doskonale, dziękuję panu. Sądzę, że to przez ten upał.

— Bardzo dokuczliwy i wyczerpujący. Cieszę się, że byłem pod ręką.

— Dziękuję panu za uprzejmość.

— Bardzo mi było miło.

Poszłam do mego pokoju i położyłam się na łóżku. Lęk nie dostępował mnie.

Czy miałam rację? Czy to przeczucie sprawiało, że byłam odrętwiała i cierpła mi skóra? Czy naprawdę groziło mi niebezpieczeństwo? Czy, jak by powiedział wróżbiarz, wielki nietoperz unosił się nade mną? Czy sobie tylko wyobrażałam to wszystko odkrywszy, że mój mąż kocha inną kobietę i chce się mnie pozbyć?

Po upływie może dziesięciu minut ktoś zapukał do drzwi. Usiadłam natychmiast; drzwi uchylały się powoli, ukradkiem. Para ciemnych oczu wpatrywała się we mnie.

— Milady napije się mięty? Milady bardzo zmęczona.

Mustafa patrzył na mnie ze współczuciem.

Podziękowałam mu. Stał jeszcze przez chwilę, a potem skłonił się i wyszedł.

Nateżony upał tego dnia minął. Włożyłam mój ocieniający twarz słomiany kapelusz i wyszłam. Ludzie wstawali ze snu, za żaluzjami, chroniącymi od słońca. Plac targowy napełniał się gwarem. Słyszałam niesamowitą, przedziwną muzykę zaklinacza węzów. Widziałam węża, jak unosił się z kosza przed podziwianą go gromadką ludzi. Zatrzymałam się przed człowiekiem snującym opowieści, siedzącym na macie ze skrzyżowanymi nogami i spoglądającym hipnotyzującym wzrokiem marzycielskich, ciemnych oczu. Twarze otaczających go ludzi były skupione i napięte uwagą; ale gdy podeszłam, wydało mi się, że są świadomi mojej obecności. W bawełnianej bluzce, lnianej spódnicy i wielkim kapeluszu byłam tu obca. Nawet opowiadający przerwał swą opowieść.

Powiedział po angielsku, ze względu na mnie:

— A w miejscu, gdzie umarła, wyrosło wielkie drzewo, którego kwiaty miały kolor jej krwi.

Wrzuciłam kilka monet do miseczki, dając w ten sposób wyraz memu uznaniu.

— Niech Allah będzie z tobą, lady — zamruczał, a ludzie rozstąpili się, by mnie przepuścić.

Weszłam na *souk*. Wróżbiarz zobaczył mnie i spuścił oczy, wpatrując się w matę.

Wąskimi uliczkami przeszłam, mijając otwarte kramy, z których dobiegały nie obce mi już teraz zapachy; czułam na sobie spojrzenia śledzących mnie oczu. Należałam do tych, których dwukrotnie dotknął gniew bogów. Byłam jedną z przeklętych.

Wróciłam do pałacu.

W ostatnich dniach zaniedbałam papiery Teobalda. Nie chciałam, by myślał, że coś jest nie w porządku, postanowiłam więc, że wszystko musi być tak jak dotychczas.

W jego biurku były papiery, które mi zostawił do schowania. Były wśród nich notatki na temat postępu robót w danym dniu — każda datowana. Ułożyłam je w porządku w specjalnej teczce, tak by zawsze mógł natychmiast bez trudu znaleźć to, czego potrzebuje. Powiedział mi, że ta właśnie bardzo piękna, selskinowa teczka należała do jego ojca. Wyłożona była czarnym, prążkowanym jedwabiem.

Zauważyłam już kiedyś, że szwy podszewki rozdarły się i postanowiłam, że je któregoś dnia zeszyję. Zdecydowałam, że zrobię to dziś.

Wyjęłam igłę z nitką, opróżniłam teczkę z papierów i wzięłam się do pracy; gdy jednak wsunęłam rękę pod podszewkę poczułam, że coś pod nią jest.

W pierwszej chwili pomyślałam, że to jakieś umocnienie podszewki, ale ponieważ było zgniecione, wyciągnęłam je i ze zdziwieniem zobaczyłam, że była to zapisana kartka, bardzo pomięta; gdy ją wygładzałam, niektóre wyrazy przykuły mój wzrok. Była to część listu, podpisanego *Ralf*.

... kosztowne przedsięwzięcie nawet dla Ciebie. Tak, zaoferuję pewną sumę. Chciałbym z Tobą pojechać. Mógłbym, gdyby nie moje serce. Nie będziesz chciał mieć na głowie kaleki, a klimat mnie wykończy. Przyjdź jutro. Chciałbym z Tobą porozmawiać o naszych planach. Upieram się przy tym. Twój syn i moja córka. Robi się coraz bardziej do Ciebie podobny; myślę czasem, że to Ty siedzisz tu ze mną i mówisz o tym, co będziecie robić. Przeznaczam sporą sumę na wasze cele, pod warunkiem, że Twój syn poślubi moją córkę. Takie są warunki. Nie będzie ślubu, nie będzie pieniędzy. Uparłem się przy tym. Moi prawnicy załatwią to, że w dniu, gdy moja córka wyjdzie za Twego syna, pieniądze zostaną przekazane na wasze cele. Powiedz Twemu synowi, co od tego zależy. Moja córka i Twój syn! Mój drogi przyjacielu, Twój mózg i moja witalność! Cóż za połączenie w naszych wnukach. Do zobaczenia jutro.

RalfB.

Patrzyłam w osłupieniu na list. Wyrazy zdawały się tańczyć jakiś szalony taniec, jak derwisze na rynku.

„Moja córka i twój syn”. Myślał wtedy o Teodozji. Teobald znał warunki. I oczywiście, gdy sir Ralf tak bardzo się do mnie przywiązał, a Teodozja zapragnęła wyjść za Evana, mnie zaoferował jako pannę młodą. To dlatego posłał po Teobalda. Chciał mu to wyjaśnić. „Judyta jest moją córką. Zapis pozostanie w mocy, gdy się z nią ożenisz”. Sir Ralf, który mnie kochał, wiedział, że chciałam Teobalda. Dałby mi Teobalda, nawet gdyby musiał go przekupić.

Wszystko stało się jasne... tak jasne, że rozdzierało serce.

Teodozja wyszła za mąż z miłości, biedna Teodozja, która tak krótko cieszyła się radością małżeństwa! A ja poślubiłam Teobalda; zapis pozostał w mocy.

A teraz gdy pieniądze były już bezpieczne w przegródce „zawodowe”, Tabita była wolna.

Tabita zawsze była niezwykłą, tajemniczą kobietą. A Teobald... cóż wiedziałam o Teobaldzie?

Kochałam go od lat. Tak, jako symbol. Kochałam go, odkąd go ujrzałam, w mój szalony, porywczy sposób. Kochałam go teraz nie mniej. Ale musiałam się nauczyć, że był bezwzględny, gdy w grę wchodziła jego praca. A czy także wtedy gdy w grę wchodziło jego małżeństwo?

Co mnie opętało?

Podeszłam do okna i odsłoniłam żaluzje. Poprzez taras widziałam rzekę. Biało ubranych mężczyzn i czarno ubrane kobiety; sznur wielbłądów ciągnący do miasta, pasterza z kijem, prowadzącego trzy owce, jak na obrazku w biblii Dorcas. Rzeka połyskująca w promieniach słońca; wysoko w górze białe, rozżarzone światło, na które nikt nie mógł patrzeć; gorące powietrze napływające do pokoju.

Potem krzyk muezzina z minaretu. Tajemnica tej ziemi. Tu wszystko może się zdarzyć. I zatęskniłam wtedy do zielonych pól mojego kraju, do złotego, ciernistego janowca, miękkiego, pieszczotliwego, południowo-zachodniego wiatru, łagodnego deszczu. Chciałam paść w ramiona Dorcas i Alison i prosić, by mnie pocieszyły.

Byłam tu samotna, bez żadnej ochrony, a złowieszczy cień podkładał się coraz bliżej.

Byłam porywcza w uczuciach. Czyż Dorcas nie mówiła zawsze, że jestem zbyt impulsywna? „Zbyt pochopnie wyciągasz wnioski” — słyszałam głos Alison. „Wyobrażasz sobie jakąś dramatyczną sytuację i próbujesz wszystko do tego nagiąć. Musisz się tego oduczyć”.

Alison miała rację.

„Spójrz na to realnie...” — to znów Alison. „Zmierz się z tym twarzą w twarz. Zobacz od najgorszej strony... tak jak jest naprawdę, a nie jak próbujesz to sobie wyobrazić, a wtedy znajdziesz najlepszy sposób, by temu zapobiec”.

Tak, jestem zazdrosna. Kocham Teobalda z obłąkanym pragnieniem posiadania. Chcę mieć go tylko dla siebie. Nie chcę się nim dzielić, nawet z jego powołaniem. Starałam się nabrać jakiejś biegłości w tym zawodzie. Nawet w czasach, gdy byłam dzieckiem i kochałam go, interesowałam się archeologią. Ale jestem amatorką i nie mogę oczekiwać, że posiadę zaufanie ludzi, którzy w swoim zawodzie zajmują pierwsze miejsca. Jestem zazdrosna, gdyż częściej przebywa na terenie wykopalisk niż ze mną.

To było logiczne i rozsądne. Ale o czymś zapomniałam.

Usłyszałam głos Tabity: „Już za późno, Teobaldzie, za późno”.

I czytałam list sir Ralfa do sir Edwarda. Pieniądze za cenę poślubienia jego córki. Cwierć miliona funtów dla sprawy, jeśli to zrobi.

Pieniądze zostały przekazane. Były bezpieczne w rękach ludzi, którzy je wykorzystują dla dobra sprawy. A teraz Tabita była wolna. Cel, do którego posłużyłam, został osiągnięty.

O, nie. Byłam śmieszna. Wielu mężczyzn żeni się dla pieniędzy; kochając jedną kobietę, poślubiają inną.

Ale nie mordują.

Tak, to właśnie to. Zmierzyłam się twarzą w twarz. Czy mogłam rzeczywiście podejrzewać Teobalda i Tabitę o czyn kryminalny? Oczywiście, że nie. Tabita była dla mnie taka dobra. Pamiętam, jak bardzo mi współczuła, gdy musiałam pracować dla niemiłej lady Bodrean; pożyczała mi książki, pomagała mi zdobywać wiedzę. Jak mogłam ją podejrzewać? A Teobald? Myślałam o naszym małżeństwie, naszej miłości, namiętności. Nie mógł przecież udawać, to niemożliwe. To prawda, że nigdy nie był tak żarliwy, tak bez reszty zakochany jak ja, ale godziłam się z tym, kładąc to na karb różnicy naszych charakterów.

Ale czy tak było?

Co wiedziałam o Tabicie? Co wiedziałam o Teobaldzie?

I oto tu jestem, z gonitwą złych myśli w głowie. Odziedziczyłam lęki Teodozji. Wiedziałam, jak się czuła, słuchając słów wróżbiarza. Rozumiałam przecucia, które ją ogarniały.

Przyjechaliśmy do dziwnego kraju. Kraju tajemnic, niezwykłych wierzeń, gdzie zdawali się wciąż żyć bogowie wywierający zemstę i rozdzielający nagrody. To co u nas byłoby śmieszne, tu przybierało pozory prawdopodobieństwa.

Okazało się, że Teodozji przecucia nieszczęścia miały swoje podstawy. A moje przecucia?

Nie mogłam wytrzymać w pokoju. Wyjdę na taras.

Po drodze spotkałam Tabitę, udającą się do swego pokoju.

— O, Judyta — powiedziała. — Gdzie byłaś? Szukałam cię.

— Przeszłam się na targ i wróciłam. Było za gorąco.

— Musiałyśmy się minąć. Ja też tam byłam. Jak myślisz, co mi wróżbiarz tym razem powiedział: „Będziesz miała narzeczonego. Już wkrótce”. Widzisz, jakie mam szczęście.

— Więc już nie wisi nad tobą czarny nietoperz?

— Nie, tylko mąż, ni mniej ni więcej.

— Czy mogę pogratulować... wam obojgu. Kto jest przyszłym oblubieńcem?

Tabita roześmiała się, spuściła powieki; potem powiedziała:

— Trochę za wcześnie o tym mówić. Nikt mnie jeszcze nie prosił o rękę. Może to dopiero nadejdzie.

Uśmiechała się tajemniczo wchodząc na górę.

Zaczęłam drzeć, tak jak w świątyni. Wyszłam na gorące powietrze, ale czułam zimno i nie przestawałam dygotać.

Nie powiedziałam Teobaldowi o liście. Ukryłam go w małym pudełku z wytłaczanej skóry, które kupiłam kiedyś u Yasmin. Naprawiłam teczkę i uporządkowałam listy.

Loepold Harding przyszedł się pożegnać. Powiedział, że i tak został dłużej, niż zamierzał.

— Spotkanie i rozmowy z państwem sprawiły, że ten pobyt był fascynujący. Nawet teraz trudno mi się od was oderwać.

Teobald powiedział, że musi nas odwiedzić w Anglii.

— Nie uwolnię państwa od tej wizyty — brzmiała odpowiedź.

Miała się odbyć narada w hotelu. Zrozumiałam, że fundusze odłożone na cele wyprawy zaczęły się wyczerpywać i trzeba było zdecydować, czy można dalej prowadzić prace.

Teobald był niespokojny. Bał się, że przegłosowana zostanie decyzja przerwania pracy, czego by nie mógł zaakceptować.

— Wstrzymać teraz, w tym stadium roboty... to czyste szaleństwo — powiedział. — To zdarzyło się memu ojcu. Był ten straszny wypadek, ale to mogłoby zdarzyć się wszędzie. Wszystko przez te nonsensowne pogłoski.

Często chodził do hotelu z Terence'em, Hadrianem i innymi członkami zespołu. Pałac wydawał się bez nich bardzo cichy.

Któregoś ranka jeden ze służących powiedział mi, że jakiś robotnik z wykopów chce się ze mną zobaczyć. Skaleczył rękę i chciał bym mu opatryła ranę moją słynną teraz maścią. Na dziedzińcu zastałam młodzieńca, którego opatrywałam przedtem i którego poznałam jako ukochanego Yasmin.

— Lady — wyciągnął dłoń. Była zadraśnięta i lekko krwawiła.

Kazałam mu iść za mną, bym mogła zagotować wodę i przemyć ranę, zanim ją posmaruję maścią i zabandażuję. Widziałam, że nie była

mocno zraniona; możliwe nawet, że skaleczył się umyślnie. Miał mi coś ważnego do zakomunikowania.

— Yasmin nigdy nie wróci — rzekł. — Yasmin nie żyje. Yasmin wrzucono do rzeki.

— Tak. Wiem już o tym.

— Ale lady nie wie dlaczego.

— Powiedz.

— Yasmin znaleziono w grobie. Nie byłem z nią wtedy, inaczej bym nie żył. Ponieważ była tam gdzie nie powinna, zabrano ją i zabito. Wiem, bo powiedział mi człowiek, który to zrobił. Nie odważył się odmówić. To był rozkaz. A potem pizyszedł drugi rozkaz. Musi być wypadek. Musi być ostrzeżenie, ponieważ to jest ważne dla kogoś... żebyście wyjechali.

— Rozumiem — powiedziałam. — A kto wydał te rozkazy?

Chłopiec zaczął drzeć. Obejrzał się przez ramię.

— Możesz mi powiedzieć. Twoja tajemnica będzie u mnie bezpieczna.

— Boję się powiedzieć. To śmierć.

— Nikt nie będzie o tym wiedział.

— Słudzy są wszędzie.

— Wszędzie, ale nie tu.

— Tak lady, tu... w tym domu. Lady widziała ich znak.

— Szakal?

— To znak Anubisa. Tego, który pierwszy balsamował.

Zapytałam:

— Pasza?

Po lęku, który go ogarnął, zrozumiałam, że miałam rację.

— A więc — powiedziałam — wydał rozkaz, by zabić Yasmin, a potem, że ktoś z nas musi paść ofiarą śmiertelnego wypadku na pomoście. Któryś z jego sług mógł się łatwo dostać do pomostu. Ale dlaczego?

— On chce, żebyście wyjechali. Żeby wszystko" zostawić. On się boi..

Ale nie dokończył.

— Więc Yasmin umarła. I moja siostra też.

— Pani siostra, lady? To pani siostra?

Przytaknęłam.

Był przerażony. Myślę, że bardziej z powodu tego, że zdradził mi tę informację, niż z powodu śmierci Teodozji, a to że okazała się moja siostrą, mogło znaczyć, że będę chciała wyrzucić zemstę.

Nagle powiedział:

— Yasmin czekała na mnie w sekretnym miejscu...

— W sekretnym miejscu? — rzuciłam lekko.

— W grobie. Jest mały otwór niedaleko mostu. Nie pracowaliśmy w nim, więc myślałem, że to będzie nasze miejsce. Tam na mnie czekała. Tam leżeliśmy razem.

Zawiązałam bandaż, a on powiedział:

— Ja powiem pani, lady, bo pani jest dobra... dobra dla mnie... dobra dla Yasmin. Są rozkazy, żeby było więcej wypadków... żeby wszyscy wiedzieli, że klątwa działa, że królowie się gniewają... na tych, co kalają miejsca ich spoczynku.

— Dziękuję, że mi to mówisz.

— Pani powie panu. Ale nie zdradzi, że ja powiedziałem. Lady powie i odjedziecie... i będziecie bezpieczni.

— Powiem mu.

— Wtedy pojedzie. Będzie się bał, że teraz lady umrze, bo lady jest jego ukochana.

Poczułam się chora z lęku. Chciałam zostać sama, by móc pomyśleć spokojnie.

Chciałam, żeby Teobald tu był, żebym mogła mu powiedzieć, czego się dowiedziałam. Musiałby mnie wysłuchać — pomyślałam z gniewem. Kiedy Yasmin znikła, nie wydawał się zainteresowany. Ale jej zniknięcie dotyczy nas wszystkich.

Pasza! Chciał nas usunąć ze swej drogi. Dlaczego? Przypomniałam go sobie, siedzącego przy stole, jedzącego, prawiącego komplementy, oceniającego nasze kobiece walory. Udostępnił nam swój pałac. Dlaczego, jeśli nie zamierzał nam pomagać? Żeby mieć nas na oku, oto dlaczego. Jego służący usługiwali nam i donosili, co robiliśmy. Wszystko stawało się jasne.

A mała Yasmin? Co takiego zrobiła, że zasłużyła na śmierć? Znalaziono ją w grobie, czekającą na kochanka. W małej niszy, której nie zauważyłam, ale którą opisał jej ukochany.

Przypomniałam sobie nagle, że wróżbiarz miał znak szakala na ramieniu. A więc był także sługą paszy. Czy przepowiadanie śmierci i zguby było poleconym mu zadaniem... po to by nas wypędzić?

Muszę mówić z Teobaldem. Muszę mu powiedzieć, co słyszałam. Ale Teobald był na naradzie. Muszę poczekać, aż wróci.

Pałac stawał się naprawdę złowrogi. Skąd mogliśmy wiedzieć, kto nas śledzi, słyszy każde wypowiedane przez nas słowo? Cicho chodzący za nami śludzy, donoszący o wszystkim, co robimy.

Wszyscy nasi służący byli sługami paszy; Wszyscy mieli swoje obowiązki. Dwóch tylko przywieźliśmy z sobą: Mustafę i Absalama.

A oni?

Muszę się dowiedzieć. Poszłam do mego pokoju i zadzwoniłam. Gdy Mustafa wszedł, kazałam mu przynieść miętę.

Znalazłam się tuż koło niego, gdy ją stawiał na stole. Powiedziałam:

— Tu jest jakiś owad. Och, idzie po twojej ręce.

Zanim zdążył się poruszyć, podniosłam rękaw jego szaty. To powinno być na przedramieniu, tak jak widziałam u innych.

Mój mały podstęp potwierdził to, co chciałam wiedzieć. Mustafa miał na przedramieniu znak szakala.

Powiedziałam spokojnie:

— Nie widzę go teraz. Owady tutaj to plaga, a ich jad może być trujący; ludzie przychodzą tu zawsze po moją maść. Ale już gdzieś poszedł.

Byłam pewna, że nie wzbudziłam podejrzeń Mustafy. Podziękował mi i wyszedł.

Popijałam miętę myśląc o tym, że jeśli Mustafa był sługą paszy, to musiał być nim również Absalam. ^

Potem myśli moje pobiegły do sir Edwarda. Zmarł w pałacu. Jadł jedzenie przygotowywane przez Mustafę czy Absalama albo przez nich obu, i zmarł.

Gdyby był przy nim lekarz, musiałby to być człowiek paszy.

Teobaldowi groziło niebezpieczeństwo, tak jak jego ojcu. Wszyscy byliśmy zagrożeni.

Sir Edward odkrył coś w grobowcu i to wywołało konieczność jego natychmiastowej śmierci. Jak dotąd wydawało się, że Teobald nie znalazł tego co ojciec, gdyż nie było dotychczas zamachu na jego życie. Ale gdyby miał to odkryć...

Znów zaczęłam drżeć. Muszę go zobaczyć. Musi mnie wysłuchać, gdyż to co stwierdziłam, było sprawą najwyższej wagi.

W GROBOWCU

Jak cichy wydawał się pałac. Jak długo będzie trwała narada? Nigdzie żywego ducha. Mogłam poszukać Tabity, ale nie chciałam jej powierzać tajemnic, gdyż nie ufałam jej dłużej. Nie ufałam już nikomu.

Poszłam na taras i gdy usiadłam w moim ulubionym miejscu, spostrzegłam nagle kogoś idącego ku mnie po schodach. Zdziwiłam się widząc, że to Leopold Harding.

— Myślałam, że pan wyjechał — powiedziałam.

— Nie. Wynikło niewielkie opóźnienie. Interesy, wie pani. Przycho-
dzą z hotelu. Mam wiadomość od pani męża.

Wstałam.

— Czy chce, żebym tam przyszła?

— Nie, chce żeby się pani z nim spotkała na terenie wykopalisk.

— Teraz?

— Tak. Teraz. Natychmiast. On już tam poszedł.

— Więc narada się skończyła?

— Nie wiem, ale prosił, bym pani przekazał tę wiadomość, ponieważ mam kilka wolnych godzin przed wyjazdem.

— Czy powiedział, w którym miejscu mamy się spotkać?

— Nie powiedział dokładnie. Zaproponowałam, że panią Zapro-
wadzę.

— Ale gdzie to ma być?

— Lepiej będzie, jeśli pani pokaże drogę.

Wzięłam leżący na krześle koło mnie kapelusz, bez którego nigdy nie wychodziłam.

Powiedziałam:

— Jestem gotowa. Już idę.

Poprowadził mnie ku rzece. Wsiadliśmy do jednej z łodzi i pojechaliśmy na teren wykopalisk.

Kotlina wyglądała ponuro w blasku późnego popołudniowego słońca. Mimo bezwietrznego dnia wydawało się, że w powietrzu unosił się, jak zawsze, drobny pył.

Miejsce było opustoszałe, gdyż ludzie dziś nie pracowali. Zrozumiałam ze słów Teobalda, że czekali na wynik narady.

Doszliśmy do otworu w stoku pagórka, który stanowił wejście do grobu, lecz ku memu zdziwieniu Leopold Harding minął je.

— Ale przecież... — zaczęłam.

— Nie — powiedział. — Jestem pewien. Byłem tu wczoraj i pani mąż coś mi pokazał. To tu...

Wprowadził mnie do czegoś, co wyglądało jak naturalna jaskinia, ale mogło być równie dobrze wydrążone celowo.

Zdziwiłam się, widząc otwór w ścianie tej jaskini.

Leopold Harding powiedział:

— Pozwoli pani, że pomogę jej wejść.

— Czy jest pan pewien, że to tu? — zapytałam. — Nigdy przedtem tu nie byłam.

— Nie. Pani mąż właśnie odkrył, że to jest tutaj.

— Ale co to za otwór?

— Zobacz pani. Proszę mi podać rękę.

Zrobiłam krok naprzód i nagle znalazłam się na szczycie schodów.

— Jeśli pozwoli pani sobie pomóc, zejdziemy.

— Więc Teobald tu jest?

— Zobacz pani. Tu są latarnie. Zapalę je i weźmiemy po jednej.

— To się wydaje dziwne — powiedziałam — że pan, który jest tutaj obcy...

Uśmiechnął się:

— Ach, lady Travers, trochę tu badałem. Pani mąż był dla mnie tak dobry.

— A więc wiedzieli o tym miejscu. Czy jest połączone z grobowcem?

— O, tak, ale nie sądzę, by do tej chwili uważali, że warto tu szukać.

Podał mi latarnię i zobaczyłam wycięte w ziemi schody.

Zakręcały i doprowadziły nas do drzwi. Były do połowy uchylone.

— Tam — powiedział Leopold Harding, gdy weszliśmy. — To właśnie to miejsce. Pójdę pierwszy, dobrze?

Teobald nigdy mi o tym miejscu nie mówił. Musiało to być świeże odkrycie. Ostatnio trzymałam się wprawdzie z daleka. Nie mogłam tego zwalczyć w sobie; nie mogąc mówić o mych podejrzeniach, nie umiałam jednocześnie zachowywać się tak, jakby w ogóle nie istniały.

Byliśmy w małej sali, nie miała więcej niż osiem stóp wysokości. Zauważyłam otwór w ścianie i poszłam w jego stronę. Zajrzawszy do niego ujrzałam trzy czy cztery stopnie.

Wstąpiłam na nie i zawołałam:

— Teobaldzie, jestem tu.

Znalazłam się w innej sali, większej. Było tu trochę zimno.

Przeszył mnie pierwszy dreszcz ostrzeżenia.

— Teobald! — krzyknęłam. Mój głos brzmiał przenikliwie.

Powiedziałam:

— Tu nie ma nikogo.

Obejrzałam się. Byłam sama.

Zawołałam:

— Panie Harding! To chyba pomyłka. Teobalda tu nie ma.

Nie było odpowiedzi. Zeszłam po schodach. Wróciłam do mniejszej sali. Tu także nie było Leopolda Hardinga.

Podeszłam do wejścia. Było zupełnie ciemne, gdyż drzwi były zamknięte.

— Panie Harding! — zawołałam. — Gdzie pan jest?

Nikt mi nie odpowiedział.

Podeszłam do drzwi. Nie widziałam ani klamki, ani rygla... nic, czym dałoby się je otworzyć. Pchnęłam. Próbowałam pociągnąć. Były mocno zamknięte.

— Gdzie pan jest? Panie Harding, gdzie pan jest?

Znów żadnej odpowiedzi. Tylko w otworze odbijał się echem mój głos. Wiedziałam już, co znaczy cierpienie skóry. To było tak, jakby tysiące mrówek pełzało po mnie. Włosy zjeżyły mi się na głowie. Straszna rzeczywistość stanęła mi przed oczami. Byłam sama i tylko Leopold Harding wiedział, że tu jestem.

Dlaczego? Kim był? Dlaczego to zrobił? Moja wyobraźnia rozpoczęła dziki taniec. To było tak pozbawione sensu. Na pewno wyszedł na chwilę na zewnątrz. Wróci. Dlaczego miałyby turysta, zwykły znajomy, zamykać mnie w grobie?

Staralam się uspokoić. Podniosłam lampę i spojrzałam dokoła... na stopnie wycięte w ziemi, na zimne ściany małej sali. Teobald musi tu być. Zaraz nadejdzie.

Potem przypomniały mi się moje podejrzenia co do Teobalda. Czy to możliwe, że mnie tu sprowadził... żeby się mnie pozbyć? Dlaczego wysłał Leopolda Hardinga po mnie? *Kim* był Leopold Harding? Dlaczego Teobald nie przyprowadził mnie sam? Ponieważ nie chciał, by widziano, jak wchodzi tu ze mną? Gdy nie wrócę...

Och, to szaleństwo. To obłąd.

Zamknięcie w grobie może doprowadzić do obłąd.

Odstawiłam latarnię i zaczęłam bić w drzwi pięściami. Ani drgnęły. W jaki sposób je zamknęto? Jak je otworzyć? Zdawało mi się, że Leopold Harding tylko je popchnął, gdy wchodziliśmy tutaj. To było aż tak łatwe. A teraz były zatrzaśnięte, a ja znalazłam się po ich niewłaściwej stronie.

Musiał się gdzieś ukryć, chcąc mnie przestraszyć. Co za niemądry figiel. Przypomniałam sobie siebie, nagle powstającą z sarkofagu w Giza House. Prawie słyszałam krzyk Teodozji.

O Boże, spraw, niech ktoś tu przyjdzie. Nie pozwól mi być samej w tym miejscu.

Teobald musi tu gdzieś być. Lepiej sprawdzić... żeby się upewnić, zanim pozwolę, by mnie pochwyił w kleszcze ten paraliżujący lęk.

Podniosłam lampę i podeszłam zdecydowanie do schodów. Zeszłam po nich do większej komory. Muszę ją zbadać. Stąd musi być jakieś wyjście. Teobald może tu być gdzieś za ścianą, czekając na Leopolda, który mnie do niego prowadzi.

Trzymając wysoko lampę badałam ściany; nie było na nich dekoracji, ale dostrzegłam otwór. Przeszłam przezeń i znalazłam się w korytarzu.

— Teobald! — wołałam. — Jesteś tam? Teobald!

Odpowiedziała mi cisza.

Podniosłam latarnię. Zobaczyłam, że tu ściany nie były pozbawione dekoracji. Przedstawiono na nich rzędem sępy z rozpostartymi skrzydłami, jakby unoszące się w powietrzu. Potem przedostałam się do następnej sali. Przeszukałam ją starannie. Wydawało się, że nie ma z niej wyjścia — doszłam do kresu moich poszukiwań — nie było żadnego.

Czułam jak drżą mi nogi; osunęłam się na ziemię.

Poznałam teraz strach, jakiego nie doznawałam nigdy przedtem. Przyprowadzono mnie tu w jakimś celu. Wszystkie ostrzeżenia, które otrzymałam, wszystkie przeczucia miały jakieś znaczenie. Nie powinienam była ich lekceważyć.

Ale dlaczego miałyby Ieopold Harding chcieć mnie schwytać w pułapkę? Dlaczego mnie okłamał? Przypomniałam sobie, jak wybiegłam ze świątyni prosto na tego człowieka. To on się tam podkradał. Miał zamiar mnie zabić. Och, ale mam lepszą myśl! Czy to Teobald kazał mi to zrobić i kim on był, że musiał słuchać rozkazów Teobalda?

Byłam pewna, że coś się poruszyło w górze — patrzyło na mnie. Podniosłam latarnię.

Na sklepieniu przedstawiony był wielki nietoperz z ogromnymi skrzydłami. Oczy miał zrobione jakby z obsydianu, a padające na nie światło latarni sprawiało, że wydawały się żywe.

W wyobraźni słyszałam głos wróżbiarza: Nietoperz krąży... czeka, by spaść.

Patrzyłam na niego przerażona — odrażającego, wrogiego — i zadawałam sobie pytanie: Co się ze mną stanie? Co to znaczy? Dlaczego mnie tu sprowadzono?

Było mi zimno. Czy to strach sprawił, że drżałam tak gwałtownie i nie mogłam utrzymać się na nogach? Szczękały mi zęby — co za niesamowity dźwięk.

Nie miałam siły podnieść się i wrócić. Ten ohydny nietoperz na sklepieniu sali fascynował mnie.

Mogłam teraz rozróżnić rysunki na ścianach. Był tu faraon składający ofiarę któremuś z bogów. A to, czy to Hator, bogini miłości? To musi być ona, bo tam znów ją widać, z głową krowy, a wiedziałam, że krowa była jej symbolem.

Było mi teraz bardzo zimno. Muszę się poruszać. Wstałam; chwiejąc się na nogach zbadałam ściany. Może jest jakieś wyjście z tego miejsca.

Musi być wyjście. Teraz widziałam wyraźniej malowidła na ścianach. Były tu przedstawienia statków i ludzi przywiązanych do góry nogami u ich dziobów. To więźniowie, pamiętałam. A wśród nich byli ludzie pozbawieni kończyn — czasem jednej, czasem dwóch lub trzech. I był też krokodyl, który ich okaleczył, przebiegły, szkaradny, z naszyjnikami na szyi i kolczykami zwisającymi z uszu.

Gdzie byłam? U wejścia do grobowca? Jeśli byłam w samym wejściu, to musi ono gdzieś prowadzić. Gdzieś z przodu była może sala grobowa, a w niej kamienny sarkofag, a w sarkofagu mumia.

Można się przyzwyczaić do wszystkiego... nawet do lęku. Lęk! Strach! Przerażenie! Ogarniały mnie, a jednak byłam spokojniejsza niż w chwili, gdy zdałam sobie sprawę, że jestem sama w tym strasznym miejscu.

Przeszłam kilka kroków. Gdyby było wyjście z tej sali... dokąd mogło prowadzić... tylko do mumii dawno zmarłego człowieka. A mnie było potrzebne wyjście na zewnątrz... świeże powietrze.

Pomyślałam: Tu jest trochę powietrza. Wkrótce je zużyję. Umrę; i będę tu leżała zawsze, aż jakiś archeolog postanowi przeszukać te miejsca sądząc, że może doprowadzi go to do wielkiego odkrycia; a tym, co odkryje, będzie moje martwe ciało.

Nonsens — powiedziałam sobie, jak tyle razy mówiłam Teodozji — musi być coś, co mogę zrobić.

Ta myśl natchnęła mnie odwagą. Nie mogę tu siedzieć i spokojnie czekać na śmierć. Muszę znaleźć stąd wyjście, jeśli w ogóle można je znaleźć.

Podniosłam latarnię. Jeszcze raz zbadałam ściany. Dostrzegłam teraz pewne znaczenie w malowidłach. Miały obrazować podróż duszy po rzece Tuat. Był też statek na jakimś morzu, z którego wyłaniały się potwory morskie, węże o dwu głowach, fale, które zatapiały statek; ale ponad tym był bóg Ozyrys, bóg podziemnego świata i sędzie umarłych, a to znaczyło, że chronił on podróżnika w łodzi i że przeprowadzi go przez wzburzone fale Tuat do królestwa Amona-Ra.

Był otwór w ścianie. Serce zabiło mi nadzieją. Okazało się jednak, że to tylko wnęka, rozmiarami podobna do tej, w której spoczywali Yasmin i jej kochanek.

Gdy badałam ściany, dotknęłam czegoś stopą. Przestraszyłam się i pomyślałam zaraz o strasznych stworach wynurzających się z rzeki Tuat. Schyliłam się i spojrzałam pod nogi. Zamiast odrażającego węża zobaczyłam jakiś błyszczący przedmiot.

Pudełko od zapałek! Małe, złote pudełko. Dziwne, znaleźć coś takiego w takim miejscu. To nie był zabytek. Należało do naszego stulecia. Obróciłam je w palcach i spostrzegłam wygrawerowane nazwisko: „E. Travers”.

Pudełko sir Edwarda! Był tu więc! Odkrywszy to poczułam zawrót głowy. Oto już rezultat mojego uwięzienia. Nie mogłam myśleć jasno. Sir Edward był tu kiedyś. A jeśli to było tej nocy, kiedy zmarł? Czy zmarł dlatego, że tu był? Ale przecież wrócił do pałacu. Nikomu nie powiedział, co widział, Teobald był pewien, że coś znalazł, coś, co go zelektryzowało. Potem zjadł przygotowane dla niego jedzenie. Kto je przygotowywał? Mustafa i Absalam — obaj naznaczeni znakiem szakala, słudzy paszy.

Sir Edward został zamordowany. Tego byłam pewna. I został zamordowany, ponieważ był tutaj. To mogło się stać wskutek rozkazu paszy... który zarządził, że ma umrzeć, tak jak zarządził, że Yasmin ma zostać zabita i wrzucona do rzeki i że ma się zdarzyć wypadek na pomoście, który będzie dowodem, że kłątwa działa.

Pasza chciał nas wypędzić; chciał, żeby nasza wyprawa skończyła się niepowodzeniem. Dlaczego? Ponieważ było coś, na czego odkrycie nie chciał nam pozwolić. Jeśli pasza rzeczywiście interesował się archeologią, dlaczego był gotów raczej zabić, niż dopuścić do odkryć?

Ponieważ on *sam* chciał ich dokonać?

W moim obecnym stanie paniki i lęku wspomnienia przeszłości rysowały się wyraźniej niż w normalnej sytuacji. Przypominałam sobie dokładnie pulchną twarz paszy, jego trzęsący się podbródek, tłuste od jedzenia wargi, jego chytrą minę, gdy mruzczał: „Istnieje legenda, że moja rodzina zdobyła majątek na rabowaniu grobów”.

Czyżby powiększał swą fortunę w ten bezprawny sposób?

Jeśli to prawda, nie mógł być przyjaźnie nastawiony do archeologów, którzy mogli go zdemaskować. Dlatego udostępnił nam pałac, dlatego usługiwali nam jego słudzy, dlatego otrzymali rozkazy, by nas wystraszyć.

Wiedziałam, że taka była odpowiedź.

Ale nie była to odpowiedź na naglące pytanie: dlaczego musiano mnie tu sprowadzić?

Pomyślałam, że Loepold Harding jest jeszcze jednym ze sług paszy. W gazetach będą czytać: Zniknięcie żony archeologa! Lady Travers, żona sir Teobalda, opuszcza pałac, w którym mieszka grupa archeologów i nie wraca przez dwa... trzy dni... tydzień... miesiąc. Można przypuszczać jedynie, że nie żyje. W jaki czarodziejski sposób została porwana? To następny przypadek klątwy faraonów. Trzeba przypomnieć, że przed kilkoma miesiącami żona jednego z archeologów padła ofiarą śmiertelnego wypadku.

Wyobraziłam sobie Dorcas czytającą to. Przy niej Alison. Widziałam ich puste, przygnębione twarze. Będą miały naprawdę złamane serca.

To nie może się stać. Muszę znaleźć wyjście.

Ścisnęłam kurczowo w rękę złote pudełko sir Edwarda, jakby to był talizman.

Pociemniało! Czy to lampa przygasła? Co zrobię, gdy olej się wyczerpie? Czy już wtedy nie będę żyła?

Ile czasu można przetrwać w takiej atmosferze?

Nogi miałam zupełnie zdrętwiałe. Ze strachu czy z zimna, nie wiem. Nade mną świeciły oczy nietoperza... czekającego... czekającego w pogotowiu, by spaść.

O, Boże — modliłam się — pomóż mi. Wskaż, co mam robić. Spraw, by Teobald przyszedł i mnie odnalazł. Spraw, niech chce, żebym żyła... nie, żebym umarła.

Potem zastanawiałam się, dlaczego zawsze gdy potrzeba nam pomocy, mówimy Bogu, co ma robić. Jeśli taka jest Jego wola, wyjdę stąd żywa — i tylko wtedy.

Myślę, że trochę majaczyłam. Zdawało mi się, że słyszę kroki. Ale to tylko moje serce biło tak, że jego uderzenia brzmiały w moich uszach jak młoty.

Mówiłam na głos: Och, Teobaldzie, zauważ, że mnie nie ma. Szukaj mnie. Znajdziesz mnie, jeśli będziesz szukał. Znajdziesz te drzwi. Dlaczego muszą być takie drzwi? Coś cię przyprowadzi do mnie... jeśli będziesz chciał mnie odnaleźć... rozpaczliwie... musisz. Ale czy ty

chcesz mnie znaleźć? Czy to wszystko z twojego polecenia? Nie... Nie wierzę w to. Nie będę w to wierzyć!

Widziałam teraz stary kościół i nagrobki — niektóre grożące runięciem. „Nie można odczytać, co jest na nich napisane”. To chyba mówi Alison. „Myślę, że powinno się je usunąć... ale nie można niepokoić zmarłych...”

„Nie można niepokoić zmarłych. Nie można niepokoić zmarłych”. Jakby śpiewały to tysiące monotonnych głosów.

A tu był statek i wokół mnie morze kipiące jak woda w wielkim czarnym rondlu, stawianym na kuchennym ogniu na plebanii, gdy Dorcas i Alison dusiły baraninę z kartoflami i cebulą albo gotowały świąteczny pudding na Boże Narodzenie.

To było majaczenie. Zdawałam sobie z tego sprawę, lecz i byłam temu rada. Przenosiło mnie z ciemnego i przerażającego miejsca do pokoju szkolnego, gdzie dokuczałam innym; przenosiło mnie na cmentarz, gdzie stary Pegger kopał grób.

— Dla kogo to, panie Pegger?

— Dla panienki, panno Judyto. Zawsze była panienka wścibska i proszę zobaczyć, dokąd to zaprowadziło... do grobu... do grobowca...

Znów słyszałam głosy i powtarzające je echo: „Do grobu”, i znów byłam z powrotem w tym zimnym lochu śmierci i strachu.

O Boże, pomóż mi. Spraw, żeby Teobald mnie znalazł. Spraw, żeby mnie kochał. Niech to będzie pomyłką...

— W kościele odbywa się teraz ślub — mówi Dorcas. — Musisz iść z nami, Judyto. Tu jest garść ryżu. Uważaj, jak będziesz rzucać.

Idą wzdłuż nawy... pobłogosławieni przez wielbnego Jamesa Osmonda. Teobald i Tabita...

— Nie! — krzyknęłam; i byłam na powrót w grobie.

Ręce i nogi miałam sztywne. Próbowałam wstać. Spróbuję wyjść.

Gdy wstałam, uderzyłam o coś nogą. To było pudełko od zapałek, które upuściłam. Schyliłam się, żeby je podnieść i wtedy wydało mi się, że ściana się poruszyła.

To wyobraźnia — powiedziałam sobie. Majaczę. Za chwilę zacznę otwierać drzwi od mojej sypialni na plebanii.

Drzwi się otworzyły. Wpadłam na nie. Byłam w ciemnym przejściu, naprzeciwko siebie miałam inne drzwi.

Pod wpływem impulsu uderzyłam w nie.

Nikła nadzieja obróciła się w panikę, gdyż w przyptywie jasności umysłu zdałam sobie w pełni sprawę z mego położenia. Byłam w potrzasku. Zostałam tu specjalnie sprowadzona, a jedynym celem było zabicie mnie. Opadałam z sił. Lampa nie będzie się palić zawsze. I nie mogę wyjść.

Kopałam w drzwi. Próbowałam je otworzyć. Ale nie drgnęły nawet.

Osunęłam się koło nich na ziemię. Przynajmniej drzwi prowadzące do sali były otwarte; może wpadnie przez nie trochę powietrza?

Potykaçąc się, posuwałam się wzdłuż korytarza. Był krótki i nagle się skończył. Nic nie odkryłam, jedynie następną ślepą uliczkę. Wróciłam i w przyptywie furii kopnęłam drzwi. A potem usiadłam znów na ziemi i zakryłam twarz rękami.

Nic nie mogłam zrobić... nic. Czekać na śmierć.

Straciłam świadomość. Siedziałam w pół otwartych drzwiach, a w sali za nimi czekał wielki nietoperz.

Jak długo? — zastanawiałam się.

Światło latarni stawało się coraz słabsze. Lada chwila zgaśnie.

Co zrobię, gdy zapadnie ciemność?

Ogarnie mnie przerażenie, gdyż wtedy nic nie będę widziała... nawet nietoperza na sklepieniu.

W nagłym popłochu wstałam. Potykaçąc się, doszłam do drzwi. Krzyczałam: Pomó?; mi. Boże! Allahu, Ozyrysie... ktokolwiek jesteś... pomóż mi!

Na poły szlochałam, na poły się śmiałam. Kopałam i kopałam w drzwi, dobywając z siebie resztki sił.

I nagle... o cudzie! Usłyszałam odzew.

Stuk, stuk... z drugiej strony tych błogosławionych drzwi.

Z całej siły odpukałam.

Znów usłyszałam w odpowiedzi stuknięcie. Słyszałam teraz głos za ścianą. Ktoś wiedział, że tu jestem. Ktoś do mnie szedł.

Znów osłabłam. Gdy słyszałam ten hałas, który błogosławiłam, wiedziałam, że idą. Narastał. Drzwi drżały. Usiadłam wpatrując się w nie, łzy spływały mi po policzkach, moje wargi wymawiały jakieś słowa bez związku.

— Teobald nadchodzi. Odnalazł mnie. Będę wolna...

Byłam szczęśliwa. Czy przeżywałam kiedykolwiek takie uniesienie radości? Dopiero gdy człowiek jest bliski śmierci, uświadamia sobie całą słodycz życia.

Latarnia zamigotała. To nic. Nadchodzą. Drzwi się poruszyły.

Już za chwilę.

Już nie byłam sama. Ktoś mnie porwał w ramiona.

— Judyto...

To był Teobald, wiedziałam, że tak będzie.

Trzymał mnie w ramionach, a ja myślałam: nie umarłam z lęku, ale umrę ze szczęścia.

— Kochanie — powiedział — Judyto, moje kochanie.

— Już dobrze, Teobaldzie — powiedziałam, by go pocieszyć. — **Już** wszystko dobrze... teraz...

WIELKIE ODKRYCIE

t

W ciągu następnych dni żyłam w oszołomieniu.

Zdarzały się chwile, gdy nie wiedziałam, gdzie jestem i wtedy był przy mnie Teobald... zawsze Teobald, trzymał mnie w ramionach, uśmierzał mój niepokój.

Przeżyłam poważny wstrząs i ciągle musiano mi powtarzać, że wszystko jest w porządku. Tylko o tym miałam pamiętać. I Teobald był przy mnie. Przyszedł do mnie i wyratował mnie; i tylko o tym mam teraz myśleć.

To wystarczy — powiedziałam.

Leżałam spokojnie, trzymając się jego ręki, ale gdy zapadałam w sen, budziłam się nagle krzycząc, że czarny nietoperz jest w górze i że jego oczy błyszczą. Chwytałam się na błaganiu: Pomóż mi. Pomóż. Boże... Allahu... Teobaldzie... pomóż mi.

To była ciężka próba. Niewielu mogło być takich, których po-
grzebano w grobach faraonów i wyszli z nich żywi.

Kto mi to wszystko zrobił? Tego się chciałam dowiedzieć. Czy Leopold Harding? I dlaczego zabrał mnie do tego podziemnego grobowca i zostawił w nim?

Teobald powiedział:

— Przyjdzie czas, że się dowiemy. On zniknął, ale odnajdziemy go.

— Dlaczego to zrobił, Teobaldzie? Dlaczego? Powiedział, że zabiera mnie do ciebie. Mówił, że prosiłeś, bym przyszła.

— Nie wiem. To jest dla nas wszystkich zagadką. Staramy się go odnaleźć. Ale zniknął. Teraz musisz myśleć tylko o tym, że jesteś bezpieczna i nigdy już nie pozwolę ci się zgubić.

— Och, Teobaldzie — powiedziałam. — Jestem tak szczęśliwa.

Tabita usiadła przy moim łóżku.

— Chcę ci coś powiedzieć, Judyto — rzekła. — Dużo mówiłaś. Byliśmy wstrząśnięci tym, co przepełniało twoje myśli... jak mogłaś wierzyć, że takie rzeczy są możliwe? Teobald wie, że z tobą rozmawiam. Sądzimy, że najlepiej będzie, jeśli od razu zrozumiesz. Myślałaś, że Teobald i ja byliśmy w sobie zakochani. Judyto, jak mogłaś tak myśleć, kochana? Ja kocham Teobalda, tak... zawsze go kochałam... tak jakbym kochała syna, gdybym go miała. Znalazłam się w ich domu, jak wiesz, gdy mój mąż został umieszczony w zakładzie. Żona sir Edwarda żyła wtedy, lecz była chora. Ach, wiem, że to nie w porządku, ale sir Edward i ja kochaliśmy się. Niania wiedziała o tym i szpiegowała nas. Była oddana żonie sir Edwarda i nienawidziła mnie. Nienawidziła także sir Edwarda. Mnie obciążyła winą, gdy lady Travers umarła. Po prostu sugerowała, że ją zamordowałam. Sir Edward i ja byliśmy kochankami. Jak wiesz, towarzyszyłam mu w niektórych wyprawach wykopaliskowych. Gdybym była wolna, pobralibyśmy się. Ale nie byłam... a wolność przyszła zbyt późno..

— Teraz rozumiem — powiedziałam.

— Kochanie. Zawsze byłaś tak zaślepiona, gdy chodziło o Teobalda, prawda? On zdaje sobie sprawę ze swego szczęścia. Nigdy nic nie robisz połowicznie, jak mawiały twoje ciotki. Musiałaś więc go kochać z tym swoim niepokonanym pragnieniem posiadania. Taka determinacja musi wywołać skutki. Nawet Teobald musi mieć swoje czułe miejsca. Na długo nim cię poprosił o rękę, zwierzył mi się, że pragnie, byś została jego żoną... to było wtedy, gdy byłaś lektorką lady Bodrean... i muszę przyznać, że nie była to dla ciebie najlepsza rola. Nie było w tobie cienia potulności, a to cecha, którą zawsze kojarzy się z osobą do towarzystwa.

— Widzę — powiedziałam — że to moja nieokiełznana i szalona wyobraźnia stworzyła tę całą sytuację.

— To nie była rzeczywista sytuacja... Nie istniała poza twoją wyobraźnią, pamiętaj o tym. Muszę ci coś jeszcze powiedzieć. Terence Gelding prosił mnie o rękę.

— I przyjął go?

— Jeszcze nie. Ale myślę, że przyjmę.

— Będiesz szczęśliwa, Tabito. Nareszcie.

— I jeszcze coś ci powiem. Nigdy nie widziałam Teobalda pracującego tak ciężko i z taką determinacją, jak wówczas gdy odciągali drzwi, które dzieliły go od ciebie. Nawet wtedy gdy uważał, że jest o krok od największego w swej karierze odkrycia. Nie, nigdy przedtem nie widziałam takiego ślepego dążenia do celu, takiej podyktowanej rozpaczą potrzeby...

Roześmiałam się.

— Myślę, że jednak muszę więcej dla niego znaczyć niż nienaruszony grób faraona.

— Nie wątpię w to — powiedziała Tabita.

Teobald był przy moim łóżku.

— Zaraz, gdy tylko lekarz uzna, że to możliwe, pojedziemy do domu. Prosiłem doktora Gunwena, żeby przyjechał i stwierdził, czy nadajesz się do podróży.

— Sprowadziłeś tu doktora Gunwena! I jedziemy do domu. Więc to koniec wyprawy?

— Tak, dla mnie się skończyła.

— Mój biedny Teobaldzie.

— Biedny! Gdy tu jesteś... żywa i cała.

Objął mnie i przytulił.

— Przynajmniej — powiedziałam — znalazłam szczęście, o jakim nigdy nie marzyłam, że jest możliwe.

Nic nie odrzekł, ale sposób, w jaki mnie tulił, przekonał mnie, że podziela moją radość.

— Gdzie jest Hadrian? — zapytałam. — Dlaczego nie przyszedł mnie odwiedzić?

— Chcesz go zobaczyć? — zapytał Teobald.

— Ależ oczywiście. Nic mu się nie stało, prawda?

— Nie. Przyślę ci go.

Od razu zobaczyłam zmianę, jaka zaszła w Hadrianie. Nigdy przedtem nie widziałam go tak zrównoważonego.

— Och, Hadrianie!

— Judyto — ujął mnie za ręce, ucałował obydwa moje policzki. — Żeby coś takiego zdarzyło się tobie. To musiało być straszne.

— Było.

— Świnia — powiedział. — Absolutna świnia. Lepiej było cię zabić strzałem w głowę niż tak. Judyto, z czasem o tym zapomnisz.

— Zastanawiam się, czy można wymazać z pamięci takie doświadczenie.

— Ty zapomnisz.

— Dlaczego on to zrobi- Hadrianie?

— Bóg raczy wiedzieć. Musi być obłąkany.

— Wydawał się przy zdrowych zmysłach... zwykły kupiec, podekscytowany tym, że natrafił na naszą ekspedycję, gdyż do pewnego stopnia wiązało się to z jego interesami. Jakiż mógł mieć motyw?

— To musimy zbadać. Dzięki Bogu narada się skończyła, gdy... w tym czasie gdy ty i Harding weszliście na teren wykopalisk. Uzgodnili, że misja będzie przedłużona o kilka tygodni i gdy wróciliśmy do pałacu, Teobald chciał ci to powiedzieć. Jeden ze służących słyszał, jak Harding mówił, że Teobald prosił go, by cię przyprowadził do niego na teren wykopów, i widział, że z nim poszłaś. Teobald był zatrwożony. Myślę, że bardziej się niepokoił, niż dawał po sobie poznać. Poszliśmy na teren. Szukaliśmy cię. Myśleliśmy już, że to beznadziejne, ale Teobald nie rezygnował. Szukał i szukał w tym samym miejscu. I wreszcie usłyszeliśmy stukanie.

— Jaki *mógł* być jego motyw? Zdaje mi się, że próbował mnie zabić któregoś dnia w świątyni.

— Ale jaką korzyść mogłaby *jemu* przynieść twoja śmierć?

— To tajemnica.

— A Teodozja? Czy myślisz, że to Harding?

— Nie, to pasza i jego słudzy.

— Pasza!

— Jeden z robotników... ukochany Yasmin... ostrzegł mnie. Yasmin została wykryta w grobie i zabili ją. Była tam w dniu wizyty paszy. Pamiętasz święto Nilu?

— Dobry Boże, Judyto. Jesteśmy w gąszczu intrygi.

— Zamiast Teodozji mógł zginąć każdy z nas. To ona stała się nieszczęsną ofiarą. Ktoś uszkodził pomost, ponieważ pasza żądał ofiary. Wszystko jedno, jakiej.

— Ale pasza nam pomagał.

— Chciał nas stąd przepędzić. Możliwe, że będzie próbował jeszcze kogoś z nas zabić.

Teobald nadszedł i usiadł przy mnie.

— Zmęczyłeś Judytę — zwrócił się z wyrzutem do Hadriana.

Upajała mnie jego troska, ale upierałam się, że nie jestem zmęczona i że mówiliśmy o Leopoldzie Hardingu i o paszy, raz jeszcze szukając powodu, dla którego targnięto się na moje życie.

Teobald powiedział:

— Przede wszystkim Harding musiał coś wiedzieć o rozkładzie terenu.

— Był tu niejeden raz — przypomniałam.

— Za dużo wiedział. Musiał skądś czerpać wiadomości.

— Pewne jest — powiedziałam — że Leopold Harding nie był tym, za kogo go uważaliśmy. Teobaldzie, zastanawiam się, czy ten chłopiec, ukochany Yasmin, coś wie. To on mi mówił, że pasza chciał nas wypędzić.

— Sprowadzę go — rzekł Teobald.

— Pod jakimś pretekstem — ostrzegłam. Nikt nie powinien podejrzewać, że nam pomaga. Skąd możemy wiedzieć, kto nas śledzi?

Chłopiec stał przed nami. Zdecydowaliśmy, że to ja będę mu zadawać pytania, ponieważ zdobyłam jego zaufanie.

— Powiedz, co wiesz o Leopoldzie Hardingu?

Sposób, w jaki obejrzał się przez ramię, upewnił mnie, że coś wiedział.

— On czasem przyjeżdża do Egiptu, lady.

— Bywał tu więc często. Co jeszcze?

— Jest przyjacielem paszy. Pasza daje mu piękne rzeczy.

— Jakie piękne rzeczy?

— Wszystkie piękne rzeczy. Klejnoty... kamienie... meble... wszystko. Leopold Harding wyjeżdża i wraca do paszy.

— Więc jest sługą paszy?

Chłopiec skinął głową.

— Dziękuję — powiedziałam. — Dobrze mi służyłeś.

— Lady jest bardzo dobra — odpowiedział. — Dobra dla Yasmin. Lady była zamknięta w grobie.

Jego wielkie, ciemne oczy napełniły się przerażeniem.

— Ale wyszłam — powiedziałam.

— Lady jest wielka i mądra. Lady i wielki sir wrócą do krainy deszczu. Tam będą żyć w spokoju i radości.

— Dziękuję ci — powiedziałam. — Oddałeś mi wielką przysługę.

Przyjechał doktor Gunwen. Usiadł przy moim łóżku i rozmawiał ze mną. Zapytałam, jak się mają Dorcas i Alison. Powiedział:

— Przygotowują się do pani powrotu.

Roześmiałam się.

— Tak, przepiszę natychmiastowy powrót. Rozmawiałem z pani mężem. Chcę, żeby pani tam wróciła... miły, długi pobyt na wsi, którą tak dobrze pani zna. Pomoże pani żonie proboszcza przy wencie dobroczynnej i smażeniu konfitur.

— To brzmi cudownie — powiedziałam.

— Tak, trzeba pobyć trochę z dala od tych obcych stron. Myślę, że wtedy będę mógł stwierdzić natychmiastowe wyzdrowienie. Nic się pani nie stało, proszę wierzyć. Tylko, że tego rodzaju uwięzienie może wywołać niszczycielskie skutki. Sądzę, że jest pani dostatecznie silna, by znieść więcej niż inni.

— Dziękuję — powiedziałam. — Będę stosownie do tego żyła.

— Teobaldzie — powiedziałam. — Jedziemy do domu.

— Tak — odparł. — Zalecenie lekarza.

— Nasza wyprawa jest zakończona, prawda?

— Tak — odrzekł.

Leżałam przy nim i myślałam o zielonych polach. Już była jesień i liście drzew przybierają złoto-brązowe barwy. Jabłonka przy Tęczowym Domku ugina się pod ciężarem szarych renet, a gruszki nadają się już do zebrania. Dorcas i Alison rozplývają się z zachwytu nad wielkością śliwek.

Poczułam niewysłowioną tęsknotę za domem. Zamienię Giza House w taki dom, jakiego pragnę. Przepędzę mroki. Już nigdy więcej nie chcę ciemności. Wszędzie będą panowały jasne barwy.

Powiedziałam:

— To będzie cudownie być z tobą w domu.

Teraz, gdy już przyszedłam do siebie i przygotowaliśmy się do powrotu, dowiedziałam się więcej o tym, co się wydarzyło.

Mustafa i Absalam zniknęli. Czy słyszeli moje uwagi o tym, że podejrzewam paszę? Było coś więcej. Wielkie podniecenie wywołało odkrycie, że przejście, do którego zbłądziłam i do którego weszli, gdy rozbili ścianę niszy Yasmin, nie było wcale ślepe i że coś było poza nim.

To było największe odkrycie naszej ekspedycji i stało się oczywiste, że sir Edward uświadomił to sobie tej nocy, gdy zmarł.

Tabita powiedziała mi, że Terence przejmuje kierownictwo, ponieważ Teobald postanowił wrócić ze mną do Anglii.

Zaprotestowałam.

— Nie. Nie mogę do tego dopuścić.

Wpadłam jak burza do naszej sypialni, gdzie układał jakieś papiery.

— Teobaldzie — powiedziałam — zostajesz.

— Zostaję? — zmarszczył brwi.

— Tutaj.

— Myślałem, że wracamy do domu.

— Czy wiedziałeś, że jesteście prawdopodobnie u progu jednego z największych odkryć w archeologii?

— Jako obiecujący archeolog musisz się nauczyć nie łowić ryb przed niewodem.

— Cała archeologia jest łowieniem ryb przed niewodem. Jak można prowadzić tę nieustającą pracę, jeśli się nie wierzy, że uwieńczy ją powodzenie? To przejście dokądś prowadzi. Wiesz o tym. Prowadzi do grobu. Bardzo ważnego, bo gdyby tak nie było, dlaczego starożytni zadaliby sobie tyle trudu z podstępem rozrzuconych wszędzie ślepych uliczek?

— Jak zawsze przesadzasz, Judyto. Były tylko trzy.

— Jakie to ma znaczenie? Trzy to bardzo dużo. To musi być wspaniały grobowiec, Teobaldzie. Wiesz o tym. Przyznaj.

— Myślę, że może są o krok od wielkiego odkrycia.

— To było celem tej wyprawy?

— No tak.

— Wyprawy, którą planowałeś od śmierci twego ojca.

Skinął głową.

— A on umarł, ponieważ był już zbyt blisko odkrycia. W tym miejscu, w którym ja byłam.

— A ponieważ ty tam byłaś, naprowadziłaś nas na ślad.

— A więc to nie byłojia próżno.

— Mój Boże, wolałbym nigdy nie znaleźć drogi.

— Och, Teobaldzie, wierzę. Ale teraz zostaniesz.

— Doktor Gunwen jest zdania, że powinnaś wrócić najszybciej jak tylko można.

— Nie pojedę.

— Ale musisz.

— Nie pojedę sama, a ty ze mną nie pojedziesz.

— Będę gotów do wyjazdu teraz.

— Nie zgodzę się na to — powiedziałam. — *Nie pozwolę* ci teraz jechać. Musisz dalej pracować. To jest *twoja* wyprawa. Kiedy wreszcie dotrzesz do grobu, kiedy zobaczysz pył nie poruszony od czterech tysięcy lat... i być może odbicie stopy człowieka, który go opuścił... *ty* będziesz pierwszy. Czy myślisz, że dopuszczę, by Terence Geldingowi przypadł ten zaszczyt?

— Nie — powiedział stanowczo. — Wracamy.

Ale ja postanowiłam, że nie.

To była walka woli. Ja nie posiadałam się z radości. Wydawało się absurdem, że to ja sprzeciwiam się jego postanowieniu zrezygnowania z tego, czemu — jak sądziłam — poświęciłby raczej wszystko, aniżeli to porzucił.

Myślałam:

— Więc jestem kochana... równie mocno jak kocham sama.

Po prostu odmówiłam wyjazdu. Chciałam zostać. Nie mogłabym być szczęśliwa, gdybyśmy wyjechali na tym etapie. Zmusiłam doktora Gunwena, żeby się zgodził i wreszcie odniosłam zwycięstwo.

Wiadomo, co się stało. To *nie było* odkrycie stulecia.

Ekipa Teobalda znalazła grób na kilka dni przed tym, nim ludzie paszy, pracujący z innej strony wzgórza, dotarli do sali grobowej.

Co za skarby musiały tam być! To rzeczywiście było miejsce spoczynku wielkiego faraona.

Pasza od jakiegoś czasu prowadził poszukiwania w tym kierunku; wiedział, że droga prowadziła przez pomieszczenie, w którym spędziłam te straszne godziny; dlatego właśnie, sir Edward gdy je odkrył, musiał umrzeć. Wiedział także, że nisza, w której znaleziono Yasmin, prowadziła do korytarza, i być może sądził, że ona coś odkryła. Jej śmierć była ostrzeżeniem dla każdego z jego robotników, któremu mogłaby przyjść do głowy myśl zbadania podziemnych przejść.

Niestety, wielkie ambicje Teobalda nie zostały zaspokojone. Był tam sarkofag, mumia faraona, ale rabusie — może przodkowie paszy — splądrowali grób już dwa tysiące lat wcześniej; i wszystko co pozostawili, to był kamienny domek dusz, który uznali za zbyt mało wart, by go zabrać.

Dowiedzieliśmy się, że pasza wyjechał do Aleksandrii. Nie pożegnał się z nami. Musiał się dowiedzieć od swych sług, że rozwikłaliśmy tajemnicę śmierci sir Edwarda i Teodozji.

Wróciliśmy do Anglii.

Wielka radość zapanowała w Tęczowym Domku. Prosiłam, by nie mówić ciotkom o moich przygodach, ponieważ, jak powiedział Teobald, będziemy razem wyjeżdżać do innych miejsc, niepokoiłyby się więc ciągle i powtarzały: „Mówiliśmy ci”, czego bym nie zniosła.

W kilka dni po naszym powrocie do Anglii ukazała się notatka w prasie na temat pewnego Anglika — wziętego kupca prowadzącego handel antykami — głównie egipskimi — którego znaleziono utopionego w Nilu. Jego nazwisko brzmiało Leopold Harding. Nie ma pewności, czy śmierć jego była przypadkowa. Stwierdzono rany na głowie, ale ich przyczyną mogło być uderzenie głową o łódź, gdy się wyrzuciła. Jego klientami, jako sprzedawcy rzadko spotykanych obiektów, byli przeważnie prywatni kolekcjonerzy.

Nie było wątpliwości, że należał do sług paszy, tak jak ci, którzy uszkodzili pomost, jak wróżbiarz, jak Mustafa i Absalam. Harding wywoził bezcenne zabytki, które pasza mógł już dawniej wydobywać z grobów, gdyż całe lata musiało mu zajmować pozbywanie się tego rodzaju przedmiotów. Wiele z nich musiano zdekompletować i jeśli zdobiły je jakieś klejnoty, sprzedawane były osobno, a transakcje te przeprowadzano pod pozorem legalnego handlu.

Pasza miał wyraźnie nadzieję, że dokona epokowego odkrycia. Sir Edward znalazł ten sam trop, zginął więc z rąk Mustafy i Absalama. Potem przybył Teobald i kontynuował pracę ojca, a Teodozja poniosła śmierć, która miała być ostrzeżeniem. Ponieważ nie wyjechaliśmy, Leopoldowi Hardingowi rozkazano zabić mnie. Nie udało mu się to. Pasza nie lubił niepowodzeń, co więcej, bał się, że Harding, nad którym miał mniejszą władzę niż nad sługami swojej rasy, może zdradzić ten fakt. Został więc zamordowany, tak jak Yasmin.

Przygoda była poza mną. Leopold Harding próbował odebrać mi życie, lecz zamiast życia odebrał mi moje lęki. Dzięki krzywdzie, którą mi wyrządził, zrozumiałam o wiele więcej, niż rozumiałam kiedykolwiek przedtem.

Teobald także. Oczywiście, nigdy nie będzie człowiekiem okazującym swe uczucia i być może w chwilach największego wzruszenia zawsze będzie najbardziej powściągliwy.

Gdyby nie Leopold Harding i wyprawa do Egiptu, mogłabym przez całe lata wątpić o miłości Teobalda do mnie, gdyż nigdy nie wyraziłby jej słowami, tak jak to uczynił, gdy przyszedł mnie uwolnić i gdy był gotów zrezygnować z ambicji swego życia wtedy, gdy myślał — błędnie, jak się okazało — że jest o krok od jej spełnienia.

— Mój biedny Teobaldzie — powiedziałam — tak chciałam, żebyś dokonał wielkiego odkrycia.

— Dokonałem większego.

— Wiem. Przedtem myślałeś, że bardziej niż czegokolwiek na świecie pragniesz znalezienia największego ze znanych temu światu skarbów.

— Ale tego właśnie dokonałem — powiedział. — Odkryłem, ile dla mnie znaczyś.

Mogłam więc tylko czuć wdzięczność za wszystko, co się przedtem wydarzyło. I jakże mogłabym się nie cieszyć, czekając na pełnię życia, które będziemy razem wiedli?
